

S U K I K I M

POZDROWIENIA

# K<sup>Z</sup> Korei

UCZYŁAM DZIECI  
PÓŁNOCNOKOREAŃSKICH  
ELIT



조선애민이 모든 승리의 조직지대 조선로동당 만세!

KULISY NAJBARDZIEJ PRZERAŻAJĄCEGO REŻIMU ŚWIATA  
WIDZIANE OCZAMI KOBIETY Z ZACHODU

S U K I K I M

POZDROWIENIA

# K<sup>Z</sup>orei

UCZYŁAM DZIECI  
PÓŁNOCNOKOREAŃSKICH  
ELIT

tłumaczenie  
Agnieszka Sobolewska

**znak** *litera  
nova*

KRAKÓW 2015

*Dla mojej Matki i Siostry*



# Prolog

Czas zdawał się tam płynąć inaczej. Kiedy jest się odcięty od świata, każdy dzień staje się dokładnie taki sam jak poprzedni. Ta jednostajność wyzera ci duszę, aż zmieniasz się w oddychającą, harującą, konsumującą rzecz, która budzi się ze słońcem i zasypia wraz z zapadnięciem ciemności. Pustka pogłębia się z każdym wlekącym się dniem, a ty stajesz się coraz bardziej niewidzialny i nieistotny. Tak właśnie czasami się czułam, jak mały robaczek kręcący się w kółko, tylko żeby trwać i trwać. Tam, w tej nieustępliwej pustce, nic się nie poruszało. Nie przychodziły żadne wiadomości ani żadnych nie wysyłano. Nie było żadnych telefonów, ani do nas, ani od nas. Żadnych maili, żadnych listów, żadnych myśli niezaordynowanych przez reżim. Trzydziestu misjonarzy udających nauczycieli, dwustu siedemdziesięciu północnokoreańskich studentów i ja – jedyna pisarka udająca misjonarkę udającą nauczycielkę. Zamknięci w tym więzieniu udającym kampus uniwersytecki na pustych przedmieściach Pjongjangu, pilnie strzeżonym dwadzieścia cztery godziny na dobę, mieliśmy tylko siebie nawzajem.

CZĘŚĆ I

# Anty-Atlantyda



# 1

W poniedziałek 19 grudnia 2011 roku, o 12.45, ktoś zapukał do drzwi mojego pokoju. Zamarłam. Wiedziałam, kogo zobaczę w progu. Nie zareagowałam i dalej wpychałam ubrania do walizki. Pukanie się powtórzyło. Wiedziała, że jestem w środku, i nie miała zamiaru odejść. W końcu przerwałam pakowanie i otworzyłam. W drzwiach stała Martha, tyczkowata dwudziestoczteroletnia Brytyjka w okularach, z którą dzieliłam obowiązki dydaktyczne.

– Musisz natychmiast przyjść na zebranie – powiedziała.

Westchnęłam, czując ciężar sześciu miesięcy spędzonych tu wśród trzydziściorga chrześcijańskich misjonarzy, którzy teraz zebrali się potajemnie na spotkanie modlitewne przez Bożym Narodzeniem.

– Umarł – szepnęła Martha, wskazując palcem sufit.

Pomyślałam, że chodzi jej o Boga, i przez chwilę patrzyłam na nią zdezorientowana. Nigdy nie czytałam Biblii, a większość mojej rodziny to ateści. A potem Martha dodała z naciskiem: „On”. Uświadomiłam sobie, że ma na myśli najwyższego Boga w tym świecie: Kim Dzong Ila.

Czy to fatum, że moje północnokoreańskie doświadczenia zaczęły się od jego urodzin i skończyły jego śmiercią? Był luty 2002 roku, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam zakazane miasto Pjongjang, jako członkini delegacji Amerykanów koreańskiego pochodzenia, która przyjechała na obchody

sześćdziesiątych urodzin Kim Dzong Ila. Od pamiętnego 11 września minęło zaledwie kilka miesięcy, a George W. Bush właśnie zaliczył Koreę Północną do „osi zła”, był to więc raczej niefortunny moment dla samotnej Amerykanki na przekraczanie granicy tego kraju z grupą obcych osób.

W ciągu następnych dziewięciu lat, po każdym jakby nierealnym przejściu tej trwającej niezmiennie granicy, to nieznanie i niedające się poznać miejsce coraz bardziej mnie odurzało. Ten odizolowany kraj istniał w zupełnie innym systemie niż reszta świata – innym do tego stopnia, że kiedy przyjechałam tu w 2011 roku, znalazłam się w „setnym roku dżucze”. Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna (KRLD) ma swój własny kalendarz: czas liczy się od narodzin pierwszego Wielkiego Wodza, Kim Ir Sena, który zmarł w 1994 roku. Dżucze, co oznacza mniej więcej „samodzielność”, to doktryna leżąca u podstaw założycielskiej filozofii Korei Północnej. Prawie wszystkie książki, jakie tam widziałam, zostały albo napisane przez Wielkiego Przywódcę, albo jego dotyczyły. Państwowe media, takie jak dziennik „Rodong Sinmun” i Centralna Telewizja Chosun, zamieszczały niemal wyłącznie materiały o Wielkim Przywódcy. Prawie każdy film, każda piosenka, każdy pomnik słały cudowne osiągnięcia Wielkiego Przywódcy – a wręcz trzech pokoleń Wielkich Przywódców, bo rola ta przechodziła z ojca na syna, od Kim Ir Sena i Kim Dzong Ila do Kim Dzong Una, który miał dwadzieścia dziewięć lat, kiedy w 2012 roku objął władzę, zostając najmłodszą głową państwa na świecie. Podobno każde północnokoreańskie mieszkanie jest wyposażone w głośnik, przez który można nadawać rządową propagandę, a w całym kraju stoi ponad trzydzieści pięć tysięcy pomników Wielkich Przywódców.

Jednak podczas gdy reżim bawi się w zbrojenia jądrowe, prowokując kolejne sankcje ONZ, mieszkańcy Korei Północnej cierpią. Głód panujący tu w latach dziewięćdziesiątych (zwany Trudnym Marszem) zabił aż trzy

miliony ludzi, ponad jedną dziesiątą całej populacji, a nawet dziś według raportów Światowego Programu Żywnościowego osiemdziesiąt procent Koreańczyków z Północy doświadcza głodu oraz niedoborów jedzenia. Szacuje się, że od 1948 roku w wyniku pracy przymusowej i egzekucji oraz w obozach koncentracyjnych życie straciło ponad milion ludzi. Według najnowszego raportu ONZ w KRLD działa około dwudziestu obozów pracy, w których przetrzymywanych jest sto dwadzieścia tysięcy więźniów politycznych (Human Rights Watch szacuje tę liczbę na dwieście tysięcy). Wszystko to są z konieczności dane przybliżone, gdyż niczego tu nie da się zweryfikować. Prawie żadnych mieszkańców nie wypuszcza się z kraju – uciekinierom grozi egzekucja – i prawie żadnych cudzoziemców się do niego nie wpuszcza, z wyjątkiem uczestników wycieczek zorganizowanych, w większości mających europejskie paszporty, którzy oglądają tylko to, co im się pozwoli. W globalnej erze informacji, kiedy sekrety stały się anachronizmem, Korea Północna jest wyjątkiem.

Moja obsesja na punkcie tego niepokojącego kraju – bo rzeczywiście popadłam w obsesję – wynikała z czegoś więcej niż tylko dziennikarskiej ciekawości. Kiedy po raz pierwszy wjechałam do Korei Północnej, nie byłam pewna, kim właściwie jest tu „delegat”, i nie wiedziałam za wiele o popierającej Kim Dzong Ila grupie, z którą się zabrałam. Brzmi to tak, jakbym była albo bardzo arogancka, albo bardzo młoda, ale nie chodziło ani o jedno, ani o drugie. Trwałam w niewiedzy z pełnym rozmysłem. Skoro uzyskanie wizy wjazdowej okazało się takie trudne, pomyślałam, że najlepiej nie być zbyt dociekliwą. W grę wchodziło jednak jeszcze coś innego: jakiś natarczywy wewnętrzny głos przekonywał mnie, że nie chcę znać tych szczegółów. Dla tych z nas, którzy wychowywali się w Korei Południowej w latach siedemdziesiątych, wszystkimu, co dotyczy Korei Północnej, towarzyszy pewna złowieszczą aura. A u tych z nas, których krewni zostali



uprowadzeni do KRLD, ten strach jest zakorzeniony jeszcze głębiej. Gdybym wiedziała wtedy to, co wiem teraz, ponad dziesięć lat później, wątpię, czy zdecydowałabym się na ten pierwszy, brzemienny w skutki wyjazd. Ale odleciałam z nowojorskiego lotniska JFK liniami Korean Air, jednymi z najnowocześniejszych i najbardziej luksusowych na świecie, a prawie dwadzieścia godzin później, po przesiadce w Seulu, a potem w Pekinie, weszłam na pokład samolotu północnokoreańskich państwowych linii Air Koryo, gdzie jedyną lekturą był magazyn o Wielkim Przywódcy. Przez następne dziewięć lat jeszcze wiele razy pokonywałam tę trasę do Pjongjangu.

Każda opowieść ma swoje źródło gdzieś w przeszłości. Moja obsesja sięgała korzeniami czasów przed moim urodzeniem, roku 1945. To właśnie wtedy, gdy liczące sobie pięć tysięcy lat królestwo Korei zostało podzielone przez aliantów, którzy wyzwolili je spod japońskiej okupacji, wszystko poszło nie tak. I od tamtej pory nadal wszystko jest nie tak, i nic, nawet trzyletnia wojna, która wybuchła w 1950 roku, nie zdołało tego zmienić.

A może moja obsesja była nieunikniona już w czasach mojego dzieciństwa w Korei Południowej. Spędzone tam lata pozostają denerwująco niezmiennie, idealnie zachowane w mojej pamięci. Im jestem starsza, tym bardziej wspomnienia o nich się rozrastają, rzucając coraz dłuższy cień. To przypadłość imigranta w pierwszym pokoleniu, dla którego wszystko dzieli się na „teraz” i „wtedy”, na „przed wyjazdem” i „po”. Ocean, który oddziela przybrany dom od starego kraju, dzieli także czas.

Miałam zaledwie trzynaście lat, kiedy przyjechaliśmy do Ameryki. Początek lat osiemdziesiątych był w Korei Południowej czasem niepokoju politycznych i wstrząsów gospodarczych, a biznesy mojego ojca – od firmy dostawczej i spółki górniczej po hotele – padały jeden po drugim. Bankructwo w Korei było karane wyrokiem wieloletniego więzienia, więc

uciekaliśmy z domu w środku nocy. Jak wielu nowo przybyłych imigrantów w Ameryce, moja rodzina była wówczas biedna i ciągle się przeprowadzała – z Queens do Jersey City, z Bronxu do Fort Lee. Niewiele z tych potężnych zmian, zachodzących niemal z dnia na dzień w moim otoczeniu, do mnie docierało. Wiedziałam, że nie jestem już w Korei, a jednak nie mieściło mi się w głowie, że ta utrata domu jest czymś trwałym. Sporo czasu zajęło mi też przyswojenie innej obcej koncepcji: tego, że byłam teraz Azjatką. Wcześniej ten termin słyszałam tylko na zajęciach z wiedzy o społeczeństwie. W kraju żółty był kolorem forsycji, która kwitła co roku wiosną wzdłuż płotu oddzielającego nasze osiedle od domów stojących niżej na zboczu wzgórza. Na pewno nigdy nie uważałam, że moja skóra ma ten sam odcień. Te pierwsze lata były też naznaczone ciszą. Mój ojczysty język nagle zniknął, zastąpiony nieznanymi dźwiękami nazywanymi angielskim. Kiedy zdałam końcowy egzamin w liceum i dostałam się do college’u, wydawało mi się, że to cud.

Po studiach spędziłam dwa lata w Londynie, szukając czegoś, czego nigdy nie potrafiłam dokładnie określić, a potem wróciłam do Nowego Jorku, do różnych dorywczych prac i mieszkania z obniżonym czynszem w East Village. Ale tam też nie czułam się u siebie, więc ciągle podnajmowałam komuś swoje lokum i wyjeżdżałam, często na mizerne stypendia dla początkujących pisarzy, które skazywały mnie na mieszkanie na jakimś odludziu, czy to w stuletniej chatce w New Hampshire, czy w pustym pokoju z widokiem na pustynne wzgórza w Wyoming. Nie było wtedy jeszcze telefonów komórkowych, więc zawsze dzwoniłam do rodziców na koszt rozmówcy. Pamiętam, jak pewnego popołudnia wysiadłam z autobusu Greyhounda i stałam w budce telefonicznej przed jakimś barem kawowym w Taos w Nowym Meksyku, a mój ojciec, który rozmawiał ze mną z New Jersey, zakończył słowami: „Jeśli będziesz tak ciągle gonić z miejsca na

miejsce, któregoś dnia zajedziesz za daleko, żeby wrócić”.

Kiedyś w tym wędrownym okresie znalazłam się na liguryjskim wybrzeżu Włoch. Brzmi to nieźle, co jednak nie pokrywało się z moimi odczuciami. Zapierające dech w piersiach piękno tego miejsca zupełnie mnie nie poruszyło, co było tak dziwne, że jeszcze wiele lat później szukałam okazji, by wtrącić słowo „Liguria” do rozmowy. Mówiłam na przykład: „Często nosiłam tę sukienkę tamtej jesieni, kiedy mieszkałam w Ligurii” albo „Nigdy nie skończyłam tej powieści, nad którą pracowałam w Ligurii”, jakbym chciała sobie samej przypomnieć, że spędziłam tam prawie dwa miesiące.

Czasami tak już jest z pewnymi doświadczeniami. Przeżywamy je, ale czujemy się tak, jakby właściwie nas tam nie było. Korea była tego przeciwieństwem. Pierwsze trzynaście lat mojego życia pozostało dla mnie prawdziwe jak nic, czego doznałam od tamtej pory. Kiedy w młodym wieku tracimy dom, przez całe życie szukamy czegoś, co mogłoby go zastąpić. Przez te wszystkie lata nigdy nie uważałam żadnego swojego mieszkania za więcej niż tymczasowe. Każde zostaje prawie puste, z gołymi ścianami i bez osobistych akcentów – jakby mogło się zdarzyć, że będę musiała w kilka sekund zgarnąć wszystko i uciekać. Goście często pytają, gdzie są moje rzeczy. To pytanie zawsze przypomina mi o Korei Południowej. Wyobrażam sobie, że wreszcie wracam. Stawiam walizkę u stóp niesamowicie długich schodów, których nigdy nie zapomniałam, zadzieram głowę i patrzę na górujący nade mną dom mojego dzieciństwa.

To dziwne, ale kiedy w 2002 roku po raz pierwszy odwiedziłam Pjongjang, poczułam się bardziej u siebie niż gdziekolwiek indziej od czasu wyjazdu z Seulu. Jakbym rozpoznawała znajome kąty. Przeszłość miałam przed sobą na wyciągnięcie ręki: pokolenia Koreańczyków odseparowane od siebie podziałem kraju; dekady tęsknoty, straty, bólu, żalu, poczucia winy.

Identyfikowałam się z tym i nie mogłam się z tego uczucia otrząsnąć. Myślałam, że gdybym tylko zdołała zrozumieć owo miejsce, to potrafiłabym znaleźć sposób na posklejanie fragmentów w całość. Jak większość Koreańczyków, czy to z Północy, czy z Południa, marzyłam, może irracjonalnie, o zjednoczeniu kraju. Aż do 2011 roku wciąż tu wracałam.

Często mnie pytają: „Z której Korei pochodzisz? Północnej czy Południowej?”. Jest to bezsensowne pytanie. Prawdopodobieństwo, że ja czy jakikolwiek Koreańczyk poruszający się swobodnie po świecie pochodzi z Północy, jest niemal zerowe. Z Korei Północnej nie wydostaje się właściwie nikt. To kraj zamknięty na cztery spusty. Odcięty od Korei Południowej, od reszty świata, od tych z nas, których rodziny zostały tam uwięzione. Odcięty drzwiami, dla których nie ma żadnego „Sezanie, otwórz się”, a świat jakby zapomniał, dlaczego zostały zatrzaśnięte na głucho i kto wyrzucił klucz.

Moja Korea to Południe – uprzemysłowiona, ambitna do bólu, lepsza połowa, która wydała na świat Hyundaia i Samsunga i w ciągu sześćdziesięciu lat od krwawej wojny stała się piętnastym najbogatszym państwem na świecie. Ale Południe nigdy nie jest tylko Południem. Samo jego istnienie przywołuje na myśl okrytą tabu Północ, która, ze swoimi notorycznymi groźbami użycia broni jądrowej i wybrykami dziwnego dyktatora, rzuca cień wykraczający daleko poza półwysep, na którym leży. W ostatnich latach Korea Północna powoli zaczynała przypominać zwodniczą syrenę, każąc obserwatorom z zewnątrz czekać, snuć domysły i znowu czekać, bez końca.

Oboje moi rodzice pochodzą z rodzin rozłączonych przez powojenny podział kraju. Tak naprawdę to właśnie nieodwzajemniony ból tej rozłąki – ból trwający pokolenia – przywiódł mnie na Północ. Gdyby była to jedna z tych opowieści, które skłaniają czytelników do kiwania głowami ze

zrozumieniem i współczuciem oraz uczą, bawią i dają satysfakcję, napisałabym w niej, że zatoczyłam pełne koło. Jednak w rzeczywistości moja podróż była zaledwie smutnym półkolem, którego nigdy nie dałoby się zamknąć, bo ci, którzy znaleźli się w centralnym punkcie pełnej okropieństw historii, z pewnością od dawna nie żyją albo są starzy i umierający, a ich opowieści wkrótce przepadną, pokryte kurzem przeszłości.

Wojna koreańska trwała trzy lata, w jej wyniku miliony ludzi zginęły lub zostały oddzielone od swoich rodzin. Nigdy właściwie się nie skończyła, została tylko zawieszona w 1953 roku rozejmem, który cofał ją dokładnie do punktu wyjścia: podziału na dwie Koree wzdłuż 38. równoleżnika. Historycy często nazywają ją „zapomnianą wojną”, ale żaden Koreańczyk jej za taką nie uważa. Zapominanie nie leży w ich kulturze. Wojna jest wszędzie w obu dzisiejszych Koreach.

Weźmy na przykład historię młodych kuzynek mojego ojca, studentek pielęgniarstwa w wieku siedemnastu i osiemnastu lat, które zaginęły podczas wojny. Ponad dwadzieścia lat później, w latach siedemdziesiątych, ich matka – ciotka mojego ojca – dostała list z Korei Północnej, który przyszedł przez Japonię. Była to jedyna próba kontaktu z nią podjęta przez jej córki. Od tamtej pory ciotka była co kilka miesięcy wzywana przez Centralną Koreańską Agencję Wywiadowczą jako podejrzana o szpiegostwo, aż wreszcie wyjechała z Korei Południowej na dobre i zmarła w San Antonio w Teksasie. Po kuzynkach słuch zginął. Z kolei mój wujek, brat mojej matki, miał zaledwie siedemnaście lat, kiedy został porwany przez północnokoreańskich żołnierzy na początku wojny, w czerwcu 1950 roku. Nigdy więcej go nie widziano. Może zabrano go do Pjongjangu, a może nie, i ten stan zawieszenia i niepewności doprowadził moją babkę niemal do szaleństwa, podobnie jak moją matkę, a do pewnego stopnia także mnie, ponieważ odziedziczyłam ich smutek.

Takich historii jest w Korei Południowej mnóstwo. W Północnej pewnie też, gdyby jej mieszkańcom wolno je było opowiadać. Przymusowa rozłąka dręczy tych, którzy jej doświadczyli, długo po samym momencie rozdzielenia. To trwający wiecznie akt przemocy. Wiesz, że zaginieni tam są, oddaleni zaledwie o kilka godzin drogi, ale nie możesz się z nimi spotkać ani do nich napisać, ani zadzwonić. Może po drugiej stronie granicy utknęła twoja matka. Może twój kochanek, za którym będziesz tęsknić przez resztę życia. A może twoje dziecko, z którym nie możesz się zobaczyć, chociaż woła cię po imieniu i co noc zasypia z płaczem. Z Seulu Pjongjang wygląda jak wiszący nad półwyspem złowieszczy cień, oddalony o dwieście kilometrów, tak bliski, ale niedający się dotknąć. Po dekadach takiej tęsknoty w narodzie budzi się rozgoryczenie. Ludzie wciąż rozpamiętują stratę, jak nieuleczalną chorobę, nieusuwalny zawód i ból. Mogą się tylko zastanawiać, co się stało z życiem, które mieli razem prowadzić. Dla tych z nas wychowanych przez matki i ojców, którzy doświadczyli takiej traumy na własnej skórze, przerwanie tego rozpamiętywania jest niemożliwe.

O Pjongjańskim Uniwersytecie Naukowo-Technicznym (Pyongyang University of Science and Technology – PUST) dowiedziałam się przypadkiem. W lutym 2008 roku „Harper’s Magazine” wysłał mnie do północnokoreańskiej stolicy w ślad za Orkiestrą Filharmonii Nowojorskiej, która miała zagrać tam koncert. Na miejsce ściągnęła setka korespondentów zagranicznych, nie chcąc przepuścić takiej okazji. Ponieważ nie byłam prawdziwą dziennikarką – a przynajmniej się za taką nie uważałam – perspektywa przygotowania relacji z KRLD obok tylu starych wyg napawała mnie przerażeniem, dopóki się nie zorientowałam, jak nikłe pojęcie wszyscy oni mają o Korei Północnej i jak niewiele udało im się dowiedzieć. Dziennikarka wiadomości pewnej stacji kabłówki przygotowała program specjalny, w którym oglądała koncert w telewizji z „przeciętną”



północnokoreańską rodziną, starannie wybraną przez rząd. Następnie zadawała „przypadkowym” mieszkańcom, także wskazanym przez władze, pytania w rodzaju: „Czy uważasz Amerykę za waszego zaprzysięgłego wroga?”, a jedną z pytanych uczyła słowa *friend* (przyjaciel), które ta posłusznie powtórzyła.

W ramach prelude do medialnego widowiska w Pjongjangu poszłam na przyjęcie w Pekinie. (Chociaż Pjongjang dzieli od Seulu tylko dwie godziny jazdy samochodem, do północnokoreańskiej stolicy trzeba lecieć przez Chiny). Impreza odbywała się w ambasadzie amerykańskiej, a zorganizowano ją na cześć sponsorów orkiestry. Stanowili barwną grupę – od założyciela firmy komputerowej Compaq, przez guru *public relations* NFL, największej ligi futbolu amerykańskiego, po japońską hrabinę z Wenecji. Panie miały na sobie futra. Dwadzieścia pięć osób, skuszonych nowością tej wycieczki, ofiarowało po pięćdziesiąt tysięcy dolarów i wszyscy byli wyraźnie podekscytowani. Jedna z kobiet powiedziała mi beztrzęsowo, że nigdy nie była w Korei Południowej, a teraz, proszę, jedźcie do Północnej! Inny z gości stwierdził, że bardzo lubi podróżować do „zacofanych” miejsc, ale takich krajów już nie ma, poza jedną KRLD. Kilka innych osób przekonywało, że koniecznie, ale to koniecznie muszę poznać jakąś panią Gund, jak się okazało pół Korkankę, pół Brazylijkę mniej więcej w moim wieku, której mąż pojawił się kiedyś na liście najbogatszych ludzi na świecie magazynu „Forbes”.

To właśnie pani Gund wspomniała, że w Pjongjangu ma się otworzyć międzynarodowy uniwersytet, gdzie mają wykładać sami cudzoziemcy. Wydawało się to nieprawdopodobne, ale ktoś, kto interesuje się Koreą Północną, zaczyna się przyzwyczajać do nierealnych scenariuszy. Poprosiłam o więcej informacji, na co ona wzruszyła ramionami i poradziła, żebym napisała maila do niejakiego prezesa Kima, szefa całego przedsięwzięcia.

Okazało się, że ów prezes to James Kim, Amerykanin koreańskiego pochodzenia i ewangelik. Wystarczyło chwilę poszukać w internecie, żeby znaleźć wywiady z nim o podobnej uczelni, którą założył na początku lat dziewięćdziesiątych w Yanji w Chinach, zwanej Uniwersytetem Naukowo-Technicznym Prefektury Yanbian (Yanbian University of Science and Technology – YUST). W jednym z tych wywiadów Kim oświadczył, że zebrał dziesięć milionów dolarów, przekazanych przez kościoły ewangeliczne na całym świecie, na budowę szkoły w Pjongjangu. Zapytany, czy jakaś część tych pieniędzy trafiła do reżimu KRLD, twierdził, że wszystkie materiały budowlane i sprzęt sprowadził z Chin. Prowadzenie uczelni miało być dość kosztowne, samo ogrzewanie wyceniono na co najmniej tysiąc pięćset dolarów dziennie. Do pytania, kto sfinansuje jej działalność, odniósł się z niechęcią, mówiąc coś o „banku niebios”.

Chociaż szkołę dopiero budowano, od razu złożyłam podanie o pracę w charakterze wykładowcy i przez następne dwa lata wymieniałam maile z różnymi osobami w Chinach, Korei Południowej i Stanach Zjednoczonych. Wiedziałam o nich niewiele poza tym, że reprezentowały prezesa Kima, który, według zapewnień Joan, kontaktującej się ze mną najczęściej, był w ciągłych rozjazdach. Joan mieszkała na kampusie YUST i pisała długie, pełne dygresji maile o kwiatach kwitnących wiosną w Yanji i o swoim napiętym grafiku w związku z nadzorowaniem „projektu”, z łaski Pana.

Przez pierwszy rok naszej korespondencji rzeczony projekt wydawał się w najlepszym razie mglisty. W pewnym momencie odezwała się do mnie bibliotekarka koreańskiego pochodzenia z pewnego uniwersytetu w Illinois i zaprosiła mnie na imprezę charytatywną połączoną ze zbiórką pieniędzy na rzecz PUST w kościele w Evanston. Przyszło tam około pięćdziesięciorga studentów Azjatów – głównie Koreańczyków z pochodzenia – którzy przez mniej więcej godzinę modlili się i płakali. Wyglądało to dziwnie, ale

wydawało się uzasadniać istnienie uczelni.

Wreszcie w grudniu 2009 roku zatelefonowano do mnie z biura prezesa Kima w Seulu i powiedziano mi, żebym przygotowała się do wyjazdu do Pjongjangu za kilka miesięcy. Nikt nigdy nie pytał mnie o moją wiarę, a ja sama też nie udzieliłam nikomu żadnych informacji. Nie dostałam właściwie żadnych instrukcji. Co powinnam ze sobą zabrać? W jaki sposób będę mogła utrzymywać kontakt z bliskimi? Takie pytania pozostały bez odpowiedzi.

Niedługo potem doszło do incydentu na morzu. 26 marca 2010 roku południowokoreański okręt marynarki wojennej Cheonan zatonął u zachodnich wybrzeży kraju. Zginęło czterdziestu sześciu marynarzy. Międzynarodowe śledztwo wykazało, że w okręt trafiła torpeda wystrzelona z północnokoreańskiej łodzi podwodnej. Stosunki między dwiema Koreami uległy ochłodzeniu, a drzwi, które już wydawały się uchylać, znów się zatrzasnęły. Nie sądziłam, żeby szkoła zaczęła działać w najbliższym czasie ani żeby ktokolwiek zdołał dostać wizę. Projekt został ponownie wstrzymany.

Jednak pod koniec roku PUST wreszcie otwarto. Moje zgłoszenie gdzieś się zapodziało, jak mi powiedziano, i już skompletowano grono pedagogiczne na pierwszy semestr spośród wykładowców siostrzanego YUST. Miałam być gotowa na przyjazd wiosną, jak napisała mi Joan.

Potem znów zapadła cisza, aż do kwietnia 2011 roku, kiedy w mojej skrzynce odbiorczej pojawił się mail o tytule: „Lista zakupów”. Moją wizę, kiedy już została zatwierdzona do wjazdu, musiało podstemplować aż trzydzieści pięć agencji rządowych w Korei Północnej. Prezes Kim poprosił, żeby dla wykładowców PUST cały ten proces został uproszczony lub w ogóle zniesiony i teraz wszyscy czekali na uchwalenie nowych przepisów, które by to umożliwiły. „Nowe przepisy? To może się ciągnąć miesiącami, może nawet latami!” – wyraziłam swoje wątpliwości przez Skype’a, ale Joan

zapewniła mnie, że w Korei Północnej na załatwienie czegoś takiego może wystarczyć kilka dni, i kazała mi zacząć się pakować.

Stwierdziła, że będzie mi potrzebna lodówka, a także papier toaletowy i masło. Czy nie da się tego dostać na miejscu? – zastanawiałam się. Usłyszałam, że do Pjongjangu trzeba przywieźć wszystko. Przełałam Joan pieniądze, żeby mogła kupić lodówkę i wysłać ją z Chin, ale nie byłam pewna, czy blok zamrożonego masła przetrwa wszystkie długie loty z Nowego Jorku do stolicy Korei Północnej. Okazało się, że jest mnóstwo rzeczy, bez których nie mogę się obejść. Można by sądzić, że jako pisarka na pierwszym miejscu swojej listy powinnam umieścić książki, ale w istocie zupełnie o nich nie myślałam. Spakowałam bardziej podstawowe rzeczy: dodatkową parę okularów, jednorazowe soczewki kontaktowe, podpaski, ibuprofen, najróżniejsze witaminy i antybiotyki oraz tyle proteinowych batonów, ile tylko zdołałam wepchnąć do walizki.

Wizy do Korei Północnej są prawie zawsze wystawiane w przeddzień daty wjazdu gościa do kraju, a bilety na samolot z Pekinu do Pjongjangu można kupić, tylko mając w ręku wizę. Oznaczało to, że muszę wyjechać do Azji natychmiast i być w pogotowiu. W ten sposób na następne siedem tygodni utknęłam w Seulu, gdzie czekałam na wizę, której wydanie w ostatniej chwili zablokowano, nie podając żadnej przyczyny ani wyjaśnienia. We wszelkich negocjacjach Korea Północna ma władzę absolutną, jeśli chodzi o to, kto co robi i za jaką cenę, bo zawsze jest jakaś cena.

Tamtego lata monsun nadszedł wyjątkowo wcześnie. W tej części Azji pora monsunowa oznacza, że pewnego dnia zaczyna padać i leje bez przerwy przez miesiąc. Zazwyczaj w lipcu, ale w 2011 roku ulewy przyszły w połowie czerwca, a ja byłam załamana. Czekałam na potwierdzenie mojej wizy przez Koreę Północną już od ponad miesiąca. Bębniący o szyby deszcz

nie dawał mi spać, więc budziłam się o świcie, z włosami mokrymi od wiszącej w powietrzu wilgoci. Mimo klimatyzacji byłam bez przerwy spocona i ospała, co tylko pogłębiało moje poczucie bezradności. Rok zaczął się źle i robił się coraz gorszy. Miałam za sobą koszmarne rozstanie poprzedzone dziewięcioma ciężkimi latami.

W Seulu też nie było łatwo. Moja siostra, u której zawsze znajdowałam emocjonalne oparcie, przeniosła się tam z Nowego Jorku. Chorowała, a mój poranny rytuał polegał na krojeniu dla niej na śniadanie ekologicznych gruszek azjatyckich i melonów, wymoczonych wcześniej w specjalnym płynie do płukania warzyw i owoców. Martwiłyśmy się bakteriami, bo jej układ odpornościowy był osłabiony, i ten stan niepokoju mnie irytował, bo to ja byłam młodszą siostrą i nigdy wcześniej nie musiałam się nią opiekować. Po południu chodziłam z nią do lekarzy na kontrole, badania krwi albo fizjoterapię. Albo zabierałam jej dwie córki, w wieku siedmiu i jedenastu lat, na próby szkolnej orkiestry czy na szczepienia przeciwko ospie, czyli robiłam to, co robią matki pod każdą szerokością geograficzną, chociaż nie pasowałam do grona południowokoreańskich mam, w którym nigdy nie dano mi zapomnieć, że nie mam własnych dzieci.

Powinnam śledzić najświeższe wiadomości o Korei Północnej, które oczywiście dotyczyły Kim Dzong Una, prawowitego następcy, nazywanego przez zagraniczne media albo Drogim, albo Najwyższym Przywódcą, ale zamiast tego szukałam pociechy w pisaniu maili do dawnego kochanka z Brooklynu, z którym właśnie odnowiłam kontakt. Nic tak nie odrywa zranionej duszy od trudnej sytuacji jak nowa miłość, nawet odgrzewana. Co noc, kiedy usiłowałam zasnąć w gęstym, ciężkim seulskim monsunie, powtarzałam sobie, że w mieście, które jest moim domem, mam tego faceta i muszę tylko bezpiecznie zakończyć tę podróż, żeby do niego wrócić. On mnie nie kochał i był ciągle zajęty, więc nieszczególnie przykładał się do

odpowiadania na moje niepotrzebnie błagalne maile. Czasem jednak odpisywał, kiedy akurat miał ochotę. Tego lata, w zalanym deszczem Seulu, jego maile były jak przebłyski słońca.

Czekając na wiadomości w sprawie wizy, często myślałam o tych, którzy zaginęli bez wieści, o bracie mojej matki i kuzynkach ojca. Jak ich matki musiały czekać i czekać, zwlekając z przeprowadzką po wojnie tak długo, jak tylko się dało, żeby ich synowie i córki na pewno znaleźli drogę do domu. Codziennie musiały mieć nadzieję, że to właśnie będzie ten dzień. Podnosić z wyczekiwaniem wzrok za każdym razem, kiedy rozlegał się dzwonek do drzwi. „Może to moje dziecko. Proszę, niech to będzie mój syn. Tak, to na pewno moja córka”. Bo myśl, że nigdy już nie zobaczysz swojego dziecka, jest niedorzeczna. Bo w naszym świecie nic nigdy nie ginie bez śladu.

Tego lata doświadczyłam też wielu innych rodzajów czekania. Czekałam na dzień, w którym wreszcie przeboleję zerwane zaręczyny. Czekałam, aż facet z Brooklynu napisze do mnie maila z jakąś oznaką uczucia, bo w tym momencie mojego życia szczególnie zależało mi na czyjejś życzliwości. Przede wszystkim czekałam na zakończenie terapii mojej siostry, żeby już jej nie bolało. A do tego wszystkiego czekałam na wieści o wizie do Korei Północnej, w głębi serca wierząc, że to moja przepustka do wyrwania się z tego kłębowiska uczuć.

Pod koniec czerwca odebrałam upragniony telefon. Moja wiza została zatwierdzona i będę uczyć w Pjongjangu w letnim semestrze. Spotkanie informacyjne oraz krótkie przeszkolenie odbędzie się w Pekinie za trzy dni, a pierwszego lipca wylecimy do Korei Północnej.



## 2

Jak na miejsce owiane złą sławą Pjongjang zawsze wydaje się zaskakująco spokojny, przynajmniej w pierwszej chwili. Takie wrażenie robił i tym razem, przy mojej czwartej wizycie. Horyzont był pusty, jeśli nie liczyć garstki starych samolotów, które przysiadły na pasie kołowania niczym sędziwe muchy. Okoliczne pola wyglądały jak żywcem wyjęte z sielankowej opowieści o miejscu, gdzie nigdy nie zdarzyło się nic złego, a mieszkańcy nikogo by nie skrzywdzili. Na tle tego surowego bezruchu stał samotny terminal lotniska, zwieńczony gigantycznym portretem Kim Ir Sena. W oddali grupa skulonych mężczyzn czekała, by zaopiekować się każdą z delegacji.

Zawsze, kiedy natykam się na wyświechtany frazes o „ogłuszającej ciszy”, przypominam sobie to pierwsze wrażenie, to ciche zdumienie, kiedy wreszcie widzimy przedmiot całej tej fascynacji. Odkrywając, że ta współczesna Atlantyda, czy raczej anty-Atlantyda, jednak rzeczywiście istnieje, chcemy jakiegoś wyjaśnienia, przeprosin, jakiejś jasności. Ale oto mamy po prostu małe lotnisko na obrzeżach stolicy, ni mniej, ni więcej.

Ta cisza jest dziwna, bo nigdzie indziej w Pjongjangu nasze zmysły nie zaznają spokoju. Zawsze z jakiegoś pobliskiego głośnika dudni muzyka. Czasem to pieśń miłosna, a czasem marsz, ale temat jest zawsze ten sam. Prawie każdy budynek zdobi jakieś hasło, każdy ekran telewizyjny pokazuje

ten sam obraz, tak jak billboardy reklamowe zapełniają horyzont w zachodnich krajach, ale w Korei Północnej jest tylko jeden produkt: Wielki Przywódca. Pod całym tym hałasem kryje się jednak przerażająca cisza. Wszystko jest od dziesięcioleci tak wyciszone, że jeśli przyłożyć ucho do tego bezruchu, niemal słychać stłumione krzyki.

Celnik wziął mój amerykański paszport, zerknął na niego i zapytał, czy mówię po koreańsku. Koreańczycy z Północy, których dotąd poznałam, zawsze wydawali się dumni ze swojej narodowości. Mimo wojny wiszącej między nami od ponad pół wieku, kiedy Koreańczycy znajdują się wśród ludzi Zachodu, zawsze ustawiają się w pozycji „my kontra oni”. Gdy odpowiedziałam mu po koreańsku, uśmiechnął się i mnie przepuścił. Od razu musieliśmy oddać paszporty i telefony komórkowe czekającemu na nas opiekunowi. Małe lotnisko wyglądało znacznie jaśniej, niż to zapamiętałam, a taśmociągi bagażowe tym razem działały. (Kiedy po raz pierwszy przyleciałam do Pjongjangu w 2002 roku, niedługo po klęsce głodu, torby i walizki po prostu rzucano na podłogę, a ubikacja była ciemną dziurą bez papieru toaletowego).

Razem z pozostałymi wykładowcami poszłam za opiekunem do autobusu przysłanego przez PUST. Jakieś dziesięć minut za śródmieściem Pjongjangu, po przejechaniu przez rzekę Taedong mostem Chungsong (Lojalności), skręciliśmy w wąską drogę, po której obu stronach ciągnęły się pola. Prowadziła do bramy z nazwą szkoły i maleńką portiernią z boku, a dalej było już widać kampus. Znaleźliśmy się w miejscu tak ustronnym, że przywodziło na myśl sanatorium. Wszystko tonęło w betonie, a monotonia ciężkich budynków sprawiała, że teren wyglądał jak wymarły. Po lewej stał wysoki, smukły kamienny obelisk, przewyższający pobliski czteropiętrowy budynek, na którego szczycie ogromne litery układały się w napis: NIECH ŻYJE GENERAL KIM DZONG IL, SŁOŃCE XXI WIEKU! W budynku znajdowały się sale

lekcyjne i był on połączony zabudowanym pasażem ze stołówką, która łączyła się z kolei z kliniką i łaźnią, a te – z akademikiem, tak że wszystkie budynki i zadaszone przejścia między nimi układały się jakby w podkowę. Pasaże miały okna po obu stronach i od razu mnie uderzyło, że nie ma tu żadnej prywatności, że ruchy każdego są widoczne jak na dłoni. Jedynym obiektem niepołączonym z resztą był surowy szary budynek stojący samotnie po naszej prawej stronie.

Mogłabym napisać, że kiedy po raz pierwszy ujrzałam ten odizolowany kompleks zabudowań, który wkrótce miał się stać moim schronieniem i więzieniem, ogarnął mnie strach – ale to nie byłaby prawda. Po prostu nie czułam nic, tak jak wtedy, gdy w wieku trzynastu lat pierwszy raz zobaczyłam Nowy Jork. Taki pierwszy rzut oka nie ma żadnej historii, przychodzi bez ostrzeżenia. Uczelnia jak uczelnia. Studentów, których twarze z czasem wypełnią znaczeniem tę stuhektarową przestrzeń, jeszcze nigdzie nie było widać. Na razie byłam zaabsorbowana związaną z tym miejscem logistyką. Kto zatwierdził powstanie szkoły i dlaczego? Kto się tutaj znalazł, żeby uczyć i być uczonym?

Następnego ranka budzik zadzwonił o piątej. Przez chwilę nie wiedziałam, gdzie jestem. Można mieć takie uczucie w każdym nowym mieście, ale kiedy tym miastem jest Pjongjang, zorientowanie się w otoczeniu zajmuje nieco więcej czasu. Na kwatery nauczycieli składały się nowoczesne dwupokojowe mieszkania jak spod sztancy, mające około czterdziestu pięciu metrów kwadratowych. Na prawo od wejścia znajdowały się dwie sypialnie, każda z szerokim łóżkiem, a dalej otwarta kuchnia z dużym stołem, niewielki kącik dzienny ze skórzaną kanapą, telewizorem i telefonem do połączeń wewnątrz kampusu, do tego okna niemal od podłogi do sufitu i nowoczesna łaźienka. Miałam cały ten apartament dla siebie i był on przyjemniejszy od większości pokoi w akademikach, w jakich zdarzyło mi się mieszkać.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłam, kiedy wyjrzałam przez moje okno na piątym piętrze, był kawałek zielonej równiny i dwa budynki stojące tuż za terenem kampusu. Jeden, szarozółty z niebieskim dachem, trochę przypominał stodołę w stylu Nowej Anglii; drugi, betonowy, był otoczony kamiennym murem. Przez cały pobyt nie dowiedziałam się, co się w nich mieściło, bo szybko nauczyłam się nie zadawać zbyt wielu pytań.

Walcząc z poczuciem osamotnienia i strachu, wstałam i włączyłam czajnik, który kupiłam w Pekinie, po czym poszukałam w walizce kawy. „Będziesz mieć tam wrażenie, że kawa to waluta” – powiedział mi ktoś przed wyjazdem i rzeczywiście tak było. Nie mam swojej ulubionej marki, ale w akademiku w PUST kawa Breakfast Blend, kupiona w sklepie Trader Joe’s, wydawała się prawdziwym luksusem, znakiem kapitalizmu, przypomnieniem zewnętrznego świata. Dolałam sobie kilka kropel przywiezionego mleka o przedłużonej trwałości. Miało ostry, syntetyczny smak, do którego nigdy się nie przyzwyczaiałam. I tak stałam, z moją pierwszą poranną kawą w Pjongjangu, spoglądając przez okno na ponure, nieprzeniknione budynki. Poczułam się tak daleko odsunięta od wszystkiego, co znam, jakby mnie ktoś w nocy wymazał.

Poinformowano mnie wcześniej, że śniadanie będzie podawane od 6.30 do 7.30 w stołówce. Kiedy wyszłam na dwór, dostrzegłam w oddali górujący na tle nieba cylindryczny kamienny obelisk. Po obu stronach ścieżki rosły drobne pomarańczowe i różowe kwiatki, które wyglądały równie bezosobowo jak uczelniane budynki. Wokół nie było widać żywego ducha. Ruszyłam wolnym krokiem w stronę stołówki, mijając po prawej trzy identyczne akademiki. Ten spacer zajął mi pięć minut i miałam go powtarzać trzy razy dziennie przez miesiąc w tym letnim semestrze, a potem przez kolejne miesiące na jesieni, chociaż wtedy jeszcze nie wiedziałam, że uda mi się wytrwać tu tak długo. Po drodze zobaczyłam na horyzoncie zabudowania

Pjongjangu, tak mgliste, że ledwie widoczne. W oddali majaczył samotny komin, z którego od czasu do czasu unosiła się smużka dymu, jedyna oznaka życia w tym nieruchomym krajobrazie.

Stołówka była zupełnie zwyczajna, taka, jaką można zobaczyć wszędzie. Za ciężkimi szklanymi drzwiami znajdowała się wielka sala zastawiona stolikami. Obowiązywała samoobsługa, a do lady z jedzeniem studenci i wykładowcy ustawiali się w dwóch oddzielnych kolejkach. Na śniadanie były owsianka i gotowane jajka. Wzięłam metalową tacę i właśnie zaczynałam sobie nakładać, kiedy usłyszałam, jak ktoś przy jednym ze stołów woła mnie po imieniu.

– Dzień dobry, jak miło znów się spotkać! – powiedział radośnie jakiś człowiek.

Po akcencie poznałam, że jest Koreańczykiem z Północy. Na kogo, u licha, mogłam tu wpaść? Wzięłam głęboki wdech, odwróciłam się i ujrzałam okrągłą opaloną twarz o uśmiechniętych oczach. Wszyscy opiekunowie mają uśmiechnięte oczy, ale pan Ri się wyróżniał. Podczas wizyty Orkiestry Filharmonii Nowojorskiej w 2008 roku przydzielono go do zagranicznych dziennikarzy, chociaż przez większość czasu pilnował głównie mnie, jako że byłam jedyną reporterką mówiącą po koreańsku, a więc uważaną za większe zagrożenie. Traktował mnie szczególnie przyjaźnie i rozmawiał ze mną w potocznym koreańskim, opowiadając o swojej żonie, dla której usiłował rzucić palenie.

Mężczyźni, których tam dawniej poznałam, lubili papierosy. Zwłaszcza amerykańskie stanowiły rarytas. Przysięgali, że Stany Zjednoczone są ich wrogiem numer jeden, ale noszenie przy sobie paczki marlboro lightów najwyraźniej było oznaką uprzywilejowania i klasy. Odwiedzający Koreę Północną często przywożą papierosy i whisky dla swoich opiekunów, jako

swoiste zabezpieczenie przed ich nieustającą czujnością. Ja też wwiozłam wtedy kilka kartonów, a kiedy je rozdawałam, każdy obdarowany nieodmiennie pytał, czy kupiłam je w Chinach, czy w Ameryce. Twierdzili, że w Chinach jest dużo podróbek marlboro lightów.

Podczas tego pobytu związanego z koncertem Filharmonii Nowojorskiej pan Ri i ja gawędziliśmy z taką łatwością, że czasami trudno było zrozumieć łączącą nas relację, skoro jego zadanie polegało na donoszeniu na mnie, a moje jako korespondentki piszącej reportaż z tej imprezy właściwie było podobne. To niezwykle, jak szybko tworzy się poczucie koleżeństwa w takich napiętych sytuacjach.

Trwająca trzydzieści sześć godzin wizyta w Pjongjangu przebiegała w zawrotnym tempie. Jak się okazało, właśnie o to chodziło. Była to piarowska pokazówka, starannie zaaranżowana przez reżim KRLD, z tłem muzycznym zagranym przez amerykańską orkiestrę. Mogliśmy pisać tylko o tym, co pozwolono nam zobaczyć, czyli o koncercie takim jak każdy inny, kilku ustawionych scenkach powitalnych oraz paru turystycznych miejscach. Była to lekcja kontroli i manipulacji. Prawdziwymi odbiorcami byli nie ci na widowni sali koncertowej, tylko dziennikarze, którzy mieli przedstawić ugrzecznioną wersję Korei Północnej zewnętrznemu światu, a mnie zszokowało to, jak łatwo dali się zwieść. Zarówno CNN, jak i „New York Times” podały, że po koncercie publiczność miała łzy w oczach, a w największych gazetach na całym świecie wkrótce ukazały się artykuły o tym udanym eksperymencie dyplomacji kulturalnej. Lorin Maazel, który był wtedy dyrygentem nowojorskiej orkiestry, oświadczył, że siedemdziesiąt milionów Koreańczyków będzie mu dozgonnie wdzięcznych. Ani ja sama, ani żaden z korespondentów, z którymi rozmawiałam po koncercie, nie widzieliśmy, żeby ktoś na widowni – złożonej wyłącznie ze starannie wybranych członków partyjnej elity – płakał. Z tego wyjazdu zapamiętałam inne łzy.



Chociaż była to moja druga wizyta w Korei Północnej, rozplakałam się przy pożegnaniu ze swoim opiekunem. W tamtej chwili nie byłam dziennikarką z reporterskim zadaniem. Myślałam o mojej babce i wujku, o ciotecznej babce i jej córkach, i o milionach Koreańczyków, których życie wymazano i o których zapomniano. Stojąc na płycie lotniska przed wejściem na pokład samolotu czarterowego razem ze wszystkimi członkami naszej misji, powiedziałam panu Ri, że mam dosyć tego podziału i że pewnie nigdy więcej go nie zobaczę, bo mieszkańcom jego kraju nie wolno wyjeżdżać ani nawet kontaktować się z resztą świata, że ów kraj tkwi w takiej izolacji, że nawet ja, rodaczka, Koreanka, mogłam go odwiedzić tylko jako członkini amerykańskiej delegacji relacjonującej występ amerykańskiej orkiestry i że serce mi pęka, kiedy widzę, jak źle naprawdę wygląda tu sytuacja. Powiedziałam to wszystko, stojąc na tej płycie, z twarzą zalaną łzami; po trzydziestu sześciu godzinach przymusowej ciszy tamy puściły. Z perspektywy czasu wiem, że postąpiłam bezmyślnie. Ja miałam za chwilę wejść na pokład samolotu i wrócić do wolnego świata, ale on był tam uwięzany, a pozostali opiekunowie widzieli mój popis. Jednak, ku mojemu zaskoczeniu, po jego policzkach też zaczęły płynąć łzy, podobnie jak po twarzach dwóch innych opiekunów stojących w pobliżu. Nic nie mówili, tylko płakali.

Moją pierwszą reakcją na widok pana Ri tu, na kampusie, trzy lata później, była ulga. Nie został ukarany za płkanie ze mną na lotnisku. Nic mu się nie stało! A potem poczułam strach. Poznał mnie jako dziennikarkę, więc jak zinterpretuje fakt, że stoję przed nim jako misjonarska nauczycielka? Pozostawało dla mnie zagadką, dlaczego mnie wpuszczono. Joan i prezes Kim wiedzieli, że zajmuję się pisaniem, chociaż kojarzyli mnie raczej z powieściami, czego najwyraźniej nie uważali za zagrożenie. Wystarczyło jednak wrzucić moje nazwisko w Google, żeby się dowiedzieć, że

opublikowałam całkiem sporo artykułów i felietonów o Korei Północnej. Ostatnio – duży esej o ucieczkach, będących tu tematem tabu. Ale prezes Kim bardzo się też interesował Fundacją Fulbrighta – która kiedyś przyznała mi stypendium – i poprosił mnie o załatwienie mu spotkania z dyrektorem seulskiego oddziału organizacji, co też zrobiłam. Poza tym skierowała mnie do niego wpływowa pani Gund. Tak czy inaczej, przeszłam pomyślnie ich weryfikację.

Pan Ri zaprosił mnie do swojego stolika, przy którym siedział z jakimś innym mężczyzną. Wyglądał, jakby się autentycznie cieszył z naszego spotkania, a ja też przywitałam się z nim radośnie.

– Jak się pani miewa? Co panią tu sprowadza? – zapytał.

Podjęłam grę.

– Och, życie... Zająłam się uczeniem, odkąd się ostatnio widzieliśmy. Najpierw w Ameryce, potem w Seulu, teraz w Pjongjangu.

Właściwie była to prawda: uczyłam twórczego pisania. Pan Ri wydawał się usatysfakcjonowany tą odpowiedzią i ponaglił mnie, żebym zabrała się do jedzenia. Mętna owsianka, a raczej wodnista papka z gotowanego ryżu, smakowała tak, jak wyglądała. Jeśli nawet pan Ri pamiętał nasze łyzy sprzed trzech lat, nic na ten temat nie powiedział. Aby rozładować napięcie, udawałam wesołość. Opiekunowie lubili mówić w okrężny sposób i się przekomarzać.

– Wyglądam starzej? – zapytałam. – Pewnie widać już we mnie starą pannę w pełnym rozkwicie.

– Nie, wciąż wygląda pani świetnie. Prawie świetnie. No, jakoś się pani trzyma! – odparł.

Oboje się roześmialiśmy, ale czułam, że ten śmiech nie brzmi szczerze, więc bynajmniej nie rozwiął rodzącej się we mnie paranoi.

Znajdowaliśmy się najwyraźniej w części przeznaczonej dla

pracowników. W pobliżu siedziała grupa około trzydziestu młodych kobiet w wojskowych mundurach khaki, pochylonych nad metalowymi tacami. Pan Ri wyjaśnił, że są to strażniczki, które mają zapewnić nam bezpieczeństwo. Trudno było uwierzyć, że te dziewczyny, ledwie dwudziestoletnie, przysłano do pilnowania porządku w PUST, gdzie uczyli się sami mężczyźni. Wzbudziły we mnie opiekuńcze uczucia: były tak daleko od domu, takie bezbronne, wśród tylu mężczyzn. Kogo chroniły? Nauczycieli czy studentów? A może pełniły raczej funkcję strażników więziennych i miały pilnować, żebyśmy nie uciekli? Przez cały czas mojego pobytu na uczelni widziałam, jak patrolują kampus. Kilka razy próbowałam z nimi porozmawiać, ale nigdy nie odpowiadały.

Sprzed stołówki dobiegły mnie dźwięki jakiejś piosenki marszowej, wykrzykiwanej unisono. Kiedy tylko ucichła, do środka wlał się tłum młodych mężczyzn. Potem napłynęli kolejni, aż stołówka zapełniła się setkami studentów. Mieli od osiemnastu do dwudziestu kilku lat, byli ubrani w białe albo niebieskie eleganckie koszule, czarne spodnie i krawaty. W pierwszej chwili pomyślałam, że wyglądają jak armia. Rozejm podpisano ponad pół wieku temu i reszta świata poszła do przodu. Nawet większość Koreańczyków z Południa przestała rozpamiętywać wojnę. Chociaż wszyscy mężczyźni muszą odbyć tam obowiązkową służbę wojskową, ludzie nie żyją w ciągłym poczuciu zagrożenia. Natomiast tutaj wyglądało to tak, jakby ktoś w 1953 roku olbrzymim kciukiem wcisnął guzik pauzy i nawet studenci byli gotowi do bitwy.

Kiedy już znaleźli się w środku, szybko złapali metalowe łyżki i pałeczki, po czym zajęli miejsca przy czteroosobowych stolikach. Wiedziałam, że od następnego dnia będę mogła siadać z nimi, i myśl o poznaniu młodych Koreańczyków z Północy sprawiła, że spojrzałam na perspektywę pobytu tutaj z większym optymizmem. Kiedy zapytałam jedną z nauczycielek, jak

zareagują na propozycję siadania ze mną przy posiłku, odparła, że nie będzie z tym problemu – wszyscy palą się do rozmawiania po angielsku. Już widziałam, że budzę w nich taką samą ciekawość, jak oni we mnie; niektórzy patrzyli w moją stronę przez całe śniadanie. Kiedy jednak próbowałam odwzajemnić ich spojrzenia, szybko odwracali wzrok.

### 3

Tak się złożyło, że pierwszy dzień zajęć – dzień, w którym grupa głównie amerykańskich nauczycieli zajęła się edukacją dwustu siedemdziesięciu młodych Koreańczyków z Północy – przypadł czwartego lipca, ale najwyraźniej nikt nie dostrzegał w tym ironii. Nie było czerwono-biało-niebieskich flag ani dekoracji. Ani przyjęć przy grillu, ani fajerwerków. Nigdy wcześniej nie uczyłam cudzoziemców angielskiego, więc czułam się jednocześnie zdenerwowana i podekscytowana. Pamiętając o przepisowym stroju, włożyłam jasnoniebieską koszulę, szarą spódnicę do pół łydki i buty na niskich obcasach. Ostrzegano mnie, że kobiety w Korei Północnej na ogół nie noszą spodni, co zgadzało się z moimi wspomnieniami z poprzednich wyjazdów do Pjongjangu.

O 7.15 rano stałam przed swoim akademikiem, patrząc na czteropiętrowy gmach, w którym odbywały się zajęcia, zwany budynkiem IT, czyli Wydziału Informatyki. Na lewo od niego stał obelisk, który widziałam, kiedy po raz pierwszy wjechaliśmy na teren kampusu. Studenci nazywali go Wieczną Wieżą, bo na jednym boku, z góry na dół, wyryty był napis: NASZ WIELKI PRZYWÓDCA JEST WIECZNIE Z NAMI. Pomnik przypominał Wieżę Dżucze dominującą nad Pjongjangiem, a ja zastanawiałam się, ile takich wież postawiono w całym kraju. Zbliżając się do budynku IT, usłyszałam muzykę dudniącą z głośnika w holu. Wkrótce miałam się przyzwyczać do ciągłego

ataku ryczących na cały regulator muzycznych nagrań, ale tego pierwszego dnia wydały mi się złowieszcze i spotęgowały uczucie bycia obserwowaną. Słyszałam słowa: „Chcę chodzić bez końca, moja ukochana pjongjańska nocy. Proszę, nie zapadaj, piękna pjongjańska nocy”. Była to jedna z najpopularniejszych północnokoreańskich piosenek, jak powiedział mi później jeden ze studentów – oda do Pjongjangu.

Kiedy weszłam głównymi drzwiami, siedząca w budce strażniczka skinęła mi głową. Na ścianach klatki schodowej wisiały portrety Kim Ir Sena i Kim Dzong Ila oraz hasła w rodzaju: „Stąpaj twardo po ojczystej ziemi i nie spuszczaaj świata z oczu!” czy „Myślmy po naszemu i twórzmy po naszemu!”. Wąski korytarz na pierwszym piętrze, ze szpalerem drzwi do gabinetów nauczycieli, kończył się zakątkiem udekorowanym trzema zwojami z napisami: SZCZĘŚCIE DO WODZA, SZCZĘŚCIE DO GENERAŁA, SZCZĘŚCIE DO KAPITANA. W Korei o kimś, kto urodził się w dobrej rodzinie, mówi się, że ma „szczęście do rodziców”. Jeśli dziewczyna dobrze wyjdzie za mąż, ma „szczęście do męża”. Zatem według tych transparentów ten naród miał potrójne szczęście, bo trafili mu się: Kim Dzong Il – Generał; jego nieżyjący ojciec – Wódz; oraz jego młody syn – Kim Dzong Un. Była to pierwsza wzmianka o prawowitym dziedzicu Kim Dzong Unie, na jaką się natknęłam podczas wszystkich moich wizyt w Pjongjangu.

Na końcu korytarza znajdowały się cztery sale wykładowe dla studentów pierwszego roku, przypisane do poszczególnych grup. Na pierwszym roku uczyło się sto osób, na drugim także sto, a poza tym uniwersytet miał około siedemdziesięciu słuchaczy studiów podyplomowych. Ponieważ szkołę otwarto niecały rok wcześniej, nie było jeszcze studentów wyższych lat – wszyscy przenieśli się z innych uczelni i zaczynali od nowa, od pierwszego roku. Według notatki służbowej wydanej przez biuro prezesa Kima zespół zagranicznych pracowników dydaktycznych liczył siedemdziesiąt pięć osób.



Naliczyłam jednak tylko około trzydziestu nauczycieli, z których mniej więcej połowa była biała, a połowa – pochodzenia koreańskiego, z różnych krajów świata. (Nie było nikogo z Korei Południowej, głównie z powodu problemów wizowych). Spośród tej trzydziestki mniej więcej połowa mówiła przynajmniej trochę po koreańsku, ale reszta nie.

Studentów pierwszego roku podzielono na cztery grupy, według poziomu znajomości angielskiego: grupa 1 była najmocniejsza, a grupa 4 – najsłabsza. Miałam uczyć czytania i pisania w grupach 2 i 4 (inny zespół wykładowców prowadził zajęcia z mówienia i słuchania) codziennie rano po półtorej godziny. Popołudnia były zarezerwowane na dyżury wykładowców oraz ćwiczenia dla wszystkich studentów, prowadzone w lżejszej formie konkursów, quizów i tym podobnych.

Z naszego podręcznika, *New Horizon College English 1*, korzystano wcześniej na YUST w Chinach i został on zaaprobowany przez „odpowiedników”. Tak nazywano północnokoreańskich pracowników dydaktycznych, którzy nadzorowali nasze zajęcia. Wszystko, od książek do planów lekcji, musiało zostać przez nich zatwierdzone, zanim mogliśmy udostępnić to studentom. Jeśli chcieliśmy wykorzystać na zajęciach jakieś dodatkowe materiały, trzeba było przedstawić je im kilka dni wcześniej z prośbą o akceptację. Przez całe lato nie byłam pewna, kim właściwie są ci odpowiednicy ani gdzie się znajdują. Nawet kiedy wróciłam na jesieni i uczyłam kilku z nich angielskiego, sam dźwięk słowa „odpowiednik” niezawodnie wprawiał mnie w nerwowe drżenie.

Beth, trzydziestokilkuletnia Brytyjka, która pełniła funkcję dziekana Wydziału Języka Angielskiego i kończyła swoje zbiorcze maile zwrotem „Łączmy się w Panu”, przydzieliła mi asystentkę. Katie była niedawną absolwentką Uniwersytetu Cornella, która spędziła ostatni rok na YUST, ucząc dzieci wykładowców. Jej pomoc w przygotowywaniu lekcji miała się okazać nieoceniona, zwłaszcza że ja często zajmowałam się w tajemnicy robieniem notatek do książki. Dostaliśmy ogólną rozpiskę z rozdziałami podręcznika,

które mieliśmy przerabiać w kolejnych tygodniach, oraz listę zajęć popołudniowych, zaplanowanych przez grupę nauczycieli z Beth włącznie.

Dotyczyły nas jednak także inne, jeszcze ważniejsze wymagania, przedstawiane nam chaotycznie, od przypadku do przypadku, w zbiorczych mailach i na zebraniach zespołu, podczas rozmów z Joan na Skypie i w hotelowym holu w Pekinie.

Chociaż obiecane spotkanie informacyjne nigdy się nie odbyło, przynajmniej formalnie, jakoś udało mi się zgromadzić długą listę ostrzeżeń, w formie pośpiesznie spisywanych notatek, dotyczących tego, co mogłam, a czego nie mogłam robić i mówić.

- Pij tylko przegotowaną wodę, tak na wszelki wypadek, ale żeby móc coś zagotować w swoim pokoju, będziesz musiała kupić i zainstalować butlę z gazem. Albo przywieź ze sobą urządzenie do uzdatniania wody. Niedawno w okręgu Rang Rang, w którym mieści się szkoła, był problem z paratyfusem z powodu złej jakości wody.
- Na zajęcia ubieramy się jak na spotkanie służbowe: marynarka, a do niej dla pań spódnica, dla panów spodnie. Nic zbyt wymyślnego. Unikaj bogato zdobionych ubrań, na przykład marynarek z cekinami. Chodząc po kampusie, zadbaj o odpowiedni strój. Żadnych szortów, T-shirtów ani kłapek – to wszystko jest dopuszczalne tylko w nauczycielskim akademiku. Dżinsy są zakazane. Kim Dzong Il nie lubi niebieskich dżinsów, bo kojarzą mu się z Ameryką.
- Kiedy znajdziesz się poza kampusem – do czego będzie dochodzić rzadko, przy okazji sporadycznych wyjazdów na zakupy lub zwiedzanie – uważaj, jak wyglądasz i co mówisz. Nie podchodź do nikogo ani nie zaczynaj z nikim rozmowy. Jeśli musisz, powinnaś mieć dobry powód. Zawsze będą ci towarzyszyć opiekun i kierowca. Ten pierwszy musi

przejrzeć wszystkie twoje zdjęcia i nagrania wideo. Jeśli sfotografujesz coś znajdującego się poza kampusem, może być problem.

- Wszystkie wycieczki wymagają wcześniejszego zezwolenia. Jeśli będziesz zwiedzać jakieś zabytki albo jeść w restauracjach dla cudzoziemców, będziesz musiała zapłacić za opiekuna i kierowcę. A także za benzynę. Przyjmowane są płatności w euro, chińskich juanach (renminbi) i dolarach amerykańskich, natomiast północnokoreańskich wonów używa się tylko w Domu Towarowym Potonggang albo na bazarze Tongil. Wycieczki po zakupy zostaną wkrótce ograniczone, bo szkoła organizuje sklepik na kampusie.
- Na terenie kampusu znajduje się przychodnia lekarska, jest także Szpital Przyjaźni dla obcokrajowców w śródmieściu Pjongjangu, z którego korzystają dyplomaci, ale weź ze sobą wszystkie leki, jakich możesz potrzebować.
- Odpowiadasz za przywóz laptopa do własnego użytku. Muzykę weź raczej na iPodzie niż na płytach CD, których się tu obawiają, bo można je przekazywać innym. Jeśli zostawisz laptopa w biurze (pokoju wykładowców) na weekend, mogą go skontrolować, więc pilnuj swoich rzeczy.
- Weź co najmniej dwie latarki i duży zapas baterii, bo nocą kampus nie jest oświetlony, a prąd często wyłączają.
- Weź gotówkę. Nie będzie możliwości korzystania z bankomatów ani kart kredytowych.
- Rozmawiając ze studentami, bardzo ostrożnie dobieraj temat. Trzymaj się z daleka od spraw politycznych, a także zbyt osobistych i właściwie czegokolwiek o świecie zewnętrznym. Nie próbuj być sprytna i wprowadzać pewnych tematów dyskusji ani nie przedstawiaj własnej kultury z nadmiernym entuzjazmem.

- Nie pochylaj głowy, nie splataj dłoni ani nie zamykaj oczu, żeby modlić się podczas posiłków. Módl się z otwartymi oczami. Nie mów nic o religii ani nie zwracaj się do innych, używając tytułów religijnych. Jeśli przyjdzie do ciebie student i poprosi o Biblię, należy bardzo uprzejmie odpowiedzieć, że nie możesz mu jej dać. Zawsze istnieje ryzyko, że taka prośba ma cię wystawić na próbę. Jeden z członków kadry dał się tak podpuścić opiekunowi i musiał się pożegnać z uczelnią.
- Nigdy nie rób aluzji, że z ich krajem jest coś nie tak.
- Będzie można korzystać z internetu we własnym pokoju, a w nagłych przypadkach także z telefonu i faksu w biurze prezesa Kima, ale wszystko to będzie monitorowane. Uważaj, na jakie strony internetowe wchodzisz, a pisząc do bliskich, wyrażaj się pozytywnie o tym, co się tu dzieje, i nie wdawaj się w kwestie polityczne.
- Do Pjongjangu nie można wwieźć żadnych zagranicznych czasopism ani książek, z wyjątkiem wcześniej zadeklarowanych i zatwierdzonych. Książki papierowe są większym problemem niż e-booki, bo można je przekazywać innym.
- Uważaj na stosowaną terminologię: Wielki Wódz, Drogi Przywódca, Ukochany Przywódca. Trzeba tych określeń używać ostrożnie, a jeszcze lepiej w ogóle unikać rozmów na ich temat. Uważaj też, jak się obchodzisz z wizerunkami przywódców. Na przykład w samolotach Air Koryo można znaleźć magazyny pokładowe. Zabierasz jeden z nich do swojego biura, na okładce jest zdjęcie Kim Dzong Ila i powiedzmy, że przez nieuwagę na nim usiądziesz. Masz wtedy poważne kłopoty, bo fotografia jest jak dana osoba. To samo dotyczy portretu Kim Ir Sena na przypinkach noszonych przez wszystkich obywateli Korei Północnej. Obu uważa się za bóstwa, przynajmniej oficjalnie. Pilnuj się, żeby nie wyrzucić, nie zagiąć, nie rozerwać ani w inny sposób nie uszkodzić

żadnego ich wizerunku. Nie pokazuj ich też palcem. Zostanie to uznane za wyraz braku szacunku i będziesz za to ukarana.

- Jeśli ktoś zapyta cię o politykę, odpowiedz „Nie wiem” albo „Och, naprawdę?”. Koniec rozmowy.
- Zjednoczenie Korei to drażliwy temat. Unikaj go.
- Nie używaj terminów Bukhan (Korea Północna) ani Namhan (Korea Południowa). Korea Północna określa siebie jako Chosŏn (nazwą ostatniego koreańskiego królestwa).
- Nie mów po koreańsku, zawsze tylko po angielsku. Pamiętaj, że wiele osób w twoim otoczeniu będzie znało angielski, więc uważaj, co mówisz.
- Nie wdawaj się w długie rozmowy ze strażniczkami ani opiekunami.
- Nie porównuj. Na przykład nie mów, że ich jedzenie jest inne od tego w twoim kraju, bo taka uwaga może zostać odebrana jako krytyczna.
- Jedzenie z miejscowymi podczas wyjazdów poza kampus jest zabronione.
- Ostrożnie z prezentami. Nie możesz dać czegoś jednej osobie, musisz dać to samo wszystkim. W przeciwnym razie prezent może zostać uznany za łapówkę.
- W Pjongjangu żyje się jak w akwarium. Wszystko, co mówisz i robisz, będzie obserwowane. Nie będziesz bezpieczna nawet we własnej kwaterze. Mogą przeszukać twoje rzeczy. Jeśli prowadzisz dziennik i zapiszesz w nim coś niezbyt pochlebnego, nie zostawiaj go w swoim pokoju. Nawet tam może być podsłuch i mogą nagrywać każde twoje słowo. Po prostu wyrób sobie nawyk niemówienia wszystkiego, co ci przyjdzie do głowy, niekrytykowania rządu i tak dalej, żeby coś ci się nie wymasknęło.
- Kiedy wrócisz z Pjongjangu, unikaj wywiadów z prasą. Opowiadaj o swoich przeżyciach tylko zaufanym osobom. Nie podawaj prasie żadnych informacji o PUST.

Było zdumiewające, jak szybko przystosowałam się do tych reguł, które, kiedy je po raz pierwszy spisałam, wydawały mi się absurdalne. Teraz, o ósmej rano, kiedy weszłam do sali wykładowej, miałam nadzieję, że będę pamiętać o unikaniu wszystkich zakazanych tematów. Wzięłam głęboki wdech i stanęłam przed dwudziestoma sześcioma młodymi ludźmi, z których wszyscy byli schludnie ubrani i siedzieli wyprostowani jak struna.

Nawet teraz, kiedy piszę na Manhattanie, serce bije mi szybciej na wspomnienie tego pierwszego spotkania. Dziwna rzecz, ale słowem, które mi wtedy przyszło do głowy, było „piękno”. Było w tym pierwszym momencie po wejściu do sali coś czystego i spokojnego. Czułam się tak, jakby wszystko ucichło i jakbym w tej ciszy wchodziła na pole białego, dziewiczego śniegu. Byli młodzi, a ja pamiętam ich jako pięknych, chociaż w tej chwili nie mogę być tego pewna, bo szybko zaczęłam patrzeć na nich, jakby byli moimi dziećmi, i nie przypominam już sobie, jak to było, kiedy jeszcze nie budzili we mnie takich uczuć.

Poprzedniego wieczora Katie przyszła do mojego pokoju, żeby pomóc mi przygotować zajęcia.

– Mam odciski od chodzenia na obcasach – powiedziała, zrzucając eleganckie buty i padając na moją kanapę. Zmrużyła oczy, masując sobie spód stopy z bezceremonialnością pasującą do znacznie młodszej dziewczyny. – O rany, masz telewizję! – zawołała.

Nacisnęła guzik na pilocie, ale kiedy zobaczyła, że telewizor odbiera tylko kilka chińskich kanałów i CNN Asia, szybko straciła zainteresowanie i go zgasiła. W jej pokoju nie ma telewizora, stwierdziła, nie żeby w ogóle oglądała jakoś dużo telewizji. W Chinach, gdzie uczyła na YUST, zazwyczaj kładła się spać o dwudziestej, po lekturze Biblii, i tutaj miało być podobnie. W sali na drugim piętrze nauczycielskiego akademika prawie codziennie

wieczorem odbywało się wspólne czytanie Pisma, a w niedziele odprawiano nabożeństwa – wszystko to za zgodą odpowiedników. Ponieważ szkołę zbudowano i miano utrzymywać za pieniądze otrzymane od społeczności chrześcijan ewangelickich, misjonarze mogli praktykować swoją religię, o ile nie robili tego na oczach studentów ani nie próbowali ich nawracać. Pensji nie wypłacała im uczelnia, ale każdy z nich był indywidualnie finansowany przez swój kościół w danym mieście.

– Nie czekałam całe życie, żeby tu przyjechać, ani nic takiego, jak ci wszyscy ludzie... Mam dopiero dwadzieścia trzy lata. – Katie wzruszyła ramionami.

Nieoficjalny regulamin nie wspominał nic o tym, żeby szeptać, ale kiedy nasza rozmowa zesłała na temat religii, zaczęłyśmy mówić ciszej. Włączyłyśmy też telewizor, w nadziei, że zagłuszy nasze głosy, jeśli jesteśmy nagrywane. Katie wyjaśniła, że niektórzy wykładowcy z YUST czekali na przyjazd do PUST nawet od dziesięciu lat, ale większość z nich była obywatelami Korei Południowej, więc nie dostali wiz. Korea Północna to Święty Graal ewangelików, najtrudniej dostępne miejsce na całym świecie, a nawrócenie jej mieszkańców gwarantowałoby misjonarzom miejsce w niebie. Droga Katie do PUST była łatwiejsza. Czekala na nią praca w chrześcijańskiej organizacji pozarządowej na Bliskim Wschodzie, ale miała się zacząć dopiero we wrześniu.

– Joan zapytała, czy chciałabym tu przyjechać w lecie, więc się zgodziłam – powiedziała mi – bo Bóg ma swoje sposoby!

Mówiła ze swobodą kogoś, kto ma przed sobą przyszłość pełną możliwości. Dodała, że może pod koniec roku złożyć papiery na prawo, chociaż jeszcze nie jest pewna, a kiedy to mówiła, przekrzywiła leciutko głowę, przeciągając słowo „może”.

Przez chwilę poczułam ukłucie zazdrości. Pamiętałam tych kilka lat

włóczęgi po college'u, kiedy z plecakiem wyruszyłam sama odkrywać świat. Myślałam wtedy, że rzucam sobie wyzwanie, niemalże ryzykuję życie, testuję swoje granice. Ale tak naprawdę ciągle się bałam i płakałam bez wyraźnego powodu w obskurnych pokojach w hostelach w całej Europie i Ameryce Środkowej. Te lata zrobiły jednak swoje i przestraszona dziewczyna, którą byłam w odległej przeszłości, rozsypała się na nieskończenie wiele niewidzialnych nici, tak cienkich i delikatnych, że w jednej chwili niemal mogłam jej dotknąć, a w następnej ginęła mi z oczu. Teraz, prawie dwadzieścia lat później, czułam się tak, jakby znów się pojawiła, wciąż niepewna, wciąż przestraszona.

Katie zaczęła opowiadać mi historię swojego życia z typowo młodzieńczą wylewnością, przyjmując za pewnik, że będę nią zainteresowana, a ja rzeczywiście byłam. Jej amerykański ojciec poznał jej matkę w college'u, kiedy przyjechała z Korei Południowej na wymianę studencką. Mieszkali teraz w Marylandzie, gdzie pracował jako inżynier. Martwił się, powiedziała Katie ze śmiechem, że jego córka wpadnie w oko jakiemuś wysoko postawionemu facetowi z Partii Pracy. Odparła mu na to, że najgorsze, co może się jej przydarzyć, to że zostanie wyrzucona z Korei Północnej, a wtedy jej matka zaoponowała: „Jak to: najgorsze? Chyba najlepsze! Najgorsze by było, gdyby cię zatrzymali!”.

Rozumiałam jej ojca i też zaczęłam się o nią martwić. Katie była wysoka, miała około stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu, i emanowała tajemniczą urodą, z kasztanowymi włosami do ramion, kremową cerą i orzechowymi oczami, które czasem wydawały się zielone. Jej ojciec bał się, że Koreańczycy z Północy mogą ją porwać w środku nocy, a ja zaniepokoiłam się jej samotnym wyjazdem na Bliski Wschód. Kiedy wyraziłam te obawy, nagle ucichła.

– Trzymam się z daleka od facetów – powiedziała po chwili.



Nie zawsze łatwo jest być pół-Koreanką, stwierdziła. Nie znała dobrze koreańskiego, ale zdążyła poznać słowo *twiggy*, obraźliwe określenie ludzi o mieszanym rodowodzie. W college'u miała chłopaka, Koreańczyka z pochodzenia, którego kochała. Wiedziała, że jako najstarszy syn z najstarszej linii swojego rodzinnego klanu nie może się ożenić z kobietą mającą domieszkę innej krwi, i powiedziała mu, że ją to martwi. Ale on odparł, że zanim się pobiorą, jego dziadkowie nie będą już żyli, więc nie będzie to miało znaczenia. Jednak ich związek i tak skończył się źle, a po rozstaniu była załamana. Niedługo potem znalazła pociechę w Bogu. Wychowano ją na chrześcijankę, ale aż do tamtej pory nie miała prawdziwej wiary. Przysięgła, że nigdy nie powierzy swojego serca nikomu oprócz Niego. Bóg nie rozczaruje jej tak jak mężczyźni.

Uświadomiłam sobie, że każdy ma inny próg bólu. Dla niektórych koniec miłości jest tak rozdzierający, że szukają ucieczki w religii. Inni traktują go po prostu jako przestrożę, coś, o czym warto pamiętać na przyszłość. Ja, tak jak Katie, nie potrafiłam się otrząsnąć z poczucia krzywdy po rozstaniu i latami rozpamiętywałam ten ból. Jednak teraz, kiedy znalazłam się tak daleko od domu, trudno mi było zrozumieć, dlaczego tak długo pozostawałam nieszczęśliwa. Czasami im dłużej siedzi się w więzieniu, tym trudniej sobie wyobrazić, co jest możliwe poza jego murami.

Tego wieczora miałyśmy jednak coś do zrobienia. Pierwsze zajęcia miały dotyczyć pisania listów, więc postanowiłyśmy z Katie, że poprosimy studentów, aby napisali do nas, o czym tylko chcą, a my na podstawie tej korespondencji zorientujemy się w ich poziomie znajomości angielskiego. Chciałyśmy na początek spróbować czegoś prostego, bo Beth ostrzegła nas, że wielu studentów nie zna nawet podstawowych zasad pisania listów i że musimy wszystko im wytłumaczyć. Nie było przecież wiadomo, na ile sprawna jest północnokoreańska poczta. Nie widziałam nigdzie żadnych

skrzynek pocztowych, a przesyłki szły bardzo długo. Poza tym, kiedy podejrzewasz, że treść korespondencji zostanie skontrolowana, listy tracą na znaczeniu.

„Co jeśli o mnie zapomnisz?” – zapytałam swojego kochanka, dzwoniąc z lotniska JFK przed odlotem. W słuchawce zapadła cisza. Pomyślałam, że pewnie nie wie, co będzie czuł po wielu miesiącach, a może moje pytanie wydało mu się dziecinne. Odkąd ukończyłam trzynaście lat, zawsze, kiedy wyjeżdżałam, bałam się, że o mnie zapomną. Ponieważ tym razem chodziło o Koreę Północną, nie było gwarancji co do tego, kiedy wrócę, a on nie chciał niczego obiecywać. Nawet gdybyśmy coś sobie przyrzekli, byłyby to jedynie słowa. Ale ja byłam pisarką. Wierzyłam w słowa, choćby tylko maskowały niepewność upływającego czasu.

Jednak będąc po tej stronie granicy, nie mogłam nawiązać z nim kontaktu. Za kilka dni, jak mi powiedziano, szkoła miała podłączyć internet w akademiku wykładowców, a wtedy będę mogła napisać do niego maila. Wiedziałam już jednak z nieoficjalnego regulaminu, że władze, kimkolwiek były, będą mogły zobaczyć wszystko, co pojawi się na naszych monitorach. Założyłam sobie nowy adres mailowy specjalnie do celów mojego pobytu w PUST, jak zaleciła Joan, żeby dać im jak najmniejsze pole do inwigilacji.

Wyobraziłam sobie dawnych kochanków, którzy po wojnie znaleźli się po dwóch stronach granicy. Od tamtej pory – żadnych listów ani telefonów. Wyobraziłam sobie, jak czekają bez końca na jakiś znak od swoich ukochanych. Nigdy nie doświadczyłam rozpaczliwej tęsknoty matki za dzieckiem – tego, co musiały czuć moja babka i ciotka mojego ojca. Ale rozumiałam tęsknotę kochanków i wyobraziłam sobie, jak czekają na otwarcie granicy, jak dni zmieniają się w tygodnie, a potem w lata, które z kolei stają się resztą ich życia. Wyobraziłam sobie tęsknotę nie tylko pojedynczych osób, ale całego narodu. Idea związku na odległość wydawała

się przy czymś takim niewarta wzmianki. Wieczne czekanie musiało się stawać sprawdzianem lojalności. Kto potrafił najdłużej pozostać wiernym ukochanej osobie? Miłość wcale wszystkiego nie zwyciężała. Kochankowie zostali za nią ukarani – przymusowa rozłąka wykrwawiała im serca. Wyobraziłam sobie, jak te stłumione, wyciszone uczucia rozchodzą się w powietrzu i gromadzą w ziemi Półwyspu Koreańskiego, w tym chorym, podzielonym na pół kraju.

Tego pierwszego ranka, kiedy popatrzyłam na bystre, uważne twarze moich studentów, jeden z chłopców wstał z miejsca, a wszyscy pozostali poszli za jego przykładem. Po czym zawołali unisono: *Good morning, Professor!* Przebiegłam wzrokiem salę i odpowiedziałam: *Good morning, gentlemen!* Nie jestem pewna, dlaczego tak się do nich zwróciłam. Stojąc przed grupą amerykańskich studentów college’u, nie użyłabym tego słowa. Może chodziło o to, jak ci konkretni chłopcy wyglądali w tej konkretnej chwili, tacy nienaganni i zdyscyplinowani, że przypomniało mi się, jak mój ojciec często nazywał „gentlemanem” każdego cudzoziemca płci męskiej, którego podziwiał. Było to jedno z tych angielskich słów, które przeniknęły do języka koreańskiego, i zaczęło w nim oznaczać szykownego, nowoczesnego mężczyznę.

Chłopcy wybuchli śmiechem. Niektórzy wyglądali na zakłopotanych i nie przestawali chichotać. I tak zaczęła się pierwsza lekcja – czy raczej spotkanie zapoznawcze. Zachęciłam, żeby pytali mnie i Katie o wszystko, co chcą o nas wiedzieć. Wstawali kolejno z miejsc, żeby zadawać pytania.

- Ile ma pani rodzeństwa?
- Kiedy ma pani urodziny?
- Jaki jest pani ulubiony kolor?

Jeden zapytał:

– Czy podobały wam się kwiaty po drodze na zajęcia dziś rano?

Musiało chodzić o drobne pomarańczowe i różowe kwiatki, które wcześniej zauważyłam. Katie wykazała się refleksem i odpowiedziała pytaniem:

– To wy je posadziliście?

Skinęli głowami, uśmiechając się nieśmiało.

Nagle przypomniałam sobie podobną chwilę sprzed kilku lat, na pewnym prywatnym uniwersytecie na amerykańskim Środkowym Zachodzie, gdzie uczyłam twórczego pisania. Pierwszego dnia zajęć powiedziałam studentom, że mogą zapytać mnie, o co tylko chcą. Miałam nadzieję, że będą chcieli poznać sekret dobrego pisarstwa, i byłam przygotowana, by powitać ich stwierdzeniem, że takiego sekretu nie ma i że każdy musi znaleźć własny styl. Mieli jednak tylko jedno pytanie: „Czy nasz uniwersytet sam pani zaproponował tę pracę, czy musiała się pani o nią ubiegać?”. Sens był jasny. Chcieli wiedzieć, czy jestem warta ich czesnego. Ta chwila była dla mnie jak kubeł zimnej wody i nigdy nie lubiłam wracać do niej myślami. Zastanawiałam się teraz, co sprawiało, że młodzi ludzie w podobnym wieku myśleli w tak różny sposób.

Studenci na moich pierwszych zajęciach należeli do grupy 4, czyli językowo najsłabszej, ale rozumiałam ich bez problemu. Jednak następna grupa – grupa 2 – mówiła po angielsku znacznie lepiej i zadawała bardziej wyrafinowane pytania. Jeden ze studentów zapytał Katie:

– Wygląda pani na Azjatkę. Czy jest pani Koreanką?

Katie odparła, że jej matka jest Koreanką, a ojciec Amerykaninem. Grupa pokiwała głowami, chociaż nie potrafiłam powiedzieć, czy jej odpowiedź miała dla nich sens.

Potem wstał jakiś wysoki chłopak i zapytał mnie, czy mam chorobę lokomocyjną. Kiedy ostatnio leciał samolotem, powiedział, mocno trzęsło.

Zapytałam, dokąd leciał, a on wymamrotał coś o locie krajowym. Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby w Korei Północnej latano na krajowych trasach, ale pomyślałam, że lepiej nie drążyć tematu. Musiał być jednym z garstki wybrańców, którym dane było doświadczyć podróży samolotem.

Poprosiłam studentów, żeby napisali list po angielsku do mnie lub do Katie na dowolny temat. Pokazałam na tablicy, jak komponuje się formalny list – data, zwrot „Dear so-and-so” (Szanowna/y Pani/e taka/i a taka/i) z przecinkiem, kilka przykładowych zdań, „Sincerely” (Z poważaniem) i tak dalej. Uczenie studentów czegoś tak podstawowego wydawało mi się dziwne, a jednak, kiedy stałam twarzą do tablicy z kawałkiem kredy w palcach, musiałam tylko odchylić głowę o trzydzieści stopni w górę, żeby znaleźć się oko w oko z Kim Ir Senem i Kim Dzong Ilem na portretach – pierwszy nie żył, a drugi trzymał się mocno. A kiedy odwróciłam się w stronę studentów, mój wzrok padł na dwa bardzo podobne slogany na ścianie za ich plecami: „Nasza Partia wysłała studentów na uniwersytet, aby czytali dużo książek i uczyli się pilnie”, przypisywany Kim Ir Senowi, oraz: „Nasza Partia chce, żeby studenci pilnie się uczyli”, autorstwa Kim Dzong Ila. Każdy student zawsze nosił przypinkę z maleńką podobizną Kim Ir Sena na czerwonym tle, wpiętą na piersi po lewej stronie, zapewne dlatego, że tu była bliżej serca.

Oznajmiłam, że list będzie nie tylko przydatnym krótkim ćwiczeniem z pisania, ale także sposobem, żebym ich lepiej poznała, i że nie będę go oceniać. Słyszając to, wyglądali, jakby poczuli ulgę i jednocześnie rozczarowanie. Nie potrafiłam powiedzieć, czy chcieli dostać stopnie, czy nie. Przez tych kilka pierwszych dni studenci tak gorliwie kiwali głowami na wszystko, co mówiłam, że nigdy nie byłam pewna, czy w ogóle cokolwiek zrozumieli. Kiedy wręczyli mi swoje prace, zobaczyłam, że większość z nich przepisała moją próbkę słowo w słowo, zaczynając od „Szanowna/y Pani/e taka/i a taka/i” i kończąc: „Z poważaniem, Suki”.

Pisali o swoich rodzinach, o gorącym pragnieniu poprawienia znajomości angielskiego i o miłości do sportu, głównie koszykówki i piłki nożnej, chociaż jedna osoba wspomniała, że pasjonuje się golfem i często grywa. Dowiedziałam się, że ojcowie wielu z nich są lekarzami lub naukowcami. Jeden student napisał, że jego rodzina przeprowadziła się kilka tygodni temu do mieszkania w alei Mansudae, dzięki Wielkiemu Przywódcy, a drugi wspomniał o swoim ładnym domu przy ulicy Zjednoczenia. Wyciągnęłam stąd wniosek, że są to prestiżowe, upragnione adresy. Inny napisał o rodzinnym wyjściu do Okryu-gwan, najlepszej restauracji w Pjongjangu, o tym, że najbardziej lubi ćwiczyć jogę i że nie cierpi słodczy. Jeszcze inny zdradził, że jego przyjaciel urodził się w Pekinie, bo jego ojciec był dyplomata.

Było wyraźnie widać, że nie są to tacy Koreańczycy z Północy, jakich zazwyczaj widziałam w mediach. Przez wiele miesięcy przeprowadzałam wywiady z uciekinierami w chińskich miastach przygranicznych, a także w Seulu, i nic, co od nich usłyszałam, nie przygotowało mnie na tych młodzieńców. Większość uciekinierów to byli zubożali rolnicy z północnych kresów kraju, graniczących z Chinami, położonych bardzo daleko od Pjongjangu. Natomiast moi studenci pochodzili z wyższych sfer KRLD. Wielu z nich przeniosło się albo z Uniwersytetu Kim Ir Sena, albo Politechniki imienia Kim Czheka – odpowiedników Harvardu i MIT. Tęsknili za prestiżem swoich dawnych uczelni i za kolegami, których tam mieli. Niektórzy sprawiali wrażenie, jakby wcale nie chcieli służyć za króliki doświadczalne w najnowszym eksperymencie władz, które wymyśliły, że w tej szkole będą wykładać sami cudzoziemcy, prowadzący zajęcia po angielsku.

Co ciekawe, prawie nikt nie wspomniał w pierwszym liście o Wielkim Przywódcy, jakby istniało jakieś milczące porozumienie, żeby nie poruszać tego tematu. Jednak jeden ze studentów napisał:

Ideologia dżucze jest najwłaściwsza i jedyna w swoim rodzaju. Naświetla drogę do światowej rewolucji. Wielki Wódz zastosował ideologię dżucze w całej dziedzinie rewolucji i budowy. Ponieważ prawidłowo poprowadził naszą rewolucję, nasz kraj rozwinął się z ubogiego regionu w potężne i kwitnące państwo. Obecnie idea Wielkiego Wodza jest podziwiana jako najlepsza na świecie.

Jakieś pięć minut przed końcem drugich zajęć zobaczyłam w oknie twarz Beth, naszej pani dziekan. Wyglądała na zdenerwowaną i dawała mi znaki, żebym wyszła z sali. Zamarłam. Czyżbym już zrobiła coś nie tak? Powiedziałam coś niewłaściwego? Doniósł na mnie któryś ze studentów z pierwszej grupy? W każdej był przewodniczący, który nakazywał pozostałym kolegom wstawać i wołać „dzień dobry”, kiedy wchodziłam, po czym wręczał mi dziennik, w którym musiałam zapisywać, co danego dnia jest przedmiotem zajęć. Później miałam się dowiedzieć, że jest jeszcze wiceprzewodniczący oraz sekretarz, ale ich tożsamości nam nie ujawniono. Doktor Joseph, pięćdziesięciokilkuletni misjonarz i Amerykanin koreańskiego pochodzenia, będący naszym łącznikiem z odpowiednikami, zapowiedział nam, że każdy z tych studentów, a właściwie także każdy z pozostałych, może na nas donieść albo nagrać zajęcia odtwarzaczem MP3 z dyktafonem. Odpowiednicy, poinformował nas doktor Joseph, będą czytać raporty studentów albo przesłuchiwać nagrania, a czasem także obserwować nasze zajęcia. Zdenerwowałam się więc, myśląc, że zaszłam tak daleko tylko po to, żeby mnie wyrzucili już pierwszego dnia.

Moje obawy okazały się bezpodstawne. W ostatniej chwili doszło do zamiany sal, a ja weszłam do nie tej, co trzeba. Zamiast z grupą 2, właśnie miałam zajęcia z grupą 1. Pomyłka wywołała wielkie zamieszanie. Beth nie była pewna, czy w takim razie powinnam już trzymać się grupy 1, czy zacząć od nowa z grupą 2. Problem polegał na tym, że grupa 1 składała się z dwudziestu sześciu najlepszych studentów pierwszego roku, a grupa 4 –

z dwudziestu czterech najsłabszych. Ze względu na tak dużą różnicę poziomów oznaczałoby to, że miałabym znacznie więcej pracy, jak stwierdziła Beth, dodając, że poprosi odpowiedników o zgodę dla mnie na uczenie tej grupy, którą wybiorę.

Zawahałam się. Z jednej strony bałam się, że mając więcej obowiązków dydaktycznych, nie będę mogła poświęcić tyle czasu, ile bym chciała, na pisanie, a to przecież był prawdziwy powód mojego pobytu na uczelni. Z drugiej jednak strony wiedziałam, że może to być dobra okazja, aby poznać studentów z obu tych krańców skali. Kiedy po zajęciach weszłam do stołówki, wciąż niezdecydowana, i stanęłam w kolejce dla wykładowców i słuchaczy studiów podyplomowych, kilku studentów z grupy 1 podbiegło do mnie z zatroskanym wyrazem twarzy.

– Będzie nas pani uczyć? – dopytywali się. – Zostanie pani z nami?

Najwyraźniej plotki szybko się rozchodziły w tej małej społeczności – co może nie powinno dziwić, zważywszy, że prawie wszystko było tu widać jak na dłoni.

– A tego właśnie wszyscy chcecie? – zapytałam w odpowiedzi.

Pokiwali z zapalem głowami, jakbym miała im dać najwspanialszy prezent, jaki dostali w życiu. Zdecydowałam się więc od razu. Chociaż wtedy jeszcze tego nie rozumiałam, chodziło o coś więcej niż zostanie ich wykładowcą.

Kiedy odszukałam Beth na stołówce i powiedziałam jej, że chciałabym dalej uczyć grupę 1, przypomniała mi, że będę miała wobec tego znacznie więcej pracy, ale w tamtej chwili bycie ich nauczycielką nie kojarzyło mi się z pracą. Czułam się raczej tak, jakbym wybierała jedno dziecko zamiast drugiego. Często zastanawiałam się, czy moje wrażenia z Pjongjangu byłyby inne, gdybym tego pierwszego dnia nie weszła do niewłaściwej sali. Bo grupa 1 była w istocie wyjątkowa, złożona z najmądrzejszych studentów, co



w tym świecie oznaczało między innymi, że bardzo dobrze wykonywali rozkazy. Właśnie ta cecha, charakterystyczna raczej dla grupy 1 niż grupy 4, miała mnie najbardziej niepokoić w nadchodzących miesiącach.

Po rozmowie z Beth zobaczyłam, że ci sami chłopcy przyglądają mi się uważnie z kolejki po obiad. Uśmiechnęłam się więc i skinęłam głową na znak, że tak, będę ich uczyć. Rozpromienione twarze, jakie zobaczyłam w odpowiedzi, sprawiły, że ten pierwszy dzień pracy wykładowcy wrył mi się w pamięć na zawsze. Ci młodzi mężczyźni byli pod wieloma względami jak dzieci, które, z całą swoją dziecięcą wrażliwością i niewinnością, śledziły każdy mój ruch, jakby zależało od niego ich przeznaczenie. Później zastanawiałam się, czy już w tej chwili było wiadomo, że się w nich zakocham. Musimy czuć się potrzebni. Kochamy tych, którzy nas chcą.

## 4

Pochodzę z rodziny południowców. Od pokoleń klan Kimów Gwangsan, z którego wywodzi się mój ojciec, żył w Chungcheong-do, jedynej z ośmiu prowincji półwyspu otoczonej ze wszystkich stron lądem. Jej mieszkańcy są znani z łagodnego usposobienia i życzliwości, chociaż może to przesadnie pochlebna opinia, wynikająca z tego, że ludziom w innych częściach kraju żal rodaków, którzy są odcięci od morza. Spędziłam tam większość dzieciństwa, w bardzo dużym domu otoczonym wzgórzami. Pamiętam, jak spoglądałam na niebo, chcąc poczuć, jak zalewa mnie błękit, co być może stanowiło zapowiedź mojego późniejszego życia na wyspie Manhattan.

Według mojego dziadka, który często sadzał przed sobą mnie, moją siostrę i brata, aby powtarzać opowieść o wyjątkowości naszego rodowodu, klan Gwangsan był znany z tego, że dał Korei czołowych konfucjańskich uczonych. Byliśmy najszlachetniejszą ze wszystkich koreańskich rodzin, twierdził dziadek, i z pewnością najdostojniejszym z setek różnych klanów Kimów. Nie byliśmy wojownikami jak klan Kimhae ani ludźmi zaślepionymi materialną ambicją czy tytułami jak klan Andong. Od walki woleliśmy myślenie i często służyliśmy królom jako nauczyciele. Najznakomitszymi z moich przodków byli szesnastowieczni uczeni Kim Jang-saeng (Sagye) i Kim Jip (Shindokjae), ojciec i syn – obaj należący do grona osiemnastu mędrców Korei. Dziś zawsze, kiedy odwiedzam Seul i przechodzę obok

dawnego królewskiego pałacu, który przez stulecia był siedzibą naszych władców, przypominam sobie triumfujący uśmiezek dziadka i jego nieodłączną mantrę o tym, jak to bez naszych praprapradziadków Korea nie miałaby swojej przewodniej filozofii.

Wiele lat później pojechałam do pięknej, usianej świątyniami prowincji Gyeongsang na południowym wschodzie kraju, gdzie zatrzymał mnie na ulicy pewien bardzo stary człowiek przyodziany w tradycyjną lnianą szatę oraz kapelusz z końskiego włosa i bambusa. Region ten słynął z ortodoksyjnego przywiązania do tradycji. W przeciwieństwie do reszty kraju, gdzie najstarsi synowie z klanów odprawiali obrzędy na cześć swoich zmarłych rodziców w księżycowy Nowy Rok, w dniu Chuseok (Święta Plonów) oraz w rocznicę ich śmierci, w rodzinach w tej prowincji takie obrzędy odbywały się także w wiele innych dni, nawet w celu upamiętnienia przodków sprzed wielu pokoleń. Mówiło się, że żadna matka nie chce wydawać córek za mężczyzn z tego regionu, bo synowe mają przez cały rok pełne ręce roboty z gotowaniem, sprzątaniami i zmywaniem, nie wspominając już o ciągłej presji, by wydały na świat męskiego dziedzica. Słyszając, jak rozmawiam ze swoim towarzyszem po angielsku, starzec zapytał, skąd jestem. Odpowiedziałam mu po koreańsku, że urodziłam się w Seulu, ale mieszkam w Nowym Jorku i że moja rodzina pochodzi z prowincji Chungcheong. Skinął na to z aprobatą głową i zapytał:

– A gdzie jest twój *bonjuk*? – czyli skąd wywodzi się mój klan. Kiedy odparłam, że mój ród to Gwangsan Kim, twarz mu się rozjaśniła. Jeszcze raz kiwnął głową w zamyśleniu i stwierdził:

– O, to pochodzisz z bardzo szlachetnej rodziny! Jednej z najszlachetniejszych, mógłbym dodać. Drugiej pod tym względem w całej Korei!

Kiedy zapytałam, jaka jest ta pierwsza, wykrzyknął, jakby nie mógł

uwierzyć, że nie wiem:

– Oczywiście moja rodzina, Poongsan Yoo! – Po czym zaczął mi opowiadać o swoich przodkach, którzy w XVI wieku uratowali Koreę przed japońskim atakiem. – Bez mojego praprapradziadka nasz kraj by nie istniał! – stwierdził z dumą.

Mój ojciec nadal bierze udział w organizowanych dwa razy w roku regionalnych spotkaniach Gwangsan Kim, które odbywają się w koreańskiej restauracji niedaleko jego domu w Fort Lee w New Jersey. Około dwudziestu członków klanu zasiada przy koreańskich potrawach *kimchi chigae* i *gamjatang*, aby rozmawiać o największych osiągnięciach naszych przodków, pochowanych w gminie Yunsan, w Nonsanie w prowincji Chungcheong, między innymi moich dziadków. Ponieważ mój ojciec nie jest w stanie opiekować się ich grobami tak, jak dobry konfucjański syn powinien, dręczy go poczucie winy. Któregoś roku pojechałam zamiast niego do Korei Południowej odwiedzić miejsce, gdzie są pochowani, chociaż trudno było tam dotrzeć bez samochodu. Podróż pociągiem zajęła około dwóch godzin, a potem musiałam się przesiąść do autobusu do Yunsan. Wszyscy w promieniu piętnastu kilometrów byli z Gwangsan Kimów, jak twierdził kierowca, który zapytał: „Kto się opiekuje waszą parcelą?”. Wymieniłam nazwisko, a on kiwnął głową, że je rozpoznaje. Była to wiejska okolica, gdzie wszyscy się znali albo byli ze sobą spokrewnieni. Kierowca pomógł mi znaleźć taksówkę, która zawiozła mnie do określonego zakrętu szosy, zaznaczonego na mapce narysowanej odręcznie przez jednego z krewnych. Nie było żadnego drogowskazu, ale wysiadłam z taksówki i ruszyłam ścieżką wśród ciągnących się bez końca kurhanów, niewielkich pagórków, od setek lat kryjących kości moich przodków i oznaczonych kamiennymi tablicami. Leżeli tu ludzie, którzy mnie stworzyli, których związki doprowadziły do tego, że stałam tutaj w tej chwili – patrzyłam na

swoją historię.

Tylko że napisy na każdej tablicy były po chińsku, bo w kwestiach dotyczących śmierci Koreańczycy nadal opierają się na chińskim piśmie. Chiny zawsze były większym, starszym bratem małego królestwa Korei, niefortunnie usytuowanego obok ogromnego imperium, i pod pewnymi względami ta tradycja przetrwała. Każdy, kto interesuje się Koreą Północną, powie, że to Chiny tak naprawdę sprawują tam władzę.

Ponieważ obowiązkowa nauka chińskiego zaczynała się dopiero w siódmej klasie, a właśnie wtedy wyemigrowałam, po chińsku umiałam tylko zapisać własne nazwisko. Znak „Kim” znajdował się na każdym nagrobku, wraz z imionami, których nie potrafiłam odczytać. Leżał tu cały klan Gwangsan Kimów, a gdybym nie była kobietą – zgodnie z koreańskim zwyczajem kobiety chowa się z rodziną męża – i gdybyśmy zostali w Korei, też bym tu skończyła, razem z moim ojcem. (Jeśli chodzi o niezamężne kobiety, nie mam pojęcia, gdzie są grzebane. W Korei bardzo długo w ogóle się o nich nie mówiło).

Przez tysiące lat prawie nikt stąd nie wyjeżdżał. Korea była pustelnicznym królestwem, czerpiącym duchowe podstawy z konfucjanizmu, buddyzmu i szamanizmu, aż do roku 1910, kiedy została zaanektowana przez Japonię i skolonizowana na następne trzydzieści pięć lat, a wkrótce potem, w 1950 roku, wybuchła wojna koreańska. Mój dziadek ze strony ojca, urodzony i wychowany pod brutalnymi rządami tych kolonizatorów, mówił płynnie po japońsku. Krótco przed swoją śmiercią, w połowie lat osiemdziesiątych, przyjechał do nas do Queens, gdzie zaprzyjaźnił się z młodą Japonką, misjonarką z Kościoła Zjednoczeniowego\*. Kiedy mój ojciec zapytał go podejrzliwie o to nagłe zainteresowanie sektą Moona, dziadek odparł, że nic go ona nie obchodzi, chciał tylko skorzystać z okazji porozmawiania po japońsku ze swoją nową znajomą. Podobnie jak inni Koreańczycy z jego

pokolenia cierpiał na swoisty syndrom sztokholmski i tęsknił za językiem swoich ciemiężców. To pomieszanie miłości z nienawiścią w stosunku Koreańczyków do Japonii trwa do dziś, a podobnie skomplikowana jest ich relacja ze Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Radzieckim, supermocarstwami, które poniekąd zajęły miejsce Japończyków, kiedy wspólnie wyzwoliły Koreę tylko po to, by ją podzielić w przededniu zimnej wojny.

Dziś Koreańczycy z Południa mają mieszane uczucia w stosunku do Stanów Zjednoczonych, które utrzymują prawie trzydziestotysięczne wojsko stacjonujące w samym środku stolicy, zajmujące najlepsze nieruchomości<sup>\*\*</sup>. Wielu Koreańczykom nie podoba się obecność tych zagranicznych „opiekunów” ponad sześćdziesiąt lat po zawarciu rozejmu, a jednak przyznają bez bicia, że to sojusz z Amerykanami pomógł Korei Południowej stać się demokracją i krajem Pierwszego Świata. Jeśli Korea Południowa zawdzięcza swój dobrobyt Stanom Zjednoczonym, to Korea Północna za swoje przetrwanie po upadku ZSRR w dużej mierze powinna dziękować Chinom. Chociaż zarówno Chiny, jak i Związek Radziecki przyłożyły rękę do podziału Korei, Koreańczycy z Północy o tym nie mówią; obwiniają wyłącznie Amerykę i Japonię. Niektóre sojusze trudno zerwać. Historia zna wiele przypadków takich irracjonalnych aliansów.

Podczas tej wizyty na grobach moich przodków przyszło mi do głowy, że tradycja nie pasuje do globalizacji. W tradycji chodzi o trzymanie się przeszłości, tymczasem ja należałam już do nowego świata, a w moim nowym świecie – Ameryce – człowiek ciągle wymyśla siebie na nowo, co jest swego rodzaju przywilejem. Moi rodzice wyjechali w końcu ze starego kraju w 1983 roku, po kilkudziesięciu latach wojskowej dyktatury na Południu. Byli pierwszym pokoleniem Gwangsan Kimów, które odwróciło się plecami do tego wszystkiego, na co patrzyłam, stojąc wśród kurhanów.

I oto teraz ja, potomkini, która po latach przekroczyła ocean, żeby powrócić, nie byłam w stanie rozpoznać grobów moich dziadków, dopóki nie przyszedł zajmujący się nimi dozorca i mnie do nich nie zaprowadził.

Rodzina ze strony mojej matki jest skromniejsza, przynajmniej jej zdaniem. Nie wiem, na ile to prawda, bo matka prawie we wszystkim zdaje się na ojca, łącznie z określaniem stopnia szlachectwa swoich przodków. Chociaż jej klan Yoon pochodził ze starożytnego regionu Papyeong w prowincji Gyeonggi, urodziła się i wychowała w Seulu, podobnie jak jej rodzice. Yoonowie z Papyeongu byli znani z wywodzących się z tego rodu królowych. Często żonę dla przyszłego króla wybierano z podupadłych arystokratycznych rodzin, którym brakowało ambicji, bo ci, co rządili na królewskim dworze, próbowali w ten sposób chronić się przed innymi, którzy chcieliby przejąć ich władzę. Moją matkę bardziej jednak obchodziła nowsza historia rodziny.

Jak opowiada, 25 czerwca 1950 roku była spokojna niedziela. Matka miała tylko cztery lata, ale pamięta wszystko, jakby zdarzyło się wczoraj. Tego dnia północnokoreańskie bomby po raz pierwszy spadły na południową stolicę, Seul. Był to koniec jej dzieciństwa, które właściwie nie miało okazji się zacząć.

Nasza rozmowa przebiega tak:

– Bomby leciały, więc zaczęliśmy uciekać – mówi moja matka. Nie jest pewna, czy je słyszała, ale wiedziała, że spadają, bo wszyscy w okolicy brali nogi za pas.

– Dokąd uciekaliście? – pytam.

Zawsze reaguje w tym momencie tak samo – z niedowierzaniem, że można pytać o coś tak oczywistego.

– Na południe, oczywiście! Dokądkolwiek, byle na południe.

Wiedzieliśmy, że jeśli zostaniemy, zginiemy. Przynajmniej tak mówiła matka, kiedy się pakowała.

Jej ojciec wyjechał w delegację do Busanu, na najdalej wysunięty na południe kraniec kraju. To dość niezwykle. Był administratorem w lokalnym domu kultury – ta praca nie wymagała podróży służbowych. Rodzina miała jednak szczęście, że wysłano go na południe, nie na północ. Jednodniowy wyjazd na północ, dwie godziny drogi od Seulu, i niektóre rodziny zostały rozdzielone na zawsze. Obwieszczenia o wojnie były nadawane w radiu, bo prawie nikt nie miał telefonu ani telewizora. Panowała atmosfera pośpiechu, wręcz paniki. Moja matka pamięta nagły podmuch zimnego wiatru w dużym pokoju, mimo że było parne, wilgotne lato. Sąsiedzi zaczęli uciekać, niosąc dobytek na plecach. Zajrzeli, żeby sprawdzić, co zamierza pani Yoon, dlaczego jeszcze nie wyszła.

– *Palgengis* [Czerwoni] idą! – krzyczeli. – Wojna!

Ci ludzie przeżyli japońską okupację. Byli przyzwyczajeni do katastrof.

Moja babcia musiała sama podjąć decyzję. Dzieci trzeba nakarmić i ubrać, a to najmłodsze trzeba by było nieść. Moja matka była cichym dzieckiem, ale tego dnia ucichła jeszcze bardziej niż zwykle; wiedziała, że zaraz stanie się coś ważnego. Babcia kazała dzieciom zacząć się pakować. Wszyscy gorączkowo zbierali swoje rzeczy.

– W sumie pięcioro dzieci, chociaż niezupełnie.

– Jak to: pięcioro, ale niezupełnie?

W tym miejscu matka zwykle milknie. Może właśnie kroi rzodkiew daikon albo praży glony morskie dla mnie na drugie śniadanie do szkoły. Może szykuje się na wieczorne wyjście z ojcem, stojąc przed lustrem w zielonej jedwabnej sukience portfelowej i dobranych do niej skórzanych rękawiczkach. Nadal widzę jej odbicie w tym lustrze, z włosami wymodelowanymi na szczotce w rozwichrzoną fryzurę *à la* Farrah Fawcett,



i nie dostrzegam w niej ani śladu uciekającej przed wojną dziewczynki. Pozowała kiedyś, w latach sześćdziesiątych, pewnemu japońskiemu fotografowi, który wypatrzył ją w restauracji w Seulu ze względu na uderzające podobieństwo do jakiejś japońskiej gwiazdy filmowej. Zainspirowany tym podobieństwem koreański producent telewizyjny uganiał się za nią przez kilka miesięcy i obsadził ją w operze mydlanej, ale tydzień przed rozpoczęciem zdjęć wyjechała nad morze z moim ojcem i nigdy nie pojawiła się na planie. Nie była nieodpowiedzialna z natury, ale nie miała pewności, jak wygląda praca modelki czy aktorki, bo w powojennej Korei telewizja i kolorowe czasopisma wciąż były czymś nowym i tajemniczym. W tej chwili, kiedy milknie i patrzy w dal, wydaje się jeszcze piękniejsza. Matka jest nadal młoda. Ma ledwie trzydzieści kilka lat, rana jest ciągle świeża.

– Jak to: niezupełnie pięcioro?

– Widzisz... babcia urodziła dziewięcioro. Czwooro zmarło w bardzo wczesnym dzieciństwie. Niemowlęta nie zawsze wtedy przeżywały.

Tej części opowieści nigdy nie mogę pojąć. Jestem dzieckiem i śmierć wydaje mi się czymś, co ktoś gdzieś wymyślił. Nie rozumiem, gdzie podziały się te dzieci.

Matka wzdycha nad śmiercią rodzeństwa, którego nigdy nie widziała. Ona sama miała szczęście. Urodziła się ostatnia – najmłodsza z całej dziewiątki. Przeżyła i wyrosła na piękną kobietę, żonę, matkę. Czwoorgu innych się nie udało. Jako matkę, mówienie o tym na głos ją przeraża, więc przyciąga mnie do siebie i bardzo mocno przytula, jakby się bała, że mnie też straci. Nie lubię tego momentu. Nie podoba mi się strach w jej oczach, ale zadaję dalej pytania, żeby oderwać ją od tych myśli i żeby dokończyła opowieść, chociaż ta historia nie ma zakończenia. Pętla, która nie tworzy zamkniętego koła. Luka, która nigdy nie zostanie zapełniona.

Pamięta tylko nagły chaos, jej matka i rodzeństwo strasznie się śpieszyli. Najstarszy brat objął komendę. Miał dopiero siedemnaście lat, ale pod nieobecność ojca to on był panem domu, więc kazał matce przygotować trochę kulek ryżowych na podróż pociągiem. Postanowili, że najpierw pojadą do Suwonu, trzydzieści kilometrów za Seulem, gdzie mieszkał ktoś z krewnych, a stamtąd przedostaną się do Busanu, gdzie przebywał ojciec. Najstarszy brat wziął moją matkę na ręce. Pozostała trójka dzieci szła za nimi, każde z tobołkiem na plecach. Moja babcia popatrzyła jeszcze ostatni raz na dom, bojąc się, że może już nigdy go nie zobaczy. Miały minąć trzy lata, zanim ujrzała go ponownie, ale jeszcze o tym nie wiedziała, kiedy niechętnie odwracała się i ruszała w długą drogę piechotą do pociągu, który miał ich zabrać w bezpieczne miejsce.

– Widzisz, tam, na wzgórzach, były wszędzie pola, na dworzec w Seulu szło się dobrą godzinę.

Ukrytą w cieniu skalistej Bukak-san (góry Bukak), wznoszącej się nad królewskim pałacem Gyeongbokgung oraz Błękitnym Domem, rezydencją prezydenta, dzielnicę Samcheong-dong, gdzie mieszkała w dzieciństwie moja matka, lekceważono jako senny zakątek. Nie było tu dogodnego transportu publicznego, a codzienne patrole uzbrojonych strażników utrudniały nawet zwykły spacer. Chociaż zawsze rozciągał się stamtąd spektakularny widok, Samcheong-dong przez długi czas pozostawała ubogą kuzynką zamożniejszych pobliskich dzielnic.

Dziś Samcheong-dong w niczym nie przypomina zapomnianych wzgórz ze wspomnień mojej matki. W 2009 roku, kiedy byłam w Seulu na stypendium, chodziłam na lekcje tenisa w parku Samcheong, około stu metrów od miejsca, w którym stał kiedyś dom dzieciństwa mojej matki. Nikt już tam nie mieszkał. Mój wujek dawno go sprzedał i przeprowadził się na przedmieścia, kiedy okolica zaczęła przyciągać deweloperów. Wiele

podupadłych hanoków (tradycyjnych koreańskich domów krytych gontem) przekształcono w kawiarnie i butik, a dzielnica stała się jedną z najchętniej odwiedzanych przez zakochane pary. Codziennie rano przechodziłam obok królewskiego pałacu, wspinając się krętą drogą, w dziwny sposób przywodzącą na myśl malowniczy Montmartre, jaki można zobaczyć w romantycznych filmach. Tamtego roku zapanowała moda na młodych baristów płci męskiej. Wszędzie przystojni dwudziestolatkowie przyjmowali zamówienia na iPadach i nalewali kawę z przesadną precyzją, nie szczędząc szczegółowych wyjaśnień – *cold drip*, syfon, Chemex. Seul w 2009 roku, a zwłaszcza Samcheong-dong, wydawał mi się najmodniejszym i najszykowniejszym ze wszystkich odwiedzonych przeze mnie ostatnio miejsc, ale kiedy po powrocie do New Jersey opowiedziałam o tym matce, popatrzyła na mnie, nic nie rozumiejąc. Dopiero po długiej chwili zapytała:

– A strumyk? Brałam nasze pranie z domu i tam prałam.

Powiedziałam jej, że nikt już tak nie pierze i że podczas moich spacerów nie widziałam nic, co by przypominało strumyk. Ona jednak już zdążyła wrócić tam myślami, znów była najmłodszym dzieckiem w rodzinie, które zabiera pranie nad strumyk w te dni po południu, kiedy wcześniej kończy szkołę.

Myśli znów zataczają koło i wszystkie drogi zbiegają się w jednym punkcie: 25 czerwca 1950 roku. Dla ludzi z jej pokolenia, którzy kogoś stracili, życie już zawsze będzie się dzielić na okres przed tym dniem i po nim.

Dotarcie do głównego dworca w Seulu zajęło ich szóstce kilka godzin, bo ulice były zapchane uciekinierami. Starsze dzieci troskliwie wzięły za ręce młodsze. Musieli przejść około czterech kilometrów, ale moja babcia była sama z piątką dzieci, do tego niosła na plecach tyle, ile tylko mogła udźwignąć. Całą ich grupę musiał pewnie prowadzić mój siedemnastoletni

wujek.

Nie mam żadnej rodzinnej fotografii z tego dnia ani z następnych z początku wojny. Fotografie to luksusowa zachcianka, kiedy się ucieka, chcąc ratować życie. Oglądałam czarno-białe zdjęcia z Seulu z tego dnia, wypływałe dowody pokazujące uchodźców, którzy mogliby pochodzić z dowolnego kraju w Azji i uciekać przed którąkolwiek wojną. Schylili głowy i ruszyli na południe, gdzie nie mogły ich dosięgnąć bomby z Północy. Nikt się nie skarżył. Nikt nie zadawał pytań. To pokolenie widziało już wszystko, przeżyło katusze, kiedy ich kraj zajmowała Japonia, śmiertelny wróg, a teraz przyszedł ból związany z podziałem półwyspu, dokonanym niemalże z dnia na dzień. Te lata, od 1945 do 1950 roku, były czasem zamętu z Kim Ir Senem, majorem Armii Czerwonej, na Północy i Syngmanem Rhee, amerykańskim protegowanym, na Południu. Zimnowojenna polityka nie znała ograniczeń, a ludzie nie mieli nic do gadania, musieli znosić jej potworne konsekwencje. Rezygnacja to nałóg, w dodatku zaraźliwy.

– To był cud, że dotarliśmy na dworzec przed nocą. Mieliśmy szczęście... z początku.

Na dźwięk tego „z początku” zamiera mi serce. Nie lubię tej części opowieści, ale pozwalam matce mówić dalej, bo wiem, że trzeba.

Babcia przeciskała się przez zapchany dworzec, torując sobie drogę łokciami, i dowiedziała się, że wszystkie bilety na wszystkie jadące na południe pociągi zostały wyprzedane. Widziała, jak zdesperowani ludzie wspinają się na dachy odjeżdżających składów. Po czekaniu godzinami na dworcu usłyszała coś o ciężarówkach, które podwożą rodziny z małymi dziećmi. Ruszyła więc biegiem, dzieci za nią, małe piątki zaciskały się mocno na jeszcze mniejszych. I – cud: rzeczywiście stała tam zakurzona ciężarówka z ludźmi na pace, ale jeszcze było miejsce, więc wskoczyli, a babcia, zlana potem, zaczęła liczyć dzieci. Były wszystkie, cała piątka,

łącznie z najmłodszą dziewczynką, którą tuliła do siebie – moją matką – siedzącą obok najstarszego syna. To dobre dzieci, silne, te, które przeżyły wbrew wszystkim przeciwnościom.

Usiadła, opierając się o tylną klapę, i oddychała głęboko, jej ciężkie piersi się kołysały, te piersi, które wykarmiły dziewięcioro niemowląt, chociaż zostało ich tylko pięcioro. Miała czterdzieści pięć lat, ale wyglądała i czuła się starzej, i uświadomiła sobie, że jest zmęczona, właściwie wyczerpana – nie najlepszy stan ducha u progu wojny, chociaż nie była jeszcze pewna, czy to naprawdę wojna. Wiedziała tylko, że są na pace ciężarówki, z dala od bomb, i że jakoś udało jej się samej, bez męża, wszystkich ich tutaj sprowadzić. Przez chwilę czuła się zadowolona z siebie i chciała sobie pogratulować osiągnięcia, ale zamiast tego rzuciła przeciągłe spojrzenie na swojego najstarszego syna, tego, który przeżył. Był dla niej jak talizman przynoszący szczęście. To przy jego urodzeniu los się odwrócił. Chłopak przeżył, a po nim przeżyło każde kolejne dziecko, jakby przyniósł ze sobą ten piękny dar życia. A teraz, spójrzcie tylko, ma siedemnaście lat, taki już dorosły i przystojny. Jej serce przepełniła niepohamowana miłość, próbowała odwrócić wzrok, chociaż nie potrafiła – i właśnie wtedy skądś dobiegł krzyk.

Ze słów mojej matki wynika, że później nikt nie pamiętał dokładnie tej chwili. Panowało zamieszanie i harmider. Nagle zaczęły zaglądać do nich jakieś brudne twarze, jacyś ludzie chwycili się kurczowo boku ciężarówki w rozpaczliwej próbie wdrapania się na pokład tej arki, która mogła zabrać ich z dala od nadciągającego zalewu przemocy. To była ich jedyna nadzieja na ucieczkę przed bombami, na wydostanie się z Seulu, tej górzystej, rozległej stolicy, w której od stuleci mieszkali koreańscy królowie, tego uosobienia pragnień każdego Koreańczyka, ale w tym momencie wszyscy chcieli ten symbol wyrzucić do najbliższego kosza na śmieci i zwiewać, gdzie pieprz rośnie. Celem było wydostanie się z Xanadu, niechby tylko ta

ciężarówka wreszcie ruszyła.

– Gdyby tylko ruszyła w tym momencie...

Znów zaczyna się mantra „gdyby tylko”. Matka zawsze pokazuje mi zarys alternatywnego wszechświata, w którym sprawy potoczyły się inaczej, w którym różnym ludziom ocalono życie. Dobrze tę mantrę znam. Dla imigrantów żal może się stać sposobem na życie.

Skądś dobiegły ich krzyki. Ktoś, jakaś spanikowana matka czy ojciec, jakiś zdesperowany głos błagał młodych mężczyzn, żeby ustąpili miejsca kobietom i dzieciom. Zanim znaczenie tych krzyków dotarło do babci, zanim zdążyła się nad nimi zastanowić albo zaprotestować, jej siedemnastolatek wstał.

– Ja pójdę – powiedział, a potem ją uspokoił: – Znajdę następny transport, mam. Nie martw się.

A potem, równie szybko, zniknął jej z oczu przy wtórze dźwięku zapalnego silnika. Wszystko działo się błyskawicznie. Babcią, oszołomioną tym niespodziewanym zwrotem akcji, odwróciła się z desperacją w stronę, gdzie zniknął jej syn. Ciężarówka nagle ruszyła, zbyt szybko, żeby babci udało się zachować jasność umysłu. Dopiero później przyszło jej do głowy, że powinna była od razu wyskoczyć i wciągnąć go z powrotem na pakę. Powinna była znaleźć tego, co krzyczał, i wydrapać mu oczy. Była wojna i podjęta w ułamku sekundy decyzja mogła być kosztowna. Pędząca ciężarówka wywozła moją babcię, oniemiałą, bez najstarszego dziecka. Dziecka, które przeżyło.

– Seul został zdobyty trzy dni później.

W głosie mojej matki nie ma emocji, ale słychać w nim pewną ostateczność. Jakby mówiła „koniec”, chociaż ta historia nie ma zakończenia. Trwała wojna, rodzina przenosiła się z miasta do miasta, pomieszkiwała w prowizorycznych namiotach, w domach krewnych i u obcych. Przez trzy

lata większość ludności kraju była stale w drodze.

Rodzina matki zatrzymała się w Suwonie, żeby poczekać na mojego wujka, ale ten się nie zjawił. Kilka dni później spotkali sąsiadów, którzy twierdzili, że widzieli, jak zgarnęli go północnokoreańscy żołnierze. Miał ręce związane z tyłu sznurem, mówili. Droga do Seulu była teraz zablokowana i babcia czekała na próżno.

– Jak długo czekaliście? – pytam.

Jak długo to wystarczająco długo?

Matka nie jest pewna. Miała w końcu tylko cztery lata, ale pozostali, łącznie z moim młodszym wujkiem, który mieszka w Seulu, też nie bardzo wiedzą. Matce utkwił za to w pamięci obraz babci, która, na wpół oszalała, zawodząc, ze spódnicą zarzuconą na głowę, jakby to była chusta, błąka się wieczorami po okolicy. Starsze dzieci wychodzą po nią, a ona za każdym razem mówi, że szukała syna. Sytuacja ciągle się powtarza. Czasami babcia chodzi i szuka, kiedy indziej nie odzywa się całymi dniami i tylko gapi się w przestrzeń.

W dzieciństwie często opowiadano mi tę historię, a ja słuchając jej, zawsze chciałam, żeby zakończenie było inne. Żeby inna była fabuła. Wtedy była to dla mnie po prostu opowieść, smutna, ale jakoś niezdrowo ekscytująca, bo występowała w niej moja matka. Później jednak dostrzegłam, że jest to także swego rodzaju terapia – to opowiadanie przez nią w kółko tej historii, tak jak wcześniej latami opowiadała ją jej matka. A teraz ja opowiadam dalej, pisząc te słowa tu, w Nowym Jorku, w języku obcym dla tych, którzy przeżyli podział półwyspu, języku, który osłania mnie przed najgorszym żalem i bólem. Bo nawet teraz, kilkadziesiąt lat po tym, jak zaczęłam go używać na co dzień, angielski nie rozdziera mi serca tak jak mój język ojczysty, jak język mojej matki. Słowo *division*, „podział”, waży mniej niż *bundan*, a *war*, „wojna”, łatwiej wymówić niż *junjeng*.

Wiele lat po zakończeniu wojny jedyną rzeczą, którą lubiła robić moja babcia, było odwiedzanie szamanek. Chodziła do przerażająco dokładnej szamanki z Inwang-san (góry Inwang), do szamanki dziewczynki, która zasłynęła wskazaniem miejsca ukrycia kości zaginionego dziecka sąsiadów, do szamanki dziewicy, szamanki starej panny, szamanki grubej matrony. Wszystkie mówiły to samo: „Tak, on żyje. Jest na Północy”. Jest w Pjongjangu. Chciałabym wierzyć, że to prawda, tak jak na pewno wierzyła babcia. Ich zapewnienia dodawały jej siłę, chociaż kiedy się urodziłam, była już po udarze i nie wstawała. Miała sześćdziesiąt pięć lat. Powiedziałabym, że udar zabrał jej duszę, ale z tego, co wszyscy mówią, wynika, że dusza uszła z niej dużo wcześniej.

---

\* Kościół Zjednoczeniowy, czyli Ruch pod wezwaniem Ducha Świętego dla Zjednoczenia Chrześcijaństwa Światowego, założony w Korei Południowej przez Sun Myung Moona w 1954 roku (przyp. tłum.).

\*\* Stany Zjednoczone planują przenieść swoją bazę wojskową poza Seul w 2016 roku.



## 5

Trzeciego dnia mojej pracy na uczelni studenci zbiorowo spóźnili się na kolację: przyszli około 19.00, podczas gdy planowo powinni się pojawić o 18.30. Zdziwiłam się, bo do tej pory byli idealnie punktualni. Kiedy usiadłam z kilkoma z nich przy stoliku i zapytałam, dlaczego się spóźnili, wyglądali na zdenerwowanych. W końcu jeden z nich powiedział, że mieli dwie godziny zajęć z socjologii po koreańsku. Chociaż to nadal nie tłumaczyło, dlaczego te zajęcia przeciągnęły się o pół godziny, nie drażyłam tematu. Z ich listów wiedziałam, że po południu uczą się dzucze, ale nie miałam pojęcia gdzie. Może wszechwładna góra zdecydowała, że musi przeciwdziałać ewentualnym próbom prania mózgów elitarniej młodzieży przez nas, cudzoziemców.

Potem zobaczyłam, że sześciu moich studentów zamiast koszul z krawatami ma na sobie wojskowe mundury khaki, więc zapytałam pozostałych dlaczego.

– Są na służbie – odparł jeden. Reszta opuściła głowy i gapiła się na swoje jedzenie.

Zapytałam, co to za służba, ale nic mi nie odpowiedzieli. Obróciłam więc całą sprawę w żart, mówiąc:

– W mundurach wyglądają na starszych, jak młodzi dżentelmeni!

Wtedy twarze im złagodniały i jakby zapomnieli o tym, co robili tego

popołudnia i co sprawiło, że zapanowało między nimi takie napięcie. Zawsze rumienili się i chichotali na dźwięk słowa „dzentelmen”.

Po kolacji podeszła do mnie Katie i szepnęła wesoło:

– Nie uważasz, że Choi Min-jun to najładniejszy chłopak, jakiego widziałas?

Aż do tej chwili nie przyszło mi do głowy, że mając dwadzieścia trzy lata, Katie nie jest dużo starsza od studentów. Było zupełnie możliwe, że któryś z nich wpadnie jej w oko – i odwrotnie. Po raz pierwszy od przyjazdu na jej twarzy malowała się dziewczęca beztroska i przez chwilę życie wydawało się prawie normalne. Chłopcy i dziewczyny. Sprawy, które kręcą światem, a przynajmniej nadają mu odrobinę jaśniejsze barwy. Także w Pjongjangu, nawet ponad podziałami.

– Tak przystojnie wygląda w tym mundurze, więc zapytałam, dlaczego go założył – ciągnęła Katie. Miałam nadzieję, że dowiedziała się czegoś więcej niż ja. – Nie chciał nic powiedzieć, tylko się zaczerwienił.

Nauczyciele w tym małym, zamkniętym kompleksie byli jak supergwiazdy. Studenci rywalizowali ze sobą o miejsce z nami przy stoliku przy wszystkich trzech posiłkach. Dla nich byliśmy wszystkim – chodzącymi słownikami angielskiego, oknem na świat. Chociaż zabroniono nam cokolwiek im mówić, wiedzieli, że znamy odpowiedzi. Niektórzy byli na tyle odważni, że podchodzili do mnie i pytali: „Pani profesor, czy zechciałaby pani się do mnie przysiąść?”. Często posługiwali się dość formalnym angielskim, bo od gimnazjum uczyli się odmiany brytyjskiej. Inni byli tak nieśmiali, że musiałyśmy same wyznaczać ich do jedzenia z nami.

Kwestia usadzenia przy posiłkach była dość skomplikowana. Stoliki były czteroosobowe, ale ostrzeżono nas, że odpowiednicy krzywo patrzą na siadanie z tymi samymi studentami więcej niż raz. Jak nam powiedziano, chodziło o to, by wszyscy mieli równe szanse poćwiczyć angielski, ale

najwyraźniej mieliśmy też nie spoufalać się zbyt z żadnym ze studentów. Jednak tak czy inaczej w końcu siadaliśmy po kilka razy z tymi samymi chłopakami, nie dało się tego uniknąć.

Na śniadanie były owsianka i gotowane jajka. Na obiad i kolację też prawie zawsze podawano to samo: ryż i jakąś wodnistą zupę, często tylko z garstką marynowanych warzyw, takich jak kimchi, kiełki fasoli czy ziemniaki. Nawet kimchi, podstawa koreańskiej kuchni po obu stronach granicy, nie miało smaku, bo zrobiono je z twardej białej kapusty zamiast tradycyjnej kapusty pekińskiej, której w tym roku brakowało, podobno z powodu nieurodzaju. Rzadko kiedy jedliśmy jakiegokolwiek mięso.

Rozmowę zwykle zaczynali studenci. „Jak mogę się lepiej nauczyć angielskiego, pani profesor?” – to pytanie słyszałam przy prawie każdym posiłku. Poprawa ich znajomości angielskiego była naszym wspólnym celem, ale także naszą przykrywką, co zakrawało na ironię, zważywszy na to, jak bardzo nauczono ich nienawidzić imperialistycznej Ameryki. Kryliśmy się za tym pytaniem – i my, i oni.

Przyznawali, że trochę zrażały ich różne akcenty, jakie słyszeli u wykładowców. Na przykład Joan, która była po siedemdziesiątce i pochodziła z Alabamy, mówiła z zupełnie im nieznanym akcentem i zrozumienie jej przychodziło im ze sporym trudem. Inni nauczyciele mieli akcent nowozelandzki, australijski albo brytyjski. Jeden ze studentów zapytał, czy korzystniejszy dla niego w przyszłości będzie akcent brytyjski, czy amerykański. Pytanie było zasadne, chociaż nie wiedziałam, w jakim celu mieli się później posługiwać angielskim, skoro tak niewielu Koreańczykom z Północy wolno było podróżować. Chciałam mu powiedzieć, że powinien pooglądać zagraniczne wiadomości na BBC i CNN, a potem zdecydować, który akcent bardziej mu odpowiada. Ale wiedziałam, że jedyne programy telewizyjne, do jakich ma dostęp, to kanały koreańskie. Byłoby też

dobrze, gdyby mógł oglądać hollywoodzkie filmy, żeby osłuchać się z potocznym angielskim. Oczywiście to także nie wchodziło w grę.

W tych rzadkich wypadkach, kiedy pytania studentów odchodziły od tematu najlepszych sposobów nauki angielskiego, zwykle brzmiały mniej więcej tak:

„Jak długo leci się tutaj z Nowego Jorku?”

„Tęskni pani za swoją matką?”

„Za kogo by pani wyszła, za Amerykanina czy za Koreańczyka?”

Dalej jednak studenci nigdy się nie zapuszczali.

Następnego dnia Park Jun-ho obchodził dwudzieste urodziny i miał świetny humor. Był lubiany, bystry i potrafił żartować, chociaż czasem jego roześmiane oczy w jednej chwili robiły się zimne. Z dumą oznajmił, że jego czteroosobowa rodzina mieszka w centrum Pjongjangu. Był też na tyle pewny siebie, że opisał swoją znajomość angielskiego jako znakomitą, gdyż jego ojciec rozmawiał z nim po angielsku i po chińsku od wczesnego dzieciństwa. Z okazji urodzin matka przygotowałaby mu specjalne danie z makaronem – to tradycja chińska, a nie południowokoreańska – ale ponieważ jest poza domem, studenci z jego grupy zaplanowali dla niego fetę.

– Hong Mun-sup będzie grał na gitarze, a Park Se-hoon jest najlepszym tancerzem w grupie! Potem Kim Tae-hyun zagra dziewczynę w tym skeczu, a Ri Jin-chul chłopaka – wyjaśniał Jun-ho.

Mieli się zebrać wieczorem w jednym z pokojów w akademiku i zabawiać solenizanta występami. Każdy po kolei zaśpiewa mu piosenkę, co potrwa około dwóch godzin. Kiedy zapytałam, jakie to będą piosenki, studenci wzruszyli ramionami i odparli: „Takie o przyjaźni”. Nie było tu barów, dziewczyn ani gier komputerowych. Poza grą w piłkę nożną i koszykówkę oraz wspólnym oglądaniem raz w tygodniu telewizyjnego

serialu *Naród słońca*, o heroicznym czynach Wielkiego Wodza, studenci nie mieli innych rozrywek – mogli liczyć tylko na siebie nawzajem. Było to smutne, ale także uroczne. Ostatni raz wymyślałam scenki i odgrywałam je z koleżankami w latach siedemdziesiątych, jako dziecko w Korei Południowej, a robiłyśmy to dlatego, że nie bardzo było się czym bawić i nie miałyśmy innego wyboru, musiałyśmy być kreatywne. Zalała mnie fala wspomnień o przebieraniu się w ciuchy mojej matki, żeby odegrać rolę królowej, księcia, pirata, i poczułam tęsknotę za dawno minionymi czasami.

Przy kolacji Park Jun-ho zaczął się przekomarzać z Choi Min-junem, swoim współlokatorem. Powiedział mi, że Min-jun jest znany wśród kolegów jako ten poważny i często nazywają go romantykiem. Min-jun, zawstydzony, zaczął machać rękami na znak protestu. Odparł, że Jun-ho zawsze żartuje, a on, Min-jun, żałuje, że opowiedział mu o swojej ładnej szesnastoletniej siostrze, bo Jun-ho stwierdził, że jeśli kiedyś się spotkają, to jej powie: „Masz na mnie czekać”.

Wywołało to salwy śmiechu. W końcu ich kontakt z płcią przeciwną ograniczał się do nauczycielek cudzoziemek oraz strażniczek zajmujących niższe piętra ich akademika. Doktor Joseph powiedział mi, że początkowo szkoła chciała sprowadzić strażników płci męskiej, ale uznano, że mogłoby to stwarzać zbyt duże poczucie zagrożenia wśród zagranicznych wykładowców. W przypadku strażniczek istniały natomiast obawy, że mogą one rozpraszać uwagę chłopców, ale różnica warstw społecznych okazała się tak duża, że studenci właściwie ignorowali te kobiety. Na razie więc o dziewczynach i randkach mogli tylko pofantazjować.

– Może siostra Min-juna jest ładna – powiedział Jun-ho – ale założę się, że dla mnie jest zbyt nieśmiała.

W tym momencie milczący dotąd Ryu Jung-min pochylił się konfidencjonalnie i spuentował:

– Najśmieszniejsze jest to, że ten chłopak tak gada, ale w życiu nie miał dziewczyny! Z dziewczynami jest katastrofalny!

Cała czwórka zareagowała na to wybuchem śmiechu. Tego lata „katastrofa” stała się ich ulubionym słówkiem, niemal prywatnym żartem. Uwielbiali je wtrącać w różnych sytuacjach – czasem mówili o „katastrofalnym jedzeniu”, kiedy indziej, że jakiś egzamin był katastrofą.

W takich chwilach miałam wrażenie, że moglibyśmy siedzieć w dowolnej stołówce, w jakimkolwiek miejscu na świecie. Moi rozmówcy byli zwykłymi studentami college’u, którzy interesowali się tym, czym (a raczej kim) interesuje się większość chłopaków w ich wieku: dziewczynami. Zapominałam wtedy, gdzie jestem. A jeśli pamiętałam, szybko starałam się zapomnieć. Przystawałam się pilnować, nagle czułam się wolna od ograniczeń, które tak mocno wszystkich nas krępowały, spoglądałam na ich szelmowskie uśmiechy i ogarniała mnie czułość. Stawałam się chwilową powiernicą ich plotek o dziewczynach, dobrze życzącą uroczemu studentowi w dniu jego dwudziestych urodzin. Czułam zadowolenie i odprężenie, dopóki mój wzrok nie padł na błyszczące metalowe znaczki na ich piersiach, na tę wszechobecną twarz Wiecznego Prezydenta na sercu każdego z nich, jakby znaczącą jego terytorium. Były to tylko przypinki, a ci młodzi mężczyźni mogli je z łatwością zerwać i wyrzucić do śmieci razem z niedojedzonym posiłkiem ze swoich tac, ale po chwili docierało do mnie, że nic takiego nigdy się nie stanie, a ta iskra nadziei jest tylko mirażem.

Przez ten pierwszy tydzień raz po raz dostrzegałam pewne niepokojące rzeczy. Poprosiłyśmy na przykład studentów o wymyślenie i odegranie pewnej scenki, a oni postanowili napisać o dwóch kanadyjskich nauczycielach, którzy idą do miejscowego szpitala. Jeden z nich jest ranny, więc drugi chce sprzedać krew, żeby mu pomóc, ale odkrywają, że opieka medyczna jest darmowa dzięki troskliwości Wielkiego Generała Kim Dzong

Ila.

Katie zwróciła im uwagę, że taka scenka nie ma sensu, bo: 1) zagraniczny nauczyciel zostałby przyjęty tylko w szpitalu dla obcokrajowców, który wcale nie jest darmowy, 2) krew zazwyczaj oddaje się bez wynagrodzenia oraz 3) na oddziałach pomocy w nagłych wypadkach pacjenci nie muszą płacić z góry. Studenci popatrzyli na nas zdziwieni, po czym stwierdzili:

– No dobrze, to ten przyjaciel, który nie jest ranny, musi powiadomić żonę tego rannego, więc jedźcie na lotnisko, żeby polecieć do Kanady i jej powiedzieć.

Katie zapytała, dlaczego nie może po prostu zadzwonić do tej żony, zamiast lecieć aż do Kanady. Studenci zająknęli się, a po chwili odparli:

– Dobrze, to w takim razie przyjaciel mógłby skorzystać z telefonu w szpitalu. Może niech lekarz zadzwoni do żony rannego w Kanadzie, ale jak będzie z nią rozmawiał, skoro nie mówi po angielsku?

Katie spytała, dlaczego przyjaciel nie może po prostu porozmawiać bezpośrednio z żoną. I tak dalej. Każda kolejna odpowiedź studentów coraz bardziej nas przygnębiała, bo było wyraźnie widać, że tak prosta rzecz jak zatelefonowanie do członka rodziny w innym kraju była dla nich niewyobrażalna, przynajmniej bez specjalnego pozwolenia.

Innym razem graliśmy w „Prawdę czy kłamstwo”. Poprosiliśmy studentów, żeby przygotowali dwa prawdziwe zdania o sobie i jedno fałszywe, a reszta grupy miała zgadywać, które jest które. Kiedy jeden z chłopców wstał i oznajmił: „W zeszłym roku pojechałem na wakacje do Chin”, cała sala wybuchła śmiechem i zawołała: „Fałsz!”. Wszyscy wiedzieli, że to niemożliwe.

Inny student powiedział: „Kiedy byłem dzieckiem, jadłem twardą wołowinę”, i wielu jego kolegów pokiwało głowami, wołając: „Prawda!”. Przypomniałam sobie, jak jeden z uchodźców opowiadał mi, że kiedy po raz

pierwszy jadł wołowinę, była ona dziwnie łykowata. Według niego podczas epidemii pryszczycy w 2001 roku prawie nikt nie kupował wołowiny i krążyła plotka, że zamiast wyrzucać stare mięso, Australia oddała je mieszkańcom Korei Północnej. Było więc najzupełniej możliwe, że moi elitarni studenci jedli właśnie tę wołowinę, zwłaszcza że działo się to niedługo po okresie wielkiego głodu. Rozglądałam się po sali i zastanawiałam się, co jeszcze mogli przeżyć w dzieciństwie i jak ich to ukształtowało. Wielu z nich miało już przynajmniej kilka siwych włosów. Może z niedożywienia, które dotknęło nawet tych uprzywilejowanych młodych ludzi.

Czasem moi studenci zdradzali zadziwiającą ignorancję. Kiedyś jeden z nich zapytał mnie, czy to prawda, że wszyscy na świecie mówią po koreańsku. Słyszał, że język koreański tak bardzo przewyższa inne, że używa się go w Anglii, Chinach i Ameryce. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Może mnie sprawdzał, chciał zobaczyć, czy zaprzeczę wszystkiemu, czego się do tej pory nauczył, żeby później na mnie donieść. A może po prostu był ciekaw. Wybrałam więc bezpieczne wyjście:

– No cóż, pomyślmy, w Chinach mówią po chińsku, a w Anglii i Stanach Zjednoczonych po angielsku, tak jak my w Korei mówimy po koreańsku. Ale ja mieszkam w Ameryce i z rodzicami zawsze rozmawiam po koreańsku, więc można powiedzieć, że rzeczywiście w Ameryce używa się języka koreańskiego. – Musiałam się wykazać niezłym refleksem, żeby to wymyślić na poczekaniu. Nawet przy najprostszym pytaniu łatwo było wejść na grząski grunt.

Uparcie twierdzili, że Wieża Dżucze jest najwyższa na świecie; że ich Łuk Triumfalny jest największy, z pewnością większy od tego w Paryżu (to prawda); że ich park rozrywki jest najlepszy na ziemi. Cały czas porównywali się ze światem zewnętrznym, którego żaden z nich nigdy nie



widział, ogłaszając, że są najlepsi. Ten nacisk na „najlepszość” wydawał się dziwnie dziecinny, a słów „najlepszy” i „największy” używano tak często, że stopniowo traciły znaczenie.

Innym razem jeden ze studentów zapytał mnie o moją ulubioną potrawę. Często pytali o mój ulubiony kwiat, ulubiony sport czy ulubiony instrument muzyczny. Zastanawiałam się czasami, czy dostali jakąś listę bezpiecznych pytań. Szybko nauczyłam się odpowiadać zgodnie z ich oczekiwaniami. Lubię tenisa. Gram na pianinie. Uwielbiam naengmyun, koreański makaron na zimno, popularny w obu Koreach, ale akurat będący regionalną specjalnością Pjongjangu. Rzeczywiście lubiłam naengmyun, ale nie mogłam im powiedzieć, że wolę spaghetti albo japoński gryczany makaron *soba*. Chociaż widziałam w Pjongjangu jedną restaurację z hamburgerami, nie wiedziałam, czy którykolwiek z moich studentów w niej był. Kuchnia międzynarodowa z pewnością nie pojawiała się wśród tematów ich rozmów. Dlatego zapytana o ulubioną potrawę, trzymałam się wersji o naengmyunie, co zawsze spotykało się z pełnymi aprobaty uśmiechami i nieodłącznym komentarzem w rodzaju: „Tak, słyszałem, że naengmyun je się na całym świecie i wychwala jako najlepszą potrawę”. Nie czułam się na siłach poinformować ich, że to danie z makaronem nigdy nie zdobyło za granicą takiej popularności jak spaghetti.

Czasami te rozmowy na stołówce przypominały przesłuchanie, otwarte albo zawołowane. Kiedyś jeden student – jak się okazało sekretarz grupy – skinął na kolegę, by ten zadał mi pytanie.

– Dlaczego musimy pisać te listy? – zapytał ów kolega podejrzliwym tonem. – Na poprzednim uniwersytecie nigdy się tego nie uczyliśmy.

Spodziewałam się takiego pytania już od jakiegoś czasu, bo robiłam z pisania listów cotygodniowe ćwiczenie. Odpowiedziałam, że akapit jest podstawą wszystkich tekstów po angielsku i że muszą nauczyć się go pisać,

a listy to dobra wprawka. Wiedziałam, że te pytania podsunęli im odpowiednicy.

Tylko kilka razy zdarzyło się, żeby jakiś student oszedł od ustalonego scenariusza. Podczas naszej rozmowy o przyjęciu urodzinowym Park Jun-ho jednemu z chłopców wyrwało się, że lubi śpiewać rock'n'rolla. Natychmiast poczerwieniał i czym prędzej rozejrzał się, żeby sprawdzić, kto mógł to słyszeć. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak szybko zlustrował wzrokiem salę. Pozostali studenci umilkli i patrzyli w swoje talerze. Nie było dla takiej instynktownej reakcji innego wytłumaczenia niż jakiś zakorzeniony strach, którego nie potrafiłam, nie mogłam pojąć. W tej krótkiej chwili uświadomiłam sobie, że czekałam na takie potknięcie. Możliwe nawet, że sama je ukartowałam. A kiedy już do niego doszło, kiedy wreszcie ktoś się wygadał, skrzętnie ukrywana prawda była dość żałosna: dziewiętnastoletni chłopak śpiewający piosenki w swoim pokoju w akademiku. Jednak za publiczne przyznanie się do tego groziły mu poważne kłopoty. Sama rozejrzałam się nerwowo, sprawdzając, kto mógł być świadkiem tego potknięcia, i równie szybko zmieniałam temat rozmowy.

Cały czas mieliśmy się przed sobą na baczności. To bezustanne krążenie wokół granicy i nasze wysiłki, żeby jej nie przekroczyć, były wyczerpujące. Chcieliśmy odkrywać siebie wzajemnie, a jednak jeśli natknęliśmy się na taką „zakazaną” informację, i ja, i oni zastygaliśmy jak sparaliżowani.

Przypominało to wykwintny kontredans. Chciałam ich przycisnąć, ale nie za mocno; odsłonić przed nimi świat zewnętrzny, ale tak subtelnie, żeby nikt nie zauważył. Misjonarze chcieli ich nawracać, ale nie w oczywisty sposób. (W poprzednim semestrze jednego z wykładowców wydalono z KRLD za zostawienie chrześcijańskich tekstów w męskiej toalecie, a nas wszystkich ostrzegano, żebyśmy nie mówili nic o Jezusie. O ile mogłam się zorientować, misjonarze zadowalali się okazywaniem Koreańczykom z Północy miłości

Chrystusa po prostu poprzez traktowanie ich z dobrocią. Projekt, który prowadzili, był długoterminowy, obliczony na to, że kiedy Korea Północna pewnego dnia się otworzy, oni już będą mieli tu punkt zaczepienia).

Czy było to moralne? Uświadomienie moich studentów co do rzeczy, które nie mieściły się w reżimowym programie, mogło oznaczać śmierć dla nich i dla ich bliskich. Gdyby mieli się przebudzić i zdać sobie sprawę, że zewnętrzny świat wcale nie wali się w gruzy, że to ich kraj stoi na krawędzi upadku i że wszystko, czego ich uczono o Wielkim Wodzu, to fikcja, czy byliby szczęśliwsi? Jak by dalej żyli? Przebudzenie było luksusem dostępnym tylko ludziom w wolnym świecie.

Nie wszyscy z nas wtedy o tym wiedzieli, ale w Korei Północnej był to czas wstrząsów i niepokojów. W pierwszym tygodniu mojego pobytu na uczelni prezes Kim oznajmił na zebraniu zespołu, że wszystkie uniwersytety w kraju zostały zamknięte, z wyjątkiem PUST. Nasz Pjongjański Uniwersytet Naukowo-Techniczny oszczędzono dlatego, powiedział prezes, że Wielki Przywódca osobiście w niego „wierzył”. Tę informację przekazano nam bez dalszych wyjaśnień, ale zgadzała się ona z doniesieniami z zewnątrz, mówiącymi, że Kim Dzong Un, „Najdroższy Przywódca”, jest przygotowywany do przejęcia władzy po sześćdziesięciodziewięcioletnim Kim Dzong Ilu, który w 2008 roku przeszedł udar, i że wszyscy studenci zostali przeniesieni z uczelni do robót budowlanych aż do kwietnia 2012 roku, kiedy to cały naród będzie świętować setną rocznicę urodzin Kim Ir Sena.

Nie byłam pewna, co o tym myśleć. Zachodnie wiadomości dotyczące KRLD były często niewiarygodne, a zamknięcie wszystkich uniwersytetów poza PUST wydawało mi się ekstremalnym posunięciem, nawet jak na Koreę Północną.

To dziwne, że w kraju, gdzie zorganizowana religia była zabroniona i gdzie każdego, kto nie wierzył w Wielkiego Przywódcę, uznawano za heretyka, tylko tej szkole – „ambasadzie Królestwa Niebieskiego”, według prezesa Kima – pozwolono działać. Może Wielki Przywódca wierzył nie tyle w Kima, ile w pieniądze zebrane przez chrześcijan, żeby ufundować tę darmową, stosunkowo ekskluzywną uczelnię dla północnokoreańskiej elity. W dodatku nie widziałam tu ani jednego nauczyciela przedmiotów ścisłych, mimo że szkoła nazywała się Pjongjańskim Uniwersytetem Naukowo-Technicznym. Chciałam wiedzieć, dlaczego moich studentów nie wysłano do prac budowlanych tak jak innych, ale nie było nikogo, kogo mogłabym o to zapytać.

Z każdym mijającym dniem my, wykładowcy, zastanawialiśmy się, dlaczego jesteśmy tacy zmęczeni. Sarah, nauczycielka z Nowej Zelandii, wyznała, że śpi po kilka godzin w środku dnia. Ruth, także Nowozelandka, ale o koreańskich korzeniach, mówiła, że czuje się tak, jakby nadal miała *jet lag*, chociaż przyleciała z Yanji w Chinach, więc różnica czasu wynosiła tylko godzinę. Ja spałam tak twardo, że niemal traciłam czucie w całym ciele. Katie twierdziła, że to dlatego, że cały czas jesteśmy tacy czujni. Co wieczór wracałam myślami do rozmów, które odbyłam danego dnia przy każdym z posiłków, próbując określić, czy powiedziałam coś, czego nie powinnam. Taka bezustanna autocenzura, konieczność, w pewnym sensie, ciągłego kłamania, pochłania ogromną ilość energii.

Były takie poranki, kiedy wyglądałam przez okno i patrzyłam na mur oddzielający PUST od zewnętrznego świata. Niektórzy nauczyciele szeptali, że to pięciogwiazdkowe więzienie. Wiedzieliśmy, że nie możemy wyjść poza bramę, z wyjątkiem wypraw na zakupy spożywcze do kompleksu dyplomatycznego albo zorganizowanych wycieczek krajoznawczych w wyznaczonych terminach. Opiekunowie planowali te wyjścia co do minuty

i przez cały czas nam towarzyszyli.

W weekendy szkolna furgonetka zawoziła nauczycieli do sklepów, w których mogli uzupełnić prowiant: do japońskiego Pyongyang Shopu oraz do argentyńskiego sklepu spożywczego. W obu były konserwy, ser, owoce, płatki śniadaniowe i mleko o przedłużonej trwałości. W tym pierwszym sprzedawano japońskie ciasto naleśnikowe w proszku po mniej więcej pięć dolarów, a także zarodki pszenne, które kosztowały dwa razy tyle, ile w Stanach Zjednoczonych. W argentyńskim można było kupić różne koncentraty soków owocowych i spaghetti w puszkach z Francji. Te sklepy przyjmowały euro, chińskie juany i amerykańskie dolary, ale północnokoreańskich wonów – nie. Zgodnie z regulaminem lokalną walutą mogliśmy płacić tylko tam, gdzie razem z nami kupowali miejscowi. W nowo wybudowanym Domu Towarowym Potonggang sprzedawano najróżniejsze artykuły z importu, od lodówek i kosmetyków po jedzenie, wyeksponowane na dwóch piętrach połączonych ruchomymi schodami, będącymi w Korei Północnej rzadkością. Ludzie, którzy robili tam zakupy, wyglądali na zamożniejszych niż ci na ulicach.

Na te wycieczki i z powrotem na kampus byliśmy wożeni pod eskortą, zawsze w grupie. Nigdy nie przekraczaliśmy granic terenu uczelni sami. Czyby mnie zastrzelili, gdybym wybiegła poza bramę podczas joggingu? Czy był tu jakiś posterunek, z którego ktoś cały czas nas obserwował? Nawet w swoim pokoju nigdy nie czułam się swobodnie. Ta ciągła czujność była tak wyczerpująca, że ucieszyłam się, kiedy któregoś wieczora zajrzała do mnie Sarah i powiedziała:

– Chodź, zobaczymy, czy studenci zaproponują nam, żebyśmy zagrały z nimi w nogę!

Koszykówka i piłka nożna, czasami jeszcze siatkówka, były preferowanymi dyscyplinami wśród studentów, z tego oczywistego powodu,

że jedynym sprzętem niezbędnym do gry była piłka. Zbierali się po kolacji i grali albo na cementowym boisku do koszykówki koło swojego akademika, albo na trawiastym boisku na środku kampusu. Nie mieli piłkarskich ani koszykarskich koszulek, więc dzielili się na drużyny tych w koszulkach i tych bez. W gorące lipcowe wieczory grali z zapalem, jakiego u nich nie widziałam w żadnej innej sytuacji. Pokrzykiwali na siebie w żartach, wybuchali śmiechem, pocili się i poruszali z niepowtarzalnym wdziękiem i pięknem właściwym młodości. Często siadałam na kamieniu w pobliżu boiska, żeby im się przyglądać. Na horyzoncie zachodziło słońce, tak wolno, że czasami wydawało się, że nawet ono ma tu inny rytm, jak dym unoszący się powoli znad widocznej w oddali wieży. Ten dym w takie wieczory wyglądał równie eterycznie jak te poruszające się ciała i na chwilę zapomniałam o wszystkich tematach tabu, o których nigdy nie rozmawialiśmy, i o sekretach kryjących się wszędzie na kampusie. Widziałam tylko ich rozzwierającą serce młodość i energię i chciałam, żeby mogli mieć cały świat, ten, którego im odmawiano przez dwadzieścia lat ich życia, bo żaden z nich nie miał pojęcia, że kiedy ich ciała prężyły się i skakały, ich umysły stały w zupełnym bezruchu na tym boisku na kampusie zamkniętym na głucho, gdzieś poza czasem.

Tego wieczora przeszliśmy obok nich z Sarah i kręciliśmy się w pobliżu, czekając na zaproszenie, aż jeden z nich zapytał:

– Pani profesor, czy chciałaby pani z nami zagrać?

Sarah uśmiechnęła się szeroko i odparła:

– Tak!

I to wystarczyło.

O dziwo, odpowiednicy, których na pewno o tym poinformowano, nigdy jej tego nie zabronili. Zanim się obejrzałyśmy, wieczorne mecze ze studentami stały się dla Sarah rytuałem. Grała w piłkę w college'u, zaledwie

kilka lat wcześniej. Przy swoim wzroście – niecałe metr sześćdziesiąt – z błękitnymi oczami, ciemnoblond włosami zawsze związanymi w koński ogon i piegami na dziecięcej twarzy wyglądała jak cicha, pobożna wiejska dziewczyna, ale na boisku walczyła z dziką zawziętością, była szybka i niesamowicie wytrzymała. Zrobiła na chłopakach wrażenie. Nie byli przyzwyczajeni do grania z dziewczynami. Ale to nie była zwykła dziewczyna, tylko jedna z pierwszych cudzoziemek, jakie poznali. W dodatku ich wykładowczyni. Był to dla nich powiew nowości i nie lada atrakcja, więc Sarah stała się minigwiazdą na kampusie. Kilku innych nauczycieli, ze mną włącznie, czasem też przyłączało się do gry, ale nie z aż taką wprawą.

Podczas jakiejś przerwy w meczu Sarah podeszła do mnie i powiedziała:

– Och, dobrze się tu teraz czuję, naprawdę dobrze, mogłabym sobie wyobrazić mieszkanie tutaj.

Chłopcy musieli się poczuć równie rozluźnieni, bo kilku, którzy stali przed dużym szarym budynkiem po drugiej stronie drogi, podeszło bliżej, żeby też popatrzeć. Mieli na sobie takie same mundury, w jakim kilka dni wcześniej widzieliśmy Choi Min-juna na kolacji.

– Dlaczego jesteście tak ubrani? – zapytałam mimochodem.

– Mamy wartę przed naszą Halą Kimirsenu – odparł jeden.

Jak się dowiedziałam, studenci na zmianę, po sześciu, stali na straży przed tym dużym, surowym budynkiem przez całą noc, od kolacji do śniadania. Nie wyobrażałam sobie, co takiego mogłoby być w środku, czego by trzeba było strzec. Najwyraźniej chodziło o samą demonstrację ich oddania i poświęcenia. Tajemnica munduru okazała się wcale nie taka tajemnicza, więc dlaczego niektórzy z nich tak bardzo bali się nam ją wyjawić?

## 6

World Wide Web, ogólnoswiatowa sieć, nie jest tak naprawdę ogólnoswiatowa, jak się okazało. Nikt z nas nigdy się nawet o niej nie zająknął. Kilku studentów, których przeniesiono z Politechniki imienia Kim Czheka, mówiło, że z poprzedniej szkoły najbardziej brakuje im elektronicznej sieci łączącej wszystkich studentów. Zrozumiałam, że mówią o swoim intranecie, mocno ocenzonej sieci dającej im dostęp tylko do wcześniej pobranych informacji i stron będących pod państwową kuratelą.

Nie wolno mi było im powiedzieć, że ich intranet nie jest tym samym, co internet – że reszta świata jest podłączona do sieci, z której oni pozostają wykluczeni. Szukałam znaków świadczących o tym, że chociaż jeden z nich odgadł prawdę, ale żadnych nie zaobserwowałam. Gdybym nigdy nie korzystała z www, czy potrafiłabym sobie coś takiego wyobrazić? Nawet gdyby ktoś mi ten system opisał, nigdy nie byłabym w stanie go pojąć.

Zapytałam niewinnie, czy mogą się komunikować z rodzicami poprzez tę sieć elektroniczną, na co odpowiedzieli: „Nie, tylko przez telefon, czasami”. A czy ich rodzice umieją obsługiwać komputer? Większość stwierdziła, że ich ojcowie tak, ale matki nie. Jeden powiedział, że jego ojciec jest urzędnikiem rządowym, więc dobrze się zna na komputerach, a inny oświadczył, że jego ojciec, jako lekarz, też potrafi je obsługiwać.

Wszyscy słyszeli na swoich poprzednich uczelniach o Billu Gatesie, ale



chciałam im opowiedzieć o Marku Zuckerbergu, który w ich wieku zrewolucjonizował sposób, w jaki się komunikujemy. Ależby im się spodobała lekcja o chłopaku geniuszu i jego wynalazku – Facebooku, magii łączenia ze sobą ludzi na całym świecie! Czasami snułam fantazje o tym, że przemycam film *Social Network*, robię napisy i potajemnie rozprowadzam go w studenckim akademiku, ale nie byłam superbohaterem i mogłam się tylko uśmiechać, kiedy mi opowiadali o swoim niesamowitym intranecie, nad naszymi tacami z mdłym kimchi i ryżem.

W drugim tygodniu, za zgodą odpowiedników, wykładowcy zaczęli wprowadzać różne gry towarzyskie – quizy, konkursy ortograficzne, kalambury. Od razu uderzył mnie ich zdumiewający brak ogólnej wiedzy o świecie. To byli najbystrzejsi studenci w Korei Północnej, jednak na zdjęcia siedziby ONZ, Tadź Mahal czy piramid w Gizie patrzyli z niezbyt mądrymi minami, nie mając pojęcia, co przedstawiają. Kilku osobom udało się odgadnąć nazwy i położenie wieży Eiffla oraz Stonehenge, ale dopiero po długotrwałym jękaniu się i płątaniu. Prawie nikt nie wiedział, jaki kraj pierwszy wysłał ludzi na Księżyc, mimo że specjalizowali się w naukach ścisłych. Większość nie miała pojęcia, w którym roku wynaleziono komputery; dopiero po długich naradach jedna z drużyn zaryzykowała odpowiedź: 1870.

Jednocześnie wszyscy wiedzieli, że Alaskę sprzedano Stanom Zjednoczonym za absurdalnie niską cenę 7,2 miliona dolarów – żywy przykład amerykańskiego imperializmu. I chociaż angielskie słownictwo mieli opanowane w różnym stopniu, jedno określenie znali wszyscy: *brain drain*, „drenaż mózgow”. Czy reżim tak bardzo się bał, że członkowie elity będą uciekać z kraju, że wpoił im ten termin? Kiedy chciałyśmy robić razem ze studentami origami, okazało się, że potrafią składać z papieru tylko samoloty wojskowe.

Oczywiście w odpowiedzi na dowolne pytanie dotyczące ich kraju – na przykład kiedy wystrzelono w kosmos ich pierwszego satelitę Kwangmyŏngsŏng-1 (wydarzenie, którym KRLD lubiła się chwalić, chociaż reszta świata uznała je za porażkę) – wszyscy wykrzyczeli dokładny dzień i rok.

Lubili gry, w których rywalizowały ze sobą poszczególne grupy, może dlatego, że wszystko robili w grupach. W grupach przychodzili na stołówkę i w grupach mieszkali na przydzielonych im piętrach. Uprawiali wyłącznie sporty drużynowe, a kiedy wspomniałam, że lubię tenisa, właściwie nie zareagowali. Wiedzieli, że taka dyscyplina istnieje, ale nic poza tym. Podział na grupy i uszeregowanie w hierarchii – to znali. Indywidualne działanie było nie do pomyślenia.

Wszędzie dominował duch wspólnoty. Nawet kiedy rywalizowali, pomagali sobie wzajemnie. Podczas quizu z wiedzy ogólnej dla całego pierwszego roku, który odbywał się w jednej z większych sal, niektórzy podpowiadali szeptem innym. Konkursy ortograficzne, polegające na literowaniu trudnych wyrazów, były prawie niemożliwe, bo jeśli ktoś utknął na jakimś słowie, cała grupa mu pomagała, podpowiadając bezgłośnie właściwą pisownię.

Kiedy studentom z grupy 4 wreszcie udało się wygrać quiz, ich radość nie miała granic, bo zawsze byli najsłabsi, na przegranej pozycji. Gdy weszliśmy z Katie do sali, żeby im pogratulować, wszyscy wstali i zaczęli klaskać, wyrażając w ten sposób swoją wdzięczność, co nas obie wzruszyło do łez. Grupa jeszcze długo nie mogła się uspokoić i trwała w euforii. To były wspaniałe chwile. Czasami zastanawiam się, czy oni też któregoś dnia będą wspominać to letnie popołudnie, kiedy byli młodzi, wygrali quiz, cieszyli się i wiwatowali z dwiema nauczycielkami z Ameryki, które popłakały się ze szczęścia.

Po pewnym czasie zaczęłam zauważać u nich wiele dziwnych zwyczajów. Na przykład nie lubili odpowiadać z własnej inicjatywy podczas zajęć. To byli świetni studenci. Przygotowywali się tak dokładnie, że często sprawdzanie ich pracy domowej nie miało sensu. Marginesy podręczników zapisywali mnóstwem notatek. A jednak wahali się, zanim podnieśli rękę. Kiedy wzywałam ich imiennie, natychmiast wstawali i odpowiadali, ale zgłaszanie się na ochotnika najwyraźniej było dla nich czymś obcym.

Studenci czuli się także zbici z tropu zaimkiem „mój”. Mówiąc o Pjongjangu, nigdy nie używali określenia „moje miasto”, tylko „nasze”. KRLD nigdy nie była „moim” krajem, zawsze „naszym”. Właściwie do nazw „Pjongjang” i „KRLD” za każdym razem doklejali przydawki „nasz”, „nasza”: „nasz Pjongjang”, „nasza KRLD”. Nawet kiedy przeprowadziłyśmy specjalną lekcję na temat różnicy między zaimkami „mój” i „nasz”, a także wyjaśniłyśmy, że przy nazwach własnych mogą „nasz” zupełnie opuścić, wydawali się zdezorientowani.

Wyraźnie bali się też przychodzenia do wykładowców na dyżury. Sprawa wynikła z tego, że już w drugim tygodniu nauki grupa 4 miała zaległości, więc, jak nam powiedziano, odpowiednicy kazali nam zapewnić jej dodatkową pomoc. Kiedy jednak ustaliłyśmy z Katie dyżur dla tych, którzy potrzebują korepetycji, nie mogłyśmy przekonać żadnego ze studentów, żeby się na tym dyżurze pojawił, choćbyśmy prosiły i błagały. Nie rozumieli, czym taki dyżur jest, i uważali go za karę. Zdawałyśmy sobie także sprawę, że bali się myśli o przebywaniu z nami sam na sam, więc pozwoliłyśmy im przychodzić w parach. Mimo to jeden ze studentów nalegał: „Bardzo proszę, czy może pani powiedzieć mi to w klasie?”. W końcu oznajmiłyśmy, że przychodzenie na dyżur jest obowiązkowe, a oni podporządkowali się bez szemrania.

W tym drugim tygodniu część nauczycieli wezwano do gabinetu doktora

Josepha, naszego łącznika z odpowiednikami. Na jego biurku leżały karteczki, których charakter wzbudził wątpliwości odpowiedników. Domagali się informacji na ten temat. Na karteczkach wypisane były komunikaty w rodzaju: „Miejsce, gdzie rośnie ciasto”. Były to wskazówki do zaplanowanych na popołudnie wspólnych zajęć dla wszystkich grup – zabawy w poszukiwanie skarbów, w ramach której mieliśmy ukryć wskazówki i obrazki w różnych miejscach na kampusie. Obrazki były niewinne, wydrukowane przez nauczycieli z internetu – przedstawiały słońce, księżyc i dość przypadkowo wybrane przedmioty. Każdy student miał dostać coś w rodzaju karty wyników z polami do wypełnienia, w których trzeba było narysować obrazek znaleziony w danym miejscu. Chociaż sama zabawa została wcześniej zaaprobowana przez odpowiedników, wściekli się, że nie przynieśliśmy im do zatwierdzenia obrazków oraz wskazówek, i żądali wyjaśnień co do znaczenia każdej z nich.

Doktor Joseph był wyraźnie zdenerwowany. Dostał od odpowiedników reprimendę. My z kolei spanikowaliśmy, bo nie mieliśmy przygotowanych żadnych innych zajęć na to popołudnie. Co gorsza baliśmy się, że odpowiednicy nie pozwolą nam już na więcej takich grupowych zabaw. Obiecaliśmy przedstawić im szczegółowe wyjaśnienie wskazówek i czym prędzej zastąpiliśmy poszukiwanie skarbów pokazem filmu dokumentalnego.

W ten sposób zamiast odkrywać pochowane wskazówki i obrazki, studenci obejrżeli *Marsz pingwinów*. Z wyborem nie mieliśmy problemu: dozwolone były tylko filmy przyrodnicze i animowane, a *Marsz pingwinów* został już zatwierdzony. Niestety sale lekcyjne zaprojektowano w taki sposób, że wyświetlanie filmu na ścianie nie było proste. Boczne ściany miały okna, a na przedniej i tylnej znajdowały się tablice oraz portrety i złote myśli dwóch Wielkich Przywódców, których nie wolno było ruszać. W całej szkole nie dało się znaleźć pustej ściany, nieprzystrojonej ich podobiznami.

Setka studentów pierwszego roku zebrała się więc w jednej z większych sal lekcyjnych, żeby obejrzeć film w o połowę zmniejszonym formacie.

Dokądkolwiek poszliśmy, Przywódcy też tam byli. Zastanawiałam się, co się stanie, kiedy Kim Dzong Il umrze i władzę przejmie Kim Dzong Un, nie wiedząc, jak bliski jest ten dzień. Czy na każdej ścianie w kraju zawiśnie trzeci portret? Czy będą musieli zdjąć niektóre z obrazów przedstawiających ojca i syna, żeby zrobić miejsce dla wnuka? Przesunąć niektóre ze sloganów i dowiesić także jego sentencje? A co z piosenkami? Co z książkami? Z posągami z brązu? Lista nie miała końca, musiały to być szeroko zakrojony projekt. Katie zauważyła, że byłoby im znacznie łatwiej, gdyby mogli po prostu dostawić obraz w Photoshopie, zamiast robić wszystko ręcznie.

Przy posiłkach chłopcy flirtowali z Katie. Park Jun-ho dopytywał się, jakich cech szuka u mężczyzny. Kiedy wymieniła kilka, stwierdził:

– Mam je wszystkie!

Zapytała więc, co jemu podoba się u kobiety.

– Posłuszeństwo – odparł.

Kiedy zadałyśmy im wypracowanie na temat: „Jak skutecznie zdobyć dziewczynę”, niektórzy studenci wydawali się zdumieni. Podeszli do mnie w czasie obiadu i powiedzieli:

– Pani profesor, to dla nas bardzo trudne. Jak możemy o tym napisać? Nigdy nie mieliśmy dziewczyn!

Właściwie byli w wieku studentów trzeciego roku college’u, bo spędzili wcześniej dwa lata na innych uniwersytetach, w większości koedukacyjnych. Z tak dobrym pochodzeniem, wychowani głównie w Pjongjangu, byli jednymi z najlepszych partii w kraju, a jednak opisane przez nich metody zabiegania o względy wymarzonej dziewczyny były niemal dziecinne.

Jeden napisał, że jeśli zobaczysz, jak dziewczyna, która ci się podoba, tonie, powinieneś ją ratować, nawet jeśli nie umiesz pływać, a wtedy ona się przekona, że jesteś miły, i zostanieie parą. Inny – że kiedy pada deszcz, musisz wziąć swoją sympatię pod parasol, jeśli ona nie ma własnej parasolki. Nikt nie zaproponował niczego tak śmiałego jak pójście z dziewczyną do kawiarni czy do kina, ale kilku studentów napisało o umawianiu się w Wielkiej Czytelni Ludowej, ich bibliotece narodowej, więc pomyślałam, że może jest to główne miejsce w Pjongjangu, w którym spotykają się chłopcy i dziewczyny. Kilku opisało swój ideał jako osobę posłuszną, która będzie ich słuchać i zostanie dobrą matką dla ich syna. W końcu żyli w kraju, w którym najważniejszą rzeczą, jakiej dokonała kobieta, było urodzenie Wielkiego Wodza – zupełnie jak Maria Panna. Kim Dzong Suk, żona Kim Ir Sena i matka Kim Dzong Ila, została unieśmiertelniona jako bohaterska rewolucjonistka, należąca do świętej trójcy „Trzech Generałów” (obok swojego męża i syna). Nigdy jednak nawet nie uznano różnych żon Kim Dzong Ila\*. Większość studentów napisała w postscriptum, że tak naprawdę nie interesują się dziewczynami i wolą się uczyć, żeby pomagać w budowaniu swojego potężnego, kwitnącego kraju i napawać dumą Wielkiego Przywódcę, jakby wiedzieli, kto może przeczytać ich słowa.

Niektóre z młodych nauczycielek w mojej grupie były równie niewinne. Sarah opowiadała mi o swojej dawnej miłości, ale w pewnej chwili zorientowałam się, że ta relacja nie wiązała się z żadnym kontaktem fizycznym. Zapytałam, dlaczego uważa, że to była miłość, a nie przyjaźń, ale ona tylko uśmiechnęła się nieśmiało. Katie też mówiła o randkach, zastrzegając jednak, że nigdy nie pozwalała się pocałować. Powtarzała, że dobrze się czuje, będąc sama, bo znajduje spełnienie w Bogu. Zastanawiałam się, czy moi studenci także znajdują spełnienie w swoim oddaniu Wielkiemu Przywódcy.

Pewnego wieczora po kolacji do mojego pokoju zajrzała Sarah. W koszulce z krótkimi rękawami i luźnych piłkarskich szortach wyglądała jak nastolatka. Powiedziała mi, że przed wyjazdem spisała testament. Nie miała pojęcia, jak będzie w Korei Północnej, i zapytała Boga, czy jeśli umrze, wszystko będzie dobrze. Odpowiedział jej, że tak. I wiedziała, że On wskaże jej drogę.

– Chcę, żeby moje życie coś znaczyło – powiedziała, patrząc tęsknym wzrokiem, i przez chwilę poczułam z nią jakieś pokrewieństwo dusz. Dodała, że chciałaby niedługo wyjść za mąż, bo zbliża się do trzydziestki, ale na PUST nie ma dla niej mężczyzn. Gdyby poznała kogoś, kto podzielałby jej marzenia, mogłaby sobie wyobrazić, że się pobierają, przeprowadzają razem tutaj, a ona poświęca życie krzewieniu chrześcijaństwa w Korei Północnej.

Zapytała, czy mam chłopaka. Powiedziałam, że nie jestem pewna, chociaż jest ktoś, kto mi się podoba. Natychmiast pożałowałam tego wyznania – ledwie ją znałam, a ona w końcu była misjonarką. To chyba przez samotność. Z każdym kolejnym dniem czułam się coraz bardziej odizolowana. Dziwne, że byłam tak spragniona kontaktu i więzi z drugim człowiekiem w tej wspólnej przestrzeni, gdzie wszystkie posiłki jedliśmy razem, gdzie każdą sekundę dnia spędzaliśmy w towarzystwie innych. W Nowym Jorku, kiedy pisałam, czasami zaszywałam się na cały tydzień w swoim mieszkaniu, nie widziałam się z nikim i czułam się zadowolona, a jednak tutaj chciałam się komuś zwierzyć, wszystko jedno komu. Przez chwilę miałam wrażenie, że jesteśmy po prostu dwiema przyjaciółkami, które szepczą sobie tajemnice.

– Jaki on jest? Poznałaś go w kościele? – zapytała z uśmiechem w oczach, zniżając głos przy słowie „kościół”.

Odparłam, że nie.

– To ktoś, kto mógłby tu z tobą przyjechać? – spytała. Miała zwyczaj

wyjatkowo szeroko otwierać oczy, jakby była wiecznie zdziwiona.

Wiedziałam, do czego zmierza, i nie podobał mi się obrót, jaki zaczęła przybierać ta rozmowa. Powiedziałam więc tylko:

– Raczej nie.

Jej oczy jeszcze bardziej się rozszerzyły.

– Ale jest chrześcijaninem, tak?

Nie byłam pewna, jak na to odpowiedzieć, bo nie chciałam się odsłaniać, więc odparłam na tyle szczerze, na ile mogłam, opierając się na tym, że mój kochanek był pisarzem:

– Ceni wartości duchowe.

– Ale co, nie wierzy w Jezusa? – ponowiła pytanie Sarah.

Widziałam już początek rozłamu między nami, dezaprobatę w jej oczach. Lubiłam ją i nie chciałam jej stracić. Powtórzyłam więc tylko:

– Ceni wartości duchowe.

Wydawała się zdezorientowana, ale nie zapytała o nic więcej. Nie miała wątpliwości, że tak jak ona też jestem misjonarką, bo dlaczego miałabym pracować za darmo w tym ponurym kraju, jeśli nie z powodu wyższego powołania? A nikt głęboko wierzący nie będzie zainteresowany kumpłowaniem się z niewierzącą.

Obie chciałyśmy, żeby nasze życie czemuś służyło, a jednak ziała między nami przepaść. Jej życiowym celem było służenie Bogu. Bez niego życie traciło sens, a ona równie dobrze mogłaby nie istnieć.

Nie powiedziałam Sarah, że w ciągu tych pierwszych dziesięciu dni dostałam od faceta z Brooklynu tylko jednego maila. „Kiedy wracasz do domu?” – pytał. To wszystko, co napisał. W ogóle nie był wylewny i może czuł się nieswojo, wysyłając maile do tego zakazanego miejsca na drugim końcu świata. Dla kochanków, którzy właśnie się zeszli, dwumiesięczna rozłąka była nieskończenie długa, zwłaszcza że życie moje i jego toczyło się



w zupełnie innym tempie. Od chwili, kiedy przyjechałam do Pjongjangu w wyniku afery podsłuchowej padł angielski tabloid „News of the World”. Do kin wszedł ostatni film o Harrym Potterze – i zdążył zejść z ekranów. W Bombaju doszło do kolejnego zamachu bombowego. Powstało nowe państwo – Sudan Południowy. Amazon ogłosił wejście na rynek nowego tabletu mającego rywalizować z iPadem. Wiedziałam o tym wszystkim, ponieważ byłam jedną z garstki osób w Korei Północnej mających dostęp do wiadomości ze świata. W swoim pokoju zawsze miałam włączony CNN Asia, często z wyłączonym dźwiękiem. Dawniej raczej nie oglądałam telewizyjnych wiadomości, ale tutaj dodawały mi otuchy, były oknem na świat zewnętrzny.

Pewnego wieczora, kiedy sprawdzałam wypracowania, podniosłam wzrok i zobaczyłam na ekranie telewizora Most Brooklyński i Empire State Building. Rozplakałam się. Ogarnęła mnie tak potworna tęsknota za domem, że nie mogłam jej znieść. Zaczęłam chodzić tam i z powrotem po pokoju, chciałam chwycić słuchawkę i zadzwonić do rodziny, ale oczywiście nie mieliśmy telefonów umożliwiających kontakt ze światem zewnętrznym. Nic nie przychodziło do nas, nic nie wychodziło od nas. Panował taki bezruch, że czasem trudno było przyporządkować wydarzeniom konkretne daty.

Zapytałam kiedyś studentów, kiedy nakręcono ich ulubiony serial, *Naród słońca*. Nie mieli pojęcia. Dziesięć lat temu? Dwadzieścia? Myśleli, że chyba około dwudziestu, co mi uświadomiło, że nawet oglądany przez nich z zapalem serial telewizyjny nie był obecnie produkowany. Obaj Wielcy Przywódcy zawsze wyglądali na portretach na późny wiek średni. Nikt nie znał dokładnego wieku Najdroższego Przywódcy, czyli Kim Dzong Una. Dopiero później, kiedy objął władzę, różne media potwierdziły, że ma dwadzieścia dziewięć lat. Północnokoreańskie gazety były wypełnione mglistymi doniesieniami bez konkretnych dat, a podczas jednej z wycieczek

poza kampus widziałam szyldy sklepów z tak archaicznymi słowami jak *namse* (wyraz oznaczający „warzywa”, w Korei Południowej już nieużywany). Cały kraj przypominał językowe i kulturowe Galapagos.

I tak płynął czas – albo i nie płynął – na tym dziwnym kampusie, który wydawał się jeszcze dziwniejszy niż kraj za jego murami. Żeby znaleźć jakąś ostoję, uczepliłam się maila od mojego kochanka. „Kiedy wracasz do domu?” Te cztery słowa pomagały mi wstać, kiedy się budziłam o piątej rano i odsuwałam zasłony, aby stawić czoło nowemu dniu.

– Podobno jesteś pisarką? – Pytanie Sarah wyrwało mnie z zamyślenia.

Dałam się zaskoczyć, ale po chwili odparłam, że owszem, jestem powieściopisarką, ale przyjechałam tu jako nauczycielka. Ku mojej uldze wydawała się usatysfakcjonowana taką odpowiedzią i nigdy więcej nie poruszyła tego tematu.

Niedługo po rozmowie z Sarah odkryłam, że jeden z wykładowców, facet z jakiegoś chrześcijańskiego uniwersytetu w Missisipi, wyszukał nazwiska nas wszystkich w Google. Niektórzy z misjonarzy wydawali się nieświadomi tego, gdzie się znajdują, wręcz naiwni, często zapominając, że nasze łącze internetowe jest stale kontrolowane. Nauczyciel z Teksasu powiedział mi, że wszedł do internetu i usiłował zapłacić za coś przez PayPal, ale płatność odrzucono, bo firma zablokowała użytkowników z krajów objętych międzynarodowymi sankcjami gospodarczymi. Inna nauczycielka wydawała się zaskoczona, kiedy się dowiedziała, że w tym kraju istnieją obozy pracy.

Kiedy Katie usłyszała o tym wykładowcy, który wszystkich wygooglował, spanikowała. Współpracowała wcześniej z organizacjami pozarządowymi pomagającymi uchodźcom z KRLD. Chociaż nic nie mówiłam Katie, też się bałam, że zostałam zdemaskowana. Jak dotąd nikt z naszego zespołu nie zapytał mnie wprost, czy jestem chrześcijanką, może dlatego, że sami nie chcieli się wychylać. Mogłam tylko mieć nadzieję, że odpowiednicy

nie poznają prawdy.

Jednak to, że czasami zapominaliśmy o ostrożności, było zrozumiałe. W końcu nie wychowaliśmy się w atmosferze hiperczułości. Coraz częściej łapałam się na tym, że coś mi się wymyśliło, zwykle przy posiłkach, kiedy prowadziliśmy swobodniejsze rozmowy. Czasem po wszystkich porannych zajęciach zdarzyło mi się coś chlapnąć ze zmęczenia. Kiedy indziej robiłam to celowo.

Któregoś razu rozmawialiśmy o sporcie – wszyscy studenci nieodmiennie się nim pasjonowali. Ciekawiła ich liga NBA, ale jedynym zawodnikiem, którego znali, był Michael Jordan. Ich wiedza nigdy nie była aktualna. Nawet północnokoreańska supergwiazda koszykówki, o której mówili, Ri Myung-hoon – najwyższy koszykarz na świecie, według nich – rzadko grywał od lat dziewięćdziesiątych. Wszyscy twierdzili, że nigdy nie widzieli meczu NBA, ale niektórzy najwyraźniej wiedzieli więcej, niż dawali po sobie poznać. Jeden ze studentów zapytał:

– Kto jest teraz najlepszym graczem?

Czyli wiedział, że Jordan już odszedł ze sportu. Odparłam, że triumfy święci obecnie LeBron James z drużyny Miami Heat. Uznałam jednak, że będę na bezpieczniejszym gruncie, mówiąc o tenisie, więc opowiedziałam im o tym, jak kilka lat temu widziałam mecz dwóch z najwyższej notowanych zawodników, Rafaela Nadala i Rogera Federera, podczas U.S. Open.

– Widziała ich pani osobiście? – zapytał jeden ze studentów z niedowierzaniem.

Mieliśmy nie mówić nic, co można by było uznać za chwalenie się Ameryką, ale chciałam, żeby wiedzieli, że oglądanie wyczynowego sportu na żywo jest jak najbardziej możliwe w całej reszcie świata i nie ma nic nadzwyczajnego w tym, że zawodnicy z Hiszpanii czy Szwajcarii przyjeżdżają do Nowego Jorku, i odwrotnie. Chciałam, żeby wiedzieli, że

nikt nam nie mówi, dokąd możemy iść, a dokąd nie. Wzruszyłam więc ramionami i odparłam:

– Oczywiście, mam tylko czterdzieści pięć minut na stadion metrem z mojego mieszkania, więc chodzę na U.S. Open co roku. – Nic na to nie powiedzieli i nie byłam pewna, czy mi uwierzyli.

Mówiłam też rzeczy w rodzaju: „Tak, nauczyłam się grać w bilard na wymianie studenckiej w Londynie”. Albo: „Jeździłam z plecakiem po Europie, kiedy byłam w waszym wieku”, czy: „Urodziłam się w Seulu i nadal mam tam rodzinę, więc często odwiedzam to miasto”. Nigdy nie zapytali: „Jak było?” albo „Jak jest w Londynie?”, ale wiedziałam, że odnotowali fakt, iż my, nauczyciele, w przeciwieństwie do nich możemy swobodnie podróżować. Ich jedyną reakcją było nagłe milczenie, a wtedy zmieniałam temat, mówiąc coś o Pjongjangu, na co twarze im się rozjaśniały.

Pytali, co widziałam w ich stolicy, i opowiadali mi o innych ciekawych miejscach. Na przykład o Złotej Uliczce, kręgielni połączonej z salą bilardową. Albo Changgangwonie, „punkcie usługowym” z basenem i fryzjerem. Byli też dumni z Pjongjańskiego Krytego Stadionu. Żaden z nich jednak nie dodał do tych opowieści słów, które zwykle towarzyszą radom, jakie miejscowi dają przyjezdnym: „Musi się tam pani wybrać w przyszłym tygodniu” czy „Zaprowadzę panią”. Nikomu nie wolno było nigdzie chodzić z własnej inicjatywy, bez zezwolenia.

Nauczyciele mówili o ewentualnej wycieczce do Kaesŏngu w przyszłym semestrze, więc zapytałam studentów, ilu z nich odwiedziło to miejsce. Kaesŏng był pradawną stolicą Korei, a także kartą przetargową podczas wojny koreańskiej: obie strony zwlekały z podpisaniem zawieszenia broni w nadziei na zdobycie miasta. Ze względu na położenie w pobliżu 38. równoleżnika od 2002 roku Kaesŏng pełni funkcję międzykoreańskiej strefy handlowej. Jest to prawdopodobnie drugie najważniejsze miasto Korei

Północnej po Pjongjangu, oddalone zaledwie o dwie godziny drogi od stolicy, a mimo to tylko jeden z moich studentów widział je na własne oczy. Podczas pobytu na PUST nie mogli odwiedzać swoich rodziców w śródmieściu Pjongjangu, dziesięć czy piętnaście minut samochodem od kampusu.

Wykładowcy mieli podobnie ograniczoną nie tylko swobodę ruchu, ale także łączność ze światem. Joan twierdziła, że jej córka w Stanach sprawdza jej maile, i obiecała ją zawiadomić, gdyby pojawiło się coś pilnego. Katie mówiła, że nie kontaktuje się z nikim poza rodzicami i jej wiadomości składają się tylko z jednego zdania, mającego dać im znać, że wszystko u niej w porządku. Sarah też pisała krótko i do rzeczy. Ja nigdy nie napisałam do rodziców maila z PUST. Moja matka tak się denerwowała i martwiła moim pobytom w Pjongjangu, że ledwie była w stanie na mnie spojrzeć, kiedy wyjeżdżałam. Wysyłałam co tydzień maila z wiadomością: „Jestem bezpieczna”, do mojego szwagra, żeby w ten sposób sprawdzić, co u mojej siostry, a także dać znać reszcie rodziny, że żyję.

Zawsze byliśmy posłuszni. Gdyby znalazł się wśród nas jakiś nieokiełznany buntownik, mógłby próbować przekraść się koło wartowników albo przejść przez mur okalający PUST, ale nikt się na to nie odważył. Ciągła inwigilacja prowadzona przez odpowiedników i opiekunów budziła w nas strach. Wiedzieliśmy, że konsekwencje nieposłuszeństwa będą niewyobrażalne, więc robiliśmy to, co nam kazano.

Potulnie godziliśmy się z naszą sytuacją. Jak szybko staliśmy się więźniami, jak szybko zrezygnowaliśmy z wolności, jak szybko nauczyliśmy się znosić jej utratę w milczeniu, niczym bite i poniewierane dziecko. W tym świecie indywidualne żądania nie istniały, a proszenie o pozwolenie na wszystko było infantylnizujące. Zaczęliśmy więc rozumieć naszych studentów, którzy nigdy nie potrafili niczego zrobić z własnej inicjatywy.

Idea pójścia za głosem serca, chodzenia tam, gdzie nam się podoba, tutaj nie istniała, a ja nie widziałam żadnego sposobu, żeby im przekazać, jakie to uczucie, zwłaszcza że już po tak krótkim czasie przebywania w ich systemie sama straciłam poczucie wolności.

Pod koniec drugiego tygodnia studenci oswoili się już z koncepcją moich dyżurów. Kiedy zarządziłyśmy, że obecność na nich jest obowiązkowa, walili drzwiami i oknami. Pewnego popołudnia, kiedy przygotowywałyśmy się z Katie na ich przyjście, w progu pojawił się pan Ri. Aż do tej pory nie zdarzyło się, żeby któryś z odpowiedników lub opiekunów ni z tego, ni z owego zjawił się w moim gabinecie. Pogawędził z nami niby to niezobowiązująco i powiedział, żebyśmy się nie denerwowały, co oczywiście tylko zwiększyło nasze zdenerwowanie. Następnie usiadł na jednym z wolnych krzeseł i zaczął kartkować leżący na moim biurku podręcznik. Książka została już zaakceptowana przez odpowiedników, więc nie musiałyśmy się niepokoić, a jednak jego zachowanie stwarzało niejasne poczucie zagrożenia. Katie usiadła z boku i zaczęła czytać wypracowania studentów, co wzbudziło we mnie lekką panikę, bo bałam się, czy niektóre z nich nie zdradzają zbyt wiele. Wymieniając więc uprzejmości z panem Ri, wzięłam mimochodem jakiś zeszyt i rzuciłam go na stos papierów piętrzący się przed Katie. Na szczęście moja asystentka od razu zrozumiała i zaczęła udawać, że sprząta na biurku, sprawnie ukrywając stos wypracowań. Pan Ri chyba nic nie zauważył. Dalej przeglądając podręcznik, stwierdził, że angielski jest bardzo trudny. Odpowiedziałam mu po koreańsku prostymi słowami, tak żeby Katie zrozumiała, że powinien przychodzić na nasze zajęcia, jeśli chce się więcej nauczyć, ale, zażartowałam, musiałby wtedy odrabiać prace domowe. Moje zaproszenie przyjął chyba z zadowoleniem. Trudno było uwierzyć, że zaledwie trzy lata wcześniej płakaliśmy razem na lotnisku. Jeśli to pamiętał, nie dawał tego po sobie poznać, a ja oczywiście

nigdy o tym nie wspomniałam. W tym świecie nie mogliśmy sobie pozwolić na sentymentalne refleksje nad wspólną historią.

Zauważyłam przy drzwiach kilku studentów, którzy, widząc pana Ri, szybko się cofnęli. Były to najbardziej gadatliwe i śmiałe chłopaki w grupie, więc dziwnie było patrzeć, jak sztywnieją na jego widok. Nawet Park Jun-ho, ten o wiecznie śmiejących się oczach i szelmowskim uroku, wyglądał na zdenerwowanego. Pan Ri chyba chciał jeszcze się u nas pokręcić, ale postawiłam sprawę twardo.

– Moi studenci nie mogą się skupić w pana towarzystwie – powiedziałam z uśmiechem, a on zaśmiał się z zakłopotaniem i wyszedł.

Chłopcy natychmiast wyraźnie się rozluźnili. Wkrótce pojawili się kolejni i zanim się obejrzałyśmy, gabinet zaroił się od studentów. Niektórzy mieli pytania dotyczące podręcznika, ale większość chciała po prostu pogadać.

– Swobodna rozmowa po angielsku! – nalegali.

Kiedy Katie opowiadała im historię o tym, jak podpaliła swoją kuchnię w Chinach, próbując upiec kurczaka, zastanawiałam się, co ja mogłabym im opowiedzieć, ale prawie wszystko, co dotyczyło mojego życia, było tematem tabu. Zamiast więc otworzyć się przed nimi, wróciłam do tematu ich ostatniej pracy domowej, „Jak skutecznie zdobyć dziewczynę”, i zapytałam, czy w ich społeczeństwie ludzie nadal uznają koncepcję aranżowanych małżeństw. Odparli, że tak, niektórzy, ale oni sami wolą ideę pobierania się z miłości. Jednak tak naprawdę o tym nie myślą, bo kobiety zazwyczaj wychodzą za mąż w wieku dwudziestu siedmiu lat, a mężczyźni koło trzydziestki. Prawdopodobnie wynikało to z tego, że większość mężczyzn musiała odsłużyć dziesięć lat w wojsku, zaczynając w wieku siedemnastu lat, chociaż moi studenci byli z tego obowiązku zwolnieni, jak większość dzieci elity. Zapytali, jak to wygląda w Ameryce, więc im powiedziałam, że nie ma aranżowanych małżeństw, ale niektórzy poznają się dziś przez komputer.

Ugryzłam się w język w połowie zdania, zanim zdążyłam wymówić słowo „internet”. Nie mogąc wyjaśnić im, czym są portale randkowe, ani rozmawiać swobodnie, tak jak sobie życzyli, nie miałam innego wyboru, niż wrócić do tematu angielskiej gramatyki.

W następną sobotę na stołówce siedziałam przy stoliku z trzema studentami w wartowniczych mundurach khaki, do których widoku zdążyłam się już przyzwyczaić. Studenci wydawali się bardziej odprężeni niż zwykle, a kiedy zapytałam, dlaczego muszą każdej nocy stać na straży przed Halą Kimirsenizmu, odparli, że strzegą ducha swego Wielkiego Wodza. Spytałam, co jest wewnątrz tego budynku. Tylko sale lekcyjne, odrzekli. Właśnie w tym gmachu znikali późnym popołudniem, żeby studiować dzucze, więc przyszło mi do głowy, że jest dla nich trochę jak kościół.

Kiedy wyobrażałam sobie najróżniejsze pożyteczniejsze sposoby, w jakie ci młodzi ludzie mogliby spędzać sobotnie wieczory, Kang Sun-pil dodał:

– Ale to w ogóle nie jest męczące. Na warcie stoi nas sześciu. Zmieniamy się. To naprawdę nie jest trudne. Dla zabicia czasu czytamy i uczymy się angielskiego, a jeśli będziemy znać angielski, będziemy mogli lepiej służyć naszemu krajowi i naszemu Wielkiemu Generałowi Kim Dzong Iłowi.

Powiedział to tak jasno i wyraźnie, że popatrzyłam na niego z niedowierzaniem. Do tej pory Sun-pil siedział na zajęciach cicho jak trusia, prawie go nie zauważałam, ale w tej chwili nie mogłam się pozbyć myśli, że jeśli kiedyś z czymś się wyrwę, on na mnie doniesie. Spojrzałam na pozostałych dwóch siedzących przy stole. Nagle przestałam im wszystkim ufać. Te momenty zwątpienia były jak trucizna. Nie wiedziałam, kim oni właściwie są, i czułam się jak matka panicznie bojąca się własnych dzieci. Obrzydliwe uczucie. Ale wtedy któryś z nich mówił coś uroczonego i jakoś się z tego otrząsałam.



Chcąc zmienić temat, powiedziałam, że wykładowców zabrano tego dnia na wycieczkę. Kiedy usłyszeli, że widziałam ich metro, od razu zgadli, że byłam na stacjach Buheung (Odrodzenie) i Yunggwang (Chwała), przystankach wyznaczonych dla turystów, które mi pokazywano podczas każdej wizyty w Pjongjangu. Wspomniałam też, że zaprowadzono nas do Wielkiej Czytelni Ludowej. Na te słowa Ryu Jung-min nagle nadstawił uszu i zapytał, czy widziałam tam jakichś studentów. Wbił we mnie wzrok, więc zorientowałam się, że to ważne pytanie. Chcąc zyskać na czasie i zastanowić się, co może z niego wynikać, poprosiłam, żeby je powtórzył.

– Byli tam tacy studenci jak my? Studenci uniwersytetu? – zapytał.

Po namyśle doszłam do wniosku, że nie przypominam sobie ani jednego studenta w ich wieku.

– Nie, wszyscy wyglądali na trochę starszych – odparłam powoli. – Mogli mieć może około dwudziestu pięciu lat. Więc chyba nie było tam studentów uniwersytetu.

– Kiedy pani tam była? – włączył się inny student. – Może rano i wszyscy studenci byli na zajęciach? W Wielkiej Czytelni Ludowej prowadzone są różne zajęcia, darmowe, wszystko dzięki trosce naszego Wielkiego Generała Kim Dzong Ila.

Chociaż pokazano nam dwie pełne energii grupy podczas zajęć, nie przypomniałam sobie, że bym widziała wśród uczestników studentów college'u, może poza kilkoma młodymi kobietami. Kiedy powiedziałam o tym chłopakom przy stoliku, wszyscy wyglądali na zaniepokojonych.

Później tego samego wieczora doszłam do wniosku, że rozumiem, dlaczego studenci byli tacy dociekliwi i tacy spięci. Jung-min i pozostali prawdopodobnie mieli tak niewielki kontakt z kimkolwiek poza murami uniwersytetu, że nie wiedzieli, gdzie są ich koledzy. Kiedy pytałam ich, czy korespondują ze swoją rodziną i znajomymi, nigdy nie odpowiadali wprost.

Jeden twierdził, że dzwoni do rodziców, kiedy za nimi tęskni, ale na moje pytanie, czy w akademiku jest telefon, nic nie odpowiedział. Inny wspomniał, że czeka na paczkę od siostry, a kiedy zapytałam, czy pisze też do rodziców, zamilkł. Podejrzywałam, że ich kontakty z rodziną są sporadyczne. Albo, jeśli mieli jakiś sposób, żeby porozumieć się z bliskimi – niektórzy mogli mieć telefony komórkowe – bali się rozmawiać swobodnie, bo wiedzieli, że mogą być podsłuchiwani.

W pytaniu Jung-mina uderzyło mnie jednak coś jeszcze. Chciał wiedzieć, czy widzieliśmy jakichś studentów w tym miejscu w Pjongjangu, w którym się zwykle zbierali. Nie widzieliśmy żadnego. Czy to możliwe, że PUST rzeczywiście był wówczas jedyną działającą uczelnią w całej Korei Północnej, tak jak powiedział nam prezes Kim? I czy zamknięcie uniwersytetów miało coś wspólnego z tym, że Kim Dzong Il podupadał na zdrowiu i być może szykowała się zmiana władzy? Nasi studenci byli śmietanką tego społeczeństwa. Oczywiście ich by nie wysłano na roboty budowlane, tak jak reszty, tylko tutaj, do szkoły z internatem w obrębie ich własnego miasta, gdzie mogli ćwiczyć angielski i przeczekać polityczną burzę. Czy w takim razie nasze zadanie polegało na zapewnieniu synom północnokoreańskiej elity tymczasowego azylu?

---

\* Kiedy w 2012 roku Kim Dzong Un pokazał się publicznie z żoną, uznano to za radykalne zerwanie z tradycją.

## 7

Pewnego dnia po południu jak zwykle jadłam obiad z trzema studentami. Właśnie kończyłam, kiedy do mojego stolika podbiegła Katie i poprosiła o kilka słów na osobności. Nie było takiego miejsca, w które mogłybyśmy pójść, żeby nikt nas nie podsłuchał, więc postanowiłyśmy przespacerować się po kampusie, mając nadzieję, że będzie to wyglądało tak, jakbyśmy chciały rozprostować nogi i omówić dzisiejszą lekcję. Tylko na spacerze mogłyśmy rozmawiać swobodnie. Żeby nie wzbudzać podejrzeń, co jakiś czas zatrzymywałyśmy się i robiłyśmy sobie zdjęcia.

Katie wpadła w panikę z powodu rozmowy z jednym ze studentów przy jej stoliku. Chłopak zapytał, czy może się przysiąść, chociaż nie należał do żadnej z naszych grup. Czasami studenci tak się palili do ćwiczenia angielskiego, że kiedy nie mogli usiąść na stołówce z własnymi nauczycielami, podchodzili do innego wykładowcy, którego zobaczyli w pobliżu. Nie było ustalonych reguł co do jedzenia tylko z tymi, których się uczyło, więc od czasu do czasu siadałyśmy przy obiedzie czy kolacji z nieznanymi sobie studentami.

Rozmowa zaczęła się dość niewinnie, od pytania studenta, dlaczego wyższe kształcenie w Stanach Zjednoczonych nie jest darmowe tak jak w Korei Północnej, co umożliwił ich Wielki Wódz. Nie było w tym pytaniu nic zaskakującego. Podczas moich poprzednich wizyt też się z nim

spotkałam, więc doszłam do wniosku, że reżim musi podawać kosztowny system kształcenia wyższego w Ameryce za przykład klęski kapitalizmu.

Katie powiedziała mi, że starała się wyjaśnić system stypendiów i kredytów, a także znaczenie szkół prywatnych i publicznych, ale wiedziała, że nie powinna rozmawiać na ten temat i zaczęła się denerwować. Student jednak drążył dalej. Na PUST po raz pierwszy w życiu spotkał się ze słowem „podatek” – było wspomniane w jednym z jego podręczników – i nie potrafił zrozumieć, o co w tym chodzi.

– Co to takiego są te „podatki”? – dopytywał się. – Dlaczego ludzie płacą te pieniądze rządowi?

Katie próbowała mu wytłumaczyć, ale utknęła, nie wiedząc, co powinna, a czego nie powinna mówić. Martwiła się teraz, że może student ją podpuszczał i napisze na nią donos. Okrążyliśmy kampus kilka razy, zastanawiając się, jak najlepiej poradzić sobie z tą sytuacją.

W końcu postanowiłyśmy, że usiądę na stołówce z dociekliwym studentem, żeby się zorientować, czy Katie ma powody do niepokoju. Przy następnym posiłku pokazała mi go palcem, a ja podeszłam i zapytałam, czy mogę się przysiąść. Wydawał się zaskoczony i zadowolony. Przedstawił się: Ryu Ji-hoon. Dobrze mówił po angielsku, więc może był studentem drugiego roku.

Towarzyskie pogaduszki go nie interesowały. Kiedy tylko usiedliśmy, powiedział, że jeden z jego nauczycieli twierdził, iż zarówno ludzie, jak i zwierzęta są zdolni do kreatywności. On natomiast uważa, że tylko ludzie potrafią być twórczy. A co ja sądzę na ten temat? Nigdy wcześniej się nad tą kwestią nie zastanawiałam i przyznałam mu się do tego. Powiedziałam, że nie jestem pewna, ale na przykład delfiny są znane z dużej inteligencji. Czułam jednak, że właściwie moja odpowiedź szczególnie go nie interesuje, bo szybko przeszedł do następnego tematu.

– Słyszała pani *Pieśń Generała Kim Dzong Ila*? – zapytał.

– Tak – odparłam ostrożnie.

– Co pani o niej myśli? – wypalił prosto z mostu.

Zamarłam. Całkowita szczerłość nie wchodziła w grę, ale chciałam mu udzielić prawdziwej odpowiedzi, w miarę możliwości. Odparłam więc:

– Ty i ja pochodzimy z krajów o różnym ustroju. Amerykanie mają swój hymn narodowy. Wielka Brytania ma swój, Korea Południowa też. Jak rozumiem, ten utwór jest właściwie waszym hymnem narodowym, i to szanuję.

Zastanawiał się przez chwilę nad moją odpowiedzią. Tymczasem dwaj pozostali siedzący z nami studenci wyglądali na zdenerwowanych i nic nie mówili, aż w końcu jeden z nich zapytał o coś związanego z piłką nożną. Ale naszego dociekliwego studenta to nie powstrzymało i wystrzelił kolejne pytanie:

– Zgromadzenie narodowe... niech mi pani o nim opowie.

– Zgromadzenie narodowe? Które? Czyje? – odparłam, z lekka spanikowana. – Chodzi ci o Koreę Południową? Czy o amerykański Kongres? W każdym kraju inaczej to wygląda, więc trudno powiedzieć.

Nie dał się tak łatwo zbyć.

– Wszystko jedno w jakim kraju. Niech mi pani wyjaśni ogólną ideę. Jest pani Amerykanką, więc niech mi pani powie, jak to działa w Ameryce – poprosił, patrząc mi w oczy.

Niepewna, ile mogę mu zdradzić, wzięłam głęboki wdech i odpowiedziałam najprościej, jak umiałam. Poinformowałam go, że Stany Zjednoczone składają się z pięćdziesięciu stanów i że ich mieszkańcy wybierają reprezentantów do Kongresu. Mamy też wyłanianego w wyborach prezydenta, który musi współpracować z kongresmenami, żeby uchwalać ustawy. Zatem *de facto* to ludzie, mieszkańcy Stanów, podejmują decyzje.

– Ale moim zdaniem to prezydent powinien decydować – odpalił. – To on ma władzę, prawda?

Chyba w tym momencie zamknęłam oczy. Poczułam, że miękną mi kolana. Może życie wśród żarliwych misjonarzy obudziło we mnie uczucia religijne, bo zaczęłam się modlić w duchu do kogokolwiek i gdziekolwiek, żeby dał mi siłę, żeby powiedzieć prawdę. Właśnie przed takimi rozmowami nas ostrzegano. Wiedziałam, że ten student może usiłować zastawić na mnie pułapkę albo, co gorsza, że mogę go wpędzić w poważne kłopoty.

– To jest tak – powiedziałam ostrożnie. – Na przykład w tej szkole twarzą PUST jest prezes James Kim, ale prawdziwa władza nie należy do niego ani nie powinna należeć. Cała ta uczelnia jest dla studentów, nie dla prezesa Kima. W naszym systemie jest tak samo. Nasz kraj nie jest dla prezydenta, tylko dla narodu, dla ludzi. Prezydent jest tylko twarzą, symbolem, ale prawdziwa władza należy do ludzi. To ludzie podejmują decyzje.

Właśnie opisałam – mniej więcej – demokrację. Nie mogłam odczytać wyrazu jego twarzy, ale zaraz po tych moich słowach powiedział:

– Dziękuję, pani profesor. Nie chcę zabierać pani zbyt wiele czasu. Kolacja z panią to była dla mnie przyjemność.

Tego wieczora znów kilka razy okrążyliśmy z Katie kampus, dyskutując o naszych rosnących obawach co do motywów dociekliwego studenta. Może chciał z nas coś wyciągnąć, bo miał dostać jakąś nagrodę za informacje na nasz temat.

– No to co? – rzuciła Katie. – W najgorszym razie mogą nas deportować. No to nas deportują i odeślą do domu, nic nam się nie stanie. Ale co jeśli to nie o to chodzi? Co jeśli on jest autentycznie ciekawy?

Ten drugi scenariusz obie nas przygnębił. Co jeśli obudziłyśmy w nim wątpliwości, co jeśli zaczynał sobie uświadamiać, że wszystko, co dotąd wiedział, jest kłamstwem, i że to my trzymamy klucz do prawdy?

Uzgodniłyśmy, że nie możemy już więcej z nim siadać, nawet gdyby prosił.

– Kolacja z nami może go zabić – powiedziała Katie.

Chciałam zbyć tę uwagę jako dramatyzowanie dwudziestotrzylatki, ale wiedziałam, że w jej reakcji nie ma przesady. W Korei Północnej takie konsekwencje były najzupełniej możliwe.

Następnego dnia zdążyłam już prawie skończyć kolację, kiedy podszedł do mnie jeden ze studentów i przysunął sobie krzesło. Usłyszał od kilku kolegów, że twierdziłam, jakoby zwierzęta wykazywały się kreatywnością, i chciał wykazać, że się myłę. Roześmiałam się i odparłam, że nigdy nie badałam inteligencji ani zachowania zwierząt i tylko snułam domysły. Po prostu zwróciłam uwagę, że wiadomo, iż wśród milionów gatunków zwierząt niektóre, na przykład delfiny, są mądrzejsze od innych. Wydawał się tym bardzo poruszony i zauważył, że inteligencja i kreatywność to dwie różne rzeczy, a następnie zaczął opowiadać jakąś długą historię o małpie, mającą dowodzić, że zwierzęta nie potrafią twórczo myśleć. Zebrali się wokół nas inni studenci, którzy dorzucali swoje trzy grosze. Każdy z nich specjalizował się w jakiejś dyscyplinie nauk ścisłych i technicznych, więc mieli dużo do powiedzenia na temat kreatywności zwierząt w porównaniu z kreatywnością ludzi.

– Wszyscy jesteście filozofami, więc niech każdy pozostanie przy swoim zdaniu – powiedziałam w końcu. – My, ludzie, jesteśmy niedoskonali. Zmieniamy się tak szybko, co sekundę, co miesiąc, co rok. Spójrzcie tylko, jak technologia zmienia nasz sposób myślenia o wszystkim. Może badania nad zwierzętami też się zmieniają i nie możemy polegać na odkryciach sprzed wielu lat. Sądzę, że bycie człowiekiem, z rozwijającym się w nieskończoność umysłem, oznacza bycie otwartym. W tej kwestii chciałabym właśnie zachować otwartą głowę.

Czuli się chyba rozbawieni moją odpowiedzią i umiarkowanie usatysfakcjonowani. W pewnej chwili jeden z nich pochylił się w moją stronę i powiedział:

– Jestem współlokatorem Ji-hoona i on jest z panią.

Było to tak niespodziewane, że w pierwszej chwili nie byłam pewna, czy się nie przesłyszałam.

– Ji-hoon jest ze mną? – powtórzyłam z wahaniem.

– Tak, on myśli tak jak pani – odparł nieśmiało chłopak.

Tej nocy nie mogłam zasnąć. Byłam zaniepokojona i wystraszona. Nasze obawy i nadzieje okazały się uzasadnione: nie chodziło o zastawienie na nas pułapki i napisanie donosu – Ji-hoon był spragniony informacji. Może to właśnie dlatego reżim pozamykał uczelnie w całym państwie. Może w pewnych zakątkach tego nieprzeniknionego kraju zaczęły kiełkować jakieś nieśmiałe starania w kierunku obalenia dyktatury – początki północnokoreańskiej wiosny.

Katie mówiła, że Ji-hoon mógłby przez nas zginąć i że nie powinniśmy więcej z nim rozmawiać. Ale jeśli miałybyśmy go unikać, nie podać mu już żadnych informacji, to co ja tutaj w ogóle robiłam?

To rodzice naszych studentów stali za sterami tego kraju, odpowiadali za doprowadzenie go do obecnego stanu, a ci bardzo młodzi ludzie odziedziczą po nich to zadanie. Większość z nich sposobiono do zajęcia najwyższych stanowisk, do pomagania Ukochanemu Przywódcy w trzymaniu ludzi pod butem i w izolacji, ułatwiając mu pozostanie przy władzy. Tak miała się potoczyć ich przyszłość jako potomków klasy uprzywilejowanej. To znaczy – w najlepszym przypadku. A my, jako nauczyciele tych młodych ludzi, mieliśmy uzbroić ich w wystarczającą znajomość angielskiego, by mogli walczyć ze światem, który nauczono ich uważać za wroga.

Aż do tego momentu miałam nadzieję, że może udałoby mi się zmienić



jednego studenta, otworzyć jedną ścieżkę zrozumienia. Jaką jednak przyszłość wyobrażałam sobie dla tego studenta, do którego bym dotarła? Otworzenie tego kraju oznaczałoby poświęcenie życia tych ludzi. Oznaczałoby krew moich cudownych studentów. Przypomniałam sobie twarz Ji-hoona i usiłowałam nie myśleć o straszliwych konsekwencjach. Tak minęła mi ta noc i wiele następnych w Pjongjangu. Akurat tej nocy padał bezustanny, żałobny deszcz. Strach może dopaść nas wszędzie, ale w Korei Północnej towarzyszy mu jeszcze poczucie osamotnienia.

Przestałam próbować zasnąć i włączyłam telewizor. CNN Asia donosiło o ulewnych deszczach w całej Azji Wschodniej, na wschodzie Chin i prawie w całej Korei Południowej.

– A w Korei Północnej? – zapytał prowadzący. Pytanie zabrzmiało niemal beczelnie. Synoptyczka odparła:

– Prawdopodobnie. Padało tam w zeszłym tygodniu, ale samo uzyskanie tej informacji zajęło nam cztery dni, więc po prostu nie wiemy!

Od tej nocy zawsze, kiedy spoglądałam na twarze moich chłopców, myślałam – a potem starałam się zdusić w sobie te myśli – o tym, co ich czeka. Jednym ze słówek, które poznawali na zajęciach, był przymiotnik „ulotny”. Układałam zdanie: „Młodość jest ulotna”, i kiedy patrzyłam na nich, powtarzając je na głos, myślałam, o ile krócej trwa ona tutaj niż w Ameryce. Nie chciałam jednak się nad tym zastanawiać. Za każdym razem, kiedy wyobrażałam sobie ich ponurą przyszłość, otrząsałam się z tych wizji jak najszybciej, żeby móc znieść to, że jestem tu, w tej chwili, i uczę ich angielskiego najlepiej, jak potrafię.

Teraz, kilka lat później, ich twarze wciąż do mnie wracają, jedna po drugiej, i ogarnia mnie matczyne uczucie wobec nich, tych dziwnych dzieci, nieświadomych zewnętrznego świata. Dzieci, które nauczyłam mówić. A jednak mam nadzieję, że zapomnieli wszystko, co w nich obudziłam,

i zostali po prostu żołnierzami reżimu. Nie chcę sobie wyobrazić, co mogło się stać, jeśli zapamiętali moje lekcje i mnie, jeśli zaczęli kwestionować system. Nie mogę znieść myśli, że którykolwiek z moich studentów – moich chłopców, którzy tak gorliwie wołali „Dzień dobry, pani profesor Kim! Jak się pani miewa?” za każdym razem, kiedy wchodziłam do sali – mógł skończyć w jakimś ciemnym, zimnym miejscu, w jednym z obozów pracy istniejących w całej Korei Północnej. Ta myśl wciąż sprawia, że nie mogę w nocy spać.

## 8

Po dwóch tygodniach wykładowcy, uszczęśliwieni, pojechali na pierwszą wycieczkę za miasto, na farmę jabłek oddaloną o pół godziny drogi. Był weekend, ale po obu stronach szosy widzieliśmy ludzi pracujących na polach tak soczyście zielonych, że wyglądały, jakby były pomalowane. Przez chwilę opowieści o wyjałowionej ziemi i nagich górach, o interwencji Światowego Programu Żywnościowego i sankcjach ONZ, potępiającej KRLD za łamanie praw człowieka, wydawały się farmazonami wymyślanymi przez ludzi z nudów albo ze złośliwości. Przez chwilę chciałam wierzyć w to, co miałam przed oczami – nieskazitelny krajobraz i czyste powietrze. Niemal mogłam sobie wyobrazić rodziny z koszami piknikowymi idące zrywać jabłka, ale droga na farmę przez cały czas pozostawała pusta.

W pewnym momencie zobaczyliśmy w oddali coś, co wyglądało jak ciemne chatki ze słomy. Opiekunowie oznajmili, że jest to część budowanego właśnie skansenu dla turystów i że te tereny należały kiedyś do stolicy królestwa Koguryŏ z epoki Trzech Królestw Korei. Przez chwilę poczułam ekscytację, bo przypominałam sobie, jak w szkole w Korei Południowej uczyłam się o tym baśniowym królestwie, przez większość pierwszego tysiąclecia słynącym z jeżdżących konno wojowników i egzotycznych kostiumów. A teraz widziałam te ziemie na własne oczy: wciąż tu były, z niskimi górami ciemniejącymi na horyzoncie i rozciągającymi się przed

nami zielonymi polami.

Potem autobus podjechał bliżej skraju drogi i dostrzegłam idących wzdłuż niej kilkoro ludzi. Mieli upiorne twarze, jakby nie byli karmieni od lat. Chuda jak szkielet kobieta wyciągnęła rękę z paczką papierosów, jakby oferowała ją na sprzedaż pasażerom każdego przejeżdżającego autobusu, chociaż poza naszym żadnego innego nie było. Kiedy mijaliśmy jeden z placów budowy, w polu widzenia pojawili się robotnicy o zapadniętych oczach i policzkach, w łachmanach, z ogolonymi głowami. Wyglądali jak więźniowie nazistowskiego obozu koncentracyjnego. Widok był tak wstrząsający, że obie z Katie wciągnęłyśmy gwałtownie powietrze. Nie mogłyśmy nic powiedzieć ani okazać emocji, bo tuż obok siedział opiekun, ale wymieniłyśmy spojrzenia i Katie wymówiła bezgłośnie słowo, które mnie w tej chwili uderzyło: „Niewolnicy”.

Było dla mnie jasne, że w Pjongjangu mieszka pewna grupa ludzi – należeli do niej moi studenci, przywódcy partyjni, nasi opiekunowie – którzy są dobrze odżywieni, mają zdrową cerę i normalny wzrost, ale oprócz nich jest jeszcze cała reszta, ci, których widywałam z rzadka przez okna autobusu. Podczas weekendowych wyjazdów na zakupy widziałam ich na ulicach, jak ścinali drzewa, zamiatali chodnik albo jechali tramwajem. Często byli kościści, twarze mieli prawie ciemnozielone, czy to wskutek zbyt długiego przebywania na słońcu, czy z niedożywienia, czy jeszcze czegoś gorszego. Zazwyczaj byli niżsi i w ogóle wyraźnie mniejsi. W oczach mieli udrękę. Staruszkowie prawie zawsze szli zgarbieni, a ja zastanawiałam się, czy któryś z nich mógł być bratem mojej matki. Miałyby siedemdziesiąt pięć lat, gdyby jeszcze żył, ale im więcej Korei Północnej widziałam, tym bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że nie mógł przeżyć. Wydawało się, że ci przechodnie należą do zupełnie innej rasy niż moi studenci. Jednak ci, których właśnie minęliśmy tu, za miastem, wyglądali na jeszcze bardziej

wyniszczonych.

Znajdowaliśmy się zaledwie dwadzieścia minut za Pjongjangiem. Jednym ze sloganów porozwieszanych wszędzie w szkole i na budynkach w stolicy było powiedzenie Kim Dzong Ila: „Żyjmy po naszemu”. Dżucze właśnie to oznaczało: życie po swojemu, bez polegania na nikim innym. Ale to „po naszemu” nie wyglądało mi wcale na samodzielność; raczej na życie z krwawicy reszty kraju, bez konieczności jej oglądania. A poleganie tylko na sobie bardziej przypominało totalną izolację. Pomyślałam o *Masce Czerwonego Moru* Edgara Allana Poego, w której książkę i szlachcice zamykają się w zamku, żeby uniknąć zarazy, ale oczywiście zaraza nie zna granic i w końcu wszyscy ulegają jej „zgniliźnie i ciemności”.

Po trzydziestu minutach drogi od wyjazdu z miasta zatrzymaliśmy się przy farmie jabłek. Rozciągały się przed nami niekończące się pola drzewek posadzonych w idealnych rzędach. Nasz opiekun oznajmił, że te setki tysięcy jabłonek są tak wyjątkowe, że owocują już po roku, natomiast drzewa wszędzie indziej dają jabłka dopiero po kilku latach. Sad miał około sześciuset hektarów, ciągnął opiekun, i zbierano z niego trzydzieści tysięcy ton jabłek w stu sześciu odmianach. Zaczynaliśmy się przyzwyczajać do północnokoreańskich hiperboli. Jeden ze studentów powiedział mi kiedyś, że jego poprzednia uczelnia, Pjongjański Uniwersytet Poligraficzny, to jedyna szkoła tego typu w całej Azji i jedna z tylko dwóch na całym świecie – druga miała się mieścić w Niemczech. Kilku innych upierało się, że ich poprzednie uczelnie są najlepsze na świecie w tej czy innej dziedzinie. Podkreślanie, że jedna Korea Północna ma się świetnie, podczas gdy wszystkie inne kraje zostają w tyle, wydawało się niemal obsesją.

Na szczycie wzgórza czekali na nas trzej mężczyźni w mundurach khaki oraz dwudziestokilkuletnia przewodniczka – całkiem ładna, jak wszystkie przewodniczki. W oddali było widać kompleks długich, niskich budynków

z jaskrawoniebieskimi dachami. Jak wyjaśniła przewodniczka, była to przetwórnia, w której krojono i suszono jabłka. Przypomniałam sobie paczkowane przekąski z etykietką mówiącą po prostu „Suszone jabłka”, sprzedawane w supermarkecie Potonggang w stolicy. Poza alkoholem, papierosami i wodą był to jeden z niewielu lokalnych produktów. W przyszłości, powiedziała nam przewodniczka, na farmie będzie się również uprawiać inne owoce, są także plany hodowania tu zółwi.

Następnie przeszła do bardzo długiego opisu dwuletniej historii farmy, w której najważniejszymi wydarzeniami były wizyty Kim Dzong Ila. Jego uwagi dotyczyły między innymi tego, że jabłka są bardzo duże i okrągłe, a on cieszy się, że teraz jego lud będzie jeść jabłka. Przejmował się także warunkami pracy farmerów i dostarczył traktory, żeby przewoziły ich od drzewa do drzewa, a także z domów na farmę. Przesłał nawet każdemu robotnikowi kolorowy telewizor i kazał zapewnić im odbiór sygnału, tak jak w przypadku mieszkańców Pjongjangu. Kiedy wrócił w następnym roku, stwierdził, że jabłka są tak dobre, że szkoda, iż tylko on je ogląda – chciałby podzielić się tym widokiem ze wszystkimi. I tak dalej – przewodniczka nie szczędziła nam szczegółowych relacji o wszystkim, co powiedział Kim Dzong Il, a nawet o tym, gdzie stał, kiedy wygłaszał te słowa.

– Nasz Wielki Generał Towarzysz Kim Dzong Il jest nie tylko najwspanialszy w przewodzeniu naszemu potężnemu i kwitjącemu narodowi, ale świetnie zna się nawet na uprawie jabłek – oświadczyła. Kiedy zaczęła opowiadać anegdotę o włoskim dyplomacie, który odwiedził farmę, oklaskiwał Wielkiego Przywódcę i ofiarował im jeszcze więcej nasion jabłoni, zaczęłam się niecierpliwić.

Na szczęście właśnie wtedy dwie kobiety z naszej grupy zapytały, gdzie mogłyby skorzystać z toalety. Jeden z pilnujących nas mężczyzn miał je zawieźć w tym celu samochodem do wioski u stóp wzgórza. Sama nie

potrzebowałam iść do łazienki, ale postanowiłam wykorzystać tę okazję, żeby uciec przed kolejnymi opowieściami o Wielkim Przywódcy oraz cudownych jabłkach i zobaczyć okolicę na dole. Dwóch opiekunów, oczywiście, pojechało z nami. Wioska składała się ze skupiska pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu domów oraz ogromnego muralu z Kim Ir Senem na szczycie betonowych schodów, co przypominało sanktuarium. Parterowe domy wyglądały identycznie, każdy miał niebieski dach kryty gontem i niewielki ogródek. Opiekunowie zaprowadzili nas do pierwszego z nich i wskazali stojący na podwórku wychodek. Bił z niego tak nieznośny smród, że zaczęło mnie mdlić, już kiedy czekałam w kolejce na zewnątrz. Ponieważ byłyśmy kobietami, opiekunowie zostali jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, po drugiej stronie kamiennego ogrodzenia.

W pewnym momencie otworzyły się drewniane drzwi domu i pojawiła się w nich twarz staruszki. Była tak mała i pomarszczona i brakowało jej tylu zębów, że mogłaby mieć sto lat.

– Kto to? Skąd jesteście, dziewczęta? – zapytała.

To nas zaskoczyło, bo tych paru miejscowych, którzy kiedykolwiek znaleźli się tak blisko nas, zawsze unikało naszych oczu. A ta staruszka wydawała się autentycznie ciekawa. Powiedziałam „dzień dobry” po koreańsku. Niemal natychmiast jeden z opiekunów krzyknął:

– To są goście zwiedzający farmę! Właź do środka, babo! – Ton głosu miał lodowaty, groźny.

Staruszka nawet nie odpowiedziała, tylko od razu zamknęła drzwi. Przyszliśmy na jej podwórko, korzystałyśmy bez pozwolenia z jej wychodka, jednak jej kazano wracać do środka.

Niewolnicy. Znów przyszło mi do głowy to słowo. Przez krótką chwilę poczułam paraliżujący strach i chciałam się wydostać z tego kraju. Bałam się, że tu utknę. Bałam się opiekunów, którzy mogli ot tak kazać staruszce odejść,

i szybkości, z jaką posłuchała rozkazu. Przypomniałam sobie, jak moi studenci zeszywnieli na widok pana Ri. Przerazenie było tu namacalne.

Kiedy wróciliśmy do reszty grupy, nagle wszystkich nas poinformowano, że, ponieważ jest sobota, pracownicy odpoczywają, więc nie możemy zwiedzić przetwórci. W drodze powrotnej autobus pojechał inną trasą i nie mijaliśmy już chudych jak szkielety robotników.

Przy kolacji, kiedy oznajmiłam studentom przy moim stoliku, że zwiedzaliśmy farmę jabłek, wszyscy trzej rozpromienili się i wykrzyknęli:

– Farmę Owocową Daedonggang?

Skinęłam głową. Powiedziałam, że pierwszy raz byłam na takiej farmie, w co nie mogli uwierzyć.

– Jestem dziewczyną z miasta – wyjaśniłam – a w Ameryce nauczyciele uczą, a na farmach pracują farmerzy.

Jeden ze studentów odparł na to:

– To dziwne, ja też jestem z miasta, ale w naszym kraju my wszyscy, nawet studenci, umiemy pracować na farmie.

Studenci oświadczyli z dumą, że ta farma jabłek jest jedenastym cudem *songun\** w ich kraju i że pomagali ją budować. Opowiedzieli mi, że w kwietniu i maju 2009 roku studenci z całego Pjongjangu spędzali każdą niedzielę na kopaniu dołów pod sadzonki drzew, pracując w zespołach. Najwyraźniej wspominali tę pracę z prawdziwą przyjemnością, chociaż jeden z nich przyznał, że była ciężka ze względu na wyjątkowo zimną wiosnę tamtego roku. Zapytałam, czy odwiedzili potem farmę, żeby zobaczyć owoce swojej pracy, a może także ich posmakować. Na chwilę zapadło milczenie. W końcu powiedzieli, że od posadzenia jabłonek już farmy nie widzieli. A przecież leżała niecałe pół godziny drogi od uczelni.

Widząc, że nagle poczuli się skrępowani, zapytałam o pozostałe cuda.



Przyjęli to z ulgą i zaczęli skwapliwie sypać informacjami. Kiedy w 1994 roku Generał Kim Dzong Il przejmował władzę po śmierci Wiecznego Wielkiego Wodza Kim Ir Sena, powiedzieli, cudów było tylko osiem, ale teraz mają ich dwanaście. Pierwszy to wschód słońca nad Baekdu-san (górami Baekdu), gdzie urodził się Kim Dzong Il. Drugi – sosny zimą w bazie wojskowej Dabak, gdzie Kim Dzong Il wpadł na pomysł polityki *songun*. Trzeci – azalie na wzgórzu Chulryong w pobliżu bazy frontowej, często odwiedzanej przez Kim Dzong Ila. Czwarty – nocny widok góry Jangja, gdzie Kim Dzong Il schronił się podczas wojny koreańskiej jako dziecko. Piąty – echo wodospadów Oolim, które Kim Dzong Il nazwał dźwiękiem potężnego i kwitnącego narodu. Szósty – horyzont nad polem Handrebul, miejsce reformy rolnej Kim Dzong Ila z 1998 roku. Siódmy – kwiaty ziemniaka z pól Daehongdanu, gdzie Kim Ir Sen walczył z japońskimi imperialistami, a Kim Dzong Il podtrzymywał rewolucyjnego ducha, zakładając największą uprawę ziemniaków w kraju. Ósmy – widok wioski Bumanli, wychwalanej przez Kim Dzong Ila jako socjalistyczny ideał, który świecił jasno podczas Trudnego Marszu. Dziewiąty – fasola w wojskowym magazynie, której widok cieszył Kim Dzong Ila, bo oznaczał, że jego żołnierze dobrze jedzą. Dziesiąty – plony ryżu w miejscowości Migok, tak obfite, że Kim Dzong Il ogłosił te uprawy wzorem socjalistycznego rolnictwa. Jedenastym była farma jabłek, a dwunastym hodowla ryb w Ryongjungu, w południowej prowincji Hwanghae, z której jesiotry płynęły rojnie w stronę morza, tak jak satelity KRLD, pod przywództwem Kim Dzong Ila, leciały ku niebu. Studenci jednogłośnie zauważyli, że zwiększenie liczby cudów z ośmiu do dwunastu pod przewodnictwem Wielkiego Generała oznacza, iż ich kraj jest potężny i kwitnący i dalej taki będzie.

W takich chwilach jak ta miałam nieodparte wrażenie, że moi ukochani studenci są obłąkani. Albo byli tak przerażeni, że czuli się zmuszeni kłamać

i chwalić się wielkością swojego Przywódcy, albo szczerze wierzyli we wszystko, co mi mówili. Nie mogłam się zdecydować, co byłoby gorsze.

Trzy razy dziennie chłopcy ustawiali się w równe rzędy, dzielili na grupy i maszerowali z akademika do stołówki, skandując piosenki na wojskową modłę. Z każdym dniem coraz lepiej je poznawałam: wszechobecną *Pieśń Generała Kim Dzong Ila* i jeszcze jedną, którą słyszałam tak często, że łapałam się na nieumyślnym nuceniu refrenu: „Bez ciebie nie ma nas, bez ciebie nie ma ojczyzny”. Adresatem utworu, owym „ty”, był Kim Dzong Il.

Kiedyś zapytałam studentów o tytuł piosenki, którą śpiewali tego popołudnia, a oni odparli: *Zwycięstwo 727*. Wyjaśnili, że to na pamiątkę zwycięstwa KRLD nad Stanami Zjednoczonymi 27 lipca 1953 roku. Tego dnia obie Koree podpisały traktat o zawieszeniu broni, a oczywiście samo istnienie rozejmu oznacza, że nie było ani zwycięstwa, ani zwycięzcy, ale nie mogłam powiedzieć tego moim studentom. Jeszcze inna piosenka nosiła tytuł *Dansumae*. Kiedy przetłumaczyłam go jako „Jednym tchem” (Centralna Telewizja Chosun podaje przekład „Bez przerwy”), zamachali rękami, protestując, że to znaczenie dosłowne. Wyrażenie najwyraźniej miało jakieś inne konotacje, bo pamiętałam, że widziałam je jako slogan zawieszony na szczycie kilku różnych budynków w Pjongjangu. Prawdziwy sens, oznajmili studenci, to „podbić i zniszczyć natychmiast”. Jeden z nich stwierdził:

– Znaczy to na przykład, że moglibyśmy zająć Koreę Południową, podbić ją i w jednej chwili zabić wszystkich mieszkańców!

Musiałam wyglądać na zaskoczoną i skonsternowaną, bo drugi chłopak siedzący z nim w ławce miał zakłopotaną minę, a trzeci zaśmiał się nerwowo.

A potem przypomniałam sobie, że wychowano ich w przekonaniu, że wojna z Koreą Południową albo imperialistyczną Ameryką wisi w powietrzu. Dla nich ta groźba była bardzo realna, a przynajmniej tak im mówił ich rząd. I chociaż byli studentami, w ich życiu obowiązywał taki reżim jak wśród

żołnierzy w koszarach. Poza strzeżeniem Hali Kimirsenu i Wiecznej Wieży oraz czyszczeniem jej fasady, przez kilka godzin w tygodniu porządkowali teren kampusu, a także sprząтали sale lekcyjne, łazienki i korytarze. Musieli liczyć łyżki i pałeczki, żeby na pewno żadna nie zginęła. Każda grupa miała dostęp do łaźni, gdzie można było wziąć prysznic i się ostrzyć, tylko w wyznaczonych godzinach, a codziennie rano i po południu gimnastykowali się, także w grupie. W akademiku mieszkali w czteroosobowych pokojach, a w każdym jeden z nich był wyznaczony jako gospodarz odpowiedzialny za utrzymanie porządku oraz morale. Gospodarz pokoju podlegał przewodniczącemu grupy. Hierarchia władzy była jasna.

Zacząłam dostrzegać, że niektórzy z mniej lotnych chłopców trzymali się z bystrzejszymi, którzy nie tylko dzielili z nimi pokój, ale także siedzieli obok nich na zajęciach. Na przykład naiwny Choi Min-jun nie odstępował Park Jun-ho. Prostolinijny Ryu Jung-min siedział z Ri Jin-chulem, który zawsze udzielał starannie przygotowanych odpowiedzi. Te duety, które w pierwszej chwili brałam za bliskie przyjaźnie, z czasem coraz bardziej wyglądały mi na wyznaczone pary, w których jeden student czuwał nad drugim, za czym kryło się coś innego niż zwykła sympatia.

Byli jednak młodzi, więc ich dyscyplina nie była absolutna. To i owo im się czasem wymknęło. Jeden ze studentów przyznał, że żaden z nich nie ma telefonu komórkowego, chociaż jego współlokator szybko dodał, że wszyscy posiadają komórki, tylko dobrowolnie z nich zrezygnowali, zaczynając studia na PUST, żeby móc się skoncentrować na nauce. Inny student stwierdził, że nie widział się ze swoją matką ani z nią nie rozmawiał od trzech miesięcy, to znaczy od przyjazdu na uczelnię w kwietniu. Urwał, jakby żałował, że się do tego przyznał, ale po chwili kolejni studenci zaczęli mówić, że oni także nie mieli kontaktu z rodzinami i przyjaciółmi od tego czasu. Z okien ich akademika było widać śródmieście Pjongjangu. Tak blisko, że niemal dało

się słyszeć odgłosy miasta. Coś takiego jak godziny odwiedzin jednak nie istniało. Ojciec jednego z chłopaków podjechał na kampus, żeby się z nim zobaczyć, ale odprawiono go z kwitkiem. Mógł tylko zostawić kartkę.

Właśnie kiedy zaczęłam czuć, że trochę mniej się przy mnie pilnują, przeczytałam następną partię ich listów, które nagle skupiały się niemal całkowicie na Kim Dzong Ilu. Wszyscy jak jeden mąż z moralizatorskim zapałem wychwalali jego wielkość, którą nazywali „troskliwością”. Jeśli dostali dobry stopień, to dzięki troskliwości Wielkiego Generała. Jeśli ich angielski się poprawiał, to też wiązało się z troskliwością Wodza. Jeden ze studentów opisał historię z dzieciństwa, z końca lat dziewięćdziesiątych, kiedy widział ludzi krzyczących przed szpitalem: „Proszę, weźcie moją krew!”. Zakończył list własnym tłumaczeniem piosenki *Świata nie mamy czego zazdrościć*.

Inny student napisał o krajowej technologii CNC (*computer numerical control* – komputerowe sterowanie urządzeń numerycznych) i o tym, jak wieści o jej wynalezieniu odbiły się szerokim echem na całym świecie. To przełomowe osiągnięcie było możliwe dzięki przywództwu Wielkiego Generała Kim Dzong Ila. Po upadku socjalizmu w Europie Wschodniej, pisał dalej mój student, Kim Dzong Il prowadzi postępowe narody świata do zwycięstwa. Prawdziwe znaczenie „użyteczności w gospodarce” jest inne, niż muszę zakładać ja, droga pani profesor Kim Suki, myląc ją z „zyskiem w gospodarce”. Towarzysz Kapitan Kim Dzong Un nauczył ich, że każdy z nich, jako naukowiec, jest „użytecznością” i że poprzez tworzenie wielkich wynalazków przyczyniają się do budowania potężnego i kwitnącego kraju, co cieszy Wielkiego Generała Kim Dzong Ila.

Najwyraźniej nie było do końca wiadomo, jak określać Kim Dzong Ila w języku angielskim. Nawet przewodnicy nie byli pewni. Po koreańsku zazwyczaj mówiono o nim Wielki Generał, ale po angielsku funkcjonowały

najróżniejsze formy: Wielki Generalissimus, Wielki Generał Towarzysz Przywódca, Wielki Przywódca Marszałek, Wielki Generał, Wielki Przywódca, Drogi Przywódca. Wielki Generalissimus był chyba nowym określeniem – nie przypomiinałam sobie, że bym je słyszała podczas wcześniejszych wizyt. Czy zaczęto je stosować w oczekiwaniu na awans Kim Dzong Una z Towarzysza Kapitana na Wielkiego Generała?

List tego studenta był pierwszą wzmianką o Kim Dzong Unie, z jaką się spotkałam, poza czerwonym napisem „Szczęście do Kapitana” w korytarzu prowadzącym do sal lekcyjnych. Dziwne jednak wydawało się przede wszystkim to, że prawie wszyscy studenci nagle postanowili pisać głównie o Kim Dzong Ilu, w dodatku używając identycznych słów i wyrażen, takich jak „troskliwość”, „zjednoczone siły narodu” czy „potężny i kwitnący kraj”. Zastanawiałam się, czy odpowiednicy powiedzieli im do słuchu na ostatnim sobotnim zebraniu, zwanym *Saenghwal chonghwa* (Wspólnota Życia Codziennego), gdzie, według doktora Josepha, wyznawali swoje winy oraz poddawali krytyce siebie i innych.

Wykładowcy także mieli cotygodniowe spotkania, podczas których dochodziło do wyznawania win. W każdą niedzielę rano, w sali na drugim piętrze naszego akademika, odbywało się prowizoryczne nabożeństwo. Chociaż studenci bezustannie śpiewali na cały głos, nam kazano śpiewać po cichu, tak aby nikt nie słyszał. Zazwyczaj ktoś z nauczycieli przynosił keyboard i grał hymny, a druga osoba wtórowała mu na flecie. Śpiewałam razem z nimi, ale nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że gdyby zastąpić słowo „Jezus” określeniem „Wielki Przywódca”, treść nie różniłaby się tak bardzo od niektórych północnokoreańskich pieśni, skandowanych przez moich studentów kilka razy dziennie. Zarówno u nich, jak i wśród misjonarzy śpiewanie było radosnym, wspólnym rytuałem, z którego czerpali siłę. Często myślałam, jakie to absurdalne, że misjonarze i studenci nie mogą

śpiewać razem.

Nieodłączną częścią naszych nabożeństw były tak zwane świadectwa – łożawe historie, w których wyjawiano osobiste sprawy, jakbyśmy uczestniczyli w terapii grupowej. Opowieści – ten świat wydawał się ich pełen. Rzadko ktokolwiek widział Kim Dzong Ila na własne oczy, więc wszystko, co o nim słyszeliśmy, było opowieścią z drugiej ręki. A moi chrześcijańscy koledzy mieli także własne historie w swojej Biblii.

Pewnego wieczora zobaczyłam Rachel, trzydziestokilkuletnią nauczycielkę koreańskiego pochodzenia z Kanady, jak kręci się po błotnistym placyku obok akademika wykładowców. Poszłam za nią i zapytałam, co robi, a ona odparła, że szuka miejsca, w którym kiedyś znajdował się dzwon. Jak twierdziła, ów dzwon należał do pierwszego kościoła w Pjongjangu. Pod koniec XIX wieku przypłynął tu z Chin pewien walijski protestancki misjonarz, ale kiedy przybył na miejsce, Koreańczycy podpalili jego okręt, a on utknął tu razem ze stosem Biblii. Wkrótce zginął, ale jeden z miejscowych znalazł przywiezione przez misjonarza książki i użył ich stron jako tapety. W jego domu zaczęli się zbierać ludzie i nawracać się na chrześcijaństwo poprzez czytanie tych stron. W ten sposób narodził się tu i rozkwitł pierwszy kościół, który zlikwidowano, kiedy do władzy doszedł Kim Ir Sen. Kilkadziesiąt lat później, kopiąc fundamenty pod PUST, robotnicy znaleźli dzwon z tego pierwszego kościoła. Aż do tamtej pory nikt nie miał pojęcia, że szkoła powstaje w miejscu należącym do Boga.

– To właśnie nazywa się zrządzenie boskie – szepnęła Rachel.

Tkwiąca we mnie cyniczka pomyślała, że to świetna historia z punktu widzenia PR. Uczelnia potrzebowała mnóstwa pieniędzy na samo codzienne funkcjonowanie. Większość funduszy pochodziła z kościołów, a nic nie sprzedaje się lepiej niż opowieść o cudzie. Mimo wszystko muszę przyznać, że w tym momencie chciałam w tę opowieść wierzyć. Chciałam, żeby jakaś

boska siła, a właściwie jakakolwiek siła z zewnątrz, tu zainterweniowała. Bardzo chciałam wierzyć w tego Boga, który wymyślił prywatną zabawę w poszukiwanie skarbów dla wiernych, ukrywając dzwon pod fundamentami PUST.

---

\* *Songun* (dosłownie: „po pierwsze armia”) – ideologia nadająca szczególną, priorytetową rolę Koreańskiej Armii Ludowej w życiu społecznym, politycznym i gospodarczym Korei Północnej (przyp. tłum.).

## 9

Minęły dwa tygodnie, chociaż traciłam poczucie czasu. Większość z nas była nie tylko zmęczona, ale także niespokojna.

– No dobra, mam dosyć. Lubię moich studentów i w ogóle, ale muszę czymś oddychać – stwierdziła Rachel.

Katie mówiła, że czasem rozpaczliwie chce wracać do domu. A jeden z amerykańskich nauczycieli ze Środkowego Zachodu powiedział:

– Chciałbym po prostu wsiąść do swojego samochodu i pojechać do sklepu wtedy, kiedy mi się podoba. To wydaje się takim luksusem.

Przyjechali na PUST powodowani swoją głęboką wiarą w Boga i pragnieniem głoszenia Ewangelii, ale nawet ich to miejsce wycieńczało.

Odrobinę ulgi znajdowaliśmy w rozmowach o wycieczce wykładowców na Myohyang-san (górze Myohyang). To popularna atrakcja turystyczna za Pjongjaniem, jedna z zaledwie kilku gór udostępnionych obcokrajowcom. Wszystkie pozostałe są podobno ogołoczone i wyjąłowione po kryzysie gospodarczym oraz klęsce głodu z połowy lat dziewięćdziesiątych, kiedy ludzie zbierali wszystko, co się dało, by zdobyć jedzenie i paliwo, nie zostawiając nic do użytku gleby. Być może zawiniła także kampania Kim Ir Sena z końca lat siedemdziesiątych pod hasłem „Znajdźmy nową ziemię”, która doprowadziła do wylesienia na szeroką skalę. Moi koledzy i koleżanki byli podekscytowani perspektywą górskiej wyprawy, ale mnie góra kojarzyła



się z odizolowanym miejscem dla turystów, z którego raczej nie dowiem się niczego nowego o Korei Północnej.

Wycieczka na Myohyang-san zaczęła się o 7.30 rano. Nie wszyscy wykładowcy na nią pojechali. Niektórzy nie byli zainteresowani, inni nie chcieli za nią płacić. Każdy wyjazd kosztował, pieniądze szły na benzynę, opłaty za wstęp i posiłki. Usiadłyśmy z Katie z tyłu autobusu, żeby się schować przed sokolim wzrokiem naszych dwóch opiekunów, którzy przypominali karykatury dobrego i złego gliniarza. Pan Ri był tym niby miłym i wyrozumiałym, natomiast pan Han stale chodził poirytowany i miał zamiłowanie do koreańskiej historii. Katie szepnęła, że muszę uważać, bo pan Han cały czas mnie śledzi. Nawet kiedy szłam do łazienki, nie mogło się obyć bez jego pytania, dokąd to się udaję, na co odpowiadałam: „Może pan wejść za mną do środka, skoro tak to pana ciekawi”, co studziło jego zapędy.

Doktor Joseph oznajmił, że podczas jazdy autobusem nie wolno nam robić zdjęć bez pozwolenia, bo gdyby ktoś na zewnątrz zobaczył, że fotografujemy, i doniósł, nasi opiekunowie mieliby kłopoty. Ale wzdłuż liczącej 158 kilometrów szosy między Pjongjangiem a górą Myohyang nie było nic wartego sfotografowania. Sceneria po obu stronach drogi wydawała się równie spokojna i nieskazitelna jak krajobraz przy trasie prowadzącej na farmę jabłek. Sporadycznie dostrzegałam ludzi najwyraźniej pracujących na roli, a także jadących rowerami lub idących poboczem szosy, albo grupki brudnych dzieci siedzących na środku drogi, jakby to był plac zabaw. Co jakiś czas w oddali widziałam coś, co wyglądało jak wioski – identyczne rzędy domów i jeden duży, betonowy budynek, który mógł być szkołą, a także nieodłączne slogany oraz portrety na budynkach i billboardach. Większość domów była parterowa, koloru bladego cementu, z ciemniejszymi, krytymi gontem dachami, ale niektóre miały po dwa–trzy piętra i wyglądały, jakby mogły pomieścić kilka rodzin. Być może były to

nędzne makiety domów, do których nikt się nie wprowadził, albo „miasta duchów”, z których mieszkańcy uciekli. Przez dziewięćdziesiąt minut drogi nie minęliśmy ani jednego samochodu.

Przejechaliśmy za to przez dwa posterunki, gdzie zatrzymali nas strażnicy, machając metalowymi pałkami. Za każdym razem pan Han pokazywał im dokument, który wyjmował z kieszeni marynarki. Strażnicy mieli na sobie takie same mundury – niebieskie z białymi kołnierzykami – jakie noszą w Pjongjangu policjantki kierujące ruchem. Zawsze są to kobiety, często fotografowane przez cudzoziemców, kiedy wykonują starannie wyreżyserowane ruchy, upodabniające je do robotów, przy kierowaniu stosunkowo niewielkim ruchem. Strażnicy na posterunkach wyraźnie nie mieli jednak nic wspólnego z drogówką.

Harmonogram wycieczki był, jak zwykle, rozplanowany w najdrobniejszych szczegółach. Najpierw musieliśmy zamówić obiad w hotelu Hyangsan, następnie udać się na Wystawę Przyjaźni Międzynarodowej, po czym wrócić, żeby zjeść. Hotel był utrzymany w stylu lat osiemdziesiątych, z wnętrzem wyłożonym marmurem, i kojarzył się z przestarzałym, drugorzędnym Hiltonem. Przed budynkiem dostrzegłam pięć czy sześć kobiet, które siedziały w kucki i przycinały trawę nożyczkami. Był to znany mi już, ale wciąż dziwny widok. Zdążyłam zauważyć robiących to samo pracowników na kampusie PUST, a nawet w parkach w Pjongjangu. W innych krajach świata używano kosiarek, ale nie tutaj. Czy chodziło o kontrolę, czy po prostu brakowało paliwa? Jeśli ludzie ciągle przesiadywali w kucki w miejscach publicznych na chwałę swojego Wielkiego Przywódcy, to czy zaczęli głębiej w niego wierzyć? Słyszałam kiedyś, że Majowie specjalnie budowali bardzo strome stopnie prowadzące na szczyt ich piramid, tak aby ludzie nie mieli innego wyjścia, jak tylko wchodzić na czworakach.

Tydzień wcześniej, kiedy nasz autobus wjechał na kampus po wyprawie

na zakupy, zobaczyłam grupę moich studentów, którzy kucali w trawie i pielili rabatki, podobnie jak te kobiety przed hotelem Hyangsan. W następnym liście do mnie jeden z nich napisał: „Mogło to wydawać się pani dziwne, kiedy widziała nas pani, jak pracowaliśmy w ogródku koło pani akademika, ale my to lubimy, dobrze nam to robi i jest to nasz obowiązek wobec naszego Wielkiego Przywódcy”. Pomyślałam, że może jego ego zostało zranione.

Po przystanku w hotelu przejechaliśmy pięć minut dalej, na Wystawę Przyjaźni Międzynarodowej, mieszczącą się w dwóch podobnych budynkach ustawionych około dwustu metrów od siebie, które miały wyglądać jak tradycyjne koreańskie pałace. Przed każdym stało na warcie dwóch żołnierzy strzegących ciężkiej metalowej bramy. Opłata za wstęp wynosiła czternaście dolarów od osoby. Jak zawsze wyszła do nas młoda kobieta, która pełniła funkcję przewodniczki. Najpierw kazała nam założyć na buty szmaciane kapcie, żeby nie pobrudzić marmurowych posadzek. Następnie musieliśmy zostawić wszystkie rzeczy w szatni i przejść przez bramkę wykrywacza metali. Nie można było wnieść aparatów ani kamer. Przeszukano nas jeszcze ręcznie, jak na lotnisku. Wreszcie zostaliśmy wprowadzeni do środka, gdzie mogliśmy obejrzeć kolekcję czarnych samochodów oraz wagon kolejowy, подарowane Kim Ir Senowi przez Stalina i Mao Zedonga. Ze ściany błyskał cyfrowy wyświetlacz pokazujący liczbę przechowywanych tu prezentów: 225 954 przedmioty ze 184 krajów, zaznaczonych migającymi czerwonymi punkcikami na mapie. Z każdej sali przechodziło się do następnej, pełnej najrozmaitszych rzeczy, a przewodniczka wyjaśniła, że nawet gdybyśmy poświęcili każdemu prezentowi tylko minutę, obejrzenie wszystkich zajęłoby półtora roku, i że podarunki dla Kim Ir Sena napływały jeszcze po jego śmierci.

Następnie zaczęła po kolei opisywać znajdujące się przed nami prezenty.

Replika Mangyŏngdae, domu, w którym urodził się Kim Ir Sen, została zrobiona z kości słoniowej, a jej wykonanie zajęło dziewięćdziesięciu sześciu członkom Komunistycznej Partii Chin cały rok. Był tu też kamień z Madagaskaru, który miał sto milionów lat, jak twierdziła. A także podarunki od Roberta Mugabe i Fidela Castro. Srebrny puchar dała Wielkiemu Przywódcy Madeleine Albright 25 października 2000 roku. Była także figurka żurawia podarowana przez Billy'ego Grahama 2 kwietnia 1992 roku, z dedykacją „Jego Eksceleencji”.

Dalej przewodniczka poprowadziła nas długim korytarzem, ozdobionym zdjęciami żyraf, słoni i lwów. Wyjaśniła, że te zwierzęta także zostały ofiarowane Kim Ir Senowi i znajdują się dziś w Centralnym Koreańskim Ogrodzie Zoologicznym w Pjongjangu. W końcu dotarliśmy do pomieszczenia z wiszącą na ścianie dużą tablicą z mnóstwem liczb, pokazujących, że Kim Ir Sen odwiedził szesnaście krajów w sumie pięćdziesiąt cztery razy, przebywszy 52 480 kilometrów. Katie i ja zaczęłyśmy robić notatki, na co nasz opiekun zaczął się krzywić. Kiedy jednak powiedziałyśmy mu, że Katie myśli o zrobieniu magisterium z dzucze, zmiękł.

Kim Ir Sen przyjął podobno 5050 urzędników państwowych najwyższego szczebla i spotkał się z 65 tysiącami ważnych osobistości z różnych krajów. W 100 krajach świata istnieje w sumie 1000 ośrodków badań dzucze. W 106 krajach można znaleźć 69 102 830 przekładów dzieł Kim Ir Sena. W 100 krajach istnieje 450 ulic nazwanych jego imieniem. Wielki Wódz otrzymał 80 doktoratów *honoris causa* od różnych uniwersytetów na całym świecie, a także 180 medali od dwudziestu krajów.

Jedna para liczb mnie zastanowiła: tablica pokazywała, że 172 kraje przekazały mu 166 065 przedmiotów. Kiedy zapytałam, dlaczego ta liczba różni się od liczby prezentów podanej w pierwszej sali, przewodniczka

odparła, że ta większa obejmuje podarunki dla Kim Ir Sena, Kim Dzong Suk i Kim Dzong Ila, a ta liczba tutaj – tylko prezenty dla Kim Ir Sena.

Następnie wprowadzono nas do dużej sali, gdzie znajdowała się wielka woskowa figura samego Kim Ir Sena, ustawiona na tle kimilsungii (czyli „kimirsenek”, hybrydowych kwiatów wyhodowanych na cześć Wielkiego Wodza; jest także odmiana kimdzongilia – „kimdzongilki” – nazwana od imienia jego syna) oraz góry Baekdu. Woskowy Kim Ir Sen uśmiechał się, jakby na przywitanie. Usłyszeliśmy, że obowiązkowo należy stanąć w rzędzie i ukłonić się figurze. Zaczęłam myśleć o tym, jak dziwnie znajomy stał się dla mnie Wielki Wódz, kiedy spędziliśmy ponad dwa tygodnie w otoczeniu jego portretów i jego słów, słysząc jego imię we wszystkich możliwych kontekstach, i przez chwilę wydawało mi się, że naprawdę jest zawsze z nami.

Przewodniczka oznajmiła, że w sumie jest tu dwieście sal, że prezenty zostały podzielone według lat i miesięcy, w których je otrzymano, oraz krajów pochodzenia, i że mieści się tu tak wiele przedmiotów, że nie da się obejrzeć ich wszystkich. Zobaczymy więc tylko dwie sale, z podarunkami ze Stanów Zjednoczonych i Nowej Zelandii. Poprowadziła nas korytarzem i nacisnęła klamkę drzwi, które okazały się zamknięte, po czym zniknęła na kilka minut. Kiedy wróciła, oświadczyła, że sale, które zamierzała nam pokazać, są zamknięte, i że zamiast nich zwiedzimy drugi budynek. Jeden z nauczycieli szepnął, że zważywszy, iż opłata za wstęp wyniosła czternaście dolarów od osoby, to wręcz nieuprzejme, że nie pokażą nam nawet jednej z tych specjalnych sal. Nie mieliśmy jednak w tej kwestii nic do powiedzenia i musieliśmy szybko wyjść na zewnątrz.

Drugi budynek wyglądał na nieco mniejszy, ale był identycznie urządony. Znow musieliśmy włożyć muzealne kapcie i zostaliśmy ponownie przeszukani, a wystawa prezentów wyglądała bardzo podobnie. Zaczęliśmy

zwiedzanie w sali ogólnej, gdzie zgromadzono podarki z Korei Południowej, w tym 850 przedmiotów od Kim De Dzunga, byłego południowokoreańskiego prezydenta znanego z prowadzenia „słonecznej polityki”, polegającej na bliskiej współpracy gospodarczej i politycznej z Koreą Północną. Południowokoreańska firma meblarska Ace Furniture Company, której prezes pochodził z Północy, ofiarowała 350 sztuk mebli najwyższej jakości, między innymi biurka, krzesła i szafy, co, jak wyjaśniła przewodniczka, stanowiło jej całkowitą pięciomiesięczną produkcję. (Na pewno nie mogło to być prawdą, bo firma była czołowym producentem mebli w Korei Południowej i musiała wytwarzać więcej niż 70 sztuk miesięcznie). Tu także mieliśmy ekran z migającymi liczbami: 170 krajów, 59 864 prezenty. Usłyszeliśmy, że ta liczba oznacza tylko podarunki dla Kim Dzong Ila, więc różni się od liczb podawanych w pierwszym budynku. Jednak w tym momencie w mojej głowie kłębiło się już tyle różnych liczb, że właściwie było mi wszystko jedno.

Znów poprowadzono nas korytarzem, także udekorowanym zdjęciami dzikich zwierząt, do pomieszczenia, w którym znajdowały się prezenty podzielone według krajów. Zobaczyliśmy srebrną tacę i złoty zegarek od amerykańskiej Izby Reprezentantów, niebieski wazon od delegatów Kongresu Stanów Zjednoczonych oraz figurkę z różowego kryształu od Narodowej Rady Chrześcijan. Natknęliśmy się tu także na dwa znajome nazwiska: 1 kwietnia 1992 roku Billy Graham podarował Wielkiemu Przywódcy globus zwieńczony białymi gołębicami, a w 2006 roku Madeleine Albright sprezentowała mu piłkę do koszykówki firmy Wilson, z autografem Michaela Jordana. Od tej niekończącej się litanii prezentów zaczynało mi się kręcić w głowie.

Na koniec przewodniczka zaprowadziła nas do sali z marmurowym posągiem Kim Dzong Ila siedzącego w fotelu z beznamiętnym wyrazem

twarży przed ścianą oświetloną tak, żeby wyglądała jak wschód słońca. Przypomniały mi się słowa zdobiące budynek Wydziału Informatyki na kampusie PUST: NIECH ŻYJE GENERAL KIM DZONG IL, SŁOŃCE XXI WIEKU! Tutaj też musieliśmy się pokłonić. I tym razem nasza wycieczka skończyła się bez zwiedzania żadnego z pozostałych pokoi.

Sama góra Myohyang była jednak piękna. Przyroda nie kłamie, chociaż przyszło mi do głowy, że tutaj nawet ona może, bo pokazywano nam tylko jedną część słynnej góry, na którą zaczęliśmy się wspinać. Przewodniczka powiedziała, że jesteśmy blisko Bohyunsy, buddyjskiej świątyni, gdzie w XVI wieku sławny mnich Suhsan zebrał swoich zwolenników, żeby odeprzeć atak Japończyków, ale nie będziemy się tam zatrzymywać. Chociaż świątynia rzeczywiście istnieje, nie widziałam żadnych dowodów na obecność buddystów na tej górze, tylko ogromne słowa LEGENDARNY BOHATER KIM DZONG IL wyryte na skalistym zboczu. Poza tym góra była pusta. Prawie wszędzie indziej na świecie takie miejsce w sobotnie popołudnie byłoby pełne rodzin z dziećmi. My jednak przez całą naszą wędrówkę spotkaliśmy tylko jedną grupę uczniów. Dzieciaki nas obstąpiły i pozowały z nami do zdjęć, ale wkrótce z góry zeszli ich nauczyciele, przerwali nam sesję fotograficzną i zabrali swoich podopiecznych.

Wdałam się w pogawędkę z kilkoma starszymi wykładowcami, którzy zrobili sobie przerwę, podczas gdy młodszy wspinali się wyżej. Jeden z tych starszych był już po siedemdziesiątce i pochodził z Pjongjangu. Opowiadał, że jego ojciec był przed wojną jednym z najbogatszych ludzi w kraju, miał dom oraz inne nieruchomości tam, gdzie dziś stoi Wielka Czytelnia Ludowa. Kim Ir Sen zaraz po wojnie skonfiskował wszystkie prywatne posiadłości i poprzęsiedlał rodziny po całym kraju, podobnie jak to zrobił Mao podczas rewolucji kulturalnej. Rodziny zostały rozdzielone nie tylko między Południem a Północą, ale także w obrębie samej Korei Północnej. To

wyjaśniało, dlaczego zawsze, kiedy pytałam Koreańczyka z Północy: „Gdzie jest twój *bonjuk*?” – co na Południu jest zwyczajowym pytaniem zadawanym nieznanym – słyszałam w odpowiedzi, że w Korei Północnej czegoś takiego nie ma. Zamiast tego, jak się dowiedziałam, funkcjonuje tu nieoficjalny system kastowy zwany *songbun*, który dzieli mieszkańców na trzy główne klasy i około pięćdziesięciu podklas na podstawie pochodzenia i związanych z nim czynników politycznych, społecznych oraz ekonomicznych. Chociaż wszyscy udają, że takie hierarchie nie istnieją, wpływają one na mobilność społeczną mieszkańców. Rządowi udało się wyrugować dawny system klanowy i zastąpić go własnym. Wielu Koreańczyków z Północy nie mogło już liczyć na wsparcie wielopokoleniowej rodziny ani nie miało na kim polegać poza swoim Wielkim Przywódcą. Nic więc dziwnego, że na tej słynnej górze nie pozostawiono żadnych godnych uwagi zabytków, skoro sama historia była przeszkodą w podtrzymywaniu mitu Wielkiego Wodza.

Inna nauczycielka z naszej grupy, sześćdziesięciokilkuletnia Amerykanka koreańskiego pochodzenia, opowiedziała mi wstrząsającą historię o ucieczce swojej rodziny podczas wojny. Miała tylko osiem miesięcy, kiedy jej matka postanowiła przedrzeć się na południe z Shinuju, północnozachodniego krańca Korei Północnej. Jej rodzina należała do pierwszych chrześcijańskich konwertytów w regionie, a ojciec już wcześniej pojechał na południe, żeby założyć tam kościół. Jej matka spakowała się więc i ruszyła w drogę z trójką dzieci. W pewnym momencie mówiono jej, żeby zostawiła ośmiomiesięczną córkę, bo dziecko może płakać, co zwróci uwagę żołnierzy. Ale matka jej nie zostawiła, cudem dotarła na południe i odnalazła męża. Kilkadziesiąt lat później, w latach dziewięćdziesiątych, osiemdziesięcioletni ojciec mojej rozmówczynie wrócił do Shinuju z organizacją humanitarną. Błagał władze, żeby mógł się zobaczyć z rodzeństwem, które mieszkało w obrębie miasta



i którego nie widział od ponad czterdziestu lat. Nie pozwolono mu na odwiedzin. Dziś miał dziewięćdziesiąt sześć lat i prosił córkę, żeby wszystko dobrze zapamiętała, tak by mógł jeszcze przed śmiercią usłyszeć jakieś szczegóły dotyczące swojej ojczyzny.

Myślałam o tym, że przez cały ten czas góra Myohyang wznosiła się nad tym krajem, pusta i ogołocona, z wyrytym na jednym zboczu napisem wyrażającym lojalność wobec Wielkiego Przywódcy, zdeformowana pozostałość po czymś, co kiedyś było wielkim skarbem, której całkowicie pozbawiono mieszkańców Korei Południowej, a być może także większość ludzi tutaj.

Właśnie wtedy podszedł do mnie pan Han i zaczął pytać o mój rozkład dnia, co wydało mi się dziwnym tematem do rozmowy podczas górskiej wędrownki. Powiedziałam, że zazwyczaj kładę się spać przed dziesiątą, czasami nawet już o ósmej.

– To wstajecie o piątej rano? – zapytał.

Być może było to zupełnie niewinne, ot, po prostu zgadł, ale powiedział to tak szybko, a ja przypomniałam sobie, że w mailu do mojego kochanka podałam informację, że wstaję o piątej, i nagle ogarnęła mnie paranoja. Czy w tych mailach napisałam coś, co zdradzało więcej, niżbym chciała?

Pomyślałam o innych uwagach pana Hana, skierowanych do mnie w ciągu poprzednich dwóch tygodni. Mówił na przykład niby mimochodem: „Towarzystwo Suki, podobno wy i towarzysza Katie jesteście najpopularniejszymi wykładowcami, a chłopcy po prostu za wami szaleją. Może wasz styl nauczania jest za bardzo wolnoamerykański i może powinienem się przyjrzeć waszym zajęciom, ha, ha, ha”. Albo: „Co macie w torbie? Bardzo was lubię, towarzyszo, ale zawsze chowacie przede mną różne rzeczy. Dlaczego tak cały czas ściskacie tę swoją torbę? Macie jakiś sekret, który przede mną ukrywacie?”. Za każdym razem, kiedy rzucał taką

uwagę, serce mi zamierało. Oczywiście, że miałam sekret, wiele sekretów, a torbę nosiłam wszędzie ze sobą, dlatego że trzymałam w niej pendrive z notatkami do tej książki, których nigdy nie zapisywałam na twardym dysku laptopa. Często martwiłam się, że pewnego dnia pan Han przeszuka mi torbę i zniszczy pendrive. Skopiowałam więc dokumenty na trzy różne pendrive'y, dwa ukryłam w swoim pokoju, a trzeci nosiłam zawsze przy sobie. Nagrałam też kopie na kartę SIM w swoim aparacie. Mimo wszystko bałam się, że ktoś odkryje te notatki i je wszystkie stracę.

W drodze powrotnej, kiedy zapadał zmierzch, opiekunowie zaczęli się denerwować. Jeden ze starszych nauczycieli poślizgnął się i był ranny, więc wieźliśmy go do szpitala dla obcokrajowców w dzielnicy dyplomatycznej w Pjongjangu. Opiekunowie wstąpili do hotelu Hyangsan, żeby zobaczyć, czy mają tam kogoś, kto może udzielić pomocy w nagłych wypadkach, ale nikogo takiego nie było. Wyraźnie się niepokoiли, że mamy opóźnienie, i ciągle przypominali sobie nawzajem, że nie powinniśmy jeździć po nocy. Ktoś zapytał, czy w mieście obowiązuje godzina policyjna, a oni odparli, że nie, ale wyglądało na to, że musi być jakaś nieoficjalna. Między 18.00 a 19.40 – tyle trwała nasza podróż do Pjongjangu – znów mineliśmy co najmniej trzy grupy dzieci siedzące na szosie. Dzieciaki wyglądały na mniej więcej od pięciu do dziesięciu lat. Była pora kolacji i widok puszczonej samopas dzieci, siedzących na asfalcie na środku szosy, wydawał się dość niezwykły, ale oczywiście nie mogliśmy zapytać, o co tu chodzi. W oddali widziałam rolników wciąż zajętych uprawą ziemi, mimo późnej godziny. Kilka razy dostrzegłam elegancko ubrane kobiety idące wzdłuż szosy, co stanowiło zagadkę, bo ani za nami, ani przed nami nie było nic, do czego mogłyby się kierować, nie mijaliśmy żadnych autobusów ani samochodów, wiedziałam też, że nie ma w pobliżu żadnego przystanku, a tymczasem szybko zapadł zmrok.

W żadnym z mijanych przez nas domów nie paliły się światła. Możliwe, że nie było jeszcze dość ciemno, żeby je włączać, a jednak... w ani jednym oknie przez całą drogę nie zabłysła lampa. Albo mieszkańcy nie mieli elektryczności, albo była awaria prądu, co w tym kraju zdarzało się całkiem często. Nigdy jednak nie byłam w miejscu tak przejmująco cichym. Nie chodzi mi tu dosłownie o brak dźwięków, ale o brak odgłosów życia, brak oznak, że toczy się ono za zamkniętymi drzwiami. Nie widziałam biegających psów ani dzieci, dymu bijącego z komina, kolorowych rozbłysków z telewizora. Wszystko to było niepokojące, ale jeszcze bardziej gnębiła mnie myśl, że nie znam i nigdy nie poznam prawdy kryjącej się za tym, co widziałam.

Przypomniał mi się nagle holenderski film pod tytułem *Zniknięcie*. Młoda kobieta znika na parkingu przy autostradzie, a jej zrozpaczony kochanek całymi latami próbuje się dowiedzieć, co się z nią stało. Kiedy wreszcie udaje mu się wytropić człowieka, który mógł ją porwać, dostaje wybór: „Chcesz, żebym zrobił ci to, co zrobiłem jej, czy chcesz przeżyć resztę życia, nie wiedząc? Masz tylko te dwie możliwości”. Wiemy, tak samo jak on, że prawda musi być potworna, ale i tak chcemy ją poznać. Kochanek wybiera wiedzę, a film kończy się, kiedy budzi się w trumnie, pogrzebany żywcem.

Jednocześnie nie dało się nie wiedzieć, co się dzieje w tym kraju. Odpowiedź miałam przed oczami. Niscy, wynędzniali ludzie o pociemniałych twarzach i martwych oczach. Krajobraz pozbawiony oznak życia. Przypomniałam sobie, jak Katie szepnęła „niewolnicy”. A kiedy widziałam, jak moi studenci maszerują, przyszło mi na myśl słowo „żołnierze”. Było ich widać na każdym kroku: niewolników i żołnierzy.

Okazało się, że rannemu wykładowcy trzeba założyć trzy szwy. Szpital dla obcokrajowców policzył mu za to siedemnaście dolarów, co oznaczało tutaj kupę pieniędzy, przy czym nie podano mu żadnego znieczulenia ani

antybiotyków. Nawet uczelniany lekarz nie miał żadnych leków, które mógłby mu zaordynować. Kazał nam za to sprawdzić, czy nie mamy jakichś odpowiednich antybiotyków w naszych apteczkach, i poszkodowany w końcu wziął cyprofloksacynę, którą przywiózł ze sobą.

Później tego wieczora Sarah powiedziała mi, jak bardzo się cieszy, że wreszcie zobaczyła tutejsze góry. Wielu jej studentów wychowało się na wsi, więc często pisali o górach, o łapaniu żab i gonieniu ważek. Zachwycała się, że brzmi to pięknie i beztrosko, ale kiedy tak mówiła, zaświtało mi, że malowany przez nią obraz nie ma sensu. Dzieciństwo jej studentów żadną miarą nie mogło być tak sielankowe.

Wszyscy, których uczyła, urodzili się kilka lat przed 1997 rokiem, najgorszym okresem głodu. Korea Północna znalazła się wówczas na skraju upadku. Nawet jeśli pochodzili z klasy uprzywilejowanej, nie mogli zupełnie nie odczuć skutków otaczającego ich głodu i nędzy. Nie byłam pewna, co myśleć o idyllicznych esejach, które opisywała Sarah. Czy zbiorowo ich wyszkolono, żeby mówili same dobre rzeczy o swoim dzieciństwie? Chciałam wierzyć w ich opowieści. Chciałam wierzyć, że śmiertelność głód, który najwyraźniej zwichnął mieszkańców Korei Północnej zarówno pod względem emocjonalnym, jak i fizycznym, na niektóre dzieci nie miał absolutnie żadnego wpływu. Życzenie klasie rządzącej, by los oszczędził jej nieszczęść, jakie dotknęły resztę rodaków, wydawało się niemoralne, ale widywałam tych młodych ludzi codziennie i pocieszała mnie myśl, że te dzieci, które wyrosły na takich uroczych, świetnych młodzieńców, być może uniknęły gehenny.

Uświadomiłam sobie, że żaden z moich studentów nigdy nie napisał o dzieciństwie w górach ani ganianiu ważek. Większość pochodziła z Pjongjangu i miała wpływowych rodziców. Potem zdałam sobie sprawę, że Sarah uczyła na drugim roku, a ja na pierwszym. Jej studenci byli

pierwszymi, którzy zaczęli naukę na PUST, i wstąpili na uczelnię rok temu, natomiast moi przyjechali tu dopiero przed trzema miesiącami, w kwietniu. Od początku zastanawiało mnie, na jakiej zasadzie odpowiednicy decydują, kto uczy które grupy. Wydawało się, że nowi studenci są traktowani z większą ostrożnością. Wykładowcy, którzy prowadzili zajęcia z pierwszym rokiem, mieli na ogół lepsze kwalifikacje do uczenia pisania niż pozostali, przydzielono nam także asystentów. Czy studenci pierwszego roku należeli do jeszcze wyższej warstwy społecznej niż ci z drugiego? A jeśli tak, to dlaczego ta nowo powstała uczelnia prowadzona przez cudzoziemców nagle przyciągnęła tych najbardziej elitarnych z elity studentów?

A potem do mnie dotarło. Uświadomiłam sobie, że decyzja o zamknięciu uniwersytetów musiała zostać podjęta minionej wiosny. W przeciwnym razie studenci drugiego roku byłiby z tej samej klasy społecznej co pierwszacy. Na początku roku musiało się stać coś, co skłoniło reżim do zamknięcia wszystkich uczelni, a w rezultacie ci, którzy trzymali władzę, czym prędzej powyciągali swoich synów ze szkół, do których ci chodzili, i zapisali ich na PUST. Kroiło się coś dużego.

## 10

Obudziłam się pewnego ranka w trzecim tygodniu pobytu i nie czułam się już przytłoczona swoim otoczeniem. Przyzwyczaiałam się do okręcania się w pasie bluzą, kiedy szłam pobiegać, na wypadek, gdyby moje szorty uznano za nieprzyzwoite. Wieczna Wieża oraz białe litery na czerwonym tle, układające się w hasła wychwalające Kim Dzong Ila jako „słońce XXI wieku”, stały się punktami orientacyjnymi na mojej trasie. Biegałam wciąż po tej samej ścieżce, mając zawsze w zasięgu wzroku dymiący komin i wiedząc, nawet w pochmurny dzień, że miasto leży właśnie w tamtym kierunku. Głośna muzyka, z niewiadomych powodów dudniąca o siódmej rano z zamontowanych na zewnątrz głośników, przestała mi przeszkadzać, a widok maszerujących studentów zaczął mi się teraz wydawać dziwnie kojący. Po kolacji wychodzili do obowiązkowych prac w ogrodzie, ubrani w dresy i tenisówki, każdy z wiadrem w ręku, a ja uświadomiłam sobie, że patrzenie, jak sumiennie pielą – co jeszcze dwa tygodnie wcześniej uznawałam za dziwaczne – teraz stało się moim wieczornym rytuałem.

Muszę przyznać, że spędzając czas z moimi studentami, bywałam czasami szczęśliwa. Prowadziliśmy proste życie, codziennie odprawiając te same rytuały, mając niewiele czasu na zbędne refleksje. To, że nigdy nie mogłam wyjść sama poza kampus ani swobodnie zadać nikomu żadnego pytania, że nie miałam telefonu i nie mogłam do nikogo dzwonić, że nie

pozwolono mi na choć jedno spojrzenie na resztę kraju nieprzefiltrowane przez propagandę – wszystko to zeszło na dalszy plan. Z każdym dniem coraz mniej myślałam o świecie zewnętrznym. Nie to, że przestało mi go brakować. Raczej zaczęłam akceptować, że nie ma sensu o nim myśleć, skoro jest całkowicie niedostępny. Mój dom leżał bardzo daleko od tego kampusu i tego kraju. Stał się czymś absurdalnie abstrakcyjnym, podobnie jak mój kochanek, chociaż tęsknota za nim wciąż odzywała się w jakimś zakamarku mojego serca, któremu jeszcze od czasu do czasu zdarzyło się szybciej zabić. Ale nawet ją nauczyłam się wyciszać, żeby być dokładnie tym, czym chcieli, żebym była: nauczycielką angielskiego w Pjongjangu.

Po raz pierwszy w życiu myślenie było dla mnie niebezpieczne i mogło zagrozić mojemu przetrwaniu.

Dziś, po powrocie do Nowego Jorku, czasem łapię się na tym, że tęsknię za tym okresem, kiedy moje dawne życie przestało się liczyć i wiedziałam dokładnie, co przyniesie każdy dzień. Takie chwile nostalgii są jednak ulotne. Piszę o prostocie mojego życia w Pjongjangu, ale w istocie była ona pozorna. W trzecim tygodniu coś się zmieniło w moim stosunku do studentów. Początkowo uczenie ich wydawało się zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Byli gorliwi, uprzejmi i pilni. „Raj dla nauczycieli”, jak stwierdził jeden z wykładowców, i wcale nie przesadzał. Amerykańscy studenci nigdy nie byli tak posłuszni. Chłopcy z PUST wstawali całą grupą, kiedy tylko wchodziłam do klasy, i siadali, dopiero gdy im pozwoliłam. Wykrzykiwali razem każdą odpowiedź, chłonęli każde moje słowo i domagali się, żeby im więcej zadawać. Czułam się niemal jak sierżant w wojsku, a nie jak nauczycielka angielskiego. Nigdy nie spotkałam się z tak absolutnym szacunkiem. Sarah stwierdziła nawet, że chciałaby tu zostać na stałe. Inny wykładowca, Amerykanin koreańskiego pochodzenia, wykrzyknął, że gdyby nie portrety Kim Ir Sena i Kim Dzong Ila w salach, można by prawie

uwierzyć, że to studenci południowokoreańscy, chociaż właściwie ci nasi byli jeszcze lepiej wychowani.

Grubo się mylił. Nadal ich uwielbiałam, widok ich twarzy od razu wywoływał we mnie ciepłe uczucia, a podczas naszych wspólnych posiłków rozmowa płynęła z taką łatwością, że często zdarzało nam się zasiedzieć, tak że zostawaliśmy ostatni, za co dostawaliśmy burę od kierującej stołówką Chinki. Coraz bardziej jednak niepokoiła mnie łatwość, z jaką moi studenci kłamali.

Kiedyś jeden z nich zapytał, czy lubię kwiaty.

– Tak – odparłam – ale w Nowym Jorku nie mam ogrodu, więc zazwyczaj kupuję kwiaty w sklepach.

Na co on powiedział od razu:

– Ja też, zanim przyjechałem na PUST, nigdy nie sadziłem kwiatów. Zawsze je kupowałem w supermarketach.

Nigdy nie widziałam ciętych kwiatów w żadnym z pjongjańskich sklepów.

Innym razem jeden ze studentów wstał od stołu podczas obiadu i oznajmił:

– No dobrze, lecę do sklepu. Musimy się przygotować na imprezę urodzinową, więc trzeba kupić parę rzeczy.

Na kampusie nie było wtedy jeszcze sklepu (został otwarty później w tym semestrze), więc Katie spytała tego studenta, czy wolno mu chodzić na zakupy poza kampus, a wtedy on udał, że nie rozumie po angielsku, i odszedł.

Kilka razy zdarzyło się, że musiałam wpisać jakiemuś studentowi nieobecność na zajęciach albo na stołówce. Przy każdej takiej okazji cała grupa tłumaczyła mi, że nieobecnego boli brzuch, jakby nie było innych chorób. Kiedy zaczęłam z wyprzedzeniem wyznaczać studentów, którzy



mieli siedzieć ze mną przy stoliku przy danym posiłku, czasami okazywało się, że zamiast jednego z nich przyszedł ktoś inny. Pewnego razu, kiedy zapytałam, gdzie jest student, który miał jeść teraz z nami, dwaj jego koledzy z grupy odparli natychmiast, równocześnie.

– Boli go brzuch – powiedział jeden w momencie, kiedy drugi mówił: – Poszedł się ostrzyc.

– No to w końcu strzyże się czy jest chory? – dopytałam.

– Poszedł się ostrzyc, ale rozboleł go brzuch – odparli obaj bez wahania.

Kilka minut później zobaczyłam rzekomo chorego studenta, jak gra w koszykówkę, najwyraźniej nieświadomy, że koledzy z takim oddaniem go kryli. Zaświtało mi, że bardzo możliwe, iż w ogóle nie miał o tym pojęcia. Zdałam sobie sprawę, że cała grupa zorientowała się, że go nie ma, więc od razu znaleźli kogoś na jego miejsce przy moim stoliku i wymyślili usprawiedliwienie jego nieobecności. W takim braterstwie było coś wzruszającego, ale jednocześnie szybkość, z jaką wynajdywali kłamstwa, wytrącała mnie z równowagi. Przychodziło im to zbyt naturalnie – na przykład kiedy pewien student oznajmił mi, że w piątej klasie skłonował królika, albo kiedy inny stwierdził, że północnokoreańscy naukowcy odkryli sposób zmieniania krwi grupy A w krew grupy B, albo gdy cała grupa upierała się, że od gry w koszykówkę się rośnie. Nie byłam pewna, czy chodzi o to, że karmieni od dziecka łgarstwami, teraz nie potrafią odróżnić prawdy od kłamstwa, czy też jest to metoda przetrwania, którą opanowali do perfekcji.

Jeden ze studentów, który po angielsku mówił niemal płynnie, a wypracowania pisał prawie bez błędów gramatycznych, twierdził, że zaczął się uczyć tego języka zaledwie kilka miesięcy wcześniej, kiedy przeniósł się na PUST, a przedtem nie znał w nim ani słowa. W przeciwieństwie do swoich kolegów, z których większość miała za sobą co najmniej cztery lata

angielskiego w gimnazjum, on uczył się chińskiego, więc teraz musiał zaczynać od zera. Mając w pamięci moje własne doświadczenia z nauką angielskiego, wiedziałam, że zdobycie przez dwudziestolatka płynności w obcym języku w ciągu trzech miesięcy jest właściwie niemożliwe.

Czasami na porannych zajęciach wszyscy w grupie wyglądali na wyjątkowo zmęczonych, ale kiedy pytałam, co robili poprzedniego wieczora, odpowiadali: „Nic szczególnego”. Zastanawiałam się, czy nie podpadli czymś na zajęciach dzucze. Czasem oznajmiali mi całą grupą, że nie przyjdą tego dnia na mój dyżur, bo mają zebranie.

Motywytem przewodnim, przewidzianym przez podręcznik na trzeci tydzień nauki, była szczerłość, postanowiliśmy więc jeszcze raz zagrać ze studentami w „Prawdę czy fałsz”. Miałyśmy między innymi nadzieję, że zachęci ich to do większej otwartości. Kiedy napisałyśmy na tablicy zdanie o kobiecie spotykającej się z o cztery lata młodszym mężczyzną, wszyscy studenci od razu zawołali: „Kłamstwo!”.

– To niemożliwe – stwierdzili. – Kobiety nie spotykają się z mężczyznami młodszymi od siebie.

Doszłyśmy do wniosku, że musi to być tabu, przynajmniej wśród ich rówieśników. Także idea konkursu piękności była dla nich czymś zupełnie nowym. Nigdy na przykład nie słyszeli o wyborach Miss Korei. Uznałam, że to zakrawa na ironię, biorąc pod uwagę, że jak dotąd widziałam tu tylko kobiety zatrudnione jako przewodniczki, policjantki kierujące ruchem albo kelnerki w restauracjach i hotelach, wszystkie nieodmiennie młode i atrakcyjne. Poza tym podobno sam rząd utrzymywał grupę pięknych dziewczyn, zwaną Kippumjo (Brygadą Przyjemności), której jedynym zadaniem było uprzyjemnianie czasu Kim Dzong Ilowi i partyjnym przywódcom. Brano do niej wyłącznie dziewice, które szykowano do tej roli od dzieciństwa.

Takie pojęcia jak „protest” czy „gazetka studencka” najwyraźniej jednak naszych studentów nie dziwiły. Patrząc na ich reakcję, można by pomyśleć, że uczestniczenie w politycznych demonstracjach, wydawanie gazetek i swobodne wyrażanie opinii jest dla nich czymś zupełnie normalnym.

Następnie Katie napisała na tablicy: „Uwielbiam jeździć na nartach w górach w Nowym Jorku”.

– Co to są narty? – pytali jedni studenci drugich szeptem po koreańsku.

Kiedy Katie zapytała, ilu z nich wie, czym jest narciarstwo, i czy w Korei Północnej ludzie je uprawiają, większość skinęła głową. Student, który, jak dowiedziałam się później, był sekretarzem grupy, podniósł rękę i oświadczył, że pojechał kiedyś na narty, ale kiedy spytałam dokąd, zamilkł. Kiedy już jednak Katie wyjaśniła, co to jest narciarstwo, kilku chłopców krzyknęło: „Kłamstwo!”, w odniesieniu do zdania na tablicy. Katie nie mogła jeździć na nartach, stwierdzili, bo w Nowym Jorku nie ma śniegu. Nie wiedzieli nic o nowojorskim klimacie, nie mieli nawet pojęcia, gdzie to miasto leży, ale najbardziej znamienne było to, że nie słyszeli nigdy o sztucznym śniegu, dlatego wątpiłam, czy w ogóle orientowali się, jak się jeździ na nartach. Nic by to zresztą nie szkodziło, gdyby nie to, że tak gorliwie udawali, że wiedzą, chociaż nie wiedzieli.

Nie znaczy to jednak, że wszyscy cały czas kłamali. Gdyby zawsze kręcili, trudno byłoby mi ich pokochać. Ale nie kombinowali i nie zmyślali bez przerwy, a przy tym moja i ich codzienność były ze sobą ściśle splecione. Przebywaliśmy razem od rana do zachodu słońca: jadłam z nimi trzy posiłki dziennie, czytałam ich listy, w których opisywali swoje życie, patrzyłam, jak grają w kalambury, w koszykówkę albo w piłkę. Chociaż zaczynałam być rozczarowana ich zachowaniem, wciąż bardzo łatwo było ich kochać, nie tylko z powodu tylu wspólnych spraw, ale także dlatego, że pochodziłam ze świata, w którym szybciej obdarzamy się zaufaniem.

Pewnego wieczora zobaczyłam na korytarzu naszego akademika Lydię, pięćdziesięciokilkuletnią nauczycielkę z Missisipi, która robiła zdjęcie z okna na trzecim piętrze. Jakby się z tego tłumacząc, oznajmiła, że nie ma prawie żadnych zdjęć ze swojego pobytu w Korei Północnej, a chciałaby go pamiętać. Miejsc, które mogliśmy fotografować, było bardzo niewiele, a kampus do nich należał. Widok przez okno nie przedstawiał niczego szczególnego: dwa główne budynki akademików stojące przy dziedzińcu, który właściwie był tylko placem suchej ziemi porośniętej z rzadka trawą. Pośrodku leżał duży kamień, na którym siedziało dwóch studentów pochylonych nad pracą domową. Lydia powiedziała, że często widuje na tym kamieniu uczących się chłopców, więc chce zapamiętać ten widok.

Wydała mi się bardziej milcząca niż zwykle, więc zapytałam, co myśli o swoich studentach. W pierwszej chwili zabrakło jej słów, ale po zastanowieniu stwierdziła, że są zupełnie inni od Koreańczyków z Południa, których wcześniej uczyła angielskiego. Przez czternaście lat była misjonarką w Japonii, a przez półtora roku w Korei Południowej, adoptowała nawet koreańską dziewczynkę, więc ta część świata nie była jej obca, a jednak nie wiedziała, co myśleć o naszych chłopcach.

Opowiedziała mi o czymś, co zdarzyło się poprzedniego dnia. Dotknęła ręki jednego ze studentów, żeby zademonstrować znaczenie zdania „Wykręcił mi rękę”, a on dosłownie się wzdrygnął. Bardzo ją to zdziwiło, zwłaszcza że studenci nie mieli oporów przed kontaktem fizycznym między sobą; często widzieliśmy, jak chodzą parami, obejmując się w pasie albo trzymając za ręce. Zapytała więc, dlaczego najlżejsze dotknięcie z jej strony budzi w nich taki niesmak. Kiedy nie odpowiedzieli, sformułowała to pytanie jak w testach wielokrotnego wyboru. Czy to dlatego, że była starsza, że była kobietą, czy że była nauczycielką? Odparli, że chodzi o wszystkie z powyższych powodów, i poprosili, żeby więcej tego nie robiła. Zwróciłam

uwagę, iż nie podała jeszcze jednej możliwości: że jest cudzoziemką. Studenci woleli na ogół wykładowców Koreańczyków. Często mi mówili, że po prostu czują się z nami swobodniej. Kiedy wspomniałam o tym Lydii, powiedziała z wahaniem:

– Wiem... Ale o to nie zapytałam. – Mówiła z południowym akcentem, który wydawał mi się dziwnie znajomy, nawet bardziej od koreańskiego akcentu moich studentów. Pokręciła głową i dodała: – Martwi mnie to, że... po prostu nie wiem, kim oni są.

Zaczęłam czuć to samo. Kiedy student z grupy 1 oświadczył, otwarcie i bez cienia wstydu, że przegrywając w quizie wiedzy ogólnej, mieli pecha, bo przyłapano ich na oszukiwaniu, i powinni byli oszukiwać lepiej, zastanawiałam się, czy nigdy ich nie uczono, że kłamstwo to coś złego. Może uważali, że mogą śmiało kręcić i łąać, dopóki uchodzi im to na sucho. Czy to możliwe, że po prostu nie umieli odróżnić dobra od zła?

Kiedy o tym myślałam, czułam kielkującą we mnie niechęć do moich studentów i wiedziałam, że jeśli będzie rosła, nie będę miała innego wyjścia, niż opuścić uczelnię. Ta awersja była niemal instynktowna. Tak jak studenci Lydii wzdrygali się na myśl o jej dotyku, tak ja zaczęłam się wewnętrznie wzdrygać na widok tych, którzy byli większymi krętaczami od innych. Na przykład Park Jun-ho opowiadał mi niestworzone historie tłumaczące nieobecność któregoś z kolegów, między innymi jak to Jun Su-young jest tak chory, że samochód zabrał go do dużego szpitala w Pjongjangu. Kręcił głową, kładł rękę na sercu i mówił:

– Pani profesor, to zły dzień dla naszej grupy. Mam tylko nadzieję, że wyzdrowieje.

Staralam się w takich chwilach nie okazywać uczuć. Studenci potrafili odczytywać wyraz twarzy innych ludzi z niezwykłą bystrością. Prawie jakby ich w tym szkolono. Wyczuwali, kiedy sytuacja się zmienia, bo może

zmieniała się cały czas i nikt nie mówił tego, co myśli, więc jedynym sposobem na przetrwanie były psychologiczne gierki i manipulacje.

Zdarzały się też kłamstwa niezdarne. W dniu, w którym studenci mieli mi oddać plan wypracowania o uczciwości, mniej więcej jedna czwarta z nich oświadczyła, że niechcący zostawili swoje plany w akademiku. Kiedy poprosiłam, żeby po nie poszli, umilkli na dłuższą chwilę, zanim przyznali, że nie odrobili pracy domowej. Jeden twierdził, że napisał plan w zeszycie, ale kiedy chciałam, żeby mi go pokazał, też zamilkł i w końcu przyznał, że go nie zrobił.

Paranoja rodziła paranoję. Bez zaufania związku międzyludzkie nie mogą się rozwijać, więc moja relacja ze studentami zaczęła się pograżać w stagnacji. W weekendy widziałam, jak cała grupa o szóstej rano pracuje w polu albo ćwiczy, ale kiedy pytałam ich, jak spędzili poranek, odpowiadali, że spali do późna, nawet do jedenastej, i są bardzo wypoczęci. Każdy student twierdził, że z niecierpliwością wyczekuje wakacji, aby móc się zobaczyć z rodzicami i spędzać czas z przyjaciółmi. Chociaż część z nich nie miała pojęcia, gdzie ci przyjaciele są, najwyraźniej spodziewali się, że wrócą z tego placu budowy, na który ich wywieziono.

Oczywiście oni sami przez całe życie nasłuchali się kłamstw. Myślałam o tym tego wieczora, kiedy Rachel odciągnęła mnie na bok i szepnęła:

– Słyszałaś kiedyś o Tangunie?

Tangun to mityczny założyciel Korei, jego pierwsze królestwo miało powstać w 2333 roku p.n.e. Według legendy Hwanung, syn Pana Niebios, spłodził go swoim oddechem z niedźwiedzicą, która zamieniła się w kobietę. Jak się okazało, studenci Rachel uczyli się, że Kim Ir Sen odkopał szczątki Tanguna w 1993 roku, to znaczy rok przed własną śmiercią. (Najwyraźniej miało to podsunąć ludziom myśl, że Wielkiemu Wodzowi było pisane rządzenie Koreą, a tym samym usankcjonowanie pozycji jego syna Kim

Dzong Ila, który objął władzę w 1994 roku). Studenci opowiadali o swoim pragnieniu odwiedzenia grobu Tanguna na przedmieściach stolicy. Rachel uznała ich za dziwnie łatwowiernych, a przecież to ona łąziła po rowie koło akademika wykładowców, szukając miejsca na kampusie PUST, w którym „przypadkowo” znaleziono święty dzwon z pierwszego kościoła w Pjongjangu. Wierzymy w to, w co chcemy wierzyć. Jeśli ci nieszczęśni ludzie tak rozpaczliwie chcieli trwać w przekonaniu, że ich Wielki Przywódca jest prawowitym dziedzicem Tanguna, to kto mógł ich za to winić? Tak naprawdę wina spadała na tych, którzy podtrzymywali takie mity, aby kontrolować masy.

I tak przechodziłam od miłości przez litość do odrazy i nieufności, a potem z powrotem do empatii i miłości. Te zmiany uczuć mąciły mi w głowie. Starłam się pamiętać, że tam, skąd pochodzę, psychologiczne manipulacje nie były koniecznym warunkiem przetrwania w aż takim stopniu jak tutaj, gdzie najmniejszy odruch buntu mógł mieć niewyobrażalne konsekwencje.

Powoli zaczynałam rozpoznawać wyraz twarzy studentów, kiedy kłamali albo mówili coś, czego później żalowali, i rozróżniać, które stwierdzenia są prawdziwe, a które nie, którzy studenci zawsze pozostają niewzruszeni, a którym czasem coś się wymsknie. Bywały jednak wieczory, kiedy nie miałam ochoty na te zgadywanki, kiedy moje rozczarowanie było tak dojmujące, że wolałam siadać ze studentami najslabiej mówiącymi po angielsku, bo im trudniej było mnie okłamywać.

Było to uczucie zbliżone do zawodu miłosnego i zrozumienie go zajęło mi trochę czasu – aż pewnego wieczora po kolacji, patrząc na studentów rozsianych po kampusie z wiadrami w dłoniach, podczas dyżuru ogrodniczego, który wypadał coraz częściej, w miarę jak zbliżał się Dzień Zwycięstwa, 27 lipca, przyszło mi na myśl, że to wszystko na nic. Na nic ta

fantazja o koreańskiej jedności, te pięć tysięcy lat koreańskiej tożsamości, bo zjednoczony naród pękł nieodwracalnie w 1945 roku, kiedy grupa polityków narysowała przypadkową linię na mapie, rozdzielając rodziny, które miały umrzeć, już nigdy się nie spotkawszy. Ich smutek, gniew i żal miały pozostać bez odpowiedzi, a ich ciała – obrócić się w proch, stać się częścią tej ziemi. Tego wieczora, kiedy żałobne słońce o barwie owocu granatu chowało się za Wieczną Wieżą, za dymiącym kominem, za tym miastem, tą szkołą, za dziećmi elity, które na krótko stały się moimi dziećmi, tymi uroczymi, kłamliwymi dziećmi, zobaczyłam bardzo wyraźnie, że nie ma tu żadnego odkupienia.



# 11

Niedziela 24 lipca była dniem wyborów w Pjongjangu, ale dla nas był to dzień modlitwy. Moi koledzy i koleżanki już dawno prosili o zgodę na odwiedzenie jednego z dwóch kościołów w Pjongjangu, więc wybieraliśmy się teraz do kościoła Bongsu. Dołączył do nas prezes Kim, który wyjaśnił, że nie jest to prawdziwy kościół, ale mamy szanować pragnienie gospodarzy, by pokazać nam, iż mają wolność religijną, chociaż jej nie mają. Wiadomo, że reżim KRLD zwalcza nielegalne praktyki religijne represjami, takimi jak aresztowania, a nawet egzekucje.

Z okiem autobusu widzieliśmy, że panuje uroczysty nastrój, ulice są pełne ludzi, a wiele kobiet ma na sobie kolorowe, wydymające się na wietrze hanboki – tradycyjne koreańskie stroje. Na jednym z budynków zobaczyłam nowy slogan: WEŹMY WSZYSCY UDZIAŁ W WYBORACH I POPIERAJMY REWOLUCJĘ! Dzieci w szkolnych mundurkach – w białych koszulkach, granatowych spódniczkach lub spodniach, czerwonych chustach – maszerowały w grupach, głośno śpiewając, machając plastikowymi „kimdzongilkami” i „kimirsenkami”, a także niosąc transparent z hasłem: BUDUJMY NASZ SOCJALISTYCZNY NARÓD, BY IŚĆ ZA NASZYM WIELKIM GENERAŁEM KIM DZONG ILEM! Co kilka przecznic ludzie stali w długich kolejkach przed dużymi czerwonymi wywieszkami z napisem: „Punkt wyborczy”. Powiedziano nam, że mieszkańcy wybierają przedstawicieli do władz miasta i okręgu, że

wybory odbywają się co cztery lata i że głosować może każdy powyżej siedemnastego roku życia.

Na ulicach było jeszcze mniej samochodów niż zwykle, a prezes Kim wyjaśnił, że podczas wyborów tylko wojskowym wolno jeździć autem. Chociaż mieliśmy pozwolenie na przejazd, zatrzymał nas jakiś strażnik. Pan Han, bardzo zdenerwowany, oznajmił mi, że autobus jest pełen obcokrajowców i że śpieszymy się na coś ważnego. Dziesięć minut później pozwolono nam ruszyć. Zazwyczaj autobus krążył po tej samej okolicy, mijając Wielką Czytelnię Ludową, Wieżę Dżucze, Dom Towarowy Potonggang oraz hotel Koryo – wszystkie te miejsca znajdowały się w odległości kilku przecznic od siebie – ale tego dnia pojechaliśmy inną trasą. Po drodze widziałam kobiety robiące pranie w mętnych wodach rzeki Potonggang, która przepływała przez serce miasta. Mężczyźni łowili ryby z jej brzegów. Ludzie jak zwykle ścinali trawę, siedząc w kucki, albo zamiatali ulice. Nigdzie nie było żadnych śmieci. Dostrzegłam także kilka kościstych kobiet z wiadrami, pochylających się nad dużymi kałużami. Sypały do nich ziemię, czekały, aż wchłonie wodę, po czym mokrą zgarniały z powrotem do wiader, z których wytrząsały ją na jedną stertę. Była to chyba pjongjańska wersja kanalizacji burzowej. Przejechaliśmy koło dużego stawu z liliami wodnymi i zobaczyłam, że tam też ktoś łowi. Może ci ludzie już zagłosowali.

Kościół stał w pobliżu bloków, które wyglądały jak slumsy. Cementowe budynki znajdowały się w ruinie, w oknach na parterze nie było szyb, tylko metalowe kraty. W ciemnej dziurze, która była oknem, mignęła mi twarz mężczyzny, a cokolwiek znajdowało się w środku pomieszczenia, wydawało się jeszcze ciemniejsze. Zanim jednak zdążyłam się nad tym zastanowić, nasz autobus przemknął obok i zaparkował przed dużym, nowoczesnym, nijakim budynkiem zwieńczonym krzyżem, który podobno powstał dzięki datkom od

chrześcijan z Korei Południowej. Po frontowych schodach zszedł mężczyzna w szatach pastora, żeby nas powitać. Chociaż się spóźniliśmy, bo po drodze nas zatrzymano, cały kościół na nas czekał, więc jeszcze nie rozpoczęto nabożeństwa.

W środku w niemal idealnej ciszy siedziało w ławkach około stu parafian oraz członkowie chóru. W większości były to kobiety w wieku od trzydziestu do pięćdziesięciu lat. Kiedy weszliśmy, wierni odwrócili się w naszą stronę i uśmiechnęli, wszyscy jednocześnie. Wyglądali na dość zamożnych, chociaż nie aż tak jak nasi studenci. Zastanawiałam się przez chwilę, dlaczego ci ludzie nie stoją teraz przy urnach wyborczych. Zostaliśmy skierowani na miejsca w pierwszym rzędzie i dostaliśmy nowiutkie Biblie oraz kościelne śpiewniki po koreańsku i po angielsku. Każdemu z nas wręczono także słuchawki wraz z urządzeniem umożliwiającym słuchanie nabożeństwa z pomocą tłumaczenia symultanicznego. Kiedy włączyło się ten aparacik, dziarski głos mówił: „Witamy w naszym kościele”, jakby była to lekcja konwersacji po angielsku. Obok pastora wisiał ekran, na którym było widać nas samych. Rozejrzałam się, żeby zobaczyć, kto nas filmuje, ale nie dało się tego stwierdzić. Po chwili do ołtarza podeszła kobieta w błyszczącym hanboku, aby zmówić modlitwę – a właściwie raczej wygłosić błagalny monolog o zjednoczeniu, smutku Koreańczyków oraz niegodziwości tych, którzy nas rozdzielili. Brzmiało to tak, jakby robiła to już wiele razy.

Kazanie wyglądało podobnie. Pastor mówił o nikczemności południowokoreańskiego reżimu, który, wspierany przez amerykańskich imperialistów, utrzymywał podział Korei. Ta zbrodnia zostanie ukarana, twierdził z naciskiem, cytując List do Rzymian 6, 23 – „Albowiem zapłatą za grzech jest śmierć” – dla większego efektu. W pewnym momencie wszyscy musieliśmy stanąć przed ławkami i zaśpiewać dla naszych północnokoreańskich braci i sióstr w Chrystusie, którzy przybrali radosne,

podeksycytowane miny, jakby na zawołanie. Przez cały czas zachęcano nas do robienia zdjęć.

Patrzyłam na twarze pastora i parafian, które nie zdradzały niczego. Wszystko to był teatr, a ja także brałam udział w przedstawieniu. Oni udawali, że są chrześcijanami, a my udawaliśmy, że im wierzymy. Przypomniałam sobie, że na PUST kazano nam się modlić w sekrecie, z otwartymi oczami. Tutaj sytuacja się odwróciła: nasza grupa modliła się otwarcie, a miejscowi odgrywali farsę. Może kiedy mówili o Bogu, podstawiali sobie w duchu słowa: „Kim Dzong Il”.

Ulgę przyniosło mi słuchanie chóru, który śpiewał tak żarliwie i pięknie, że zastanawiałam się, czy chórzystów wybrano ze względu na wyjątkowy talent wokalny. Pomyślałam, że to nie takie straszne zadanie. Mogli tu przyjść i przez godzinę pomarzyć i pośpiewać. Może nawet znajomi zazdrościli im takiej przyjemnej fuchy.

W pewnej chwili zaśpiewali coś, co zabrzmiało dziwnie znajomo. Był to ulubiony kościelny hymn mojej babci od strony ojca. Często go nuciła, chociaż nie była głęboko wierzącą chrześcijanką i chodziła do kościoła tylko wtedy, gdy nasilały się jej ataki paniki. Wcześniej była ateistką, chociaż, jak w większości koreańskich rodzin, także u nas zostały jakieś ślady buddyzmu i szamanizmu.

Babcia wyszła za mojego dziadka w wieku szesnastu lat, urodziła i wychowała troje dzieci, przeżyła japońską kolonizację i omal nie umarła z niedożywienia podczas wojny koreańskiej. Rzadko jednak o tych sprawach mówiła. Często za to wspominała o kobietach – kobietach dziadka, z których jedna była *gisaeng* (gejszą), wprowadziła się do ich domu i zajęła małżeńską sypialnię. Nie wiadomo, czy kochanka była prawdziwą *gisaeng*, czy zwykłą hostessą z baru, bo owe kobiety pojawiały się i znikwały zbyt szybko, żeby babcia zdążyła poznać ich prawdziwą tożsamość, ale ta *gisaeng*, czy też

falszywa *gisaeng*, co wieczór piła z dziadkiem *jungjong* (sake), a obowiązkiem mojej babci było przynoszenie im tac z jedzeniem. Babcia zawsze powtarzała, że to przez to latanie dziadka za spódniczkami ma ataki paniki.

Kiedy wszyscy lekarze stwierdzili, że jej choroba jest urojona, a jeden wręcz zalecił jej jako lekarstwo ssanie miętowych cukierków, odwiedziła miejscowego księdza i zwróciła się ku Jezusowi. Chrystus stał się dla niej sposobem na poradzenie sobie z kobieciarstwem dziadka. Między jednym romanssem a drugim, kiedy czuł przyływ skruchy, dziadek niechętnie odprowadzał ją do kościoła, zawsze deklarując, że nikt nie zobaczy Gwangsan Kima, potomka wielkich konfucjańskich uczonych, w miejscu publicznym z Biblią pod pachą. Starannie owijał więc Biblię swojej żony gazetą i niósł ją aż do progu kościoła, którego sam nigdy nie przekroczył.

Wydawało mi się czymś niepojętym, że życie zawiodło mnie do tak przedziwnego miejsca, do tego lipnego północnokoreańskiego kościoła, w którym siedziałam, słuchając fałszywego chóru razem z grupą prawdziwych wiernych, i spłynęło na mnie wspomnienie o mojej babci i jej chrześcijaństwie na pół gwizdka. Jednak zdałam sobie w tym momencie sprawę, że czy była głęboko wierząca, czy nie, kościół dawał jej jakąś pociechę w pełnym udręki życiu, i za to byłam mu wdzięczna.

Na pożegnanie zachęcono nas, żebyśmy wzięli sobie Biblie i śpiewniki na pamiątkę. Parafianie uśmiechali się, machali i śpiewali „Spotkajmy się znowu”, a pastor stał na zewnątrz i pozował z nami do wspólnych zdjęć. Wsiedliśmy do autobusu, parafianie wciąż nam machali, a potem zobaczyliśmy, jak wszyscy naraz odwracają się i odchodzą, znikając szybko na pjongjańskich ulicach, jakby odfajkowali swój poranny obowiązek.

Tego dnia po południu niektórym nauczycielom pokazano punkt wyborczy. Namawiano ich, żeby robili zdjęcia, a standardowa ładna

przewodniczka wyjaśniła, jak się głosuje. Według niej na karcie do głosowania znajdowały się nazwiska dwóch kandydatów, a obywatele Pjongjangu wybierali jednego z nich, tak jak w każdym innym wolnym kraju. Jedna z nauczycielek, która uczyła angielskiego odpowiedników, miała jednak inne informacje: jej uczniowie wygadali się, że jest tylko jeden kandydat, wskazany przez rząd, więc wybory tak naprawdę polegały na tym, że przychodziło się do punktu wyborczego i głosowało na tego kandydata. Czy w takim razie rząd zorganizował lipne wybory tylko dla nas? Oprócz kościoła, punktu wyborczego i ludzi ustawiających się do głosowania, co jeszcze było tu przeznaczone tylko dla naszych oczu? Czy światła w oknach gaśły zaraz po tym, jak koło nich przejechaliśmy?

Tego wieczora przy kolacji moi studenci zapytali, jak zwykle, co dziś robiliśmy. Ponieważ mieliśmy nie rozmawiać z nimi o Jezusie, odwróciłam to pytanie: a co oni robili? Odparli, że głosowali w śródmieściu Pjongjangu. Były to pierwsze wybory, w których mogli głosować, więc bardzo się nimi ekscytowali, jak stwierdzili. Szkoła nie miała tylu autobusów, żeby zawieźć wszystkich dwustu siedemdziesięciu studentów do miasta, poza tym wiedziałam, że nigdy nie pozwalano im wychodzić poza kampus, więc zapytałam, jak dotarli do punktu wyborczego. Na piechotę, odparli. Nie wierzyłam własnym uszom, ale dalej ich naciskałam. Do Pjongjangu jechało się około dziesięciu minut samochodem, więc zapytałam, niby od niechcienia, jak długo szli. Tu udzielili mi różnych odpowiedzi. Niektórzy twierdzili, że pół godziny, inni – że godzinę. O której wyszli? Niektórzy powiedzieli, że o ósmej, inni – że o dziewiątej. My jednak wyjechaliśmy o dziewiątej rano i wtedy nie było po nich ani śladu.

Następnego dnia na zebraniu grona pedagogicznego usłyszeliśmy, że musimy zwrócić PUST za benzynę oraz za posiłki dla naszych opiekunów i kierowcy. Chodziło o skromną sumę, po pięć czy dziesięć dolarów za każdy

z naszych wyjazdów, ale biorąc pod uwagę, że uczyliśmy za darmo i przylecieliśmy tu za własne pieniądze, albo za fundusze wyłożone przez dany kościół, wydało nam się dziwne, że wymaga się od nas płacenia za to, że jesteśmy pilnowani.

Dowiedzieliśmy się także, że gdybyśmy chcieli pójść na Masowe Igrzyska Arirang, wielki festiwal ku czci KRLD, odbywający się co roku w sierpniu, będzie to nas kosztowało nawet po czterysta dolarów od osoby. Uczelnia proponowała, żebyśmy kupili bilety ze środkowej półki, po dwieście dwadzieścia pięć dolarów. Widziałam już igrzyska podczas jednej ze swoich poprzednich wizyt, więc teraz cena mnie zdumiała. Kiedy już opatrzą nam się żywe obrazy „kimdzongilek”, „kimirsenek” czy sierpów i młotów, formowane przez dziesiątki tysięcy dzieci, chcąc nie chcąc zaczynamy myśleć o niezliczonych godzinach prób, do których te dzieci były zmuszane. Kilku innych wykładowców też było zszokowanych wysokością opłaty, ale zgodzili się kupić bilety, bo nie wiedzieli, kiedy tu wrócą. Z Koreą Północną zawsze tak było. Przypominała zaniedbującego nas chłopaka, na którego obecność nigdy nie można liczyć, więc trzeba zawsze wykorzystywać okazję do spotkania się z nim, kiedy akurat ma czas.

Następnie głos zabrał doktor Joseph, który wydawał się niemal zakłopotany, prosząc o datki na wyżywienie studentów. Twierdził, że „inni” – odpowiednicy, jak zakładałam – ciągle nalegali, żeby wpłacił co najmniej pięćset dolarów na przygotowanie „posiłku z dużą ilością mięsa”. Podejrzewałam, że mięso nie było przeznaczone dla studentów, ale miało zaspokoić zachłanne żądania odpowiedników. Jeden z nich lubił powtarzać:

– A, to wy jesteście towarzyszką Suki. Sprawiliście nam tyle kłopotów. Nie macie pojęcia, jaka to była mordęga załatwić wam wizę. Po tym wszystkim, przez co dla was przeszedłem, może powinniście mi podziękować. – Za pierwszym razem, kiedy to powiedział, czułam się dość

niezręcznie, ale pośmiałam się razem z nim, udając, że to żart.

Takie próby wymuszania czy wyłudzenia pieniędzy były w transakcjach z Koreą Północną czymś typowym. Kiedy przyjechałam tu z okazji występu Filharmonii Nowojorskiej, poznałam kilku południowokoreańskich dziennikarzy, którzy byli znużeni i zirytowani Koreą Północną i zgodnie twierdzili, że aby zrozumieć KRLD, trzeba „iść za pieniędzmi”. PUST był finansowany przez indywidualnych donatorów z całego świata, a także południowokoreańskie Ministerstwo Zjednoczenia, natomiast nie było mi nic wiadomo o wkładzie samej Korei Północnej. Najwyraźniej reszta świata karmiła i kształciła dzieci północnokoreańskich przywódców. Poza tym częste były prośby o niewielkie sumy, do których zdążyliśmy się już przyzwyczaić. Odpowiednicy chcieli, żebyśmy ich karmili, i oczekiwali, że wyjdziemy naprzeciw tym pragnieniom.

Ostatnia informacja, jaką usłyszeliśmy na zebraniu, było nieco niepokojąca. Doktor Joseph oznajmił, że według odpowiedników część naszych studentów nie wróci do domu na przerwę wakacyjną. Pojadą tylko niektórzy, stwierdził doktor Joseph. Niektórzy z najbogatszych, najprawdopodobniej. Od razu mogłam się domyślić, którzy spośród moich studentów zostaną wybrani. Różnice między nimi rzucały się w oczy. Kilku pisało wypracowania na gładkich, białych kartkach, takich, jakie znaleźliśmy z naszych krajów, ale większość używała szorstkiego, brązowego papieru, będącego tu normą. Ci od białych kartek często mieli też elektroniczne słowniki, zdrową, zarumienioną cerę i lepiej mówili po angielsku.

Okazało się, że studenci mają cały rok drobniogowo rozplanowany. Podczas przerwy wakacyjnej albo zostawali na kampusie, gdzie wykonywali dodatkowe zadania, albo pracowali w czymś w rodzaju spółdzielni produkcyjnych. Nie był to ich własny wybór. Doktor Joseph wyjaśnił, że w KRLD właściwie nie ma czegoś takiego jak wakacje. Sarah mu przytaknęła.



Akurat w tym tygodniu omawiała czytanki, których tematem były wakacje, i zorientowała się, że tutaj rozumie się pod tym pojęciem coś innego niż u nas. Mieli czas przeznaczony na rekreację, na przykład sport, ale nie było czegoś takiego jak dłuższe ferie czy przerwa wakacyjna. Wszyscy studenci mieli zajęcia przez sześć dni w tygodniu, a w niedziele wielu z nich musiało wykonywać różne obowiązki. Ten harmonogram nie zmieniał się szczególnie podczas wakacji, bo chodzili do szkoły albo na zebrania dzucze, albo Wspólnoty Życia Codziennego, a przez resztę czasu kazano im pracować w spółdzielniach produkcyjnych. W tym kraju nikomu nie pozwalano na czas wolny.

Każdy z moich studentów mówił mi wcześniej, że na cały sierpień jedzie do domu. Jeśli nie udawali, najwyraźniej wiedzieli równie mało jak my.

## 12

Przez ostatnie dni przed końcem letniego semestru w szkole panował zamęt. Wybuchł szal robienia zdjęć i urządzania zawodów sportowych, jakby bezustanne zajęcia miały odwrócić naszą uwagę od zbliżającego się pożegnania. Byłam rozdarta między smutkiem a pragnieniem ucieczki z tego miejsca. Już mnie zaproszono, żebym wróciła uczyć w semestrze zimowym, a ja się zgodziłam, ale szczerze mówiąc, nie byłam pewna, czy dam radę jeszcze raz przez to przebrnąć.

26 lipca po obiedzie zostałam wezwana razem z Ruth do gabinetu prezesa Kima, gdzie oznajmiono nam, że mamy uczestniczyć w ceremonii obchodów 58. rocznicy Wielkiego Zwycięstwa na krytym stadionie w Pjongjangu. Była to impreza państwowa, organizowana przez Partię Pracy oraz Pjongjański Komitet Ludowy, w przeddzień Dnia Zwycięstwa. Wśród zaproszonych gości znalazło się wąskie grono ważniejszych osobistości PUST. My dwie miałyśmy być jedynymi wykładowcami. Joan powiedziała mi później, że pracowała z prezesem Kimem od prawie dziesięciu lat, odkąd w ogóle pojawiła się idea stworzenia PUST, ale nigdy nie została zaproszona na imprezę tej rangi, bo była „białą twarzą”. Zostałyśmy wybrane, jak stwierdziła, ponieważ obie miałyśmy wrócić tu jesienią, a poza tym byłyśmy Koreankami z pochodzenia.

Kiedy zjawiliśmy się na stadionie, panowała tam cisza jak makiem zasiał,

choć wszystkie dwadzieścia tysięcy miejsc było zajęte. Połowę gości stanowili wojskowi, a drugą połowę obywatele w szarych letnich garniturach, stanowiących rodzaj cywilnego uniformu dla członków Partii. Nie widziałam żadnej niekoreańskiej twarzy. Scenę zdobił napis: STU WALCZY, STU ZWYCIĘŻA! 58. ROCZNICA ZWYCIĘSTWA 727, a po obu jego stronach wisały podobne slogany. Poza tym na scenie stały trzy rzędy krzeseł, przodem do publiczności.

Po chwili na środek wyszło około stu mężczyzn w wojskowych mundurach, takich samych, jakie nosili moi studenci na warcie przed Halą Kimirszenizmu, a wtedy wszyscy widzowie wstali i zaczęli klaskać, podczas gdy armijni oficjele zajęli miejsca na scenie. Wielu z nich było spasionych, mieli grube brzuchy i obwisłe policzki, a kurtki ich mundurów pokrywały błyszczące złote medale. Dostrzegłam wśród nich dwie kobiety, jedną w białym kostiumie ze spodniami, a drugą w hanboku. Prawdopodobnie któraś z nich to była Kim Kyong Hui, siostra Kim Dzong Ila i żona Dzang Song Teka, wówczas drugiego najpotężniejszego człowieka w Korei Północnej\*.

Jeden z oficjeli wszedł na podwyższenie i zaczął odczytywać przemówienie, miejscami niezrozumiałe z powodu słabego nagłośnienia\*\*. Dotyczyło głównie wspaniałych osiągnięć Kim Ir Sena, który heroicznie odparł ataki amerykańskich imperialistów i wygrał wojnę. Cały tekst był usiany przekleństwami pod adresem Stanów Zjednoczonych i Korei Południowej. Mówca stwierdził, że Lee Myung-bak, który był wtedy południowokoreańskim prezydentem, wpycha cały półwysep w chciwe łapy Ameryki i że jeśli tak dalej pójdzie, Seul zmieni się w „morze krwi” pełne „śmierci i zwłok”. Uroczystość była nagrywana i transmitowana w telewizji, a nasi opiekunowie co jakiś czas kazali nam klaskać. Oficjel zakończył przemówienie słowami: „Niech żyje nasz Wielki Wódz Kim Ir Sen! Niech

żyje nasz Wielki Generał Kim Dzong Il! Niech żyje nasza Partia Pracy!”. Po czym wszyscy wstaliśmy i wykrzyčeliśmy te słowa razem.

Po powrocie na uczelnię, około 17.30, siedziałam sama w swoim gabinecie i ze zdziwieniem stwierdziłam, że chyba słyszę urywki tego samego przemówienia. Chociaż dźwięk był zniekształcony, udało mi się odgadnąć, że dobiega z otwartego okna jednej z większych sal za zakrętem korytarza. Udałam, że idę do łazienki, i skradając się na palcach, zajrzałam za róg. Dostrzegłam przez okno studentów, którzy oglądali retransmisję przemówienia w telewizji w ramach swojego specjalnego popołudniowego zebrania.

Około 18.45 siedziałam na stołówce i patrzyłam, jak do środka wchodzi moja grupa. Chłopcy mieli posępne miny i nie patrzyli nam w oczy. Niektórzy dosłownie wzdrygnęli się na nasz widok. Powinno mnie to zabołec, ale nawet ich rozumiałam. Słyszałam to przemówienie, byłam tam. Mogli czuć się tylko głęboko zdezorientowani: wzywano ich do przygotowania się do walki z amerykańskimi imperialistami, a po chwili musieli się odwrócić i spojrzeć nam w twarz. Byli jak żołnierze w czasie wojny, szykujący się na śmierć i zniszczenie, a my skakaliśmy wokół nich, pytając: „Jakie masz plany na wakacje?” albo „Masz dziewczynę?”. Wiedziałam, że kiedy mnie teraz zobaczyli, stałam się dla nich wrogiem, jako Koreanka z Południa i Amerykanka, właśnie takim celem, do jakiego uczyli się strzelać, żeby zabić.

Siedziałam więc i czekałam. Tak jak można się było spodziewać, nikt nie chciał usiąść ze mną przy stoliku, aż w końcu przysiadł się do mnie przewodniczący jednej z grup. Wziął na siebie ten ciężar ze względu na swoich kolegów, którzy nie chcieli ze mną jeść. Z jego twarzy nie dało się nic wyczytać. Kiedy zapytałam, dlaczego spóźnili się na kolację i co robili na popołudniowym zebraniu, po prostu wzruszył ramionami.

– Oglądaliśmy telewizję – powiedział.

Następnego ranka odbywał się u nas Dzień Sportu i nastrój studentów wyraźnie się poprawił. Każda szkoła w kraju odprawiała ten rytuał dwa razy do roku, więc studenci dobrze znali ćwiczenia oraz okrzyki, którymi zagrzewano się do walki. W imprezie brali udział wszyscy, z nauczycielami włącznie, a studentów podzielono na dwie drużyny: jedną w niebieskich czapkach baseballowych, drugą w białych. Czekali z niecierpliwością na te zawody już od kilku tygodni, ale po wielu dniach ulewnych deszczy obawiali się, że znów może padać. Na szczęście pogoda się poprawiła.

Chcąc nie chcąc, przypominałam sobie dzieciństwo w Korei Południowej. Też czekaliśmy cały rok na Dzień Sportu, tak jak amerykańskie licealistki odliczają dni przed bale maturalnym. Też nas dzielono na drużynę niebieskich oraz drużynę białych i rywalizowaliśmy w podobnych konkurencjach, takich jak wyścig w parach ze związanymi nogami czy przeciąganie liny, a także zawody w kibicowaniu. Jedyna różnica polegała na tym, że byliśmy dziećmi w podstawówce pod koniec lat siedemdziesiątych. Ja jednak kiepsko sobie radziłam w sportach zespołowych i czułam się onieśmielona duchem rywalizacji, który ogarniał moje koleżanki i kolegów z klasy. Pamiętam, jak snułam się z nosem spuszczonej na kwintę i czekałam, aż zjawi się moja matka z lunchem: kimbapem własnej roboty. Wszystkie matki przynosiły kimbap na Dzień Sportu, a każdy wyglądał inaczej, niektóre były bardzo wymyślne, z marchewką powycinaną w fantazyjne zawijasy i kwiatkami z ogórka. Sprawiało to wrażenie, jakby matki też brały udział w zawodach.

Podczas Dnia Sportu na PUST sumiennie uczestniczyłam w poszczególnych konkurencjach, klaskałam i kibicowałam drużynie moich studentów. Gdyby to był film, może ta dziewczynka z Korei Południowej

znalazłaby jakieś ukojenie, ale w rzeczywistości czułam z nimi więź tylko w krótkich chwilach – podczas wyścigu, w którym musiałam biec w parze ze studentem, z piłką wciśniętą między nasze głowy; kiedy wszyscy studenci i wykładowcy tańczyli w kółku, trzymając się za ręce. Wszystko to jednak szybko się skończyło, ja wróciłam do swojego pokoju, a moi studenci – do prac ogrodniczych. Pielili przez całe popołudnie, nawet kiedy zaczęło lać, w tym Dniu Zwycięstwa, kiedy, jak wierzyli, Kim Ir Sen zaryzykował życie, żeby ocalić ich wszystkich.

Później tego popołudnia odbywały się obchody Zwycięstwa 727 w Ludowym Pałacu Kultury. I tym razem zaproszono jedynie wykładowców koreańskiego pochodzenia. Kiedy przybyliśmy na miejsce, zauważyliśmy wiele błyszczących aut, między innymi land rovery i mercedesy benz 300, wyłącznie czarne, jak wszystkie inne samochody, które widziałam w Pjongjangu. Zastanawiałam się, czy wśród gości są rodzice moich studentów. Zadawałam sobie to pytanie zawsze, kiedy widziałam ludzi władzy. Uważałam ich za przyczynę postępującego upadku Korei Północnej, a jednak kochałam ich dzieci.

Tak jak na ceremonii poprzedniego wieczora, publiczność składała się z przedstawicieli wojska oraz elegancko ubranych cywilów. Około dziesięciu przywódców Partii Pracy siedziało na środku pierwszego rzędu na parterze, na miejscach zarezerwowanych dla VIP-ów. W rogu sali dostrzegłam mniej więcej dwadzieścia osób niebędących Koreańczykami, wśród nich dwóch gości w mundurach wojskowych, którzy mówili po rosyjsku, kobietę w zawoju na głowie oraz czarnego mężczyznę w tradycyjnym, zapewne, kaftanie.

Na początek wystąpił Zespół Samjiyon z Trupy Artystycznej Mansudae, najsłynniejszej w kraju damsko-męskiej grupy muzyków. W różowych,

czerwonych i białych sukniach bez ramiączek, ozdobionych cekinami i piórami, kobiety na scenie kojarzyły mi się z tancerkami z Las Vegas, chociaż – według programu – wiele z nich zostało odznaczonych medalami przez Kim Dzong Ila i Kim Ir Sena. Tło występów stanowiła abstrakcyjna projekcja w neonowych kolorach, która przypominała mi standardowy wygaszacz ekranu w nowym laptopie. Na suficie widać było z pięćdziesiąt różowych i czerwonych balonów, a także maleńką kręcącą się kulę dyskotekową.

Następnie kobiety zatańczyły do muzyki *Pieśni obrony narodowej* oraz *Decydującej bitwy*, po czym solista, poważny mężczyzna w smokingu, zaczął śpiewać *Pieśń zabójcy*, której tematem było polowanie. Słuchając, uświadomiliśmy sobie, że celem tego polowania jest zdobycie głów „jankeskich *nomów*”, co znaczy mniej więcej „jankeskich sukinsynów”. Refren, powtarzany w kółko, brzmiał: „Polowanie na amerykańskich *nomów*”. Słowem na określenie głów Amerykanów nie było *mauri*, lecz *daegari*, którego używa się tylko w odniesieniu do zwierząt.

Przy każdej mojej wizycie w KRLD na nowo szokowała mnie postępująca brutalizacja języka koreańskiego. Przekleństwa zakorzeniły się nie tylko w mowie potocznej, ale także w języku pisanim. Pojawiały się wszędzie – w wierszach, gazetach, w oficjalnych przemówieniach członków Partii Pracy, nawet w tekstach piosenek wykonywanych w tym najświętszym tutaj dniu. To tak jakby słowa *fuck* i *shit* znalazły się w mowie prezydenckiej albo na pierwszej stronie „New York Timesa”. Język mówiony był równie ordynarny. Na przykład w przemówieniu, którego wysłuchaliśmy poprzedniego dnia, prezydenta Korei Południowej Lee Myung-baka oraz jego administrację nazywano *nomem* i *paetguhri-dul* („tym sukinsynem i jego oprychami”). Czułam ulgę, że moi studenci nie mówili przy mnie po koreańsku na tyle często, żebym mogła się zorientować, czy przejęli to

dziedzictwo.

Czasami jednak słyszałam wyrażenia, od których robiło mi się ciepło na sercu – archaiczne, niewinnie brzmiące słowa, które sprawiały, że czułam się tak, jakby cały kraj był małą wioską, gdzie czas się zatrzymał. Zamiast prozaicznego *soohwa*, oznaczającego język migowy, w Korei Północnej mówiło się „rozmowa palcami”, a zamiast „wywoływania zdjęć” mieli tu „budzenie obrazów”, co uznałam za bardzo poetyckie określenie.

Tymczasem na scenie pojawiła się grupa około dwudziestu dziewczynek, ośmio-, dziesięcioletnich, które śpiewały o swojej miłości do ojczyzny, uśmiechając się uroczo. Następnie wykonały szybką, radosną piosenkę o wspaniałości ich Wielkiego Przywódcy, a trzy z nich, stojące w pierwszym rzędzie, rozpostarły flagę KRLD i podniosły ją teatralnym gestem nad swoimi głowami. A potem, nagle, tymi samymi słodkimi głosami, przeszły do refrenu o „płonącej w naszych sercach nienawiści”. Musiałam zamknąć oczy, żeby uciec z tej sali koncertowej, od wszechobecnych sloganów i brutalnych słów padających z anielskich ust.

Widowisko ciągnęło się dalej. W pewnym momencie jakiś mężczyzna wygłosił monolog atakujący ostro Koreę Południową. Wszystko, co robiła administracja Lee Myung-baka, było przeciwieństwem dobra, perorował, ostrzegając Lee, żeby przestał, jeśli nie chce zginąć. Zakończył słowami: „Cel, ognia, pal”, a wtedy od strony orkiestry rozległ się dźwięk imitujący huk wystrzału, na co publiczność zareagowała aplauzem.

Jako ostatnia wystąpiła kobieta w hanboku, stojąca na podwyższeniu z boku sceny, która usypywała ręcznie „obrazy z piasku”, wyświetlane na olbrzymim ekranie. Najpierw spod jej zwinnych palców wyłoniła się postać w czapce kucharskiej, co widzowie nagrodzili brawami. Przerobiła ją na obrazek świni z prosiakami. Ten z kolei – na jakiegoś ptaka. Potem powstał chyba wizerunek jakiegoś młodego rewolucjonisty, chociaż wtedy już



przekrzywiałam głowę razem z resztą publiczności, usiłując odgadnąć, co pojawia się na ekranie. Pod sufitem wciąż kręciła się dyskotekowa kula.

---

\* W grudniu 2013 roku Kim Dzong Un kazał stracić Dzanga za zdradę. W momencie powstawania tej książki miejsce pobytu Kim Kyong Hui pozostaje nieznane.

\*\* Dowiedziałam się później, że był to Ri Yong-ho, wicemarszałek Koreańskiej Armii Ludowej. W lipcu 2012 roku Kim Dzong Un usunął go ze stanowiska. Od tamtej pory nie widziano go publicznie, więc panuje przekonanie, że albo został zesłany do obozu jako więzień polityczny, albo stracony.

# 13

– Kiedy pani wyjeżdża?

Był ostatni dzień letniego semestru. Ciągłe podchodzili do mnie moi studenci, zadając mi w kółko to samo pytanie, jak dzieci. Odpowiadałam, że wszyscy wykładowcy mają się spotkać o 6.30 rano, żeby jechać na lotnisko.

– Pani profesor, przyjdziemy się pożegnać – powtarzali.

Wszyscy wiedzieliśmy, że nie mogą tego zrobić, bo oznaczałoby to odstępstwo od harmonogramu. Mimo że nasze akademiki stały obok siebie, nie mogli po prostu wstać z łóżka i wyjść na zewnątrz, żeby się pożegnać. A jednak wciąż obiecywali: „Pani profesor, pożegnamy panią jutro rano”. Jeden z nich powiedział to chyba z pięć razy.

Wierzyłam, że bardzo chcieli przyjść i że powtarzali te słowa w kółko, żeby mi to pokazać, ale świadomość, że takie pożegnanie będzie niemożliwe, napełniła mnie smutkiem. System nie znał litości. Niby o tym wiedziałam, a jednak za każdym razem, kiedy to się potwierdzało, znów czułam się zaskoczona.

Ostatniego wieczora studentom po raz pierwszy pozwolono zostać z nami po kolacji w stołówce, gdzie śpiewaliśmy i przedstawialiśmy skecze. Trwało to mniej więcej pół godziny, a po pierwszych dwudziestu minutach pojawiło się kilkoro odpowiedników. Ich obecność oznaczała, że kończy nam się czas, a studenci zrobili się wyraźnie spięci. Niektórzy z chłopców popatrzyli na

mnie i nie odwracali wzroku; tylko tyle mogli zrobić. Kiedy niczego nie można wyrazić otwarcie, człowiek nabiera wprawy w interpretowaniu ciszy. Czytałam ich milczenie, a oni czytali moje.

Od wielu dni uczyli mnie pewnej piosenki. Była najmniej nacjonalistyczna ze wszystkich, które tu słyszałam, a kiedy powiedziałam im, że bardzo mi się podoba, byli zachwyceni i zaproponowali, że mnie jej nauczą. Razem przetłumaczyliśmy słowa:

Mleczce kwitną na wzgórzach mego rodzinnego miasta,  
Te czasy, kiedy bawiłem się, puszczając biały latawiec,  
Ach, to błękitne niebo mojego dzieciństwa,  
Dlaczego nie wiedziałem wtedy, że to duma mojej ojczyzny?

Tego wieczora zaśpiewałam ją z nimi, po angielsku, potem po koreańsku. Tylko w ten sposób mogłam im pokazać, że ich kocham i będę za nimi tęsknić z całego serca. Kiedy zaczęłam płakać, nie mogąc już powstrzymać łez, niektórzy z nich szepnęli:

– Pani profesor, proszę się uśmiechnąć.

Ciągle słyszałam te słowa: „Pani profesor, proszę się uśmiechnąć”. Zastanawiałam się, co by powiedzieli, gdyby mogli mówić swobodnie, i ta myśl sprawiła, że rozplakałam się jeszcze bardziej. Przestraszyłam się, że odpowiednicy to zauważą i nie będą zachwyceni.

Na koniec pozwolono nam jeszcze zapozować razem do wspólnych zdjęć. Żeby było szybciej, wykładowcy usiedli w jednym rzędzie, a każda grupa studentów po kolei stawała za nami w trzech rzędach. Kiedy studenci z danej grupy już zostali sfotografowani, mieli wymienić z nauczycielami uściski dłoni i zrobić miejsce dla następnych, po czym natychmiast wrócić do akademika. Usłyszałam, jak moja grupa krzyczy: „Najpierw drugi rok!”, bo wiedzieli, że studenci, którzy zapozują do zdjęcia ostatni, najdłużej zostaną

z wykładowcami. Jeden bardzo wysoki chłopak stanął podczas sesji za mną i chociaż nauczyciel robiący zdjęcie usilnie go prosił, żeby przesunął się do tylnego rzędu, nie chciał się ruszyć z miejsca. Kiedy odwróciłam się i spojrzałam mu w oczy, wymamrotał: „Dziękuję i do widzenia, pani profesor”, i zrozumiałam, że uparcie stał w tym miejscu tylko po to, żeby mi to powiedzieć. Kiedy fotograf po raz kolejny kazał mu przejść dalej, skinęłam głową, patrząc temu studentowi w oczy i mając nadzieję, że wie, iż go rozumiem. Dopiero wtedy się przesunął. Później wykładowca, który robił zdjęcia, powiedział mi, że wszyscy studenci chcieli stać koło swoich nauczycieli. Tylko przez taką fizyczną bliskość mogli okazać swoją miłość.

Byłam równie oniemiała jak moi studenci. Nie mogłam powiedzieć, kiedy ścisnęłam dłoń każdego z nich: „Wyjedźcie z tego przekłętego miejsca. Zostawcie swojego przekłętego Wielkiego Przywódcę. Wyjedźcie albo przewróćcie to wszystko do góry nogami. Proszę, zróbcie coś”. Zamiast tego tylko płakałam. I uśmiechałam się. A każdy student patrzył mi w oczy i odpowiadał uśmiechem. To było nasze pożegnanie. Niektórzy z nich nadal mówili:

– Przyjdziemy się jutro pożegnać, pani profesor.

Chciałam, żeby odnosili się do własnych czynów, mówiąc „ja”, a nie „my”, ale tutaj nie było żadnego „ja”. Nawet „my” nie istniało bez pozwolenia Wielkiego Przywódcy. Kiedy tego wieczora ustawili się w swoje oddziały i maszerowali z powrotem do akademika, zaczęli śpiewać grzmiącymi głosami najlepiej mi znaną z tutejszych piosenek, jakby chcieli przypomnieć nam i sobie samym, do kogo tak naprawdę należą:

„Bez ciebie nie ma nas”.

Tej nocy patrzyłam przez okno swojego pokoju na akademik studentów, ale ten był zupełnie ciemny, jakby wszyscy równocześnie natychmiast zasnęli. Jednak spędziliśmy razem miesiąc, więc nawet w tych ciemnościach,

za tymi nieprzejrzystymi oknami, każdy z nich był dla mnie kimś wyjątkowym, każdego z nich znałam.

Następnego dnia o 6.30 rano, stojąc przed naszym akademikiem razem z innymi wykładowcami i czekając na autobus, wypatrywałam swoich studentów, chociaż wiedziałam, że nie przyjdą. Mimo wszystko uchwyciłam się nadziei, że zostanie dla nich zrobiony wyjątek. A potem zobaczyłam, jak maszerują w kierunku stołówki, śpiewając na cały głos. Dzielilo nas najwyżej sto metrów, ale ani razu nie odwrócili się, żeby spojrzeć w naszą stronę. Wsiedliśmy do autobusu i usłyszeliśmy, że zatrzymamy się przy budynku Wydziału Informatyki, gdzie zwykle odbywały się zajęcia, bo główny odpowiednik chce się z nami pożegnać.

O siódmej siedzieliśmy w autobusie zaparkowanym przed Wydziałem Informatyki, kiedy zobaczyliśmy grupkę studentów idących drogą w tę stronę. Zjedli śniadanie i najwyraźniej szli na zajęcia, chociaż zastanawialiśmy się, kto mógłby ich uczyć. Ktoś zażartował, że studentów pewnie czeka teraz maraton dżucze, żeby zneutralizować zgubny wpływ ich krótkiej zachodniej edukacji. W pewnym momencie zauważyłam, że niektórzy z nich wyciągają szyje, szukając twarzy swoich nauczycieli, a kiedy dostrzegli nas przez okna autobusu, ich twarze rozjaśniły się w uśmiechu, a kilku nam pomachało. Nie mogli się jednak zatrzymać, bo jakiś głos krzyczał z budynku wydziału, że mają wejść do środka. Posłuchali, chociaż wielu szło bardzo wolno, z twarzami odwróconymi w naszą stronę. I nawet kiedy znaleźli się już w środku, niektórzy stanęli przy oknie, mrużąc oczy, żeby dostrzec swoich wykładowców.

Tak się rozstaliśmy, nie odrywając od siebie wzroku. Studenci obserwowali zza szyby, jak odjeżdżamy ku wolności.

CZĘŚĆ II

## Słońce XXI wieku



## 14

Powroty rzadko są takie, jak sobie wyobrażaliśmy. Kiedy znalazłam się znów w Nowym Jorku, facet z Brooklynu i ja przeszliśmy wszystkie etapy spotkania kochanków po rozłące: niecierpliwe wyczekiwanie, wątpliwości, opory.

– Pokaż no się – powiedział w barze sushi na Smith Street, gdzie się umówiliśmy.

Najwyraźniej zabrakło mu słów. Zauważył tylko z troską, że chyba schudłam. Może to był komplement, ale w uszach kogoś, kto właśnie wrócił z Korei Północnej, „schudłaś” przestawało brzmieć pochlebnie. Tego pierwszego wieczora wydawał mi się kimś obcym i pewnie ja jemu też. Nie miał pojęcia, przez co przeszłam, a ja nie próbowałam tłumaczyć.

Zamiast tego się wycofałam. On wolał pisać esemesy, niż dzwonić, ale kiedy już telefonował, nie odbierałam i pozwalałam, żeby włączyła się poczta głosowa. Nie udawałam wyniosłej obojętności, jak to czasem robią kochankowie. Po prostu czułam się niezdolna, by stanąć z nim twarzą w twarz po tak długiej nieobecności. Rozłąka dużo nas kosztowała. Byliśmy tacy, a nie inni mimo niej, a jednocześnie z jej powodu. Nie było to ani proste, ani łatwe.

Podobnie jak powrót do Nowego Jorku, jak się okazało. Wolny świat, za którym tak tęskniłam, z odurzającymi światłami i ogólną obfitością,

przytłoczył mnie, tak jak co roku blokuje mnie nadejście wiosny. Sama nagłość, z jaką pojawia się słońce, wydaje mi się natrętnym najściem i przez większość wiosennych miesięcy nie wychodzę na dwór. To, że całe to życie wybucha tak naraz, budzi moją nieufność i staję się niepewna, jak dziecko uczące się chodzić, patrzeć i czuć. Tak właśnie minął mi sierpień. Dopiero z nadejściem września poczułam się trochę lepiej we własnej skórze. Ale wtedy była już pora pakować się i wracać na semestr zimowy. Nie musiałam wracać, ale to zrobiłam. Nadal wielu rzeczy jeszcze nie rozumiałam, lecz tym razem miałam tam zostać do końca grudnia. Nie wiedziałam, czy będę w stanie to wytrzymać.

Koniec września w Pjongjangu był chłodny w porównaniu z Nowym Jorkiem. Denerwowałam się, niepewna, czy więź między moimi studentami i mną przetrwała nasze rozstanie. W lecie trochę zmniejszyli czujność, nieco się odsłonili, ale też znów byłam cudzoziemką, nosiłam ślady zewnętrznego świata. Może będziemy musieli od nowa badać grunt. Kiedy jednak pierwszego dnia studenci weszli do sali i zobaczyłam na ich twarzach czysty zachwyty, serce zupełnie mi zmiękło. Niektórzy nawet nie potrafili spojrzeć mi w oczy, zbyt onieśmieleni i podekscytowani. Zauważyłam pewne drobiazgi – że część wygląda na osłabionych, że jeden lekko utyka – i nie mogłam się doczekać, żeby z nimi porozmawiać.

Na obiedzie zapytałam kilku studentów, co robili podczas wakacji, i zostałam zasypana opowieściami o wolnym czasie, wypełnionym rozrywkami z przyjaciółmi. Park Jun-ho mówił, że chodził do ośrodka sportu na basen po trzy, cztery godziny naraz, co najmniej trzy razy w tygodniu. Han Jae-shik powiedział, że jeździł w ośrodku na rolkach i kilka razy widział igrzyska Arirang ze znajomymi. Kim Tae-hyun pochwalił się, że urządził w sierpniu przyjęcie urodzinowe w restauracji w hotelu Chongryon.

– Przyszło siedemdziesięciu studentów! – powiedział, a oczy mu się



śmiały. – Tylko dwunastu z mojej poprzedniej uczelni, a reszta z PUST. Dobrze się bawiliśmy!

Zastanawiałam się, kim są jego rodzice, skoro mogli urządzać mu tak wystawne przyjęcie, ale jednocześnie pamiętałam, z jaką łatwością moi studenci kłamią.

Jae-shik wyjaśnił, że imprezy poza PUST wyglądają inaczej, że można pozwolić sobie na nich na więcej niż tylko śpiewy.

– Na urodzinach podaje się poczęstunek przygotowany przez matkę solenizanta – powiedział. – Jest też coś do picia.

– Alkohol? – zapytałam.

Za odpowiedź musiał mi wystarczyć jego pełen zadowolenia uśmiech.

Wtrącił się Jun-ho:

– Były tam dziewczyny, ale Tae-hyun nie dał mi się do nich zbliżyć. Tak pilnował swoich młodszych sióstr, że udało mi się porozmawiać tylko z dwiema z nich! – Rozłożył szeroko ręce i pokazał, jak jego kolega zazdrośnie strzegł dziewczyn.

– Nie wiem, o czym on mówi – stwierdził Jae-shik, przewracając oczami.

– Tae-hyun ma tylko jedną siostrę!

– No dobra, ale wszystkie inne ładne dziewczyny były koleżankami siostry Tae-hyuna! – zaripostował Jun-ho.

– Widziałem tam tylko trzy dziewczyny! – zawołał Jae-shik.

– Bo się tobą nie interesowały! – odparował Jun-ho ze śmiechem. – Ale ja widziałem siedem. Wszystkie mówiły o mnie: „Ale czarujący chłopak!”.

W końcu jeden ze studentów przy sąsiednim stoliku pochylił się w naszą stronę i wtrącił:

– Zmieńcie temat, błagam. Ten facet – wskazał na Jun-ho – za bardzo się interesuje młodszymi siostrami swoich kolegów! O niczym innym nie mówi,

zawsze tylko „młodsza siostra, młodsza siostra”!

Kiedy tak sprzecjali się o dziewczyny, przypomniałam sobie, co mówił doktor Joseph: że część studentów miała być w sierpniu skierowana do prac fizycznych. Wszystko wskazywało na to, że przynajmniej tym chłopakom udało się tego uniknąć. Wyglądali kwitnąco, jakby nie mieli żadnych zmartwień i nie kiwnęli palcem przez całe wakacje.

Przy kolacji dowiedziałam się, że nie wszyscy mieli takie szczęście. Jeden ze studentów przyznał, że wysłano go na dziesięć dni do pracy na budowie, od szóstej rano do szóstej wieczorem. Powiedział to rzeczowym tonem, wyjaśniając, że budowali nowe skrzydło Koreańskiego Muzeum Historycznego. Czuł się tam samotny, bo większość jego kolegów pracowała przy rozbudowie Uniwersytetu Kim Hyung-jika. Pozostali dwaj studenci siedzący z nami przy stole milczeli. Kiedy zapytałam, czy ich też wysłano na budowę, pokręcili głowami i odparli, że ten zaszczyt spotyka tylko osoby mieszkające w centralnej dzielnicy Pjongjangu, a oni mieszkali na przedmieściach, żeby zaś pomóc ich Wielkiemu Generałowi oraz potężnemu i kwitnącemu krajowi, było konieczne, by studenci uniwersytetu mieli wkład w „budowanie budynków”.

Następnego dnia zobaczyłam studenta, którego wcześniej bardzo polubiłam, a który teraz nie był już w żadnej z moich grup. W semestrze zimowym nadal miałam uczyć grupę 1 i 4, ale studentów przetasowano według wystawionych im ocen – niektórych przeniesiono na wyższy poziom, innych na niższy. Zawołałam tego studenta i zaproponowałam, żeby przysiadł się do mnie na stołówce. Uśmiechnął się nieśmiało, ale powtarzał, że się wstydzi. Zorientowałam się, że chodzi mu o to, żeby usiadł z nami ktoś jeszcze. No oczywiście, zapomniałam, że przecież nie mogą zostawać z nami sam na sam, więc kiedy zobaczyłam inną znajomą twarz, zawołałam tego studenta, żeby do nas dołączył, a wtedy ten pierwszy wyraźnie się rozluźnił.

Rozmawialiśmy głównie o koszykówce, którą uwielbiał, ale nie mógł już w nią grać, bo jego nowa grupa wolała piłkę nożną. W pierwszej chwili zdziwiłam się, dlaczego nie może po prostu grać ze swoją dawną grupą, ale potem przypomniałam sobie, że tak to już tutaj jest. Każda grupa przypominała pluton wojskowy, a student, który zmienił grupę, nie tylko przenosił swoje rzeczy do innego pokoju, ale robił z tą nową grupą wszystko. Żyli w ten sposób od zawsze i tego nie kwestionowali, ale siedząc naprzeciwko jednego z moich najukochańszych studentów, nagle poczułam, że mam ściśnięte gardło i nie mogę przełykać. Odłożyłam łyżkę. Spojrzał na mnie niewinnie i zapytał:

– Pani profesor, nie jest pani głodna?

W tym semestrze poproszono mnie, żebym oprócz studentów uczyła także odpowiedników – ludzi, którzy czytali i zatwierdzali wszystkie nasze materiały dydaktyczne. Skwapliwie skorzystałam z okazji. Było to trzynastu mężczyzn, głównie czterdziesto-, pięćdziesięcioletnich, oraz dwie trzydziestokilkuletnie kobiety. Jeden z nich oznajmił, że pracuje w Wydziale Łączności i Informatyki. Nie miałam pojęcia, co to takiego, ale wiedziałam, że nie powinnam się dopytywać. Pozostali byli wykładowcami informatyki, rolnictwa i inżynierii, a dwie kobiety przedstawiły się jako sekretarki. Niektóre osoby poznawałam ze stołówki, ale większości nigdy wcześniej nie widziałam.

Gdzie się podzieli wszyscy inni wykładowcy, jeśli zamknięto każdy uniwersytet w kraju? Skoro nie mieli kogo uczyć, to czy też wylądowali na budowach? Dlaczego akurat tych facetów wybrano, żeby wykładali na PUST? Chociaż wielu z nich dobrze czytało po angielsku, chcieli poprawić swoją mówioną angielszczyznę i twierdzili, że bardzo się cieszą, iż mają szansę rozmawiać z kimś mówiącym płynnie w tym języku. Czasami miałam

niepokojące wrażenie, że uczę tych samych ludzi, którzy monitorują nasze maile, że szkolę ich, aby mogli nas lepiej szpiegować.

Nie było to zresztą moje jedyne zmartwienie. Bałam się wpaść na niektórych opiekunów lub odpowiedników, bo potrafili być nieprzyjemni, ale o tej porze roku tak wcześnie robiło się ciemno, że nie miałam innego wyjścia, jak biegać w ciągu dnia, między zajęciami. Jednego takiego popołudnia zobaczyłam pana Honga wysiadającego ze szkolnego minibusu. Był jednym z tych facetów, których starałam się unikać, bo miał w zwyczaju rzucać złośliwe uwagi z oślisłym uśmiechem. Tamto spotkanie nie było wyjątkiem.

– Towarzyszka Kim Suki robi, co jej się żywnie podoba, nieważne gdzie – powiedział. Moje bieganie musiało mu się wydać albo zbyt amerykańskie, albo zbyt rekreacyjne, albo jedno i drugie. – Im częściej widuję towarzyszkę Kim Suki, tym bardziej jestem przekonany, że nie nadaje się ona do KRLD. Nie potrafi kontrolować studentów, tak aby jednocześnie osiągnęli najlepsze wyniki, szanowali ją i się jej bali. Nie czujcie się obrażona tym, co mówię, towarzyszko. Chcę wam tylko pomóc.

Ten styl krytyki – pośredni, w trzeciej osobie – nie był mi obcy. Przeprowadziłam dawniej wiele wywiadów z uchodźcami z Korei Północnej, którzy zadziwiająco często i chętnie obsmarowywali innych, często za ich plecami. Zastanawiałam się, czy wynikało to z trwającej całe życie indoktrynacji, cotygodniowych spotkań, na których poddawano wszystkich krytyce, bezustannego szpiegowania swoich rodaków.

Pan Hong pokręcił głową i ciągnął, mlaskając językiem:

– Przed towarzyszką Kim Suki naprawdę długa droga. Przez dziesięć lat uczyłem na Politechnice Kim Czheka, jestem członkiem Narodowego Komitetu Oświaty, który przyznaje stopnie doktora i magistra, wszystko dzięki troskliwości naszego Wielkiego Przywódcy, i mogę z pełnym

przekonaniem oświadczyć, że towarzyszyka nie ma pojęcia o nauczaniu!

Zaczynałam się trochę martwić, że może w ten zawołowany sposób chce mi powiedzieć, że rozwiązują ze mną umowę, więc zapytałam:

– Czy moi studenci się panu skarżyli? Czy uczelnia jest niezadowolona z tego, jak uczę? Moja grupa jest kiepska? – Rozmawialiśmy po koreańsku i użyłam tu słowa *byulro*, które można przetłumaczyć także jako „nie to wszystko”.

– *Byulro*? A co to za słowo? – Odwrócił wzrok, udając znudzenie. Przez chwilę myślałam, że może akurat tego określenia na Północy nie znają.

– Nie rozumie pan tego słowa? – zapytałam.

– *Byulro? Byulro?* Nie rozumiem, towarzyszyko Kim Suki! To wy jesteście *byulro*!

Uświadomiłam sobie, że dokładnie wiedział, co to słowo znaczy, i po prostu ze mną pogrywał.

Jeszcze nie skończył:

– No, ale studenci bardzo ją lubią. Kiedy widzę, jak na stołówce towarzyszyka Kim Suki obrzuca studentów swoim kobiecym spojrzeniem, jestem ciekaw, czy wszyscy jej studenci są zauroczeni jej kobiecym wdziękiem. Pewnie nie śpią po nocach, myśląc o swojej nauczycielce. W końcu to młodzi, jurni chłopcy.

Czułam się coraz bardziej nieswojo, chociaż jego zachowanie mnie nie zaskoczyło. Opiekunowie czasem mówili rzeczy graniczące z molestowaniem seksualnym. Na szczęście zadzwoniła akurat komórka pana Honga (odpowiednicy i opiekunowie zawsze mieli ze sobą telefon), więc mogłam odejść.

Od razu poszłam do Beth, która mi powiedziała, że ona, jako „biała twarz” – jak często mówiły o sobie z Joan – nigdy nie spotyka się z takim traktowaniem. Mary, trzydziestokilkulatka chińsko-koreańskiego

pochodzenia, poradziła mi, że może powinnam bardziej konserwatywnie się ubierać, chociaż nie wiedziałam, jak mogłabym wyglądać jeszcze bardziej ponuro i nieciekawie. Usiłując się upodobnić do misjonarki, nosiłam na ogół długie spódnice, bluzki pod szyję i kardigany w chłodnych odcieniach beżu i brązu. Porozmawiałam też z Abigail, pięćdziesięcioletnią Amerykanką koreańskiego pochodzenia, mającą za sobą wieloletnie kontakty z Koreańczykami z Północy.

– Och, opiekunowie i odpowiednicy ciągle to robią – powiedziała. – Są niewiarygodnie sfrustrowani, wszystko muszą w sobie tłumić. Nakręcają się i zaczepiają kobiety, żeby wyładować swoją frustrację. Nawet ci na wysokich stanowiskach, tacy, których nigdy byś o coś takiego nie podejrzewała, nagle zaczynają mówić rzeczy, które u nas zostałyby uznane za molestowanie. Poza tym chodzi im też o łapówki. To była forma szantażu. Na wszystko narzekają. Przy załatwianiu wizy zawsze będą twierdzili, że na każdym etapie były jakieś trudności. Chciał z ciebie wydusić dodatkową kasę. Musisz po prostu być uprzejma, ale stanowcza. Uśmiechnij się i powiedz: „W moim kraju, gdyby powiedział pan coś takiego, mógłby pan pójść do więzienia”. To ich uciszy i dadzą ci spokój.

Abigail wyglądała jednak bardziej dostojnie i była tu ze swoim mężem, więc nie miałam pewności, czy ta sama metoda sprawdzi się też w moim przypadku. Nagle perspektywa mieszkania w tym samym budynku i jedzenia trzech posiłków dziennie z facetami, którzy mnie obserwowali, pisali na mnie donosy i mnie napastowali, wydała mi się nie do zniesienia.

Później tego wieczora rozmawiałam z Ruth, która miała podobne odczucia do moich. Była Nowozelandką koreańskiego pochodzenia, trzydziestoletnią singielką, i przez wiele lat uczyła na YUST. Zdarzały jej się podobne sytuacje i teraz była mądrzejsza. Starła się nie zostawać sama w miejscach publicznych, więc zawsze dołączała się do innej nauczycielki

lub nauczyciela, nawet przy posiłkach, i pilnowała, żeby do akademika wracać w grupie. Chociaż koreański znała świetnie (jej matka kazała się jej codziennie uczyć na pamięć jednej strony z Biblii po koreańsku), kiedy odpowiednicy mówili do niej w tym języku, udawała, że niezbyt dobrze ich rozumie. Postarała się też, by wiedzieli, że nie ma dużo pieniędzy, dzięki czemu nie wymuszali od niej łapówek. Jeśli chodzi o bieganie, to nie rozumiała, dlaczego miałyby to być problem.

– Po prostu biegaj w czasie przeznaczonym na drzemkę – powiedziała, wzruszając ramionami.

– Jakim czasie na drzemkę? Chodzi ci o coś takiego jak sjesta?

Roześmiała się.

– Nie wiedziałaś? Od dwunastej do drugiej! Widziałas kiedyś, żeby ktoś chodził po kampusie o tej porze? Wszyscy wtedy ucinają sobie drzemkę, bo tak im kazał Sama-Wiesz-Kto!

Rzeczywiście w tych godzinach na kampusie panował wyjątkowy spokój, ale zawsze zakładałam, że studenci przygotowują się wtedy do popołudniowych zajęć albo chodzą na dodatkowe lekcje dzucze. Ruth twierdziła, że niektórzy pracownicy chińskiego pochodzenia – sprzątaczkii i personel administracyjny – skarżyli się, że nie mogą wykonywać swojej pracy podczas tej „cholernej drzemki”, która obowiązywała każdego Koreańczyka z Północy na kampusie, zarówno studentów, jak i odpowiedników. Moi studenci potwierdzili, że istotnie mają sjestę. Jak się okazało, po obiedzie wracali do akademika i szli spać. Niektórzy twierdzili, że te drzemki były specyfiką PUST i nigdy wcześniej o czymś takim nie słyszeli.

W każdym razie od tej pory biegałam bez przeszkód po kampusie, na którym panowała martwa cisza i wszyscy głęboko spali, jak nakazał im ich Wielki Przywódca.

Ponure twarze na następnym zebraniu grona pedagogicznego uświadomiły mi, że stało się coś złego. Jedna z nauczycielek misjonarek, która była na PUST w lecie, opisała swoje doświadczenia w blogu na stronie „Washington Post”. Nie chcieli pokazać nam tego artykułu ani nawet powiedzieć, co takiego napisała, a sprawdzenie tego w internecie było dla nas zbyt ryzykowne. Wiedzieliśmy tylko, że prezes Kim bardzo się zdenerwował i stwierdził, że zamierzają dokładniej sprawdzać nauczycieli.

– Mówiłam każdemu z wykładowców, że nie powinni rozmawiać z prasą, a jeśli ktoś się do nich zwróci z prośbą o wypowiedź, to mają wszystko najpierw wysłać do mnie – broniła się Joan.

– Czy letnia kadra podpisywała taką samą umowę jak my zimą zeszłego roku? – zapytał brytyjski wykładowca, który uczył w szkole od momentu jej otwarcia.

– Nie, ale uczulałam ich, żeby byli dyskretni! – odparła Joan.

Inna nauczycielka dodała:

– Chciała tu wrócić latem w przyszłym roku, nawet ze swoim mężem, ale teraz chyba nic z tego.

Wszyscy pokiwali głowami, zgadzając się, że od tej pory trzeba zachować zdwojoną czujność. Dziwnie było patrzeć, jak szybko narzucona nam cenzura doprowadziła do autocenzury. Bałam się, że każą mi podpisać jakąś umowę o poufności, i instynktownie mocniej zacisnęłam palce na breloczku, do którego przypięłam dwa pendrive’y. Wiedziałam, że kiedyś w końcu opowiem światu o tym, co tu widziałam, i że będzie to bardzo bolesne dla moich tutejszych koleżanek i kolegów. Myśl o tym była przykra i przygnębiająca. Mogłam tylko mieć nadzieję, że mi wybaczą, zwracając się ku Biblii i swojemu Bogu, który, jak wierzyli, stworzył wszystko, a więc także mnie i moją nieuniknioną zdradę.



# 15

W październiku dowiedziałam się, że umarł Steve Jobs, a w Libii zabito Kaddafiego. Gazety na całym świecie donosiły o arabskiej wiosnie, o nowym porządku, w którym nie można już tak łatwo stłumić społecznego niezadowolenia. Jednak w KRLD życie toczyło się dokładnie tak samo jak przez poprzednie sześćdziesiąt lat. Nie podawano żadnych wiadomości, które nie dotyczyły Wielkiego Przywódcy.

Zajęcia też toczyły się podobnie jak latem, ale ze względu na ambitniejszy program w tym semestrze nie było czasu na międzygrupowe quizy i zabawy, więc nie mogłam aż tak rozwinąć skrzydeł. Wprowadzono nowy system uczenia w dwuosobowym zespole, co miało zapewnić, że przydzieleni sobie nauczyciele będą się wzajemnie pilnować, tak jak to robili dobrani w pary studenci. Wyglądało to zupełnie inaczej niż mój układ z Katie, która była moją asystentką, więc robiła to, o co ją prosiłam. Nie wróciła na semestr zimowy, podobnie jak Sarah. Musiałam teraz uzgadniać każdą lekcję z Marthą, z którą byłam w zespole – dwudziestoczteroletnią Brytyjką, która prowadziła zajęcia z grupą 2 i 3 – i czułam, że ta niewielka swoboda, jaką miałam jako wykładowca, znika.

Mimo wszystko, pod pretekstem pokazania studentom różnicy między językiem potocznym a formalnym, wymyśliłam lekcję związaną z pisaniem podania o pracę i została ona zaaprobowana. Miałam nadzieję dowiedzieć się

czegoś więcej o tym, w jaki sposób podejmuje się tu decyzje dotyczące zatrudnienia, a także pokazać studentom, że w świecie zewnętrznym wybieramy sobie to, czym chcemy się zajmować. Mieli napisać podanie o wymarzoną pracę. Wielu po prostu wykorzystało przykład z tablicy, czyli list osoby ubiegającej się o stanowisko tłumacza. Tylko kilku wymyśliło coś swojego, pracę, którą chcieliby zdobyć. Jeden napisał list do Manchester United, proponując, że prześle cv, jakby był to sensowny sposób dowiedzenia swojej wartości i przydatności w zawodowej drużynie piłkarskiej. Inni mówili, że chcieliby się zgłosić do NBA, ale nie chcieli prosić o pracę człowieka z Zachodu, więc pozwoliłam im nadać osobie, do której będą pisać, koreańskie nazwisko. Jeden ze studentów oświadczył, że chciałby poprosić o pracę Billa Gatesa, ale nie zna jego adresu. Powiedziałam, żeby po prostu wymyślił byle co, ale ponieważ nigdy nie widział zagranicznego adresu, nadal nie wiedział, jak się do tego zabrać. Bez dostępu do internetu nawet proste zadania sprawiały im trudności i poważnie stresowały.

Prawie nikt nie zrozumiał fundamentalnej idei takiego listu. Pisali zdania w rodzaju: „Nie mam pracy, a chciałbym ją mieć” albo „Nudzę się, więc chcę dostać pracę”. Cała koncepcja pokazania potencjalnemu pracodawcy swojej wartości rynkowej w ogóle dla nich nie istniała.

Ponieważ tematem lekcji było porównanie języka oficjalnego i potocznego, oświadczyłam stanowczo Marcie, że muszę sprawdzić ich umiejętność pisania listów nieformalnych. Następnie poprosiłam studentów, żeby napisali do mnie prywatny list i przypomnieli mi w nim, kim są. Prace, które mi oddali, były znacznie bardziej emocjonalne, niż się spodziewałam. Wielu rozpisało się na obu stronach kartki. Niektórzy, zamiast podać na końcu swoje nazwisko, opisali się i kazali mi zgadywać, kim są, a jeden podpisał swój list: „Nieśmiały chłopak (tylko po angielsku)”. Inny starał się być dowcipny: „Mój mózg jest zły, mój wygląd brzydki. Moja głowa

wygląda jak dynia, a ciało jak kartofel. Potrafi pani zgadnąć, kim jestem?”. Jeszcze inny napisał: „Droga pani profesor, biorąc pod uwagę pani elegancki sposób bycia, myślimy, że musi pani mieć czarującego faceta, jak, u licha, go znaleźć”. Pisali o Dniu Sportu, o konkursie ortograficznym i o tym, że tęsknią za Katie. Jeden wspomniał, jak bardzo był wzruszony, kiedy któregoś wieczora obowiązkowe prace ogrodnicze się przeciągnęły, a Katie i ja zaczekałyśmy na nich, żebyśmy mogli zjeść kolację razem. Inny napisał: „W semestrze letnim była pani naszą dobrą panią profesor, ale także była pani jak bliska siostra. Żałowaliśmy, że nie mogliśmy się z panią pożegnać przed pani wyjazdem na lotnisko”. A jeszcze inny: „Podczas wakacji brakowało mi pani powiedzonka »dzentelmeni«, kiedyś nas ono dziwiło, ale czytaliśmy w pani myślach, że chce pani, abyśmy byli w życiu szlachetni”.

Wielu wspominało ostatni wieczór semestru letniego, kiedy śpiewałam z nimi ich krajową piosenkę. Jeden napisał: „Pani śpiew zrobił na nas głębokie wrażenie, bo śpiewała pani tę piosenkę radośnie i smutnie, a pani oczy były zalane łzami. Gdyby myślała pani o spędzonych z nami dniach, byłaby pani szczęśliwa, a gdyby myślała pani o rozstaniu z nami, byłaby pani smutna”. Większość z nich zachowała wtedy kamienną twarz, ale kolejny student wyznał w liście: „Tego dnia, pani profesor, płakała pani i oczywiście my też płakaliśmy w duchu”. Chyba już bardziej nie uda mi się do nich dotrzeć, pomyślałam.

A może jednak mogłabym posunąć się dalej. Ponieważ technika w Korei Północnej była bardzo przestarzała, a oni mieli z nią tak niewiele kontaktu, chciałam, żeby zobaczyli, jakie technologie i urządzenia powstały na świecie. Można by mnie wziąć za żywą reklamę Apple’a, bo zawsze pamiętałam, żeby podczas zajęć ustawić swojego otwartego, nowiutkiego macbooka w widocznym miejscu na katedrze. Wyciągałam też na wierzch swojego kindle’a, kiedy tylko mogłam. Cały czas zastanawiałam się, jak przybliżyć im

świat nowoczesnych technologii. Postanowiłam, że do następnego ćwiczenia z pisania wykorzystam nekrologi Steve'a Jobsa i wspomnienia o nim, w ramach lekcji o sztuce biografii. Haczyk polegał na tym, że musiałam przekonać do tego pomysłu drugą nauczycielkę z naszej dwójki, zanim zatwierdzą go odpowiednicy.

Martha weszła do mojego gabinetu z wydrukiem dziewięciu wybranych przeze mnie nekrologów w ręku, kręcąc głową.

– Większość się nie nadaje. Musiałybyśmy wyciąć wszystkie ciekawe fragmenty. Na przykład z tego tekstu kubańskiej blogerki o tym, że pochodzi z uciskanego społeczeństwa i czuje, że Steve Jobs miał bezpośredni wpływ na jej życie, musiałybyśmy wyrzucić to, co pisze o polityce. A ten artykuł o reakcji Chin jest do niczego. Chińczycy składają kwiaty, żeby go upamiętnić, jakby był Mao. Odpowiednicy nigdy na to nie pójda.

Martha była dobrą chrześcijanką i głęboko wierzyła w przestrzeganie zasad, ale była też młoda, więc potrafiłam postawić na swoim.

– Może wytniemy tylko jeden czy dwa akapity?

Usiadłyśmy więc w moim gabinecie i zaczęłyśmy masakrować zupełnie dobrze napisane artykuły. W końcu ograniczyłyśmy się do trzech: z CNN, „Forbesa” i MTV. Marthę niepokoił tekst wspomnieniowy o Jobsie ze strony internetowej MTV, bo wymieniano w nim urządzenia, których studenci nigdy nie widzieli, takie jak iPody i iPady.

– To nic dla nich nie znaczy, nie będą wiedzieli, o co chodzi – upierała się.

Chociaż odpowiednicy zatwierdzili lekcję, okazało się, że żaden ze studentów, z których część robiła przecież specjalizację z informatyki, nigdy nie słyszał o Stevie Jobsie. Nie wykazali większego zainteresowania, nawet kiedy im powiedziałam, że miał on swój udział w wymyśleniu urządzenia, które stoi przede mną.

Wydawało mi się dziwne, że wszyscy słyszeli o Billu Gatesie, a nazwiska Marka Zuckerberga i Steve'a Jobsa nic im nie mówiły. Jedyni anglojęzyczni pisarze, jakich potrafili wymienić, to Sidney Sheldon i Margaret Mitchell. Kilku studentów mówiło mi, że czytali „*Zniknęło z wiatrem*”, jak się wyrazili, i przytaczali mi cytaty z tej książki. Kiedy w 2002 roku odwiedziłam Uniwersytet Kim Ir Sena, tamtejsi studenci też wspominali tę powieść. Może to konflikt między Północą i Południem, w którym Północ wygrywa, tak do nich przemawiał. „Zna pani słowa *Aloha Hawaii*?” – zapytało dwóch najmłodszych, trzydziestokilkuletnich, odpowiedników, których uczyłam. Mieli na myśli „bardzo sławną” amerykańską piosenkę popową. Zdziwili się, słysząc, że nie znam jej tekstu. Kiedy to później sprawdziłam, okazało się, że w 1973 roku Elvis Presley zagrał koncert i wydał album pod tytułem *Aloha from Hawaii*. Wydawało się, że to, co trafia do Korei Północnej, jest dość przypadkowe, jakby wyrzucone przez fale na brzeg. Nie było widać żadnej prawidłowości, żadnego sensu w tym, jakie aspekty zachodniej kultury – czy to ikony takie jak Michael Jordan, czy jakieś jej okruchy i pozostałości – mogą tu zostać wpuszczone.

Od początku czułam, że w tym semestrze jest inaczej. Studenci byli już do mnie przyzwyczajeni, więc nie mieliśmy się już aż tak na baczności. Wielu z nich mówiło mi teraz otwarcie, że na PUST nie wolno im mieć telefonów komórkowych. Kilku jednak pożyczowało je czasem od pracowników kampusu, żeby zadzwonić do domu. Mieli za rodziców potężne szczy, więc wydawało się logiczne, że mogą wywierać jakiś wpływ na tutejszą obsługę. Chociaż rodziców nie wpuszczano na kampus, mogli oni, w rzadkich wypadkach, zobaczyć się ze swoimi synami przy bramie albo zostawić im tam przywiezione rzeczy. Pewnego dnia jeden ze studentów nie pojawił się na planowym obiedzie ze mną. Później wyjaśnił, że przed bramę przyjechała jego matka z ciastem ryżowym i pieczonym kurczakiem, bo są jego urodziny.

Był jedynakiem, matka podczas ich dwudziestominutowego spotkania szlochała, więc powiedział jej: „Jeśli będziesz dalej płakać, wracam do środka”. Śmiał się, opowiadając o tym przy swoich kolegach, ale oczy mu się zaszkliły.

Studenci zapytali mnie o znaczenie słowa „ekskluzywny”, więc podałam im jako przykład bardzo znaną pjongjańską restaurację Okryu-gwan. Jeden z nich się rozpromienił i oznajmił, że jego koleżanka z gimnazjum jest tam kelnerką. Nie zdała egzaminu na uniwersytet, więc przydzielono ją tam do pracy. Zapytałam, czy daje mu dodatkowe porcje naengmyunu, a on odparł, że nie, nigdy, ale za to szybko go obsługuje. Najwyraźniej nawet miejscowi musieli długo czekać w restauracjach, tak samo jak przyjezdni. W każdym razie cała grupa pokręciła na mój przykład głowami, stwierdzając:

– Nie, to nie jest ekskluzywne, tylko popularne! – Po czym podpowiedzieli, że może miałam na myśli restaurację w hotelu Koryo. W Okryu-gwan, wyjaśnili, płaci się za posiłek wydawanymi przez rząd kartkami żywnościowymi. Natomiast w hotelu Koryo trzeba płacić pieniędzmi, co pewnych klientów wyklucza.

– Czy każdy dostaje tyle samo kartek? – zapytałam.

Odparli, że tak, chociaż niektórzy dodali, że ta liczba zależy od lojalności danej osoby wobec Partii. Trudno mi było zrozumieć to połączenie systemu kartkowego z płatnościami gotówką. Wiedziałam, że państwo rozprowadza niektóre towary za darmo, podczas gdy za inne trzeba płacić, ale nigdy nie mogłam się dowiedzieć, skąd właściwie ludzie biorą pieniądze.

Jeden student mnie zaskoczył, podając jako przykład ekskluzywnej marki lub firmy Samsunga. Nie powinni przecież chwalić niczego, co pochodzi z Korei Południowej, a w dodatku Samsung nie był tu tak znany jak Hyundai, którego założyciel Chung Ju-Yung urodził się na Północy i kiedyś przeprowadził tu przez strefę zdemilitaryzowaną sto ciężarówek z tysiącem

i jedną krową w ramach któregoś z międzykoreańskich projektów.

Zmieniło się także to, że zaczęli mi zadawać pytania dotyczące Ameryki. Przy kolacji jeden z nich zapytał ostrożnie:

– Czy w Ameryce wśród studentów to, że ma się dziewczynę, jest tajemnicą?

– Nie – odparłam – dla nas to dość naturalne, ale pochodzę z innego społeczeństwa niż wy. A jak jest tutaj? Trzeba to trzymać w tajemnicy?

Przytaknął, ale inny student pokręcił głową. Wydawali się niepewni, ale to, że ufali mi na tyle, by zadać takie pytanie, stanowiło krok naprzód.

Ponieważ lubili sport, postanowiłam dać im do przeczytania krótki artykuł o tym, dlaczego w Stanach Zjednoczonych baseball i koszykówka lepiej nadają się do telewizji niż piłka nożna, a odpowiednicy go zatwierdzili. Głównym argumentem autora było, że piłka jest gorzej przystosowana do przerw na reklamę, przez co sieci telewizyjne mniej chętnie transmitują mecze piłkarskie. W KRLD nie było czegoś takiego jak reklamy, więc wyjaśniłam, że jest to krótki filmik zrobiony przez daną firmę po to, żeby sprzedać jakiś jej produkt. Jako przykład wykorzystałam jeden z niewielu wytwarzanych tu wyrobów, butelkowaną wodę mineralną o nazwie Shinduk Saemul.

– Okej – powiedziałam. – Wyobraźmy sobie, że podczas meczu koszykówki mamy przerwę na reklamę z udziałem Michaela Jordana. – Uśmiechnęli się, słysząc to nazwisko. Zaczęłam udawać, że jestem Michaeliem Jordanem, kozłuję piłkę, wrzucam ją do kosza, odwracam się, ocieram pot z czoła, pociągam łyk z butelki Shinduk Saemul i mówię: – Łał, woda Shinduk Saemul naprawdę jest najlepsza!

Wybuchli śmiechem, a ja wyjaśniłam, że tak właśnie wyglądałaby typowa reklama w moim kraju. Powiedziałam, że gdyby firma, która produkuje wodę Shinduk Saemul, należała do prywatnej osoby, a nie do

państwa, to chciałyby dotrzeć do kibiców koszykówki, angażując Michaela Jordana i płacąc stacji telewizyjnej za czas antenowy. Celem firmy było, aby widzowie na całym świecie obejrzeni tę reklamę, zapragnęli pić tę samą wodę, co Michael Jordan, i zaczęli ją kupować. Studentom spodobał się pomysł, że słynny amerykański gwiazdor koszykówki pije ich wodę, i – o dziwo – chyba zrozumieli ogólną ideę marketingu. Ich ciekawość rosła.

– Ile macie kanałów telewizyjnych w Ameryce? – zapytał jeden ze studentów któregoś wieczora przy kolacji.

– Bardzo dużo – odparłam.

– Sto? – Sto kanałów brzmiało dla nich jak żart, skoro mieli tylko trzy programy państwowe, więc prawdopodobnie strzelał w ciemno. W istocie jednak mój operator telewizji kablowej oferował prawie tysiąc kanałów.

– Więcej – powiedziałam, wzruszając ramionami. – Mamy około trzydziestu darmowych kanałów, ale poza tym setki programów w telewizji kablowej, za którą się płaci. Te są głównie tematyczne: filmowe, z kreskówkami, z wiadomościami, sportowe. Na przykład programy dla dzieci mogą być podzielone na kreskówki i filmy z aktorami, ale istnieją też oddzielne kanały z kreskówkami dla trzylatków, pięciolatków czy dziesięciolatków. Tak samo ze sportem. Są programy, które pokazują wyłącznie koszykówkę, golf, baseball, football amerykański i tak dalej, przez cały dzień.

Niektórzy gapili się na mnie, a inni spuścili wzrok. Nie potrafiłam powiedzieć, czy mi uwierzyli, ale moja szczegółowa odpowiedź najwyraźniej zabiła im ćwieka. Nigdy wcześniej nie pozwoliłam sobie na taką zuchwałość, ale wtedy już ufałam im na tyle, żeby wierzyć, że mnie nie wydadzą. Wiedziałam też, że gdyby odpowiednicy mnie przepytawali, dałabym radę jakoś to połączyć z tą lekcją o reklamach telewizyjnych. Jeszcze przez kilka tygodni różni studenci zadawali mi to samo pytanie o liczbę kanałów



telewizyjnych w Ameryce, a moja odpowiedź zawsze wywierała ten sam efekt: patrzyli na mnie z niedowierzaniem i czymś jeszcze, co nie do końca umiałam uchwycić – czymś pomiędzy zazdrością a zwątpieniem w siebie. Nie chwaliłam się amerykańską telewizją, bo w końcu w dużej mierze pokazywała chłam, ale chciałam, żeby zobaczyli, że mamy dużo możliwości wyboru i że to, co wmawiali im ich przywódcy o byciu potężnym i kwitnącym narodem, jest czystą fantazją. Byli zacofani jak prawie żadne inne państwo na świecie i jeśli chcieli naprawdę stać się potężnym i kwitnącym narodem, który produkuje znacznie więcej niż wodę mineralną, muszą się zbuntować i powstać.

Jednak nie mogłam im niczego takiego powiedzieć, więc zamiast tego powtarzałam, że w Ameryce mamy setki kanałów telewizyjnych do wyboru.

Innym razem rozmawiali o programach wymiany studenckiej i jeden z nich oznajmił, że jego współlokator chce jechać do Stuttgartu w Niemczech. Powiedziałam, że kiedyś tam byłam, więc zaciekawili się kiedy.

– Jak mieszkałam w Londynie, wiele lat temu. Niemcy leżą niedaleko Anglii. Europa jest mała. Na przykład podróż pociągiem z Londynu do Paryża trwa tylko dwie godziny i piętnaście minut.

– Ale co z morzem? – zapytał jeden ze studentów, zszokowany.

Wyjaśniłam, że zbudowano pod nim tunel i że kursuje tamtędy pociąg szybkobieżny.

– Ile jest kilometrów z Londynu do Paryża? – dociekał student.

Nie wiedziałam dokładnie, więc powiedziałam, że muszę to sprawdzić. Kilka dni później oznajmiłam mu, że sprawdziłam w internecie i że długość trasy wynosi 340,55 kilometra. Ta informacja wyraźnie go zaniepokoiła. Może uświadomił sobie, że mój internet różnił się od jego intranetu. Zastanawiałam się, czy wydedukuje, że system transportu w jego kraju jest

zacofany o kilkadziesiąt lat, a jego świat pomyślany tak, żeby ograniczyć możliwość ruchu.

Nawet odpowiednicy nieszczególnie orientowali się w czasie i przestrzeni, poza pokonywaną codziennie trasą między domem i pracą. Na jednej z naszych lekcji zapytałam, jak wygląda ich początek dnia, i okazało się, że większość z nich wychodzi z domu w Pjongjangu około 6.30 rano, żeby dojechać na PUST na ósmą. Później zapytałam, jak długo trwa podróż z Pjongjangu do Wonsanu, jednego z ich największych miast. To tak, jakby zapytać grupę amerykańskich nauczycieli, ile godzin jedzie się z Nowego Jorku do Waszyngtonu. Jeden stwierdził, że trzy godziny. Drugi, że osiem. Trzeci, że czternaście. Kiedy zaciekawiałam się, skąd ten rozrzut w ich odpowiedziach, milczeli. Nie wiedziałam, czy wynikało to z ich braków w angielskim, zakłopotania z powodu niewydolności ich systemu transportowego, niewiedzy czy z tego, że tak niewielu z nich kiedykolwiek było w Wonsanie. Jeden odpowiedział w końcu, jakby mówił w imieniu całej grupy:

– Nie lubię pociągów. Jeżdżę tam samochodem. Więc nie wiem, ile czasu jedzie się koleją z Pjongjangu do Wonsanu.

Takie pojęcia jak *jet lag* czy *frequent flyer miles* zupełnie zbijały ich z tropu. Ci mężczyźni w średnim wieku najwyraźniej mieli równie nikłe pojęcie o świecie jak moi studenci.

Przypomniałam sobie, jak pani Johnson, czterdziestokilkuletnia koreańska żona jednego z amerykańskich wykładowców, zauważyła, że uczenie Koreańczyków z Północy jest stratą czasu, a jej dziewięcioletnia córka lepiej się zna na komputerach niż tutejsi studenci informatyki. Oczywiście KRLD celowo infantylizowała swoich obywateli, robiąc z wszystkich bezradne, bezsilne istoty, uzależnione od państwa.

Zbliżały się egzaminy śródsesestralne i wśród studentów zapanowała lekka panika. Stopnie były dla nich ważne. Od niektórych usłyszałam, że uczą się w czasie popołudniowej drzemki, zamiast spać, a jeden wkuwał słówka do późnej nocy i był tak zestresowany, że dostał krwotoku z nosa. W tym systemie hierarchia była wszystkim. Dowiedziałam się, że nawet na porannym apelu ustawiali się według rankingu ocen w grupie. Wielu studentów skończyło miejscowe Gimnazjum numer 1, a rodzice niektórych pracowali w Szpitalu numer 1 i mieszkali w Dzielnicy numer 1. Wartość każdego człowieka była wyraźnie określona liczbami.

Pod pewnymi względami ich świat nie różnił się aż tak bardzo od naszego. Chociaż nie mogli swobodnie podróżować, tutejsze elity obracały się w pewnym wąskim kręgu. Wielu studentów znało się od dziecka. Jeden powiedział mi z dumą, że chodził do Gimnazjum numer 1 we Wschodniej Dzielnicy Pjongjangu, szkoły zajmującej drugie miejsce w całym kraju, zaraz za Pjongjańskim Gimnazjum numer 1, szkołą, do której uczęszczał ich Wielki Przywódca. Siedmiu innych studentów z grupy 1 też tam chodziło. Szkoła prowadziła zajęcia dotyczące Mao oraz program wymiany z chińskim Gimnazjum numer 1 w Pekinie, gdzie mieli cały kurs poświęcony Kim Ir Senowi. Rodzice bardziej uprzywilejowanych studentów byli albo wysoko postawionymi członkami Partii, albo prominentnymi lekarzami. Ojcowie często wyjeżdżali do pracy za granicę, do Chin, Libii albo Rosji. Matki zwykle nie pracowały. Rodzeństwo, jeśli było w odpowiednim wieku, studiowało na jednym ze znanych pjongjańskich uniwersytetów. Jednak wielu moich studentów było jedynakami.

Ci, którzy nie pochodzili z Pjongjangu, tylko z innych miast – takich jak Hamhyng, Sariwon, Nampo – mieli inne historie. Ich rodzice często byli miejscowymi lekarzami lub naukowcami, a rodzeństwo poszło do wojska. Niektórzy przyznawali, że nie mają pojęcia, jak długo ich bracia czy siostry

będą służyć w armii – może dziewięć albo dziesięć lat. O ile wiedziałam, obowiązkowa służba trwała dziesięć lat dla mężczyzn i siedem dla kobiet, ale wyglądało no to, że różnie to bywa. Jeden ze studentów mówił, że jego starszy brat jest w wojsku od pięciu i pół roku i stacjonuje w najdalej wysuniętym na północ zakątku kraju. Odparłam, że musi tam być strasznie zimno, a on pokiwał głową i stwierdził, że bardzo za bratem tęskni. Brat dostał przepustkę na przyjazd do domu tylko raz. W kraju wielkości stanu Pensylwania! Tacy studenci trafili na PUST dzięki wybitnym wynikom w nauce. To, że wychowywali się w skromniejszych warunkach, było widać po ich ubiorze, butach, torbach, długopisach, które nigdy nie były takie ładne czy bajeranckie jak rzeczy studentów z Pjongjangu.

Dało się jednak dostrzec tu kilka wyjątków – studentów spoza Pjongjangu, którzy wydawali się najzamożniejsi ze wszystkich. Niektóre z regionów przygranicznych czerpały od niedawna korzyści z nielegalnego handlu z Chinami, więc podejrzewałam, że rodzice tych studentów mogli kupić im wstęp na PUST. Takie różnice klasowe wydawały się stuprocentowo kapitalistyczne – kolejna rysa na fasadzie Korei Północnej.

Im więcej dowiadywałam się o tym systemie, tym wyraźniej widziałam, że ich obsesja na punkcie stopni brała się z czegoś więcej niż zapału do nauki. Wierzyli, że oceny i rankingi decydują właściwie o całej ich przyszłości. Na przykład nie wybierali uczelni sami. Zdawali egzaminy wstępne w przedostatniej i ostatniej klasie liceum, a następnie regionalny samorząd decydował, kto pójdzie do której szkoły. Nie było rozmów kwalifikacyjnych. Nie o wszystkim jednak przesądzały stopnie. Pochodzenie, czyli *songbun*, odgrywało bardzo ważną rolę w tym, do której uczelni zostaną przydzieleni. Prezes Kim twierdził, że ma już długą listę oczekujących na przyjęcie na PUST w przyszłym roku, bo każdy przywódca partyjny w kraju chciał umieścić swojego syna tutaj zamiast na budowie. Korupcja była

wszechobecna. Same dobre stopnie nie mogły ich uratować, ale były jedyną rzeczą, nad którą mieli kontrolę.

Podobnie miała się sprawa z ich karierą zawodową. Pracę, tak jak studia, wybierał za nich rząd. Moi studenci upierali się, że było to sprawiedliwe. Rząd opierał swoją decyzję na trzech kwestiach: zdolnościach danej osoby, o których świadczyły stopnie; opiniach o niej, czyli raportach składanych przez kolegów i nauczycieli; oraz jej lojalności wobec Partii. Chciałam dowiedzieć się czegoś więcej o tym ostatnim kryterium, ale pytania dotyczące Partii były zabronione.

W końcu zapytałam:

– Czyli takiego podania o pracę, jakie wam zadałam, w waszym kraju nigdy nikt nie pisze?

Odparli:

– Właśnie, my nie piszemy takich listów.

Później jeden z nich zapytał mnie, czy Amerykanie je piszą. Przyświadczyłam, dodając, że sama coś takiego napisałam, kiedy starałam się o pierwszą pracę po studiach. Chciał wiedzieć, co się dzieje potem, więc wyjaśniłam, że jeśli zostaniemy wybrani na kandydata na dane stanowisko, dostajemy od pracodawcy zaproszenie na rozmowę kwalifikacyjną. Wydawał się tym zdumiony.

– To co się dzieje na takich rozmowach?

Jedyna w ich życiu rozmowa kwalifikacyjna odbyła się tu, na PUST, w celu ocenienia ich poziomu znajomości angielskiego. Wiedziałam, że najprawdopodobniej nigdy nie będą musieli pisać takiego listu, i zaczęłam żałować, że im go zadałam. Czy niepotrzebnie ich stresowałam, sugerując, jak wygląda świat poza ich granicami?

Chociaż czasem uczenie ich wydawało się sprawą beznadziejną, nigdy

nie czułam, że to strata czasu. Studenci naprawdę zaczęli się więcej dowiadywać o świecie zewnętrznym. Jeden z nich zapytał mnie o datę Międzynarodowego Dnia Młodzieży. Stwierdził, że tutaj go nie obchodzą, ale słyszał o nim od kilku zagranicznych nauczycieli w poprzednim semestrze i nie mógł sobie przypomnieć, czy chodziło o 11, czy o 12 listopada. Okazało się, że to 12 sierpnia, według Google, na którym polegałam prawie tak samo, jak oni na książkach napisanych przez Wielkiego Wodza. Kiedy następnego dnia podałam datę studentowi, nadzwyczajnie się ucieszył.

Inny przytoczył zagadkę, którą gdzieś usłyszał: „Człowiek, który to zaprojektował, wcale tego nie chciał. Człowiek, który to zbudował, nie potrzebował tego. A ten, który tego użył, nic o tym nie wiedział”. Student stwierdził, że nie może jej rozgryźć.

– To trumna – powiedziałam mu następnego dnia.

Później napisał mi w liście: „Szczерze mówiąc, nie wiedziałem, że rozwiązanie tej zagadki będzie w internecie, i przy okazji tej odpowiedzi uświadomiłem sobie, jak użyteczny jest internet”.

Pewnego wieczora przy kolacji zaryzykowałam i powiedziałam studentom, że mogą dzwonić do domu. Niektórzy nauczyciele zaczęli korzystać ze Skype’a, żeby porozmawiać z bliskimi, chociaż większość z nas wzbraniała się przed tym, nie chcąc odsłaniać naszych rodzin przed tymi, którzy nas podsłuchiwali. Studenci wyglądali albo na zdezorientowanych, albo niezainteresowanych tematem, ale poszłam za ciosem.

– Słyszeliście o Skype? – rzuciłam od niechcienia.

Pokręcili głowami.

– To taki program w internecie, za pomocą którego można zadzwonić w dowolne miejsce na świecie.

– Jest darmowy? – zapytał jeden z nich.

Odparłam, że tak, co zrobiło na nich wrażenie. Wyglądali jednak, jakby nie wiedzieli, co o tym myśleć, i nie zadawali więcej pytań, chociaż przez następne kilka tygodni wtrącałam co jakiś czas słowo „Skype” do rozmowy.

Kiedy powiedziałam im, że Katie, która pracowała teraz na Bliskim Wschodzie, napisała maila, w którym kazała ich pozdrowić, Kim Tae-hyun od razu spytał:

– Może się pani kontaktować stąd z panną Katie?

– Jasne – odparłam jak gdyby nigdy nic. Nie zapytał o nic więcej i popadł w zamyślenie.

– Kiedy nas pozdrawiała? – zaciekawiał się inny student.

– Dopiero co, wczoraj – odparłam. Cały stół ucichł.

W tym semestrze na trzecim piętrze budynku, w którym mieściła się stołówka, założono bibliotekę. W jednej jej części stały regały z książkami, w większości przekazanymi przez południowokoreańskie organizacje. Prawie żadne z nich nie zawierały zdjęć, ale kilka, co nieuchronnie, umknęło czujności cenzorów. Na półkach leżały na przykład różne południowokoreańskie czasopisma architektoniczne, z kilkoma stronami reklam apartamentowców, przedstawiających sławnych aktorów i luksusowe wieżowce. Jeden ze studentów powiedział Ruth, że widział zdjęcie z Korei Południowej w jakiejś książce w bibliotece. Zapytała, jakie zrobiło na nim wrażenie, a on odparł: „Było jaskrawe”. Urządzono tu też stanowiska komputerowe i czytelnię z dużymi stołami. Żaden z komputerów nie był podłączony do internetu.

Na piętrze znajdowało się też niewielkie pomieszczenie z mniej więcej dziesięcioma komputerami, którego pilnowała strażniczka. Drzwi były zamknięte, ale mogliśmy zajrzeć do środka przez okna. Wykładowcy mówili, że niedługo część studentów podyplomowych będzie tu poznawała internet. (Studenci ci tworzyli małą grupkę mężczyzn, mniej więcej

dwudziestopięcioletnich, którzy studiowali język angielski, informatykę i ekonomię. Rzadko ich widywałam, właściwie tylko w kolejce na stołówce). To była duża rzecz, więc wszyscy czekaliśmy z niecierpliwością na dalsze wieści.



## 16

Przez cały październik ciągle lało. Padał tu ten sam deszcz co wszędzie indziej, co wydawało mi się cudowne i niezwykle. Przypomni mi się monsun w Seulu i pierwszy raz w życiu nawet za nim tęskniłam. Często stałam przy oknie i całymi godzinami patrzyłam na deszcz, bo był jak posmak rodzinnego domu. Jednostajność kolejnych dni pod stałą obserwacją znów zaczęła dawać mi się we znaki. Nasiąkłam poczuciem beznadziei, z którego nie mogłam się otrząsnąć. Moje myśli, jedyna rzecz pozostająca w pełni moją własnością, krążyły przez cały dzień w mojej głowie, dopóki ich nie zapisałam. Ale słowa nie wystarczały.

Tęskniłam za moim kochankiem. Ta tęsknota wszędzie mi towarzyszyła. Tylko ona przypominała mi o życiu w Nowym Jorku i tej dziewczynie, którą kiedyś byłam. Brakowało mi jej, tej dziewczyny w zakazanych przez Kim Dzong Ila džinsach, która o ósmej wieczorem siedziała z kieliszkiem wina w ręku w śródmieściu Manhattanu, a nie leżała w łóżku, tylko dlatego, że zapadła już ciemność, nie wolno nam było nigdzie wychodzić, a jedynymi osobami, które jeszcze nie spały, byli albo studenci na warcie, albo inni nauczyciele czytający Biblię. W tym świecie potrzebowałam kochanka, choćby zupełnie abstrakcyjnego, i bywały wieczory, kiedy ta potrzeba doprowadzała mnie do szaleństwa. Pisałam do niego gorączkowe maile, których nie wysyłałam. Poza tym odpisywał mi tak rzadko, że właściwie

trudno go było uznać za kochanka.

Kiedy już do mnie pisał, z tych kilku jego rzadkich maili wynikało, że nie rozumiał moich zaszyfrowanych wiadomości. Przed wyjazdem ostrzegłam go, że nasza korespondencja będzie monitorowana, ale on ciągle o tym zapominał i pisał, że jest zdezorientowany moimi wiadomościami, jakby oczekiwał, że wytłumaczę, o co mi chodzi. Kiedyś użyłam w mailu słowa, które on często stosował na określenie chandry: „anhedonia”. Bałam się napisać „przygnębiona” lub „w depresji”, bo obawiałam się, że osoba kontrolująca moje maile stwierdzi, iż przedstawiam to miejsce w negatywnym świetle, więc napisałam że mam anhedonię, celowo robiąc w tym słowie błąd ortograficzny, żeby opiekun-kontroler nie był w stanie go sprawdzić. Ale mój kochanek nie rozumiał i w odpowiedzi poprawił pisownię anhedonii.

Czasami pisał o trudnościach życia w Nowym Jorku, które znałam, przynajmniej kiedyś, ale teraz wydawały mi się nierzeczywiste. Kiedyś wspomniał, że ma kaca i nie może się skoncentrować, więc zawali termin. To były niedole wolnego świata, męki artysty, a on nie miał pojęcia, jakim luksusem wydawały się z perspektywy miejsca, w którym teraz się znajdowałam. Innym razem przesłał mi wstępną wersję pewnego swojego artykułu, z tytułem i swoim pełnym nazwiskiem, mimo że ostrzegłam go, żeby nigdy nie pisał niczego, po czym można by się zorientować, że jest publicystą. Wiedziałam jednak, że on nie może czuć paranoi świata, w którym się znalazłam. Tęskniłam więc za jego mailami, a jednocześnie czułam ulgę, kiedy przez jakiś czas się nie odzywał.

Poza tym pisanie maili było procesem długim i pracochłonnym. Nie wiedziałam, jak dokładnie je monitorują, ale bałam się, że kiedy jestem online, inwigilującym łatwiej przeglądać moją skrzynkę pocztową, a nawet uzyskać dostęp do mojego twardego dysku. Dlatego zawsze pisałam, nie

podłączając komputera do internetu, w dokumencie Worda, który potem czytałam w kółko, żeby wychwycić wszystko, co mogłoby mnie wpędzić w kłopoty. Potem podłączałam się do internetu, przeklejałam tekst do maila i klikałam „Wyślij”, po czym okazywało się, że właśnie wysiadł prąd. Często tak mijał mi weekend: na pisaniu i przerabianiu krótkich maili, a potem czekaniu na połączenie, żeby je wysłać. Chociaż i tak nie było o czym pisać. Każdy dzień był właściwie lustrzanym odbiciem poprzedniego.

Z każdym dniem moje troski robiły się coraz bardziej trywialne. Sprawdzałam ilość białka w konserwach rybnych, bo czasem było to moje główne źródło pożywienia. Stołówkowe menu składało się głównie z marynowanych warzyw, a mięsa, które podawano bardzo rzadko, właściwie nie tykałam. Nie byłam szczególnie mięsożerna, a poza tym podejrzewałam, że może to być mięso z psa, które już raz zaserwowano w lecie. Jadłam orzechy i suszone owoce, które przywiozłam z Nowego Jorku, a podczas wyjść na zakupy kupowałam jajka i gotowałam je w swoim czajniku elektrycznym. Nigdy nie miałam obsesji na punkcie dbania o zdrowie, ale tu byłam w pełni świadoma, że nie mogę sobie pozwolić na to, żeby zachorować. Na szczęście w Pyongyang Shop w kompleksie dyplomatycznym można było kupić kilka różnych rodzajów szprotek w puszkach sprowadzanych z Łotwy, które staniały, kiedy zaczął się zbliżać koniec ich okresu ważności.

W tym semestrze, oprócz sklepów w kompleksie dyplomatycznym i Domu Towarowym Potonggang, mogliśmy także robić zakupy na Targowisku Tongil (Zjednoczenia), długim cementowym budynku wypełnionym maleńkimi straganami, na których sprzedawano warzywa, mięso, owoce, ubrania, sprzęty gospodarstwa domowego i urządzenia elektryczne. Kurs wona wahał się z tygodnia na tydzień (latem za dolara trzeba było zapłacić 2500 wonów, ale teraz już 3500), podobnie jak ceny

żywności. Na przykład jajka, sprzedawane po dziesięć sztuk w prowizorycznym słomianym opakowaniu, raz kosztowały trzy dolary, raz – dwa, potem znowu trzy. Świeże owoce były tak drogie, że nie wydawało mi się, żeby ludzie mogli sobie na nie pozwolić. Plastikowe wieszaki, które w dyskoncie w Stanach Zjednoczonych mogłyby kosztować 99 centów za dziesięć sztuk, tu sprzedawano po dolarze za sztukę. Telefon komórkowy z klapką, produkcji chińskiej, kosztował osiemdziesiąt dolarów. Właściwie każdy artykuł niebędący świeżą żywnością wyprodukowano w Chinach.

Na bazarze sprzedawały wyłącznie kobiety, ubrane w turkusowe fartuchy. Klienci mieli na sobie obszerne palta i wyglądali jak wieśniacy. Nikt nie zwracał uwagi na obecność obcokrajowców, bo najwyraźniej targowisko stało się obowiązkowym przystankiem na trasie wycieczek. Raz dwie sprzedawczynie zapytały, skąd jestem, a kiedy powiedziałam im, że wychowałam się na Południu, odparły, że tak się domyślały z mojego seulskiego akcentu, który uważały za piękny. Wtedy po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że niektórzy zwyczajni Koreańczycy z Północy lubią Koreańczyków z Południa, a może nawet uważają nas za efektownych i fascynujących. Podobnie było ze studentami. Chociaż nie wolno nam było mówić do nich po koreańsku, niektórzy słyszeli, jak rozmawiam w tym języku z opiekunami, i skomentowali, że uważają mój akcent za bardzo przyjemny. Zaskoczyło mnie to, bo przecież ich rząd wyrażał się o Korei Południowej z potwornym jadem; a jednak nie wykluczało to ciepła w zwykłych kontaktach międzyludzkich.

\*

Miasto w dzień powszedni udało nam się zobaczyć jeszcze tylko podczas wycieczki na Siódme Jesienne Międzynarodowe Targi Pjongjańskie. W wielkim budynku zwanym Wystawą Trzech Rewolucji na dwóch piętrach

rozstawiono stoiska, nad którymi górowały olbrzymi plakat z Kim Ir Senem oraz czerwone transparenty z cytataми z Kim Dzong Ila. Na stoiskach można było znaleźć dość przypadkowy asortyment produktów na sprzedaż, między innymi laptopy, maszyny do szycia, panele słoneczne, rajstopy, balsam do ciała, słomiane pojemniki i witaminy. Chociaż imprezę zapowiadano jako międzynarodowe targi mające pokazać „kwitnący handel” między KRLD a siedemnastoma innymi krajami, w tym Włochami, Niemcami i Szwajcarią, prawie wszystkie stoiska, które widziałam, należały do chińskich firm, a tylko garstka reprezentowała miejscowe koncerny, takie jak Chosun Computer Center.

Po przyjrzeniu się każdemu stoisku, co zajęło nam mniej niż pół godziny, Ruth i mnie zaczęło się nudzić, więc wyszłyśmy z hali wystawowej. Do spotkania się ze wszystkimi przy autobusie miałyśmy godzinę. Nasi opiekunowie zostali w środku z resztą grupy. Nie pilnowali nas, bo wiedzieli, że nie mamy dokąd pójść, poza zagrodzonym terenem na zewnątrz, obsadzonym przez strażników. Podeszłyśmy więc do placyku z boku budynku, gdzie na plastikowych krzesłach przy plastikowych stołach siedziało około pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu osób, a z kilku obwoźnych barów sprzedawano między innymi kebaby, naengmyun i błyskawiczne zupki chińskie. Zaszalałyśmy i szarpnęłyśmy się na paczkę singapurskich chipsów ziemniaczanych i rozpuszczalną kawę w puszkach.

– Nagle mamy wybierać same... Nie wiem, na co się zdecydować! – zawołała Ruth, ostatecznie zamawiając jagnięcinę.

Ja poprosiłam o kubek zupki błyskawicznej, która okazała się rzeczywiście pochodzić z Chin i miała smak jakiejś nieznannej mi przyprawy. My, Koreańczycy z Południa, wychowaliśmy się na paczkowanych zupkach z makaronem, tak jak Amerykanie na kanapkach z masłem orzechowym, i nawet dziecko potrafi odróżnić te smakowite od tych kiepskich. Nasze były

zwykle pikantniejsze i bardziej sycące, ale tutaj ten specjał był dostępny wyłącznie w wersji chińskiej. Nigdy nie spotkałam się z zupkami północnokoreańskimi.

Było chłodne, ale słoneczne popołudnie i na placu przed targami jadło wielu ludzi. Połowa z nich wyglądała na Chińczyków lub Chińczyków koreańskiego pochodzenia – te dwie grupy stanowiły chyba większość obcokrajowców w Pjongjangu – ale reszta to byli miejscowi. Obywateli Pjongjangu odróżniały od Chińczyków jedynie przypięte na piersiach znaczki z Wielkim Wodzem. Wielu z nich jadło naengmyun, popijając piwem, która to kombinacja w Korei Południowej była popularna głównie podczas letnich upałów, nie późną jesienią. Żadna z tych osób nie wyglądała tak dobrze jak nasi studenci, ale z drugiej strony nikt z miejscowych im nie dorównywał. Mimo wszystko ci ludzie mieli rumiane policzki i nie wyglądali na tak wygłodzonych jak większość tych, których widywałam przez okna autobusu albo na bazarze.

Im więcej Korei Północnej widziałam, tym bardziej uświadamiałam sobie jej podobieństwo do tych części Chin, które odwiedziłam. W drodze powrotnej po letnim semestrze na PUST zatrzymałam się w Seulu i dałam północnokoreańską książkę kucharską gosposi mojej siostry, Chince koreańskiego pochodzenia. Oglądając fotografie potraw, wykrzyknęła: „Och, to nasze jedzenie! Chińskie! Zaczynam tęsknić za domem, tylko patrząc na te zdjęcia”. Jednak Koreańczykom z Południa wiele dań w tej książce wydawało się obce. Ludzie, których widywałam na ulicach Pjongjangu, przypominali mi Chińczyków. Nosili ubrania importowane z Chin. Kobiety zawsze miały zrobioną trwałą ondulację i włosy upięte błyszczącymi spinkami we fryzury podobne do tych, które widywałam w Chinach. Kim Ir Sen leżał zabalsamowany w Pałacu Kumsusan tak jak Mao w Mauzoleum Mao Zedonga. Ten kraj mógł być właściwie małą chińską kolonią.

Może te podobieństwa nie były aż tak zaskakujące. Od ponad sześćdziesięciu lat najbliższym sojusznikiem Korei Północnej, oprócz Związku Radzieckiego, były Chiny. Podczas gdy Koreańczycy z Południa poddali się amerykańskim wpływom do tego stopnia, że młodzież przyjmowała amerykańskie imiona, naśladowała zwyczaje i wygląd mieszkańców USA, a młode kobiety farbowały włosy na blond albo rudo i robiły sobie operacje plastyczne, żeby mieć bardziej zachodnie rysy, Koreańczycy z Północy przejęli estetykę Chin. Pod względem kulturowym i wizualnym kraj zaczął przypominać tego swojego potężnego sąsiada. Nasunęło mi się pytanie: czy gdyby Koreańczycy z Północy zobaczyli dziś Seul, wyglądałby w ich oczach amerykańsko? Ponad sześćdziesiąt lat temu supermocarstwa podzieliły sztucznie półwysep i ta chińska Korea na północy była dziedzictwem tego podziału.

Siedząc tam przy plastikowym stoliku, czułam się coraz bardziej nieswojo. Kiedy odwiedzałam którąś z dwóch Korei, zawsze wyobrażałam sobie, że wracam do korzeni i odkrywę nowe prawdy o swojej przeszłości. Teraz przyszło mi na myśl, że przeszłość, której szukam, od wielu lat jest pogrzebana pod amerykańskimi i chińskimi wpływami. Korea z moich wyobrażeń istniała tylko na obrazach, w książkach historycznych, we wspomnieniach starszych pokoleń i pozostałościach, które mignęły mi raz na jakiś czas, jak odłamki szkła wystające z zakopanej głęboko przeszłości.

\*

– Wychodzimy jutro na zewnątrz! – wypalił Ryu Jung-min podczas obiadu. Najwyraźniej nie potrafił opanować ekscytacji, bo studenci rzadko sami z siebie dzielili się informacjami.

Zapytałam, dokąd się wybierają.

– Nie wiemy – odparł. – Ale gdzieś na zewnątrz!

– Tak, może na godzinę, nie wiemy – dodał inny student. – Ale to nasze pierwsze wyjście, odkąd przyjechaliśmy na PUST.

Stwierdzili, że powiedziano im, iż wyjazd odbędzie się w ramach ich studiów i że może zabiorą ich na jakąś budowę w Pjongjangu. Nie do pracy, po prostu żeby się rozejrzeć, jak zapewniali.

Przy kolacji Choi Min-jun potwierdził, że to prawda. On też nie miał pojęcia, dokąd pojedą. Kiedy powiedziałam, że może jego rodzice będą mogli podejść i się z nim zobaczyć podczas jego pobytu w stolicy, zrobił wielkie oczy.

– Ale pani profesor, nasi rodzice nie wiedzą, że jedziemy!

Przy śniadaniu następnego ranka studenci byli ubrani jak zwykle w ciemne marynarki z krawatami. Wyjeżdżają o dziewiątej, oznajmili, ale nadal nie wiedzieli, dokąd się udają, ani nawet jak się tam dostaną. Wracając do akademika, natknęłam się na dwoje starszych rangą wykładowców pogrążonych w cichej rozmowie. Dyskutowali o tym, że studenci podyplomowi boją się skierowania do pracy na budowie, więc zapytałam o dzisiejszą wycieczkę i wzmiankę moich studentów o wyjeździe na budowę, żeby się rozejrzeć, nie do pracy.

– Co jest do oglądania na budowie? – rzucił jeden z wykładowców. – Jeśli cię tam wzywają, to zasuwasz, a nie przyglądasz się. W każdym razie kuchni kazano spakować suchy prowiant dla dwustu osób.

Przez cały dzień niepokoiłam się o moich studentów. Wyobrażałam sobie, że wiozą ich na budowę i każą pracować fizycznie, i bałam się, że stanie się to regularną praktyką. Może będą musieli pracować w każdy weekend w polu, zamiast grać w koszykówkę albo chodzić po pasażu, ucząc się angielskich słówek ze swoich odtwarzaczy MP3. Czy te dni uczenia się angielskiego i pisania listów po angielsku staną się wkrótce czystą fantazją?

Poszłam pobiegać później niż zwykle i okrążyłam kampus około piątej po



południu, kiedy zobaczyłam dwa piętrowe autobusy podjeżdżające do Wydziału Informatyki. Nigdy wcześniej ich tutaj nie widziałam, więc może szkoła skądś je pożyczyła. Studenci wrócili! Poczułam ogromną ulgę. Nawet jeśli spędzili dzień na przenoszeniu ciężkich przedmiotów, przynajmniej pozwolono im wrócić na uczelnię przed zmrokiem, na tyle wcześnie, że zdążą jeszcze wziąć prysznic przed kolacją. Przyciszyłam muzykę w iPodzie i przyjrzałam się twarzom w oknach autobusów. Niewiele widziałam z tej odległości, ale studenci nadal byli w garniturach, co sugerowało, że jednak nie pracowali fizycznie. Co w takim razie robili przez ostatnie osiem godzin?

Odpowiedź, którą usłyszałam, brzmiała dziwnie. Przy kolacji powiedzieli mi, że pojechali do Centralnego Ogrodu Zoologicznego w Pjongjangu oraz do Mangyŏngdae, miejsca urodzenia Kim Ir Sena. Przyjrzałam się ich twarzom, szukając w nich oznak zaprzeczenia, ale żadnych nie dostrzegłam. Dzień był słoneczny, ale nie było widać śladów świeżej opalenizny, nie wyglądali też na tak wykończonych, jak powinni po pracy na budowie. Dziwne było oczywiście to, że nagle zabrano ich na taką wycieczkę. Był środek semestru, a wszyscy inni studenci w całym kraju pracowali fizycznie. A naszych zawieziono do zoo i na miejsce urodzenia ich Wiecznego Prezydenta. Mało tego, przewodniczka w Mangyŏngdae udzielała im wyjaśnień po angielsku, jak mi powiedzieli, a oni wszystko rozumieli, bo już wiele razy tam byli.

Zastanawiałam się, czy był jakiś szczególny powód, żeby akurat tego dnia w Mangyŏngdae musiało się zjawić dwustu północnokoreańskich studentów, którzy wyglądali lepiej od reszty swoich rówieśników. Może byli tam jacyś ważni zagraniczni goście, więc reżim, znany z podstawiania ludzi we właściwym miejscu o właściwym czasie, potrzebował ich jako tła. Studenci stwierdzili, że ludzie gapili się na nich, kiedy przewodniczka mówiła do nich po angielsku, ale nie wiedzieli, kim ci ludzie byli.

Przez następnych kilka dni studenci nie mogli przestać mówić o zwierzętach, które widzieli, i o tym, jak spektakularne i wielkie jest zoo. Jeden opowiedział mi, jak jakiś pies wspiął się od tyłu na kozę i jakie to było śmieszne. Duże wrażenie zrobiły na nich wykonywane przez zwierzęta sztuczki. Inny student dodał, że obok znajduje się Park Rozrywki Daesung, gdzie chodził jako dziecko i na pewno wróci tam kiedyś ze swoimi dziećmi. Opowiadali o lwach i tygrysach, aż w końcu zapytali, czy ja sama byłam kiedyś w zoo.

Ostatni raz widziałam dzikie zwierzęta z bliska podczas safari w Republice Południowej Afryki. Pojechałam tam w 2010 roku, żeby napisać relację z mistrzostw świata w piłce nożnej, do których Korea Północna zakwalifikowała się po raz pierwszy od czterdziestu czterech lat. Nie powiedziałam jednak o tym moim studentom ani o tym, jak ich drużyna musiała się zmierzyć z Portugalią osamotniona na stadionie z ponad sześćdziesięcioma tysiącami portugalskich kibiców i zaledwie siedemdziesięcioma północnokoreańskimi robotnikami dowiezionymi z Namibii. Oglądanie mundialu na żywo wydałoby im się czymś nierealnym, a poza tym nie lubili tego tematu. Koreańczycy z Północy wciąż czuli wielki wstyd z powodu przegranej ich drużyny, mimo że w oczach świata to podjęcie walki było godne podziwu. Oni jednak nie tolerowali jakiegokolwiek porażki.

Przemilczałam więc to wszystko i powiedziałam tylko, że nieszczególnie lubię zoo. To była prawda. Kiedy rodzice zabierali mnie w dzieciństwie do Zoo Changgyeongwon w Seulu, patrzyłam na tygrysy, żyrafy i pingwiny i myślałam o tym, jakiej muszą doznawać klaustrofobii, tkwiąc cały dzień w małych klatkach i zbiornikach; jakie to musi być upokarzające, być obiektem, na który wszyscy patrzą, przedmiotem.

– Dlaczego nie lubi pani zoo? – zapytali studenci ze zdumieniem.

– Nie lubię patrzeć, jak coś jest w potrzasku.

Właśnie ostatnio nauczyliśmy się słowa „potrzask”. Wszyscy pokiwali głowami, jakby rozumieli.

– To znaczy tak jak w więzieniu?

– Tak, chciałabym, żeby wszystko było wolne. Wolałabym zobaczyć te zwierzęta na wolności, gdybym mogła.

Kiedy to powiedziałam, zdałam sobie sprawę, że zaczynam traktować temat z większą żarliwością, niż powinnam. Wiedziałam jednak, że studenci ciągle wspominają ten dzień spędzony w zoo z dokładnie tego samego powodu, z jakiego my, nauczyciele, skwapliwie korzystaliśmy z okazji pojechania raz w tygodniu do sklepu w Pjongjangu, nawet jeśli nie potrzebowaliśmy niczego kupić. Nie potrafiłam wyobrazić sobie amerykańskich studentów college’u, którym zoo podobałoby się tak bardzo jak tym chłopakom.

Zawsze, kiedy rozmowa kulała, znalazł się jakiś student, który przełamywał lody.

– Zna pani Bae Young-taeka? – zapytał Park Jun-ho. – Nasz autobus przejechał tuż obok jego mieszkania! Young-taek był bardzo smutny. Cały czas patrzył w okna, żeby zobaczyć, czy może ktoś przypadkiem tam będzie. Jego rodzina nie miała pojęcia, że tamtędy przejeżdżamy!

Inny student powiedział, że w Mangyöngdae zrobili sobie grupowe zdjęcie, które zostanie przekazane wszystkim rodzicom. Odbitki dostaną najpierw rodzice przewodniczących każdej z grup i to oni roześlą je do poszczególnych domów. Wszystko to wydawało mi się bardzo dziwne. Musiał być jakiś powód, dla którego nagle zorganizowano tę wycieczkę, a jej dowody dostarczano rodzinie każdego ze studentów.

Po kolacji wróciłam zadaszonym pasażem do swojego pokoju. Nie chodziłam już po kampusie po zmroku, bo pojawiły się doniesienia

o szwendających się po terenie wściekłych psach, które pogryzły kilku pracowników. Pasaż przypominał nieoświetlony tunel, więc musiałam poświecić sobie latarką, żeby znaleźć drogę. Pomyślałam, że napiszę mojemu kochankowi w mailu o tych psach, skoro prawie wszystkie inne tematy były tabu, ale potem wyobraziłam go sobie na Brooklynie, gdzie na wysadzanych drzewami ulicach wszędzie widać tabliczki przypominające, żeby psy wyprowadzać na smyczy i po nich sprzątać, i moja niedoszła wiadomość wydała mi się absurdalna. Zakopałam się więc w łóżku pod kocami i przez chwilę czułam się, jakbym była w zoo i została jednym z tych zwierząt w klatkach, a dziczące psy włóczyły się na wolności.

# 17

Tymczasem Ruth zaczęła uczyć studentów posługiwania się nożem i widelcem. Potrzebne sztuczki przywiozła ze sobą z Chin. Wszyscy używaliśmy tu łyżek oraz pałeczek i nikt się nad tym specjalnie nie zastanawiał. Jednak Ruth wyjaśniła studentom, że pora, aby stali się „ludźmi światowymi”. Na początku każdego posiłku oznajmiała uprzejmie studentom przy swoim stoliku: „Witamy w naszej restauracji. Przykro mi, ale muszę skonfiskować panom łyżki i pałeczki, a w zamian dać wam to”.

Większość z nich nigdy wcześniej nie używała noża ani widelca, więc zupełnie nie wiedzieli, jak się do tego zabrać. Rzadko podawano jakieś mięso, które można by kroić nożem, a ryż byli przyzwyczajeni nabierać łyżką. Obserwowanie Ruth ze studentami przypominało trochę oglądanie Henry’ego Higginsa i Elizy Doolittle z *Pigmaliona*. Niektórzy nie mogli przestać chichotać, inni byli zdezorientowani i skrzepowani. Jeden zażartował później: „Posiłek z profesor Ruth to nie posiłek, tylko zajęcia. Musimy się posługiwać się nożem i widelcem, jednocześnie koncentrując na rozmowie po angielsku. Za dużo rzeczy naraz. Głowa nas od tego boli!”.

\*

Tematem bieżącej lekcji z podręcznika była miłość. Musiałam omówić ze studentami opowiadanie pod tytułem *Miłość pod butem nazistów*,

o niemożliwym uczuciu dwojga ludzi podczas wojny. Kiedy powtarzałam z nimi słownictwo w rodzaju „nazistowski” i „obóz koncentracyjny”, zastanawiałam się, czy mają jakiegokolwiek podejrzenia, że ich Wielkiego Wodza uważa się za jednego z najgorszych dyktatorów współczesnej epoki, niemal dorównującego Hitlerowi i Stalinowi. Rano Martha wręczyła mi arkusz z tekstem: „Miłość \_\_ dobrotliwa. Miłość \_\_ cierpliwa”, i lukami do uzupełnienia w miejscu czasowników – ćwiczenie z gramatyki, które zostało zatwierdzone przez odpowiedników. Zerknęłam na nie pobieżnie.

– Czy to nie jakaś obciachowa piosenka z lat osiemdziesiątych? – spytałam. Czasami zdarzały się takie chwile jak ta, kiedy traciłam czujność i zapominałam, gdzie jestem.

– Przecież to z Biblii! – zawołała Martha w osłupieniu.

Natychmiast zatuszowałam swoją wpadkę, mówiąc:

– Wiem, ale jest też taka piosenka!

Miałam szczęście, że Martha była za młoda, żeby pamiętać lata osiemdziesiąte, bo spojrzała na mnie ze szczerym zaciekawieniem i zapytała:

– Tak? Jaka?

Podejrzewałam, że odpowiednicy nie zorientowali się, że cytaty pochodzą z Biblii, kiedy je zatwierdzali. Było to ryzykowne posunięcie ze strony Marthy, która sama zaproponowała to ćwiczenie. Wszyscy mieliśmy jakieś swoje cele.

Martha powiedziała mi jeszcze, że usiłowała skłonić swoich studentów do napisania czegoś o miłości, ale właściwie było to niemożliwe.

– Zabijają wszystkich bohaterów w swoich opowiadaniach. Mają obsesję na punkcie śmierci. Nie wiem, czy to kwestia ich kultury, czy po prostu takie chłopackie zachowanie.

Żyli w kulturze, w której każde miejsce pracy określano słowem *juntoojang*, czyli dosłownie „pole bitwy”. Widziałam takie napisy w całym

mieście, nawet na tylnych drzwiach dużej restauracji, a kiedy później zapytałam o to jednego ze studentów, wyjaśnił:

– To by oznaczało miejsce, w którym pracownicy restauracji przygotowują posiłki.

Nawet przewodniczący klasy, w Korei Południowej *banjang*, tutaj nazywał się *suhdaejang*, czyli „dowódca plutonu”. Klasa – sala zajęć – nie była klasą, tylko plutonem. Maszerowali w grupach, śpiewając piosenki o wojnie. Ich kultura była przesiąknięta komunikatami o zabijaniu Koreańczyków z Południa i Amerykanów oraz odniesieniami do przerażająco makabrycznych czynów. Najwyraźniej bezmyślnie powielali ten cały przekaz, być może tak samo, jak młodzi Amerykanie naśladują zachowania oglądane w pełnych przemocy filmach i grach komputerowych. Przeprowadzanie dyskusji o różnych rodzajach miłości nie miało właściwie sensu, skoro wszyscy się zgadzali, że jedyną prawdziwą miłością jest miłość do ojczyzny.

– Czy można kochać kogoś z wrogiego kraju? – zapytałam.

– Nie! – wykrzyczeli w odpowiedzi.

– Czy można się przyjaźnić z kimś z wrogiego kraju?

– Nie! – krzyknęli jeszcze raz.

– A ze mną? – zapytałam ich później, podczas jednego z posiłków. Nie fair było ich tak stawiać w niezręcznej sytuacji, ale obudziła się we mnie ciekawość.

– Pani jest inna, bo jest pani naszą nauczycielką – odparł jeden z nich.

\*

Nauka jedzenia nożem i widelcem nie szła za dobrze.

– Czasami naprawdę mam tutaj ochotę pomarudzić – westchnęła Ruth,

kiedy stałyśmy na stołówce w kolejce dla wykładowców i studentów podyplomowych.

Powiedziała mi, że przy śniadaniu jeden ze studentów z grupy 2 odmówił posługiwania się nożem i widelcem. Po nim odmówił kolejny. Wyjaśniła im, że przygotowuje ich na dzień, w którym będą musieli zjeść posiłek z obcokrajowcem gdzieś za granicą, gdzie nie będzie pałeczek. Ale oni odparli, że wcale nie chcą stawać się ludźmi światowymi. Po prostu nie jest to dla nich ważne. Pozostali niewzruszeni. Powiedziała im w końcu:

– Jeśli nie będziecie szanować innych, inni nie będą szanować was. – Obawiała się teraz, że następna grupa przy obiedzie też odmówi.

Akurat niedawno słyszałam w CNN Asia wypowiedź amerykańskiego sekretarza obrony Leona Panetty, który wyrażał bardzo podobne odczucia wobec Korei Północnej. Przed zbliżającymi się rozmowami w Genewie między przedstawicielami Stanów Zjednoczonych i KRLD Panetta zorganizował konferencję prasową, na której nazwał rozprzestrzenianie broni jądrowej przez Koreę Północną „niebezpieczną prowokacją” i stwierdził, że takie działania mogą tylko doprowadzić do „możliwej eskalacji i konfrontacji”. W pewnym sensie, w znacznie mniejszej skali, ten sam dramat rozgrywał się tutaj, w tym zakątku pjongjańskiej dzielnicy Rang Rang, gdzie przyszli przywódcy Korei Północnej uznali, że zagraniczni nauczyciele nimi dyrygują, i odmówili udziału w grze. Martha pokręciła głową i powiedziała:

– To mi tylko mówi, jak głęboki jest podział między nimi a nami.

Studenci z grupy 3 także odmówili jedzenia nożem i widelcem. Ruth przyszła potem do mojego gabinetu i stwierdziła, że czuje zniechęcenie. Wyraźnie odmówiła całej grupie, więc pomyślała, że może chłopcy poruszyli tę kwestię z odpowiednikami na którymś zebraniu Wspólnoty Życia Codziennego.



– To przez ten podział – powtórzyła Martha.

Zbliżały się egzaminy śródsesemestralne, co skłoniło mnie podczas jednej z wypraw na zakupy do poszukiwania czekoladek. Wolno nam było częstować studentów takimi specjałami, jeśli odbywało się to z jakiejś specjalnej okazji, a my dawaliśmy wszystkim to samo. Niestety, nie było wielkiego wyboru, jeśli chodzi o sto oddzielnie zapakowanych czekoladek, zwłaszcza że liczbę sklepów też miałam ograniczoną. Większość artykułów na półkach była wątpliwej jakości: albo upłynął ich termin przydatności do spożycia, albo pochodziły z krajów, których nie kojarzyłam z danym produktem – na przykład łotewskie ciasteczka. Owszem, widziałam szwajcarskie czekoladki, ale po nedorzecznie wysokiej cenie. Jak zauważyła jedna z wykładowczyń, byłoby to jak częstowanie abstynenta wykwinnym winem, bo nasi studenci nie potrafili odróżnić dobrej czekolady od kiepskiej. Nigdy nie brakowało mi czekoladek Hershey's Kisses czy miniaturowych batoników Snickers tak bardzo jak wtedy.

To poszukiwanie czekoladek przypomniało mi historię mojego ojca. Jego rodzina mieszkała podczas wojny w Seulu i uciekła, kiedy na miasto zaczęły spadać bomby, tak jak rodzina mojej matki. Nie mieli tyle szczęścia, żeby się dostać do jakiegoś pojazdu, jak opowiadał mój ojciec, chociaż na dźwięk słowa „szczęście” w tym kontekście moja matka robiła się dziwnie milcząca. Gdyby tylko poszli na piechotę – myślała zapewne – jej brat by ocalał. Natomiast ojciec oddawał się wspomnieniom. Często opowiadał o pewnym amerykańskim żołnierzu, który dał mu czekoladę.

– Czekolada była jak złoto, lepsza niż złoto, jak diamenty. Nigdy nie zapomnę, jak smakowała.

Pamiętał, jak uśmiechnięty żołnierz rzuca mu mały kawałeczek, który on łapie. Miał sześć lat. To wspomnienie było mu drogie, odcinało się wyraźnie

na tle mglistej panoramy trzech lat tragicznej wojny. Zapamiętał dobroć tego żołnierza, ale ja czułam się tym opisem zażenowana. Za dużo widziałam w dzieciństwie filmów o heroicznym Amerykanach ratujących biedne azjatyckie dzieci i nie podobała mi się myśl, że mój ojciec był jednym z dzieciaków, które tego doświadczyły.

A jednak oto kilkadziesiąt lat później ja, Amerykanka, kupowałam czekoladę dla północnokoreańskich chłopców. Nadawały się tylko malezyjskie czekoladki mleczne, które smakowały jak rozwodnione, sztucznie posłodzone karmelki – nie byłam w stanie zjeść nawet jednej.

– Wszystkie są takie, mają mniejszą zawartość kakao – powiedziała Mary. – Ale ja jestem z Chin, jesteśmy do tego przyzwyczajeni.

Studentom jednak smakowały i złagodziły napięcie w dniu egzaminu.

Dwie grupy, w sumie pięćdziesiąt osób, zdawały razem, a wykładowcy musieli dopilnować, żeby na przerwie nie rozmawiali z dwiema następnymi grupami, mającymi zdawać po nich, bo ściąganie zdarzało się całkiem często. Po egzaminie zapytałam studentów, jak im poszło. Kilku stwierdziło, że część sprawdzająca rozumienie tekstu czytanego była trudna, ale teksty im się podobały, zwłaszcza ten o džinsach. Chodziło im o krótki artykuł o Levim Strausie, który zaczął produkować džinsy dla górników podczas gorączki złota. Właśnie ten tekst martwił Mary, chociaż egzamin został zatwierdzony przez odpowiedników.

– Nie miałem pojęcia, że džinsy początkowo były szyte dla górników – powiedział jeden ze studentów – ale nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego dziurawe džinsy są modne.

Nie było o tym wzmianki w tekście i nie wydawało mi się, żeby któryś z obcokrajowców odwiedzających Pjongjang ubrał się w takie spodnie. Student musiał gdzieś je widzieć, najprawdopodobniej na jakimś zakazanym filmie na DVD. Do pewnego stopnia zastanawiało mnie to samo co jęgo:

dlaczego niszcymy zupełnie dobry materiał, żeby wyglądać stylowo? Jednak analizowanie trendów w zachodniej modzie wymagałoby mnóstwa innych informacji, których nie mogłam im podać. Spróbowałam więc tylko wyjaśnić koncepcję swobodnego ubioru w kulturze zachodniej na przykładzie czapek baseballowych, noszonych przez wielu Amerykanów, ale przez nich tutaj nigdy (poza Dniem Sportu, kiedy pożyczali je od nauczycieli).

– U nas jest inaczej – odparł. – Nie nosimy takich czapek, bo uważamy, że nie są eleganckie.

Biorąc pod uwagę, jak wściekle ambitni byli studenci, nic dziwnego, że nazajutrz po egzaminie nastąpił ciężki dzień dla nauczycieli. Zostaliśmy zasypani lawiną pytań. Jeśli studenci dowiadywali się, że zrobili błędy, chodzili przybici i zupełnie zniechęceni. Aby wyjść naprzeciw ich bezustannym pytaniom, Ruth postanowiła zorganizować dodatkowe popołudniowe spotkanie, na które przyniosła rzutnik i zrobiła prezentację w PowerPointcie, dokładnie tłumacząc, jak oceniała egzamin ustny. Wpadła potem oburzona do mojego gabinetu. Usiłowała wyjaśnić swoje metody, ale studenci tak się rozżalili z powodu niskich ocen, że wyszli całą grupą z sali, jeszcze zanim skończyła.

– To po prostu strasznie niegrzeczne – stwierdziła. – Mogę sobie uczyć ich angielskiego, ile mi się żywnie podoba, ale jak ma to przynieść rezultaty, skoro są kompletnie pozbawieni kompetencji społecznych i nie chcą nic z tym zrobić?

Opadła zdenerwowana na krzesło. Poczęstowałam ją suszonymi morelami, moim prawdziwym skarbem w tym kraju, gdzie owoce, nawet suszone, stanowiły rarytas. Zjadła jedną i powiedziała, poważnie zatroskana:

– Mówią, że chcą się nauczyć angielskiego, ale nas nie lubią. Przyjmują postawę na zasadzie: „Dajcie nam angielski, którego potrzebujemy, ale na ten

teren się nie zapuszczajcie”. A przecież nie można oczekiwać, że dostanie się wszystko, nie dając nic od siebie.

Na tym właśnie polegała wewnętrzna sprzeczność sytuacji Korei Północnej. Kraj został postawiony pod ścianą. Koreańczycy z Północy nie chcieli się otwierać, ale nie mieli innego wyjścia, niż dążyć do rozszerzenia kontaktów z resztą świata, jeśli chcieli przetrwać. Zbudowali całą swoją ideologię na izolacjonizmie i pragnieniu zabijania Amerykanów i Koreańczyków z Południa, a jednak musieli się uczyć angielskiego i kupować jedzenie dla swoich dzieci za obcą walutę.

Spanikowani z powodu stopni studenci przychodzili parami do mojego gabinetu, który wkrótce zapełnił się po brzegi. Stwierdzili, że trudno im poprawić oceny z czytania, bo podręcznik jest nie tylko niejasny, ale także bardzo nudny. Rzeczywiście te książki były przestarzałe – PUST miał tak głęboką wiarę w chiński system edukacyjny, że dopuszczano do użytku wyłącznie testy i podręczniki, które zostały wcześniej zaaprobowane w Chinach, a często były to stare materiały. Na przykład w jednej czytance w podręczniku, zatytułowanej *Sądzić po pozorach*, pewna kobieta usiłowała zapłacić za coś czekiem na dwa dolary, a kasjerka nie zadała sobie trudu, żeby poprosić ją o dokumenty, bo kobieta była ubrana jak żebraczka, więc wyrzuciła ją ze sklepu. Takie teksty wymagały ode mnie dodatkowych wyjaśnień. Powiedziałam studentom, że większość ludzi nie płaci już za zakupy czekiem, tylko kartą kredytową. Jeszcze latem Katie pokazywała im swoją kartę i tłumaczyła, że płaci nią za różne rzeczy, a oni twierdzili, że zrozumieli, ale potem mówili, że płacąc, Katie musi używać swojego adresu IP.

Poza tym na ich północnokoreańskim słowniku zupełnie nie można było polegać. Podawał na przykład, że słowo *guy* (chłopak, facet) oznacza „drań,

sukinsyn”. Jeden ze studentów powiedział mi, że bardzo się zdenerwowali na pewnego amerykańskiego profesora, który uczył ich latem i zaczynał prawie każde zdanie od *you guys*. Często używali słów i wyrażen typowych dla brytyjskiego angielskiego albo przestarzałych. Mówili na przykład: „Oglądałem telewizję, było klawo i zawołałem hip, hip, hurra!”, „Pani profesor, pada rześisty deszcz”, albo wyskakiwali ze słowem w rodzaju *portaż*. Niektóre z tych słów musiałam sprawdzać w słowniku na swoim kindle’u, którego wciąż używałam jak najczęściej, w nadziei, że o niego zapytają. Nic jeszcze nie powiedzieli, ale patrzyli na urządzenie z ciekawością. Pewnego popołudnia w moim gabinecie zjawiło się dwóch studentów z pytaniem o słowo *blockbuster*. Ich słownik podawał, że jest to rodzaj bomby. Czy w takim razie wyrażenie *blockbuster movie* oznacza film o bombie, czy po prostu film wojenny? – zapytali. Kiedy wyjaśniłam, że najczęściej używa się tego słowa w znaczeniu „przeboju, sukcesu komercyjnego”, twarze im się rozjaśniły.

– Jak *Król lew*?

Poza *Marszem pingwinów* był to jedyny amerykański film, do którego oglądania się przyznawali. Chciałam im powiedzieć, że takich przebojowych filmów jest mnóstwo, a niektóre z nich, byłam pewna, bardziej by im odpowiadały.

Kiedy indziej przyszedł do mnie student z pytaniem o kilka wyrażen z podręcznika, dotyczących podróży lotniczych.

– Co to jest klasa ekonomiczna? Czy to znaczy, że w samolocie prowadzą zajęcia z ekonomii?

Usiłowałam mu wytłumaczyć koncepcję klasy jako kategorii, istniejącą także tutaj w postaci nieoficjalnego systemu kastowego *songbun*, chociaż mieszkańcy KRLD udawali, że żyją w społeczeństwie bezklasowym. Mimo wszystko ideę dopłacania za wyższy poziom komfortu trudno było wyjaśnić.

Jeden ze studentów zapytał kiedyś o znaczenie terminu „rodzic biologiczny”. Koncepcja adopcji wydała się moim studentom dziwaczna. Nie rozumieli, dlaczego ktoś miałby wziąć pod opiekę obce dziecko i uznać za swoje. Kiedy wyjaśniłam, że niektórzy ludzie nie mogą mieć dzieci albo wolą adopcję od posiadania biologicznego dziecka, bo na świecie jest tyle sierot potrzebujących rodziców, student natychmiast zareagował:

– W takim razie to bardzo smutne dla tego dziecka! Tylko dlatego, że rodzic jest zbyt biedny i oddaje dziecko do sierocińca, bogaty Amerykanin je kupi. – Podejrzewałam, że być może wpojono im negatywną propagandę o Amerykanach adoptujących dzieci z Chin.

Dezorientację wywoływała też idea *women's studies* (studiów feministycznych). Niektórzy studenci zgadywali, że może chodzi o kierunek, na którym dziewczyny uczą się, jak gotować i robić makijaż. Kiedy dowiedzieli się, że rzecz dotyczy praw kobiet, oznajmili, że w ich kraju takie studia nie są potrzebne. Jak stwierdzili, równouprawnienie sformalizowano tu w 1946 roku, kiedy Kim Ir Sen ogłosił, że kobiety stanowią „jedno koło wozu rewolucji i budowy socjalizmu”. Odnosiło się to do propagandy KRLD dotyczącej kobiet jako jednej z sił napędowych budowania narodu.

Kiedy indziej powiedzieli mi, że tylko kobiety noszą biżuterię, i to dopiero po skończeniu uniwersytetu.

– Dlaczego tylko kobiety? A co z mężczyznami? – zapytałam. – Nie noszą obrączek?

Odparli, że nie. Wydawali się zszokowani myślą, że jakikolwiek porządny facet miałby się pokazać z obrączką na palcu.

– Czy amerykańscy mężczyźni noszą biżuterię? – zaciekawili się. – Nawet kolczyki?

– Niektórzy tak, ale głównie młodzi.

Wybałuszyli na mnie oczy. Jeden stwierdził:

– Niektóre rzeczy w Ameryce są tak dziwne, że nigdy ich nie zrozumiałem, jak to adoptowanie i kupowanie dzieci czy mężczyźni noszący biżuterię!

Zapytali też, co to jest hip-hop i techno. Wzmianka na ten temat pojawiła się w ich podręczniku do konwersacji, który nie był aż tak przestarzały jak pozostałe. Nie byłam pewna, jak wyjaśnić hip-hop chłopakom, którzy słyszeli tylko piosenki o swoim Wielkim Przywódcy – a przynajmniej tak utrzymywali. Powiedziałam, że to taki rodzaj muzyki, którą lubią młodzi ludzie, ale także coś więcej – pewna postawa wyrażająca się w wielu aspektach kultury młodzieżowej, między innymi w modzie i języku. Ale nawet ja nie byłam zadowolona z tego wyjaśnienia i w końcu stwierdziłam, że może czegoś takiego trzeba po prostu doświadczyć, żeby to zrozumieć. Jeden z nich skinął wtedy głową i powiedział:

– Tak, nigdy tak naprawdę nie zrozumimy, dopóki tego nie zobaczymy.

Najbardziej jednak zastanawiało ich określenie „składka na ubezpieczenie społeczne”. Rozumieli znaczenie słowa „składka”, ale reszta pozostawała tajemnicą. Niejasne były dla nich także podatki, o których teraz mogłam mówić w związku z lekcją, więc czułam się bezpieczniej. Wyjaśniłam zatem, że podatki są potrącane Amerykanom z pensji i wykorzystywane do finansowania programów mających pomóc ubogim, niepełnosprawnym czy emerytom. Ponieważ wciąż powtarzali, że wszystko w Korei Północnej jest darmowe i podawali to jako argument za wyższością swojego społeczeństwa, moje wyjaśnienie zbiło ich z tropu. Jednak ufali mi już na tyle, by wiedzieć, że bym ich nie okłamała. Wytłumaczyłam, że ubezpieczenie społeczne to, jak sama nazwa wskazuje, zagwarantowanie bezpieczeństwa członkom społeczeństwa i że można wręcz uznać je za socjalistyczny aspekt kapitalizmu. Składają się na nie wszyscy obywatele, ale składka każdego z nich zależy od jego dochodu. Pokiwali głowami, ale nie byłam pewna, ile z tego zrozumieli. Takich słów jak „paszport” i „ubezpieczenie”, które także

pojawiły się w podręczniku, właściwie nie dało im się wytłumaczyć.

Jak miałam im wyjaśnić cały świat, ten niesamowicie różnorodny świat nieograniczonych możliwości, w którym arabska młodzież obalała swoje skorumpowane reżimy, wykorzystując potęgę mediów społecznościowych, w którym wszyscy oprócz nich byli ze sobą połączeni internetem, w którym śmierć Steve'a Jobsa mogła poruszyć tak stoicki naród jak Chiny? Stąd ten świat wydawał się zupełnie niedostępny, a jednak jego drobne ślady były wszędzie, nawet na kartkach tego przestarzałego podręcznika do angielskiego, zatwierdzonego kiedyś do użytku w Chinach.

Któregoś dnia jeden ze studentów powiedział:

– Wszystko to jest ciekawe, o byciu człowiekiem światowym, międzynarodowym. Ale niektórzy z nas nie chcą być światowi. Na przykład to, co się stało u profesor Ruth.

Chodziło mu o incydent z Ruth oraz grupami 2 i 3, dotyczący używania sztućców. Stwierdził, że zapytał kilku swoich przyjaciół z grupy 4, którzy także odmówili: „Dlaczego zdenerwowaliście profesor Ruth?”. Przyznał jednak, że on także uważa posługiwanie się nożem i widelcem za kłopotliwe.

– Z koreańskim jedzeniem to jest bardzo trudne – orzekł.

Zapytałam go, czy jeśli ktoś prosi, żeby raz spróbował jeść w ten sposób, wydaje mu się to brakiem poszanowania jego koreańskiej tożsamości, a on odparł, że nie. Dwaj moi byli studenci, którzy teraz znaleźli się w grupie 2, też poruszyli ten temat przy jednym z posiłków, mówiąc, że czuli się zażenowani reakcją kilku kolegów z grupy. Niektórzy poczuli się urażeni, a niektórzy nie, ale zanim się obejrzel, sprawa wymknęła się spod kontroli. Grupa 2, jako całość, postanowiła, że nie będzie używać noży i widelców, a pozostałe grupy poszły w jej ślady.

– Profesor Ruth po prostu się poddała! – krzyknął jeden z tych urażonych.

Był to jeden z bardzo rzadkich wypadków, kiedy widziałam, żeby



pojedynczy studenci przeciwko czemuś protestowali. Poczułam ulgę, słysząc indywidualne głosy, widząc, że studenci potrafią się ze sobą nie zgadzać, a także sprzeciwić się osobie reprezentującej autorytet władzy. Jednak używania noży i widelców odmówili całą grupą, bo wszystko robili razem.

\*

Kilka dni później Ruth powiedziała mi, że wcale się nie poddała ot tak. Do jej gabinetu przyszedł jeden z odpowiedników i zasugerował, żeby przestała zmuszać studentów do posługiwania się nożem i widelcem.

– A przecież od początku miałam ich pozwolenie – stwierdziła z oburzeniem. – Dali na to zgodę. Musiałam przedstawić im plan i go zatwierdzili. Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła bez pozwolenia. Szkoła podeszła do tego ze zrozumieniem. To studenci są bardziej konserwatywni.

Najwyraźniej było jej przykro, a o aferze nożowo-widelcowej dalej mówił cały kampus.

## 18

Towarzyszące mi codziennie uczucie *déjà vu* dotyczyło także naszych rzadkich wyjazdów. Wykładowców w semestrze zimowym zabierano na te same zorganizowane wycieczki co w letnim – w góry, do kościoła i do kilku najważniejszych narodowych zabytków. Najbardziej czekałam na wycieczkę do Kaesŏngu, stolicy pradawnej Korei. Leżał zaledwie osiem kilometrów od strefy zdemilitaryzowanej i Wspólnej Strefy Bezpieczeństwa (JSA – Joint Security Area), której nigdy nie widziałam od tej strony granicy. Dla nauczycieli pełniących funkcję naszych łączników z odpowiednikami załatwienie zgody na wycieczkę było skomplikowanym procesem, obejmującym złożenie podań o przepustki nie tylko dla zwiedzających, ale także dla pojazdów. Zwykle trwało to kilka tygodni. Wyprawa do Kaesŏngu wywołała ostry spór między opiekunami a misjonarzami. W soboty opiekunowie mieli zebrania Wspólnoty Życia Codziennego, a poza tym strefa zdemilitaryzowana była pod kontrolą Korei Południowej i od strony Korei Północnej nie było do niej wstępu. Jednak niedziele też odpadały, bo wtedy nauczyciele mieli nabożeństwo. W końcu wycieczkę przełożono na piątek, kiedy większość z nas miała zajęcia i nie mogła jechać.

Zamiast do Kaesŏngu tym razem zabrano nas na naszą jedyną dwudniową wyprawę do Regionu Turystycznego Kŭmgangsan (Góry Diamentowe), międzykoreańskiego projektu, który działał od 1998 roku

dzięki południowokoreańskim pieniądзом, z myślą o południowokoreańskich turystach. Nie mieli tu oni jednak wstępu od 2008 roku, kiedy południowokoreańska gospodyni domowa została przypadkowo zastrzelona przez północnokoreańskiego żołnierza.

Ze względu na zły stan dróg przejazd w każdą stronę zajął nam osiem godzin. Po drodze widzieliśmy sporo ciężarówek i autobusów stojących na poboczu, z kłębamii szarego dymu buchającymi z silników. Widok był na tyle częsty, że zaczęłam liczyć te awarie i doszłam do dziesięciu. Kiedy nasz autobus też się zepsuł, mniej więcej godzinę drogi za Pjongjangiem, rozległy się szepty, że może to z powodu sprzedawanego tu kiepskiego paliwa.

Wysłano nam autobus zastępczy i po mniej więcej godzinie ruszyliśmy w dalszą drogę. Widok wzdłuż szosy był taki sam jak podczas naszych poprzednich wycieczek. Po pięciu czy dziesięciu minutach jazdy przez pola dostrzegałam gdzieś w oddali grupę identycznych domów, większy budynek z portretem Wielkiego Wodza, wyglądający na szkołę, oraz wysoką wieżę ze sloganem: NASZ WIELKI WÓDZ KIM IR SEN WIECZNIE Z NAMI. Wciąż powtarzały się właśnie takie skupiska budynków, jakby spod sztancy. W pewnym momencie zobaczyłam gmach z takim samym napisem jak na Hali Kimirsenizmu na kampusie. Uświadomiłam sobie, że PUST jest kolejną wersją takiej wioski.

Nagle, kiedy mijaliśmy miasto Wonsan, w oknach pojawiło się morze i serce mocniej mi zabiło. Oto ono, Morze Wschodniokoreańskie\*, o brzegach wyglądających na zupełnie dziewicze, tak różne od zatłoczonych i nadmiernie zabudowanych wybrzeży po południowokoreańskiej stronie, która była tak blisko, zaledwie o dwie godziny drogi na południe samochodem. Tutaj linii brzegowej nie szpeciły żadne hotele, apartamenty, bary plażowe, komercyjne logo. Było tylko morze i wszyscy westchnęliśmy w jednogłośnym zachwycie. Brzeg wyglądał pięknie, choć jakby nieco

upiornie, bo wyglądało na to, że nikogo nie wpuszczano ani na plażę, ani do wody. Nie wiedziałam, jak inaczej interpretować tę absolutną pustkę.

Jechaliśmy jeszcze dwie godziny do Regionu Turystycznego Kŭmgangsan, który wyglądał jak miasto duchów, odkąd już nie przyjeżdżali tu południowokoreańscy turyści. Widzieliśmy za to gości z Chin, także pochodzenia koreańskiego, ale nie było ich zbyt wielu. Wieczorem wszędzie wysiadł prąd i oznajmiono nam, że kolację podaje tylko restauracja przy hotelu. Na każdym stole stały talerzyki pełne biało-różowych kawałków surowego mięsa na grilla. Okazało się, że to wieprzowina z czarnej świni, ale wyglądała jak ochłapy na bazarze, przeznaczone do wyrzucenia. Zupa była letnia i śmierdziała rybą.

Siedziałam z sekretarką prezesa Kima, Chinką koreańskiego pochodzenia z Pekinu. Jej rodzina wywodziła się z Korei Północnej i wciąż mieszkali tu jej krewni.

– Ludzie byli tu kiedyś zamożniejsi niż my w Chinach – powiedziała, wspominając lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte, kiedy istniał jeszcze Związek Radziecki, a gospodarka Korei Północnej miała się znacznie lepiej. – Kiedy byliśmy mali, moja matka jeździła w odwiedziny do swoich rodziców i przywoziła stąd mnóstwo rzeczy: ubrania, sprzęt gospodarstwa domowego, różności. Teraz jest na odwrót. Trudno nam utrzymywać kontakty z naszymi krewnymi, którzy tu mieszkają, bo zawsze proszą nas o pieniądze.

Słyszałam podobne skargi od innych Chińczyków koreańskiego pochodzenia, którzy mieli krewnych na Północy. Wszyscy zawsze mówili to samo: nie mają wyboru, muszą dawać swoim krewnym to, czego ci potrzebują, bo to rodzina.

Po kolacji niektórzy nauczyciele poczuli przypływ wigoru i wstali, żeby pośpiewać. Najpierw wykonali pieśń *Amazing Grace*. Następnie podniosła

się jedna z Amerykanek koreańskiego pochodzenia i oświadczyła:

– Zazwyczaj nie śpiewam takich rzeczy, ale dzisiaj zaśpiewam piosenkę Choi Jin-hui. Panie Ri, musi pan ją znać, wszyscy tutaj znają Choi Jin-hui, prawda?

Choi Jin-hui to południowokoreańska piosenkarka popularna wśród ludzi ze starszego pokolenia. Pan Ri nie odpowiedział i wyszedł, ku zdumieniu większości z nas. Potem wstała następna nauczycielka i zaśpiewała *Woorinun*, południowokoreańską piosenkę ludową. Teraz wyszedł drugi opiekun, pan Han, oraz dwóch północnokoreańskich kierowców. Jeden ze starszych wykładowców wyjaśnił wtedy, że Koreańczycy z Północy mogą zostać ukarani za słuchanie południowokoreańskich piosenek.

– Teraz wiemy, co trzeba zrobić, kiedy chcemy się ich pozbyć! – skomentował ktoś inny.

Następnego dnia rano zaczęliśmy się wspinać na Wzgórze Manmulsang, ale dostałam zawrotów głowy i zawróciłam, a potem czekałam na resztę na parkingu. Razem ze mną czekali nasi dwaj kierowcy, wraz z dwoma innymi, którzy przywieźli chińskich turystów, też wchodzących teraz na górę z przewodnikami. Kiedy wyciągnęłam swojego laptopa, którego wszędzie nosiłam ze sobą, nasi szoferzy podeszli do mnie, żeby popatrzeć, ale szybko stracili zainteresowanie i usiedli na chodniku, gdzie pozostali kierowcy grali w pokera, słuchając na cały regulator płyty Simona & Garfunkela, zapewne pochodzącej z czarnego rynku. Wydało mi się dziwne, że wybrali tak wzorcowo amerykańską muzykę z lat sześćdziesiątych, zwłaszcza że mogli być za to ukarani. Przez chwilę, kiedy siedziałam na ławce z laptopem i grzmącą w tle piosenką *Bridge Over Troubled Water*, czułam się, jakby był to zwykły jesienny dzień. Zauważyłam jednak, że do ławki przytwierdzona jest tabliczka z napisem: „Długa ławka, z której osobiście skorzystał nasz Wielki Wódz Kim Ir Sen. 1973.8.19”, więc natychmiast wstałam

i rozejrzałam się za jakimś kamieniem, na którym mogłabym usiąść. Wtedy spostrzegłam, że na wszystkich wyryte są cytaty z Wielkiego Wodza (takich napisów jest podobno w tym łańcuchu górskim około czterech tysięcy). Chwilę później zobaczyliśmy ludzi schodzących po zboczu. Kierowcy szybko włączyli północnokoreańską muzykę i czar przysł.

W drodze powrotnej, kiedy już mineliśmy Wonsan, krajobraz znów stał się suchy i jałowy. Ponownie widziałam ludzi siedzących w kucki na środku szosy. Schodzili dopiero, kiedy autobus podjechał całkiem blisko. Czasem na jezdni kucali dwie czy trzy osoby, rozmawiając, a czasem była to większa grupa, która siedziała w kręgu i jadła. Nie mogłam tego zrozumieć, bo siedzieli albo na poboczu, albo wprost na szosie gdzieś na jakimś odludziu, aż w końcu mnie olśniło: to była ich kawiarnia, ich rynek. Kawalek pustej szosy najbliżej ich domu był jedynym miejscem, w którym widzieli jakieś dowody na istnienie zewnętrznego świata. Siadali na asfalcie, żeby poczuć, że mają z tym światem jakiś kontakt.

Pojechaliśmy także na wycieczkę do grobowców Tanguna, mitycznego założyciela Korei, oraz króla Dongmyeonga, założyciela Koguryŏ, starożytnego królestwa, które istniało na terenie dzisiejszej Korei Północnej. Trochę dziwne było to oprowadzanie nas po miejscach pochówku starożytnych władców, po tym, jak bez przerwy nam powtarzano, że królami są tutaj Wielcy Przywódcy. Martha przygotowała kiedyś lekcję z wykorzystaniem artykułu o brytyjskim królewskim weselu. (W KRLD, jak twierdzili moi studenci, wesele było po prostu obiadem w domu, z sąsiadami; panna młoda nie miała specjalnej sukni, a młodzi nie wymieniali się obrączkami). Studenci nigdy nie słyszeli ani o Williamie, ani o Kate, więc wyjaśniłam, że w Wielkiej Brytanii panuje królowa, i poprosiłam, żeby wymienili inne kraje, które nadal mają monarchę. Odpowiedzieli: „Japonia!”, „Kambodża!” i „Korea!”. Zapytałam, gdzie jest ten ich król, skoro koreańska

monarchia skończyła się w 1910 roku, a wtedy wszyscy wykrzykali: „Pałac Kŭmsusan!”, gdzie leżał zabalsamowany Kim Ir Sen. Wyglądał jak żywy i robił dość niesamowite wrażenie.

Okazało się jednak, że Pałac Kŭmsusan to niejedyne miejsce spoczynku królów Korei Północnej, a my właśnie jechaliśmy, by zwiedzić te pozostałe. Za granicami miasta dwukrotnie zatrzymano nas na posterunkach kontrolnych. Rozpoznałam pustą drogę jako tę samą, którą jechaliśmy na farmę jabłek.

– Mieszkałem kiedyś w tej okolicy, a kiedy miałem piętnaście lat, skierowali mnie z łapanki do budowy Uniwersytetu Kim Ir Sena – powiedział stary Koreańczyk, który siedział koło mnie w autobusie. Ludzie pochodzący z Północy często zwierzali się z takich historii każdemu, kto tylko chciał słuchać. Kiedy wybuchła wojna koreańska, ten człowiek miał siedemnaście lat, czyli dokładnie tyle, ile mój wujek w chwili zniknięcia. Był jedynym synem z czwórki dzieci i rodzina zdecydowała, że powinien ruszyć na południe pierwszy, a oni wkrótce podążą w ślad za nim. Uciekł więc sam, ale zanim rodzina zdążyła do niego dołączyć, zamknięto granicę. W latach osiemdziesiątych udało mu się dwa razy odwiedzić Pjongjang i spotkać z rodzicami. Za każdym razem mógł spędzić w ich domu tylko jedną noc. Dziś z całej rodziny żył tylko jeden brat, a ich kontakt ograniczał się do kilkugodzinnych spotkań w restauracji w hotelu Koryo. Jednak te wizyty zbyt drogo go kosztowały. Musiał zapłacić północnokoreańskim urzędnikom, którzy zatwierdzali i organizowali spotkanie, opiekunowi i kierowcy, a potem dać pieniądze także członkom swojej rodziny, bo przecież wszyscy tu byli potrzebujący.

Zapytałam, czy czuje się tu u siebie, zwłaszcza że niektóre okolice prawdopodobnie wcale się nie zmieniły.

– Nie, w ogóle – odparł, kręcąc głową. – Wszystko tu wydaje mi się

zupełnie obce. Moja rodzina mieszka bardzo blisko PUST, ale nie mogę się z nią kontaktować. Nie wolno mi nawet zadzwonić. Nie mogę odwiedzić żadnych miejsc, które pamiętam z młodości, skoro nie możemy się tu swobodnie poruszać. Dałem tyle temu krajowi, a czuję tylko urazę. – W jego szepcie zaczęły dźwięczeć emocje, więc zerknęłam na przód autobusu, czy opiekunowie nas nie słyszą. Dojeżdżaliśmy już do grobowców. Więcej z nim nie rozmawiałam.

Zarówno szczątki Tanguna, jak i króla Dongmyeonga, wykopano i pochowano w grobowcach zbudowanych przez Kim Ir Sena w 1993 roku. Grobowiec Tanguna był wielkim stosem cementowych bloków, przypominającym trochę kształtem ściętą piramidę. Stali przy nim tylko przewodniczka i strażnik, nie było żadnych turystów. Przemowa przewodniczki koncentrowała się jak zwykle na Wielkim Wodzu. Otoczony nagimi wzgórzami, ten grób syna niedźwiedzia sprzed tysiący lat wydawał się nierealny, jak miraż.

Grobowiec króla Dongmyeonga wyglądał bardzo podobnie. Jeszcze jeden nienagannie utrzymany grób i nikogo w pobliżu. W środku pobliskiej budowli z kamienia, która służyła za niewielkie muzeum, wisiały raczej nowocześnie wyglądające, przypominające mangę obrazy, jakoby wydobyte w ramach wykopalisk, chociaż w niczym nie przypominały sztuki z epoki Koguryō.

Obok grobowca znajdowała się mała buddyjska świątynia, także przebudowana w 1993 roku. Przy bramie powitał nas samotny mnich, jakby czekał na nas całe popołudnie. W przeciwieństwie do mnichów w Korei Południowej, często noszących szare szaty, ten miał na sobie cienką, czerwoną, wyglądającą na tybetańską. W sali nabożeństw stał złoty posąg Buddy, a mnich wszedł do środka, żeby zapalić świece. Podobnie jak kościół, do którego zabrano nas w Pjongjangu, świątynia sprawiała wrażenie



teatralnych dekoracji, tyle że tutaj nie było wiernych. Większość misjonarzy nie chciała wejść do środka.

Tutaj też istniała granica. Może właśnie tu leżał nasz największy strach: lęk przed innością.

---

\* Chodzi o Morze Japońskie. Nazwa Morze Wschodniokoreańskie funkcjonuje tylko w Korei Północnej. W Korei Południowej nazywa się je Morzem Wschodnim (przyp. tłum.).

## 19

Wraz z nadejściem listopada nocą wiatr robił się przenikliwy, lodowaty. Na PUST ogrzewanie w akademikach włączano dopiero w pełni zimy, więc żeby nie marznąć, zakładałam kolejne warstwy bielizny termoaktywnej, opatulałam się bluzami z polaru i puchową kurtką. Wieczorami zagrzebywałam się pod podwójną warstwą koców i zmuszałam do wcześniejszego pójścia spać, bo było za zimno, żeby czuwać i działać. Wściekłe psy, które pogryzły czterech pracowników, uśmiercono trutką na szczury, po czym, jeśli wierzyć Ruth, północnokoreański personel je zjadł. Skoro już nikomu nie zagrażały, chciałam znów spacerować sama na zewnątrz, ale po zmroku robiło się tak zimno, że wszyscy chodziliśmy zadaszonym pasażem. W niektóre wieczory, kiedy kroki studentów niosły się echem po długich, ciemnych korytarzach, czułam się prawie jak w filmie o Harrym Potterze, w jakimś ponurym zakątku zamku Hogwart.

Kiedy jednak patrzyłam na sześciu studentów stojących co noc na warcie po drugiej stronie dziedzińca, czułam się jak rozpieszczona Amerykanka. Musieli trwać tam bez ruchu całymi godzinami, w temperaturach poniżej zera. Mający danego dnia służbę studenci przychodzili na kolację w mundurach khaki i parkach trochę wcześniej niż pozostali. Byli niewzruszenie ponurzy i rzadko patrzyli mi w oczy. Wyglądało to tak, jakby szykowali się do bitwy. Czasem próbowałam z nimi rozmawiać, ale często

mieli zbyt poważne miny i jedli w milczeniu. Nie mogłam się zdecydować, czy są po prostu przygnębieni perspektywą stania cały dzień na tym syberyjskim mrozie, czy uważają to za świętą misję i nie czują się na siłach ze mną rozmawiać, bo nagle widzą we mnie amerykańską imperialistkę. Kiedy już się do mnie odezwali, to tylko po to, żeby powiedzieć, że tak, na dworze jest zimno, troszeczkę, ale im to nie przeszkadza. Potem pośpiesznie wychodzili.

Oczywiście strażniczki też musiały cierpieć na tym zimnie, ale to byli moi studenci i nie chciałam, żeby marzli na kość na warcie przed pustym budynkiem. Czasami chciałam nimi potrząsnąć i zawołać: „Ten facet nie żyje! Umarł w 1994 roku, a wy nie musicie stać całą noc na dworze z jego powodu!”.

Chociaż prawdopodobnie o tym nie wiedzieli, łączyło nas wspólne konfucjańskie dziedzictwo, więc zastanawiałam się, czy to ich wersja kultu przodków. Jeśli tak, to ten rytuał był teraz poświęcony wyłącznie ich Wielkiemu Wodzowi, tak że nie dało się już w nim rozpoznać echa konfucjanizmu. Poza tym wychowano ich w przekonaniu, że w każdej chwili mogą zostać zaatakowani, więc muszą być gotowi bronić się przed inwazją. A ja byłam w pewnym sensie szpiegiem, chcącym nie podkładać bomby, ale zaszczepić pewne idee. Oni mieli swoją misję – strzeżenie sanktuarium swego jedyne go przodka – a ja swoją.

Chłód się pogłębiał, a awarie elektryczności zdarzały się prawie codziennie. Właśnie miałam nastawić wodę na poranną kawę, kiedy okazało się, że nie ma prądu. Albo myłam zęby przed pójściem spać, a w łazience nagle zapadały egipskie ciemności. Przywiozłam ze sobą trzy latarki: jedną miniaturową, którą przyczepiłam do breloczka z kluczami, żeby móc wieczorem trafić z powrotem do pokoju, i dwie większe, z których jedną trzymałam przy łóżku, a drugą w gabinecie.

Kiedy gasło światło, ciemność zapadała tak nagle i całkowicie, że prawie mogłam jej dotknąć. Siedziałam z grupą studentów w swoim gabinecie, tłumacząc im różnicę między imiesłowem przeszłym a imiesłowem przeszłym dokonanym, i nagle w sali robiło się ciemno. Natychmiast sięgałam po latarkę i nie przerywaliśmy nauki, używając latarki jak świecy, traktując to jak coś normalnego. Wieczorami często się zdarzało, że stałam na korytarzu z latarką, oświetlając studentom drogę do stołówki. Nieprzewidywalność przerw w dostawie prądu utrudniała planowanie zajęć. Wszyscy korzystaliśmy z jednej drukarki i jednej kserokopiarki. Kiedy wysiadał prąd, nie mogliśmy używać żadnego z tych urządzeń, więc nieraz musieliśmy zmieniać lekcję w ostatniej chwili. Czasami jednak traktowałam te awarie jak przygodę, bo byłam tu gościem i wiedziałam, że to tylko tymczasowa niedogodność.

Pewnego wieczora, kiedy wracaliśmy z kolacji, jeden ze studentów zawołał po koreańsku: „Włączyli z powrotem światło!” i wszyscy się ucieszyliśmy, że wrócimy do jasno oświetlonych pokoi. Zapytał mnie po chwili, jak to powiedzieć po angielsku, więc nauczyłam ich na poczekaniu różnych zdań: „Jest już światło”, „Znów wysiadło światło” oraz „Włączyli z powrotem światło”. Lubili poznawać praktyczne wyrażenia, których mogli używać na co dzień.

– Czy w Nowym Jorku też tak wysiada światło? – zapytał jeden z nich.

– Nie, nigdy aż tak – odparłam, kręcąc głową.

Kilku z nich zaśmiało się z zakłopotaniem i zaczęłam się zastanawiać, czy moja odpowiedź nie zabrzmiała bezdusznie. Próbowałam sobie przypomnieć, w którym roku doszło do ostatniej dużej awarii, i pomyślałam, że może powinnam im o tym opowiedzieć. Potem jednak uświadomiłam sobie, że może im się to wydać jeszcze dziwniejsze, iż całe moje miasto zrobiło taką aferę z powodu przerwy w dostawie prądu, które tutaj są na

porządku dziennym. Dlatego nic nie mówiłam, aż jeden z nich zapytał:

– Ale skoro w waszym kraju płacicie czynsz, to czy musicie także płacić za prąd?

Spodziewałam się tego. Kiedy nauczyciele wspominali o czymś, z czego wynikało, że życie w świecie zewnętrznym może być lepsze niż w Korei Północnej, studenci nieodmiennie wracali do troskliwości Wielkiego Przywódcy, pod którego rządami wszystko było darmowe. Odparłam więc tylko:

– Tak, to prawda, musimy płacić za prąd, ale wiem, że w waszym kraju jest on za darmo.

Darowałam sobie uwagę, że ten darmowy prąd nie dociera na równi do wszystkich części kraju. Chyba odetchnęli z ulgą, spojrzeli na mnie z czymś w rodzaju litości i oświadczyli z dumą:

– Tak, u nas jest za darmo.

Też poczułam wtedy ulgę, że znajdują pociechę w swojej wyższości, choćby iluzorycznej.

Wielu z nich często mnie pytało, czy w Nowym Jorku jest tak zimno jak tutaj, a ja odpowiadałam:

– Tak, mniej więcej tak samo. Ale tutaj bardziej marzną.

Dziwili się, że jest mi tutaj tak koszmarnie zimno, skoro pochodzę z miejsca, gdzie zimy też są ostre, ale nie mogłam im powiedzieć, że w Nowym Jorku człowiek tak nie marznie, bo zazwyczaj ma mnóstwo miejsc, w których może się ogrzać.

Kiedy był prąd, włączałam telewizor, żeby odpędzić samotność. Ruth przymocowała do mojego odbiornika metalowy wieszak, który służył za antenę, więc czasami dawało się złapać lokalne kanały: Centralną Telewizję Chosun, Koreańską Sieć Edukacyjno-Kulturalną oraz Telewizję Mansudae. Jednak ten drugi kanał, edukacyjny, podobno nadawał tylko po dwie godziny

dziennie, nigdy akurat wtedy, kiedy próbowałam go odbierać, zresztą tak samo jak Mansudae TV, kanał dostępny wyłącznie mieszkańcom Pjongjangu, jedynie w weekendy. Zatem zostawał mi tylko jeden działający program, nadający od około 17.00 do 23.00.

O siódmej wieczorem emitowano dwudziestopięciominutowy program informacyjny, poświęcony prawie wyłącznie Kim Dzong Ilowi. Nie było żadnych materiałów filmowych, tylko stare fotografie, przedstawiające go podczas wizyt w fabrykach, a spiker odczytywał słowo w słowo to, co podobno przy tych okazjach powiedział. Następnie nadawano półgodzinny program muzyczny, w którym na ekranie wyświetlano słowa piosenek, tak jak w karaoke. Prezentowano utwory o takich tytułach jak *Brońcie kwatery głównej rewolucji* i tekstach, w których porównywano mieszkańców Korei Północnej do „bomb i pocisków”. Dalej w ramówce było miejsce na sztukę teatralną lub film, a po nim jeszcze jeden program informacyjny o najnowszych posunięciach Kim Dzong Ila. To właśnie te wiadomości co wieczór oglądali moi studenci. Nie wyświetlano oczywiście żadnych reklam, ale informacje przerywano czasem cytatami z Kim Dzong Ila, zajmującymi cały ekran. Po wiadomościach znów przychodziła pora na program muzyczny. Występował w nim na przykład zespół akordeonistów z piosenką o Kim Dzong Ilu. Następnie emitowano kuriozalny *Raport Komitetu Zjednoczenia i Pokoju*. Co wieczór spiker wygłaszał monolog, w którym gromił Koreę Południową i Stany Zjednoczone, używając dziwnie kolokwialnych zwrotów w rodzaju „świrować” czy „nie chrzań”.

Te ich wiadomości w pewnym sensie przypominały raczej słuchowisko radiowe albo audiobooka. Akcji było tu niewiele, a prezenter mówił melodramatycznym tonem, jak nadmiernie szarżujący aktor na scenie, opisując czynności Wielkiego Przywódcy w najdrobniejszych szczegółach, tak że Kim Dzong Il stawał przed oczami słuchaczy jak żywy. Ta osobliwa

obsesja na punkcie każdego jego ruchu, od tego, jak się zaśmiał, po dokładny kąt jego spojrzenia, wynikała z tego, że istniał tylko ten jeden temat. Niewiele w końcu dało się powiedzieć o człowieku, który prawdopodobnie leżał chory w łóżku, więc wypełniali czas antenowy, drobiazgowo analizując każdy aspekt jego życia.

Jedyną wiadomością ze świata niezwiązaną z Wielkim Przywódcą, jaką sobie przypominam, była wzmianka o powodzi w Tajlandii, ze zdjęciami spustoszonych terenów i ludzi porwanych przez wodę. Przez resztę czasu komentatorzy wyczerpywali wszystkie gloryfikujące przymiotniki, by opisać Kim Dzong Ila, który był „wielki”, „wspaniały” i „największy”. Przekaz był tu oczywiście taki sam jak w ich gazecie „Rodong Sinmun”, a także na zajęciach dzucze, na które chodzili studenci. Widziałam kiedyś zeszyt jednego z nich, otwarty na stronie z nagłówkiem: „Wielkie osiągnięcie Naszego Wielkiego Generała”.

W pewnym okresie ulubionym tematem rozmów studentów był chiński serial telewizyjny na podstawie radzieckiej powieści Nikołaja Ostrowskiego z 1936 roku, zatytułowanej *Jak hartowała się stal*. Nadawano go w niektóre wieczory od 20.30 do 21.30. Na każdym piętrze studenckiego akademika był jeden telewizor i co najmniej sześćdziesięciu spośród setki studentów pierwszego roku zbierało się wtedy przed jednym z nich. Twierdzili, że to trochę jak impreza. Stal była metaforą charakteru głównego bohatera, a serial prezentował wysokie standardy moralne, jak mi powiedzieli. Ponieważ Rosja i Chiny były ich sojusznikami, mówili, lepiej rozumieli kulturę tych krajów, i na odwrót. Na przykład słyszeli, że kiedy w Chinach pokazywano północnokoreański film *Kwaciarka*, ulice pustoszały, bo wszyscy Chińczycy siedzieli w domu i oglądali. Nie miałam serca powiedzieć im, że w Chinach obecnie popularne są nie stare filmy z KRLD, tylko efekciarskie południowokoreańskie telenowele z aktorami o olśniewającej, poprawianej

skalpelem urodzie. *Kwaciarka*, wyprodukowana w 1972 roku, opowiadała o prześladowaniach ubogich wieśniaków podczas japońskiej okupacji. Powstała na podstawie opery, napisanej jakoby przez ich Wiecznego Prezydenta Kim Ir Sena. Główną rolę zagrała siedemnastoletnia wówczas Hong Yung-hui, znana później jako jedna z kochanek Kim Dzong Ila. Usiłowałam kiedyś obejrzeć ten film, ale był zbyt powolny i staroświecki.

Obiecałam, że spróbuję pooglądać ich ulubiony serial, żebyśmy mogli porozmawiać o nim podczas posiłków. Zrobiłam już jednak wcześniej podejście do poprzedniego, *Epoki stali*, i strasznie się wynudziłam, więc zapytałam, czy to jest lepsze. Większość studentów odparła, że tak, ale jeden powiedział:

– No cóż, nic innego nie mamy.

Był to pierwszy taki wypadek, żeby któryś z nich przyznał się do jakiegoś braku.

Od mojego powrotu na uczelnię minął prawie miesiąc i świadomość bycia cały czas obserwowaną była wycieńczająca. Czułam się, jakby zakopywano mnie żywcem, jakby zasypywano mi twarz piachem. Od tej jednostajności kolejnych dni zaczęło mnie mdlić, prawie jakbym dostała choroby morskiej. Żeby z tym walczyć, postanowiłam grać w koszykówkę w te popołudnia, kiedy mimo zimna wychodziło słońce. Przywiozłam z Nowego Jorku piłkę do koszykówki oraz futbolówkę, żeby dać je moim studentom, bo latem zauważyłam, że te, którymi grają, są obszarpane i schodzi z nich powietrze. Mieliśmy przekazywać takie prezenty odpowiednikom, którzy wręczą je studentom we właściwym czasie. Bałam się jednak, że odpowiednicy mogą zatrzymać piłki dla siebie. W Nowym Jorku wydrukowałam po pięćdziesiąt odbitek najlepszych zdjęć moich studentów, zrobionych im w lecie, i po powrocie złożyłam je



u odpowiedników, aby ci przekazali je chłopcom. Chociaż kilku studentów mi za nie podziękowało, większość unikała tematu, więc nie byłam przekonana, czy pozwolono im je zatrzymać. Dlatego przez kilka tygodni szukałam okazji, żeby dać piłki bezpośrednio im. Pewnego popołudnia, kiedy zobaczyłam na boisku obie moje grupy, pobiegłam do swojego pokoju, wzięłam te nowe piłki i wróciłam na dwór. Niby od niechcienia wręczyłam piłki przewodniczącym obu grup, mówiąc:

– Hej, może chcecie? Przywiozłam je dla siebie, ale nie mam za bardzo czasu grać. – I już. Studenci korzystali z tych piłek przez resztę semestru.

Czasami grałam z nimi, ale zazwyczaj brałam piłkę z kantorka nauczycieli i kozłowałam sama podczas ich sjeisty albo w weekendy. Boisko znajdowało się tuż pod oknami ich akademika i często widziałam uśmiechnięte twarze przyciśnięte do szyb, kiedy tak grałam. Uwielbiali liczyć te rzadkie wypadki, kiedy udało mi się wrzucić piłkę do kosza. Wkrótce moje koszykarskie wyczyny stały się ulubionym tematem naszych rozmów przy posiłkach.

– Pani profesor, coraz lepiej pani idzie – mówił jeden student. – Wcześniej trafiała pani raz na pięćdziesiąt rzutów, teraz raz na dziesięć. Wczoraj widziałem, że trafiała pani trzydzieści dwa razy na sto sześćdziesiąt cztery!

Drugi dodawał żartobliwie:

– Poprawia się pani, pani profesor. Ale mogłaby pani być jeszcze lepsza. Pani mnie nauczy angielskiego, to ja panią koszykówki!

Czasami było jednak po prostu za zimno, żeby grać, albo boisko było zbyt mokre, bo system odprowadzania wody na kampusie był prawie tak kiepski jak w śródmieściu Pjongjangu i wszędzie stały kałuże. Te puste, ponure dni wlekły się w nieskończoność. Ciemno robiło się teraz już o wpół do piątej, a betonowy kampus stawał się jeszcze posępniejszy niż zwykle.

Wczesnozimowe światło było nieubłagane szare. Najbardziej bałam się weekendów. Choć spotykałam się ze studentami podczas posiłków, nie miałam żadnych zajęć i jedynym urozmaiceniem była wycieczka do sklepów w sobotę oraz nabożeństwo w niedzielę.

– Nawet na bazarze wszyscy nas obserwują – ostrzegała mnie Mary. – Nie wiesz, kto na ciebie doniesie, więc nie rób niczego, co mogłoby wpakować nas w kłopoty.

Mimo tych ostrzeżeń Mary sama kupowała małe ciasteczka ryżowe i rozdawała je bezdomnym dzieciakom, które włóczyły się po targu i kradły. Szła szybkim krokiem i wsuwała im jedzenie w dłonie, nie zwalniając, tak żeby nikt nie zauważył. Bałam się, że ktoś na nią doniesie.

Wieczorami w weekendy czułam się jeszcze bardziej bezradna. Brakowało mi telefonów, wyjść do kina, do restauracji, tych drobnych rzeczy, które w zewnętrznym świecie traktowałam jako coś oczywistego. Snułam się po kampusie i czasem zaglądałam do pokoju Ruth. Na stole zwykle leżała gruba Biblia, a obok otwarty notes, do którego przepisywała różne fragmenty i podkreślone zdania. W ten sposób spędzała czas większość misjonarzy: czytając Biblię i zbierając się wieczorami, żeby podzielić się swoimi przemyśleniami o Piśmie. Nie wszyscy wykładowcy chodzili na te spotkania, bo wśród misjonarzy były różne frakcje, więc tolerowano moją nieobecność. Patrząc na Ruth, pomyślałam, że chyba znajduje w tym pociechę.

Pewnego wieczora, kiedy wracaliśmy z kolacji, jeden ze studentów zapytał:

– Czy w Nowym Jorku mieszka pani sama?

Nie byłam pewna, czy ktokolwiek w KRLD mieszka sam, ale odparłam, że tak.

– To co się dzieje z pani mieszkaniem, kiedy jest pani tutaj? – zaciekawił

się inny.

Wyjaśniłam, że mieszka w nim moja przyjaciółka.

– A co z czynszem? – dopytywał się. – Jak go pani płaci, kiedy jest pani tutaj?

Odparłam, że załatwiłam dokonywanie płatności przez internet, a oni jak zwykle pokiwali głowami. Przypuszczalnie myśleli, że nasz internet jest tym samym, co ich intranet, ale może niektórzy zaczęli sobie zdawać sprawę, że między tymi dwiema sieciami istnieje poważna różnica.

Inny student zapytał, z której części Nowego Jorku pochodzę i czy spotkałam tam dużo gangów. Był trzecią osobą w tym tygodniu, która poruszyła ten temat. Chciałam wiedzieć, gdzie słyszał o takich gangach, a on odparł, że w podręczniku do konwersacji znalazła się wzmianka o filmie *Gangi Nowego Jorku*. Lubili też powtarzać określenie „Wielkie Jabłko”. Ktoś inny zapytał:

– A jaki jest Brooklyn? – Dla niego było to tylko dziwne słowo, które wziął ze swojego podręcznika, ale na Brooklynie mieszkał mój kochanek i nagle ogarnęła mnie przemożna tęsknota za nim. Przystanęłam. Znajdowałam się w połowie drogi między stołówką a akademikiem. W oddali było widać komin i wznoszący się z niego dym. Dostrzegłam zarys miejskiego pejzażu Pjongjangu. Byłam bardzo daleko od Brooklynu.

## 20

– Masz kogoś zaufanego? – zapytała mnie pani Davis, żona lekarza z uczelnianej kliniki. Oboje byli amerykańskimi misjonarzami koreańskiego pochodzenia tuż po pięćdziesiątce. Zajrzałam tu, żeby odwiedzić Ri Sang-woo, który od kilku dni chorował na grypę. – Posłuchaj, potrzebujesz zaufanego partnera – powiedziała pani Davis. Małżeństwom łatwo było pilnować się wzajemnie, wyjaśniła, ale dla osoby samotnej jeden fałszywy krok mógł się okazać groźny. – Uważaj na wszystko, co mówisz i robisz, bo oni obserwują twój każdy krok, jak jastrzębie – ciągnęła. – Boją się, że może być wśród nas szpieg. – Wiedziałam, że ja jestem w pewnym sensie szpiegiem, ale czy mogło chodzić jeszcze o kogoś innego?

Opowiedziała mi, że przez ostatni rok, bez względu na to, gdzie ona i jej mąż byli wieczorem, opiekunowie zawsze potrafili ich natychmiast namierzyć, jeśli nagle potrzebny był lekarz. Siedzieli na przykład w pokoju nauczycielskim, a tu dzwonił wewnętrzny telefon, działający na kampusie, i w słuchawce odzywał się opiekun. W Chinach w latach dziewięćdziesiątych, kiedy pracowali dla YUST, włamano się nawet do skrzynek mailowych ich znajomych, a Korea Północna często stosowała te same sztuczki co Chińczycy, więc zanim przyjechali z mężem tutaj, poprosili wszystkich przyjaciół, żeby założyli sobie nowe skrzynki mailowe przeznaczone tylko do korespondencji z nimi.

Pani Johnson opowiedziała mi coś podobnego. Kiedy była tu wiosną, poprosiła jednego z opiekunów, żeby załatwił jej karton błyskawicznych zupek z makaronem Shin Ramyun z bazaru Tongil. Ponieważ był to produkt południowokoreański, oficjalnie zakazany, transakcja odbywała się po cichu. (Nauczyciele, którzy pomagali w sklepie na kampusie, musieli podcinać metki z ubrań podarowanych przez południowokoreańskie kościoły, zanim można było dać je studentom). Ale opiekunowie czasami proponowali, że mogą załatwić rzeczy, które trudno dostać, przy czym było wiadomo, że obowiązuje tu dodatkowa marża, opłata dla opiekuna. Właściwie na czarnym rynku można było kupić zupki Shin Ramyun, w chińskim opakowaniu, mniej więcej równie łatwo jak marihuanę w centrum Nowego Jorku. Zupki innej południowokoreańskiej firmy, Samyang, także nietrudno było znaleźć, bo często wkładano je do paczek z pomocą humanitarną, skąd trafiały na rynek. Jeden z moich studentów oświadczył z dumą, że jego ulubionym daniem jest rosół z makaronem, ale nie byle jaki, tylko Shin Ramyun. Najwyraźniej ta marka cieszyła się tu prestiżem jako najpopularniejsza w Korei Południowej.

W każdym razie, kiedy opiekun przyniósł pani Johnson karton zupek, wydał jej za mało reszty, czy to przez pomyłkę, czy celowo. Pani Johnson omówiła to z panią Davis przez telefon i nie minęło dziesięć minut, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Na progu stał opiekun, zdenerwowany, że oskarża się go o nieuczciwość. Słyszał całą telefoniczną rozmowę dwóch pań.

Pani Davis i pani Johnson były życzliwymi kobietami, które często dawały mi dobre rady, po części dlatego, że bały się, że mogą mieć dość PUST i już tu nie wrócić. Brakowało nauczycieli. Niektórzy nie potrafili znieść ciągłej inwigilacji. Wykładowca z Hongkongu, emerytowany biznesmen, który uczył ekonomii studentów podyplomowych, poinformował, że wiosną już nie wraca. Poznał prezesa Kima przypadkowo w swoim kościele i został

zwerbowany, ale przed przyjazdem nie powiedziano mu za wiele i nie miał pojęcia, że nie będzie mógł się tu swobodnie poruszać. Zapytał, na kiedy mam bilet powrotny, i kiedy usłyszał, że na 20 grudnia, zawołał:

– Ale ma pani szczęście! Ja dopiero na dwudziestego pierwszego.

Mówił, że liczy dni dzielące go od powrotu. Niejedno w życiu widział, był w wioskach w Chinach, w których dziesięć osób spało w jednej izbie, a trzech braci miało tylko dwie pary spodni i nosiło je na zmianę, a jednak nigdzie nie było tak źle jak tutaj. Zapytałam dlaczego.

– Nie ma wolności – westchnął. – Bez przerwy nas obserwują. Wiem, że nagrywają wszystko, co mówimy, i mają na nas teczki, i przez cały czas potwornie się czuję. Po prostu źle, nieswojo. Nie chodzi o to okropne jedzenie ani o materialny brak wszystkiego. Tylko o elementarne człowieczeństwo. Brakuje go tutaj.

Wszyscy ulegaliśmy paranoi, i nie bez powodu. Ludzie są jednak odporni, a także mają krótką pamięć. Zastanawiałam się, czy czasami nie zmuszałam się siłą woli do tego, by zapomnieć, żeby móc dalej działać, dalej trwać, i czy moi studenci robili to samo. Kilka razy zdarzyło mi się, że zostawiłam jeden z moich pendrive'ów na biurku w swoim pokoju, przypominałam sobie o tym dopiero po pewnym czasie i spanikowałam. Robiłam się nieostrożna. Byłam tu od ponad miesiąca, a po takim czasie nawet w więzieniu zaczynamy czasem czuć się jak w domu.

W klinice zobaczyłam Kim Yong-suka siedzącego przy Ri Sang-woo, który był podłączony do kroplówki. Obok leżała otwarta książka do angielskiego. Obowiązujący na uczelni system dwójkowy – dobieranie studentów w pary – wydawał się bardzo rygorystyczny. Tacy partnerzy spędzali cały czas razem. Razem siedzieli na zajęciach, razem jedli, a czasami trzymali się za ręce, idąc albo siedząc w klasie. Kiedy jeden ze

studentów skręcił nogę w kostce, trochę utykał, ale nie potrzebował kul, jego partner zawsze był przy nim, żeby go podtrzymać. Teraz też Yong-suk przynosił Sang-woo każdy posiłek ze stołówki do kliniki i kiedy tylko nie był na zajęciach, siedział przy nim, tłumacząc mu lekcje, które go ominęły. Nawet spał na dmuchanym materacu na podłodze.

Ten system dwójkowy jednocześnie robił na mnie wrażenie i mnie niepokoił. Zauważyłam, że po przetasowaniu grup po letnim semestrze większość par też się zmieniła i już nigdy nie widywało się danyh studentów z ich poprzednimi partnerami. Yong-suk był w lecie partnerem Hwang Jaemuna, ale teraz, mimo że nadal uczyli się w tej samej grupie, Yong-suk był oddany tylko Sang-woo. Nie było może nic niezwykłego w tym, że na początku nowego semestru przyjaźnie się zmieniają, ale w tym przypadku o doborze takiego najbliższego kumpla-partnera decydowała szkoła poprzez wyznaczanie miejsc w ławkach oraz w pokojach. Wzajemna lojalność partnerów wydawała się nieograniczona, dlatego ich zdolność zmieniania sojuszy z dnia na dzień sprawiała dziwnie bezduszne wrażenie. Także łatwość, z jaką przychodziło im wykonanie rozkazu, żeby natychmiast zostać czymś najlepszym przyjacielem, wydawała mi się nienaturalna.

Jednak nie wszyscy partnerzy aż tak się uwielbiali. Niektórzy traktowali to jak zwykły obowiązek i ograniczali swoje starania do minimum. Pomagali sobie, kiedy jeden zachorował albo potrzebował pomocy w wykonaniu jakiegoś niewdzięcznego zadania, a także siedzieli razem na zajęciach i na stołówce. Ale poza tym nie byli cały czas „uwieszeni” na sobie. Nie wszyscy trzymali się za ręce, nie wszyscy się razem śmiali. A kilku moich studentów przeniesionych do nowej grupy starało się siadać ze swoimi dawnymi kolegami, mimo że teoretycznie było to wbrew regułom. Nawet tutaj istniało coś takiego jak chemia.

Może to ich wspólne życie pozwalało oszukać samotność, ale miało swój

minus. Nie mieli żadnej prywatności, a bezustanne przebywanie razem ułatwiało rozprzestrzenianie się chorób. Ponieważ kampus był wiecznie niedograny, wielu z nich przeziębiano się albo łapało grypę, a partnerzy często się od nich zarazali. Byli jednak młodzi i na ogół szybko wracali do zdrowia.

Ri Sang-woo usiadł w łóżku i uśmiechnął się rozpromieniony, kiedy mnie zobaczył. We fluorescencyjnym świetle sala wydawała się duża i pusta. Na podłodze leżało kilka dmuchanych materaców, a pod ścianą stał samotny stół. Było to ponure miejsce, więc cieszyłam się, że partner Sang-woo jest tu z nim. Obok łóżka dostrzegłam duży pojemnik mleka w proszku południowokoreańskiej firmy Imperial, które musiało być albo zakazane, albo drogie. Zauważyłam też karton butelek wody sodowej o smaku jabłkowym, sprzedawanych w sklepie na kampusie.

– Skąd masz tego tyle? – zapytałam, a Sang-woo się zaczerwienił.

– Koledzy z grupy mi przynieśli. Bardzo miło z ich strony.

Sądząc z liczby butelek, prawie każdy student z grupy musiał mu kupić jedną. Było to dość niezwykle. Studenci otrzymywali od PUST pewien skromny kredyt, za który kupowali szkolne przybory i przekąski w sklepie na kampusie. Ten system kredytowy przypominał kartkowy system przydziału żywności. Kiedy kredyt im się skończył, rodzice przysyłali im trochę pieniędzy. Podarowanie butelki wody sodowej Sang-woo przez każdego studenta wydawało się ekstrawagancją. Nie zrobili czegoś takiego kilka tygodni wcześniej, kiedy zachorował inny student. Możliwe, że po prostu Sang-woo był bardziej lubiany. Mówił po angielsku chyba najlepiej w grupie. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu, a więc był wysoki, czego mu tu bardzo zazdrozczono, świetnie się uczył i znakomicie grał w koszykówkę. Co może najistotniejsze, pochodził z bardzo wpływowej rodziny. Wywnioskowałam to z pewnych szczegółów w jego listach, z naszych rozmów, a także z faktu, że



jego ojciec był kiedyś za granicą.

Należał do śmietanki, do najwyższej elity studentów, ale kiedy zobaczyłam, jak leży w nylonowym dresie, najprawdopodobniej importowanym z Chin, pomyślałam, że chciałabym go stąd zabrać i zawieźć na zakupy do ogromnej amerykańskiej galerii handlowej. Zakładanie, że dobra materialne mogą coś naprawić, było absurdalne, ale w tej chwili nie mogłam patrzeć na niego w tym żalnym dresie, jak ściska kurczowo puszkę mleka w proszku. Miałam proste życzenia. Chciałam, żeby moi studenci mieli ładne, ciepłe ubrania i świeże mleko i żeby można było włączyć światło, kiedy robi się ciemno, albo przynajmniej żeby wystarczyło dla wszystkich latarek i baterii. Chciałam lepszego jedzenia dla tych chłopców, którzy jeszcze rośli, i ogrzewania, żeby nie marzli. Czasami zaspokojenie ich podstawowych potrzeb – światła, ogrzewania, pożywnego jedzenia – wydawało się równie ważne, jak danie im wolności.

\*

Pewnego popołudnia, kiedy wracałam z boiska, gdzie rzucałam piłką do kosza, Ruth uchyliła drzwi i gestem zaprosiła mnie do swojego pokoju. Powinnam była tylko powiedzieć „cześć” i iść dalej, ale chyba brakowało mi towarzystwa. Ciągle zapominałam, że nie jestem jedną z nich.

– Chodzi o niedzielę! – oznajmiła tak pogodnie, że przez chwilę myślałam, że szykuje się jakaś wycieczka, ale okazało się, że ma na myśli tę już minioną. – Widziałam, jak przyjmujesz komunię, a sądzę, że nie powinnaś.

Zapytała, czy przyjmuję komunię w swoim kościele w Stanach. Zaczęłam się denerwować. Odparłam, że nie, przygotowując się na najgorsze. Ruth zastanowiła się przez chwilę, po czym powiedziała:

– Jeśli nie wierzysz w przyjmowanie ciała Chrystusa, nie powinnaś brać

do ust hostii. Mówię to tylko z troski o ciebie, bo stanie ci się krzywda, jeśli będziesz przyjmować komunię, a nie jesteś wierząca. Wiem, że to brzmi jak przesąd, ale nim nie jest.

Potem zaczęła mi mówić, że wie, iż lubię moich studentów i o nich dbam, ale może przyjechałam tu z innych powodów niż ona, a ona chce tylko przywieść ten kraj do Boga. Pan ma swoje sposoby, ma plan dla tych ludzi, oświadczyła, a jej zadanie polega na tym, by ich obudzić, aby byli gotowi na jego łaskę.

– Bo, Suki, to życie jest tylko tymczasowe. Bóg przyjmie ich w niebie.

Wiedziałam, że powinnam trzymać język za zębami i wyjść, zanim powie coś więcej, ale w tym momencie zalała mnie potężna fala złości. W moim odczuciu Ruth bagatelizowała cierpienia mieszkańców Korei Północnej.

– Czyli mówisz, że to nie szkodzi, że Koreańczycy z Północy gniją w obozach pracy, bo w twojej ocenie to życie nie jest prawdziwe? – Ruth wydawała się zaskoczona, ale ja już się rozpędziłam. – Wydaje mi się, że to twoje „tymczasowe” życie nauczycielki w przyjemnym akademiku przez jeden semestr, zanim wrócisz do Nowej Zelandii, trochę się różni od „tymczasowego” życia tych ludzi, którzy są *de facto* niewolnikami reżimu. Jeśli życie wieczne, które ich czeka w niebie, jest takie wspaniałe, to czy te miliony cierpiących tu ludzi powinny po prostu popełnić masowe samobójstwo? Może pojedziesz obejrzeć sobie obóz pracy, a potem będziesz miała czelność mi powiedzieć, że to jedynie tymczasowe?

Kiedy tylko powiedziałam te słowa, natychmiast ich pożałowałam. Wiedziałam, że niepotrzebnie zareagowałam tak ostro, ale przepaść między nami nagle wydała mi się prawdziwą otchłanią.

Ruth popatrzyła na mnie z litością i pokręciła głową. Zaczęła coś mówić, ale oświadczyłam, że jestem zmęczona, i wyszłam. Czułam tak głęboką wściekłość, że musiałam zostać sama, żeby się uspokoić. Ta rozmowa tak

mnie przybiła, że nie mogłam w nocy zasnąć.

W następną niedzielę nie poszłam na nabożeństwo i spędziłam ten czas, płacząc w swoim pokoju. Potem próbowałam napisać maila do mojego kochanka, ale nie było niczego, o czym mogłam swobodnie opowiedzieć, co by go zainteresowało. Oddalaliśmy się od siebie. Pisał, że za mną tęskni, ale też że jest zajęty. Wernisaże, projekcje filmów, przyjęcia. Znów pomyślałam, żeby napisać mu o wściekłych psach, o tym, że obsługa je zabiła i zjadła, ale bałam się, że jego to tylko wytrąci z równowagi, a tym, którzy monitorują moją skrzynkę mailową, się nie spodoba. Nie martwiłam się szczególnie o tę część o jedzeniu psów, bo to było tutaj normalne, ale obawiałam się, że zabrzmi to tak, jakbym skarżyła się na swoje warunki pracy.

Chciałam mu napisać, że Ruth wygarnęła mi brak wiary, że zostałam zdemaskowana, że może to raczej misjonarze, a nie Koreańczycy z Północy, mnie stąd wyrzucają. Chciałam mu opowiedzieć o swoim potwornym strachu i samotności, ale nie miałam pojęcia, jak mogę mu to wyjaśnić. Myślałam o porównaniu siebie do Małej Syrenki z baśni Hansa Christiana Andersena. Ona oddała swój głos za parę nóg, ja – za to, żeby tu się znaleźć. Wątpiłam jednak, żeby zdołał rozszyfrować, co mam na myśli. W końcu uświadomiłam sobie, że moja tęsknota za nim po prostu nie ma znaczenia. Dopóki tu byłam, on przestawał być istotny, bo nie miał żadnego związku z tym światem. Miłość nie mogła mnie ocalić.

## 21

W drugim tygodniu listopada ciężarówka przywiozła w porze obiadu niezliczone worki czosnku i kapusty. Wezwano kilka grup studentów na dwór, żeby ją rozładowali. Wnieśli czosnek do stołówki i przed dwa kolejne dni studenci oraz kadra obierali go przez ponad godzinę. Tak się dowiedziałam, że nadszedł tydzień kimjangu.

Zarówno w Korei Północnej, jak i Południowej, późną jesienią większość rodzin robi tyle kimchi, żeby wystarczyło im na całą zimę. Tradycję tę zapoczątkowano ponad tysiąc lat temu, kiedy warzywa nie były łatwo dostępne przez cały rok. Pamiętam z dzieciństwa, że kimjang, czyli przygotowywanie kimchi, zawsze było świętem. Kobiety w naszej dzielnicy nagle zaczynały się krzątać i kupować składniki – kapustę, rzodkiew, papryczki chili, szalotki, czosnek, imbir, marynowane małe krewetki i anchois. Potem zbierały się razem, żeby umyć kapustę i rzodkiew, zasolić je i zrobić mnóstwo beczek kimchi. Był to czas śmiechu, plotek i dobrego nastroju. Kręciłam się koło mojej matki, czekając na kąsek świeżo zrobionego kimchi, ociekającego zalewą z chili. Ten ostry smak chrupiącej kapusty i nieprzegryzionych jeszcze przypraw wrył mi się w pamięć jako pierwsza oznaka zimy. Gotowe kimchi przechowywano w ceramicznych naczyniach na dworze, żeby powoli fermentowało. Coraz ostrzejsze w smaku kimchi dodawało nam sił w śnieżne wieczory długiej, surowej koreańskiej

zimy.

Od dawna już nie myślałam o kimjangu. Kiedy przeprowadziliśmy się do Ameryki, matka zaczęła pracować siedem dni w tygodniu i coraz rzadziej robiła kimchi, więc zadowalaliśmy się tym kupowanym w sklepie. Poza tym, kiedy większość warzyw była dostępna przez cały rok, nie było powodu, żeby robić aż tyle kimchi naraz, nie mówiąc już o tym, że nie mieliśmy ani ogrodu, ani balkonu, na który moglibyśmy wystawić naczynia z fermentującą kapustą. Jednak oto teraz znalazłam się w Pjongjangu i obierałam czosnek na kimjang z setkami młodych Koreańczyków z Północy, którzy zakasali rękawy i bez wahania zabrali się do roboty, wesoło dzieląc się wspomnieniami o kimjangu w swoich domach.

Jeden stwierdził, że zawsze pomaga matce, wnosząc po schodach wiadra z wodą:

– Potrzeba dużo wody, żeby umyć sto pięćdziesiąt kilo kapusty.

Wynikało z tego, że nie mieli w domu bieżącej wody, mimo że jego rodzina należała do elity. Inny student wtrącił, że jego rodzina jest mała, tylko on i jego rodzice, więc wystarcza im osiemdziesiąt kilo.

Zapytali, ile kilogramów mój rząd dostarcza mi do domu na kimjang. Nie potrafiłam im powiedzieć, że dla młodego pokolenia kimjang jest zanikającą tradycją i że miasto Nowy Jork nie daje każdemu gospodarstwu domowemu przydziału kapusty, więc oznajmiłam tylko, że moja matka nie robi już kimjangu. Zdziwili się i zapytali, skąd w takim razie moja rodzina bierze kimchi podczas zimy. Wyjaśniłam, że Ameryka to duży kraj, w różnych regionach pogoda jest różna i zimą dostępne są rozmaite produkty spożywcze, bo handlujemy z wieloma innymi krajami. Podałam za przykład handel ich kraju z Chinami, co pomogło im zrozumieć mój wywód.

Przyznałam, że mnie też coś tu dziwi: ich sposób organizowania kimjangu. Co z papryczkami, rzodkwią i szalotkami, skoro każda rodzina ma

zapewne własny, jedyny w swoim rodzaju przepis, z nieco innymi składnikami? Jeden ze studentów wyjaśnił, że przydziały bywają różne. W tym roku, na przykład, zbiory były słabe i nie wystarczyło kapusty dla wszystkich rodzin, więc niektórzy dokupowali wszelkie potrzebne dodatki. Po raz drugi któryś ze studentów przyznał, że czegoś u nich brakuje.

Zdziwiła mnie także informacja o korelacji między kimjangiem a wypadkami samochodowymi. Jak twierdzili studenci, w listopadzie na drogi wyjeżdżało tyle ciężarówek transportujących kapustę, że rząd uważał ten miesiąc za wyjątkowo niebezpieczny, ze znacznie większym ryzykiem wypadków. (Za niebezpieczny miesiąc uznawano także maj, ze względu na zwiększone ryzyko utonięć). Mnie kolizje z przewożącymi kapustę ciężarówkami wydały się mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę, jak niewiele jeździło tu samochodów, nawet po ulicach Pjongjangu.

Drugiego dnia obierania czosnku, zaraz po obudzeniu, usłyszałam w wiadomościach o zamieszkach na Uniwersytecie Stanu Pensylwania. W CNN Asia pokazywano na żywo amerykańskich studentów przewracających wóz transmisyjny, żeby zademonstrować swój gniew z powodu zwolnienia trenera, który nie zbadał sprawy innego trenera oskarżonego o gwałcenie młodych chłopców. Skandal był główną wiadomością w bloku informacji międzynarodowych, a prezenter wielokrotnie podkreślał znaczenie uniwersyteckiego futbolu i generowanych przez niego pieniędzy w amerykańskim społeczeństwie. „Prawie miliard dolarów zysku!” – stwierdził, w domyśle obwiniając kulturę, którą bardziej obchodzą pieniądze niż powstrzymanie seksualnego wykorzystywania dzieci. Ta medialna połajanka wydawała się prawdziwym powodem, dla którego poświęcono tyle miejsca temu sensacyjnemu materiałowi, mimo że z innych części świata docierały znacznie pilniejsze wieści. We Włoszech Berlusconi ustępował z urzędu po siedemnastu latach u władzy, grecki premier właśnie

podał się do dymisji, a Libia pogrążyła się w chaosie po śmierci Kaddafiego. Jednak ekran wypełniały ujęcia pijanych amerykańskich studentów z butelkami piwa w dłoniach, wymachujących pięściami na znak solidarności ze swoją drużyną futbolową.

Kiedy weszłam później do stołówki, widok północnokoreańskich studentów, mniej więcej w tym samym wieku, radośnie obierających czosnek i mówiących, jak to czują się winni, że nie będą mogli w tym roku pomóc swoim matkom, wydał mi się surrealistyczny. Kilku wstało i zmiotło łupiny czosnku z podłogi. Inni je przebierali, żeby sprawdzić, czy nie wyrzucono przypadkowo jakichś ząbków. Nawet kiedy pracownicy kuchni powiedzieli im, żeby przestali obierać i poszli przygotować się na zajęcia, wielu pracowało dalej, odpowiadając grzecznie, ale z naciskiem, że będzie łatwiej i szybciej, jeśli wszyscy pomogą.

Moje zajęcia z odpowiednikami były w tym tygodniu odwołane, ale na obiedzie zobaczyłam kilku z nich w dresach zamiast w marynarkach i krawatach, które zazwyczaj nosili. Zapytałam, gdzie byli, i jeden odparł, że pracowali w nauczycielskiej spółdzielni rolniczej, żeby dostać dość kapusty na kimjang dla swojej rodziny. Wydawał się zakłopotany, więc zapytałam jak gdyby nigdy nic:

– Fajnie było pracować z kolegami?

Pokręcił głową i odparł:

– Tak sobie. – Co tak naprawdę oznaczało: „Bynajmniej”. Byli dumnymi ludźmi i najwyraźniej wstydzili się przyznać do wykonywania prac fizycznych. Znaleźli się wśród nich byli dziekani Politechniki Kim Czheka oraz Uniwersytetu Kim Ir Sena, a także nowa osoba, dawny profesor angielskiego na tej ostatniej uczelni, którego angielszczyzna była tak bliska perfekcji, że zastanawiałam się, dlaczego sam nie uczy studentów i co robi na

moich zajęciach. Inny z odpowiedników powiedział:

– Nie było fajnie. Za dużo pracy. Dźwigałem różne rzeczy. Kobietom łatwiej to robić, ale mężczyznom to nie służy.

Żyli w kulturze męskiego szowinizmu. Jeden ze studentów opowiadał, że na poprzedniej uczelni też mieszkał w akademiku, ale od PUST różniło go to, że były tam także dziewczyny. Przyznał, że do jego grupy chodziły tylko dwie, bo był na kierunku ścisłym, a przecież dziewczyny nie są dobre z takich przedmiotów. Jednak, jak stwierdził, dawał im swoje koszule, a one bardzo się cieszyły. Myślałam, że miał to być albo jakiś kawał, albo flirt, ale student wyjaśnił:

– Żeby mogły mi je uprać! Na PUST jest trudno, bo tutaj muszę pracować nie tylko koszulę, ale też marynarkę i spodnie. W domu prały mi matka i siostra.

Tego dnia po południu wpadłam do biblioteki i zajrzałam przez okno do sali internetowej. Przy komputerach siedzieli studenci podyplomowi z drugiego roku, a także jeden z odpowiedników z moich zajęć, ten, który wcześniej był dziekanem. Uczyli się, jak korzystać z wyszukiwarki Google. Weszłam, żeby się przywitać z byłym dziekanem. Właśnie sprawdzał jakiś termin informatyczny i otrzymał ponad sześćset tysięcy wyników. Jeden ze studentów tłumaczył, co oznacza ta liczba. Były dziekan najwyraźniej nie rozumiał, więc student powtórzył.

– Ponad sześćset tysięcy? – powiedział eksdziekan, oszołomiony. Zastanawiałam się, czy jest tu po to, żeby kontrolować, jakie hasła wyszukują studenci.

Obowiązywał ich bezwzględny zakaz ujawniania czegokolwiek na temat internetu, nawet tego, że mają do niego dostęp. Mająca z nimi zajęcia profesorka mówiła, że jeden z jej studentów skarży się na chroniczny ból głowy, ale jej zdaniem wynikało to z ideologicznego zamętu, jakiego musiał doświadczać, i zasugerowała, żeby pani Davis potajemnie się za niego



modliła w klinice, przykładając mu dłonie do skroni i mierząc temperaturę. Nie byliśmy jednak pewni, na jak szeroki dostęp do internetu pozwolono studentom podyplomowym. Nasz dziekan Wydziału Informatyki powiedział, że jego zdaniem musi to być dostęp dość ograniczony, skoro ciągle przychodzą do niego z najprostszymi pytaniami na temat swoich prac.

W bibliotece moi studenci siedzieli albo przy biurkach, albo na zwykłych stanowiskach komputerowych bez dostępu do internetu. Kilku z nich podeszło do mnie, mówiąc, że praca domowa, którą właśnie im zadałam – napisanie jednego akapitu o *kimjangu* w ich rodzinie – jest za trudna, bo robieniem kimchi zajmują się kobiety, a nie mężczyźni. Nie znali wielu potrzebnych im słówek i utknęli przy opisach. Zadanie byłoby proste, gdyby mogli zajrzeć do internetu, ale to nie wchodziło w grę.

Na zwykłych komputerach zainstalowanych było tylko kilka aplikacji: słowniki – *Longman Dictionary*, *Cambridge Learner's Dictionary*, *Oxford Dictionary* – encyklopedia po koreańsku, a także dokument zatytułowany *Dżucze*. Usiadłam przy jednym z komputerów, otworzyłam ostatnio używany program i zobaczyłam słowa: „Nauka dżucze Kim Dzong Ila i Kim Ir Sena”. Mary, która tak jak ja uczyła czytania i pisanie, dostała zgodę na zapisanie na dyskach około sześćdziesięciu klasycznych powieści po angielsku, takich jak *Wielki Gatsby*, *Wichrowe wzgórza*, *Wojna i pokój* czy *Przypadki Robinsona Crusoe*. Ale studenci mówili, że ich nie przeczytali, bo są trudne i za stare. Poza tymi materiałami niewiele więcej tam było.

Jednak studenci najwyraźniej lubili komputery. Nie pisali na nich swoich wypracowań – nie potrafili pisać bezwzrokowo, a ponieważ nie było drukarki, i tak do niczego by im się to nie przydało. Głównie korzystali ze słowników, chociaż uważali je za trudne i woleli używać swoich koreańskich. Widok najlepszych w kraju studentów kierunków naukowo-technicznych gapiących się tępo w monitory był tak żałosny, że poczułam

ukłucie złości pomieszanej ze smutkiem i czym prędzej wyszłam.

Zacząłam zauważać pewną prawidłowość w swojej relacji ze studentami: kiedy tylko poczułam, że zrobiliśmy postępy i zapanował trochę większy luz, od razu się wycofywali. Przypominało to zachowanie nieprzewidywalnego (i paradoksalnie dość w tym przewidywalnego) północnokoreańskiego reżimu, który często ostro atakował Koreę Południową, właśnie kiedy międzykoreańskie stosunki zdawały się poprawiać. Nie dziwiłam się więc, kiedy nagle nasze rozmowy zaczynały łudząco przypominać te prowadzone wcześniej, tak jakby studentów poinstruowano, co mówić i kiedy.

– Mogłam wyjechać do Singapuru, ale kocham nasz kraj i zdecydowałam się zostać tutaj – powiedział przewodniczący jednej z grup przy kolacji. Był to piąty posiłek z rzędu, podczas którego jakiś student obwieścił mi coś takiego. Za każdym razem słyszałam, że chłopak zdał testy, które umożliwiłyby mu studiowanie za granicą, ale nie skorzystał z tej możliwości, bo wolał się uczyć tutaj. Dwaj studenci twierdzili, że przyjęto ich na Uniwersytet Tsinghua w Pekinie i że rząd zaproponował pokrycie kosztów czesnego, wyżywienia i zakwaterowania, ale odmówili i poszli na PUST. Dwaj inni wspomnieli, że mieli możliwość pojechać do Niemiec, ale zdecydowali się zostać.

Tematy naszych rozmów często były nienaturalne, wymuszone. Mówili nagle: „Może zmienimy temat?”, podsuwając w ten sposób nowy, jakby mieli listę tych, które muszą „odpracować” podczas posiłku. Pomagało im to, kiedy konwersacja szła w niepokojącym kierunku, tak jak wtedy, gdy w rozmowie o programach wymiany studenckiej jeden z nich zapytał, ile krajów odwiedziłam.

W lecie unikałam tego tematu, a nawet jeszcze w październiku byłam ostrożna i mówiłam niewiele. Ale w listopadzie zaczęłam się robić coraz

bardziej zuchwała i prawdomówna, więc podałam im w przybliżeniu liczbę odwiedzonych przeze mnie krajów, a wręcz posunęłam się dalej, opowiadając, jak piękne są niektóre europejskie miasta i że mam nadzieję, iż będą mieli okazję zwiedzać świat. A potem mnie poniosło i dodałam:

– Oczywiście azjatyckie miasta też są piękne, na przykład Kioto. – I tu mnie przystopowało, bo przypomniałam sobie, że Japonia jest ich wrogiem.

Po chwili milczenia jeden ze studentów zapytał:

– A nasze miasto? Uważa pani, że nasze miasto jest piękne?

Teraz z kolei ja umilkłam. Nie uważałam Pjongjangu za piękny. Było to miasto monotonne, ponure, pełne betonowych budynków i ludzi w łachmanach, którzy wyglądali na zagłodzonych. Ale to nie fizyczne cechy Pjongjangu sprawiały, że wydawał mi się brzydki, tylko to, czego był symbolem. Dla mnie było to najpotworniejsze miasto świata i za każdym razem, kiedy widziałam je w oddali, na horyzoncie, z okien minibusu, czułam niechęć. Pjongjang przypominał Xanadu – miasto, które karmiło się niewolniczą pracą reszty kraju. Był chciwym, krwiożerczym potworem i czasami chciałam, żeby po prostu poszedł z dymem. Jednak było to także miasto, do którego być może zabrano mojego siedemnastoletniego wujka, całkiem samego, miasto, które aż do śmierci śniło się mojej babci. Był to dom moich studentów, miasto nadziei dla wszystkich Koreańczyków z Północy. Marzyli tylko o tym, żeby się tu dostać, bo tu włączano prąd, tu jeździły samochody, tramwaje i autobusy, tu można się było otrzeć o cywilizację. Siedząc naprzeciwko tych młodych studentów, którzy patrzyli na mnie z taką nadzieją, czekając, aż oświadczę, że ich Pjongjang rzeczywiście jest najpiękniejszy, poczułam, że nie mam wyboru, muszę trochę skłamać. Dlatego powiedziałam:

– No cóż, w niektórych miejscach. – Wiedziałam, że moja odpowiedź ich rozczarowała, i serce mi się ścisnęło, ale nie widziałam innego wyjścia. Jak

zwykle jeden ze studentów przy stole pisnął:

– To może zmienimy temat?

Wynagrodziłam im swoją niesatysfakcjonującą odpowiedź, zdradzając, że niedawno spędziłam rok na Uniwersytecie dla Kobiet Ewha, żeńskiej uczelni w Seulu. Zwykle kiedy wspominałam o Seulu, o nic nie pytali, może tylko: „Urodziła się tam pani?”. Wyraźnie był to temat tabu. Ale myśl o uniwersytecie dla dziewcząt po drugiej stronie granicy wzbudziła ich zainteresowanie, chociaż nieśmiało spuścili wzrok. Ewha przypominała Wellesley, znany żeński college w stanie Massachusetts, ale oczywiście to porównanie nic by im nie powiedziało, więc po prostu wyjaśniłam, że w Korei Południowej to słynna uczelnia i że studiują na niej świetne dziewczyny z dobrych domów. Wszyscy patrzyli na mnie tak, jakby chcieli, żebym mówiła dalej. W końcu jeden z nich zapytał nieśmiało:

– Były ładne?

Skinęłam głową i odparłam:

– Tak, najładniejsze dziewczyny z Seulu, tak przystojne jak moi dżentelmeni z Pjongjangu.

Nie zrekompensowało im to zranionych uczuć, ale przynajmniej wszystkich rozśmieszyło. Zaczęli chichotać, a jeden zapytał:

– Też mają przewodniczącą? – Ten pomysł był tak absurdalny, że ledwie powstrzymałam się od śmiechu. Nie mogłam im powiedzieć, że na południowokoreańskich uniwersytetach nie było czegoś takiego jak przewodniczący grupy, a już na pewno nie dowódca plutonu, a studenci nie maszerowali całą grupą na zajęcia ani na stołówkę. Odparłam więc tylko:

– Większość z nich nie mieszka na kampusie. Dziewczyny z Ehwy przychodzą i wychodzą indywidualnie, więc nie ma przewodniczącej.

Teraz, gdy zima zbliżała się wielkimi krokami, dyżury ogrodnicze

oznaczały cięższą pracę, bo ziemia często zmieniała się w błoto, a potem zamarzała. Kiedy wyraziłam swoje zaniepokojenie tym, że muszą pracować mimo takiej pogody, jeden ze studentów odparł rzeczowo, że mają porządne buty, więc to nie problem. Dodał, że wszyscy już w dzieciństwie uczyli się pielęgnować drzewa i inne rośliny. Obywatele KRLD gremialnie sadzili drzewa w październiku, okrzykniętym „miesiącem sadzenia drzew”, a wszyscy mieszkańcy Pjongjangu mieli rozkaz wykonywania prac ogrodniczych przez całą zimę. „Prace ogrodnicze” były eufemizmem oznaczającym fizyczną harówkę, często obejmującą kopanie dołów i dźwiganie wiader z wodą. Teraz rozumiałam, dlaczego podczas naszych cotygodniowych wypraw na zakupy do miasta widziałam ludzi w szalikach i rękawiczkach przycinających trawę i krzewy przy ulicach i nad brzegiem rzeki. Mój student pamiętał, że nosił wiadra z wodą już kiedy miał pięć lat. Mówił o tym z taką dumą, że zdałam sobie sprawę, iż uważa to za akt patriotyzmu. Poza tym, dodał, dyżur ogrodniczy to tylko trzy, cztery godziny, zostawało im więc jeszcze trochę czasu na sport, ale mycie podłóg czy toalet trwało dłużej i nie starczało czasu na nic więcej. Dlatego woleli prace ogrodnicze.

W tym tygodniu studenci przez trzy godziny kopali dół na przenikliwym mrozie. Tydzień wcześniej – przez cztery godziny. Cały czas zapewniali mnie, że ta praca dobrze im robi, ale niektórzy przyznawali, że czują się bardzo zmęczeni. Jeden stwierdził, że nigdy tak nie harował, zanim nie znalazł się na PUST.

Po zmroku, kiedy za oknami wył wiatr, myślałam o studentach stojących całą noc na warcie. Żaden z nich nie miał porządnej, ciepłej kurtki, która by go odpowiednio chroniła. Ich Wielkich Przywódców zawsze porównywano do słońca – urodziny Kim Ir Sena nazywano Dniem Słońca, a Kim Dzong Il był „Słońcem XXI wieku” – ale jakoś nie dawało ono ciepła. W końcu

któregoś wieczora przy kolacji napomknęłam, że martwi mnie to ich stanie godzinami na zimnie. Zaczęli tłumaczyć, początkowo niechętnie:

– Tak, jest nam bardzo trudno... Ale robimy to z wielką chęcią, bo to ogromny zaszczyt, który pomoże naszej Partii i zbuduje potężny i kwitnący naród.

Każdy ze studentów przy stoliku pokiwał głową, więc zapytałam, czy stali też na warcie wcześniej, przed przyjazdem na PUST.

– Tak, na naszych poprzednich uczelniach też to robiliśmy.

– A zanim poszliście na studia?

– Tak, odkąd skończyliśmy trzynaście czy czternaście lat. Wszyscy w naszym kraju robią to, dorastając.

Częstotliwość tej służby wartowniczej zależała od zawodowej pozycji danej osoby, ale wszyscy musieli ją pełnić przez całe życie. Także kobiety, chociaż je zwalniano z tego obowiązku po urodzeniu dziecka.

Tak jak podejrzewałam, takie warty wystawiano w każdej z wiosek, które widziałam przy drogach podczas naszych wycieczek. Te przypominające sanktuaria budynki, zwane Halami Kimirsenuizmu, stały w każdej osadzie w kraju, jak gdzie indziej na świecie kościoły albo McDonaldy.

„Esej” był słowem, które budziło postrach wśród moich studentów tej jesieni. Stresowali się, że będą go musieli napisać, bo miał się liczyć na równi z egzaminami do ich oceny końcowej. Mieli sami wymyślić temat, a także przedstawić mi tezę eseju i plan pracy. Kiedy pytałam, jak im idzie, wzdychali i mówili: „Katastrofa”.

Podkreślałam, że eseje są istotne, bo jako naukowcy będą kiedyś musieli pisać artykuły, by dowieść swoich teorii. W rzeczywistości jednak w ich świecie nigdy niczego nie udowodniano, bo wszystko działało się według kaprysu Wielkiego Przywódcy. Umiejętność pisania mieli rozwiniętą w równie nikłym stopniu jak zdolność szukania informacji. Każdy tekst był niekończącą się litanią osiągnięć Wielkiego Generała, z których żadnego nigdy nie weryfikowano, bo koncepcja popierania twierdzenia dowodami tutaj nie istniała. Wystarczyło rzucić okiem na artykuły w gazecie, aby dostrzec, że są pisane od początku do końca w tym samym tonie, bez rozwinięcia, bez zmian tempa. Nie było ani wstępu, ani zakończenia.

A zatem podstawowy esej, złożony z trzech do pięciu akapitów – z tezą, wstępem, rozwinięciem przedstawiającym argumenty oraz wnioskami w zakończeniu – był czymś całkowicie im nieznanym. Najwięcej trudności mieli ze zrozumieniem, czym jest wstęp. Tłumaczyłam im, że to coś w rodzaju przywitania. Jak się przywitać w interesujący sposób, tak żeby

„wciągnąć” czytelnika? Podawałam im dużo różnych przykładów, ale i tak przychodzili do mnie na dyżur, kręcąc głowami i pytając:

– O co chodzi z tym wciąganiem?

Pewnego dnia rano, kiedy weszłam do sali, studenci zawołali jednym głosem:

– Pokonaliśmy Japonię!

Ich piłkarska drużyna narodowa, Chollima, właśnie wygrała z japońskimi Błękitnymi Samurajami w meczu kwalifikacyjnym do mistrzostw świata. Spotkanie rozegrano na Stadionie Kim Ir Sena i transmitowano w telewizji na żywo.

Skierowana przeciwko Japonii wściekłość pozostawała tu równie żywa, jak w czasach, kiedy Japończycy skolonizowali Koreę, a więc ponad pół wieku temu. Studenci byli w euforii, opowiadali mi z dumą o Jong Tae-se, napastniku ich drużyny narodowej, a także innym z zawodników, którego zwerbował Manchester United. Nie przyjmowali do wiadomości, że Jong był w istocie Koreańczykiem Zainichi w trzecim pokoleniu – tym terminem określano etnicznych Koreańczyków urodzonych, wychowanych i mieszkających w Japonii, ale lojalnych wobec Korei Północnej. W ich oczach Zainichi byli Japończykami, ich zaprzysięgłymi wrogami, a jednak w dogodnych chwilach uznawali ich za Koreańczyków z Północy\*. Darowałam sobie komentarze.

– Wspaniale! – powiedziałam radośnie. – Czy nie byłoby świetnie, gdyby Chollima pojechała na mundial do Brazylii? – Wszyscy pokiwali z uśmiechem głowami.

Dopiero później zajrzałam do internetu i dowiedziałam się, że Korea Północna już odpadła z eliminacji, a wyniki ogłoszono jakiś czas temu. Mecz z Japonią trzeba było rozegrać po prostu dlatego, że był to rewanż. Albo



studenci nie chcieli tego przyznać, albo sami nie znali prawdy. Co więcej, okazało się, że spotkania wcale nie transmitowano na żywo. Emisja zaczęła się zaraz po zakończeniu meczu, kiedy režim mógł już mieć pewność, że ich drużyna wygrała. Jeden student powiedział mi, że oglądanie samych zwycięskich meczów jest bardzo nudne. Poza tym, chociaż szukałam dokładnie, nie znalazłam w internecie żadnej wzmianki o północnokoreańskim piłkarzu grającym w Manchester United. Jak zawsze rząd KRLD szerzył dezinformację, a twierdzenia moich studentów nie miały żadnego oparcia w rzeczywistości, trudno więc było się spodziewać, że będą potrafili uzasadnić faktami swoje tezy.

Kiedy jednak studenci podyplomowi zaczęli korzystać z internetu – przez mniej więcej trzy, cztery godziny dziennie, jak mi powiedzieli – moi uczniowie zorientowali się, że coś ich omija. Przy posiłkach wyjmowałam laptopa, żeby pokazać im zdjęcia, które zrobiłam podczas Dnia Sportu. Lubili oglądać siebie na fotografiach i zawsze chcieli, żebym robiła zbliżenia na ich twarze.

– Okej, jestem najprzystojniejszy! – mógł oświadczyć jakiś zuchwały student. – Może pani to wydrukować!

Zmieniłam wygaszacz ekranu na panoramę Manhattanu, żeby chcąc nie chcąc, mogli na nią zerknąć. Czasami otwierałam Photo Booth i robiłam zdjęcie naszej siedzącej razem grupce, a na monitorze pojawiały się nasze podobizny otoczone różowymi serduszkami.

– Co to takiego? Dlaczego to różowe tak się rusza? – wołali i wybuchali śmiechem. Może dlatego, że od urodzenia uczono ich, że są żołnierzami, lubiłam patrzeć, jak okazują prostą radość.

Zaczęli także bardziej otwarcie wyrażać swój podziw.

– Nigdy nie widziałem tak cieniutkiego komputera! – stwierdził jeden

student, mając na myśli mój laptop. Inny przyznał, że nigdy wcześniej nie słyszał o macu, i zapytał, czy to to samo, co Windows. Przypomniałam im naszą lekcję o nekrologach i Stevie Jobsie. Niektórzy mówili też, że mam niezwykły słownik, na co odpowiadałam, że kindle to nie słownik, ale urządzenie elektroniczne, na którym można zapisać tysiące książek, tak jak w elektronicznym słowniku mieszczą się tysiące słów.

Jeden ze studentów oświadczył, że mój komputer bardzo go zaciekał, bo robi specjalizację z informatyki. Na poprzedniej uczelni zarządzał intranetem i miał nadzieję, że po studiach zostanie przydzielony do pracy w Centrum Komputerowym Chosun. Dodał, że na trzecim roku nauczyłby się hakować, gdyby go nie przeniesiono na PUST. Kiedy zapytałam, czy są prowadzone zajęcia z hakerstwa, opowiedział mi historię o zdolnym studencie hakerze z drugiego roku na jego poprzednim uniwersytecie. Któregoś dnia ten student włamał się do rządowego systemu i poprawił sobie wszystkie stopnie. Urzędnicy rządowi się o tym dowiedzieli, ale stwierdzili, że skoro ten student jest taki genialny, pozwolą mu zachować te podwyższone oceny. Morał z tej opowieści miał być chyba taki, że hakerstwo jest przestępstwem, ale dopuszczalnym, jeśli zrobi się to dobrze.

Ten sam student zapytał jeszcze, czy mój macbook ma połączenie z internetem. Wcześniej inny chciał się dowiedzieć, czy mogę się połączyć z siecią internetową za pomocą iPod'a, z którego słuchałam muzyki podczas biegania. Nie rozumieli, że nie wystarczy mieć urządzenie, które może się połączyć z internetem; potrzebny jest jeszcze dostęp do sieci. Wy tłumaczyłam mu to najlepiej jak potrafiłam i dodałam, że mogę uzyskać połączenie z dowolnego komputera, właściwie wszędzie, także w parkach i kawiarniach, z wyjątkiem jego kraju. Wiedziałam, że nie powinnam o tym mówić, ale nie mogłam milczeć.

Niebawem kolejni studenci zaczęli zadawać pytania.

- Oglądała pani dzisiaj filmy w internecie?
  - Jak długo je pani oglądała?
  - Ile filmów można obejrzeć?
  - Wyobraźcie sobie nieskończoność – odpowiadałam, próbując wyjaśnić.
- Internet trochę przypomina właśnie nieskończoność. Można wejść na setki tysięcy stron, wybierać z dziesiątek tysięcy filmów. – Kiwali głowami, no ale przecież zawsze potakiwali.

Jeden z moich najbardziej obytych studentów, Song Seung-jin, poprosił mnie o pomoc w znalezieniu informacji o alkoholu. Chciał napisać o jego wadach i zaletach, ale sam nigdy nie pił i nie wiedział, jak się zabrać do zbierania danych na ten temat. Był synem lekarza, przez całe życie otoczonym informacjami z zakresu medycyny, a jednak nie miał pojęcia o skutkach picia alkoholu. Uświadomiłam sobie, że sugerował, abym poszukała mu tych informacji w internecie.

Ta próżnia informacyjna stawała się niedogodnością, której studenci nie mogli dłużej ignorować, bo codziennie stykali się z nami, a my mieliśmy wiedzę, jakiej im brakowało, i wymagaliśmy od nich części tej wiedzy, żeby mogli pisać zadawane przez nas wypracowania i rozmawiać z nami przy stole. My, produkty kultury Zachodu, przypominaliśmy im na każdym kroku, że ta próżnia stanowi realną przeszkodę w nauce.

Jednak dezinformacja i brak informacji nie były jedynymi problemami w uczeniu ich, jak napisać esej. W ich narracji wniosek był zawsze ustalony z góry. Na przykład zorganizowaliśmy konkurs, tak jak wcześniej w lecie, w którym studenci mieli wymyślić krótkie, oryginalne skecze. Ruth, która doradzała części z nich, pewnego dnia po południu zajrzała do mojego gabinetu, chcąc mnie o coś zapytać. Unikałam jej od jakiegoś czasu, ale poczułam ulgę, że najwyraźniej nie zostałam wcale zdemaskowana, bo Ruth założyła, że jestem chrześcijanką, tylko nie tak pobożną jak ona.

– Czy w Ameryce handluje się organami? – zapytała teraz.

Pokręciłam głową.

– Skąd, to nielegalne.

Wyjaśniła, że jeden z jej studentów miał pomysł na skecz o człowieku, który jest przerażony sprzedawaniem i kupowaniem organów w Ameryce, a kiedy przyjeżdża do Korei Północnej, ze zdumieniem odkrywa, że szpitale są tu za darmo, dzięki troskliwości Wielkiego Przywódcy.

Grupa 4 przedstawiła skecz o strażakach ratujących małżeństwo z pożaru, a następnie wykonujących piosenkę o Wielkim Wodzu. Wygrała scenka o brutalnym traktowaniu rolników przez właściciela ziemskiego, rozgrywająca się w epoce sprzed wyzwolenia Korei, które, jak wyjaśnił narrator, zostało bohatersko przeprowadzone przez Wiecznego Prezydenta Kim Ir Sena. Na koniec cała obsada zaśpiewała piosenkę o swojej wdzięczności dla Partii Pracy. Nie było dokładnie wiadomo, za co właściwie dziękowali Partii, ale wszystkie skecze, bez względu na fabułę, kończyły się pieśnią dziękczynną adresowaną albo do Wielkiego Przywódcy, albo do Partii.

Zamiast lekcji o materiałach źródłowych, której tutaj nie dało się przeprowadzić, poprosiłam studentów o przeczytanie prostego eseju z 1997 roku, w którym przytoczono słowa prezydenta Billa Clintona o tym, jak istotna jest komputeryzacja wszystkich szkół. Dostałam zgodę odpowiedników, bo tekst miał związek z omawianym przez nas właśnie tematem z podręcznika dotyczącym studiów wyższych. Miałam nadzieję, że studenci zrozumieją, jak daleko w tyle się znaleźli. Dałam im też trzy nowsze artykuły – z „Princeton Review”, „New York Timesa”, „Financial Timesa” i „Harvard Magazine” – w których wspomiano o Marku Zuckerbergu, Facebooku i Twitterze. Żaden z tych tekstów nie wywołał u nich reakcji.

Nawet zdanie o tym, że Zuckerberg zarobił sto miliardów dolarów na czymś, co wymyślił w swoim pokoju w akademiku, wydawało się ich nie interesować. Może uważali, że to wszystko kłamstwa. Albo odpychała ich kapitalistyczna perspektywa tych tekstów.

Następnego dnia kilku studentów pojawiło się u mnie na dyżurze. Wszyscy chcieli zmienić tematy swoich esejów. Co ciekawe, nowe tematy, które zaproponowali, dotyczyły bez wyjątku bolączek amerykańskiego społeczeństwa. Jeden oświadczył, że chciałby pisać o karach cielesnych w amerykańskich i japońskich gimnazjach. Inny chciał udowodnić w swoim esejku tezę, że należałoby zakazać polityki amerykańskiego rządu, według której o przyszłości dziecka decydują testy na iloraz inteligencji. Trzeci z kolei postanowił pisać o tragicznych skutkach swobodnego dostępu do broni palnej w Ameryce. Czwarty twierdził, że biopaliwa są toksyczne, a Ameryka jest ich największym producentem. Piąty chciał się zająć w swojej pracy kwestią rozwodów. W KRLD rozwody nie istniały, ale w Ameryce ich odsetek wynosił ponad pięćdziesiąt procent i prowadziły one do przestępstw oraz chorób psychicznych, jak twierdził.

– A jeśli ludzie są nieszczęśliwi w małżeństwie, co wtedy? – zapytałam. Popatrzył na mnie bez wyrazu.

Jeszcze inny zapragnął napisać o szkodliwości McDonalda. Ten sam student zapytał później:

– To właściwie jakie jedzenie robi McDonald?

Przy innej okazji jeden z nich zaciekał się, z którego kraju pochodzi najwięcej hakerów komputerowych; uczono go, że z Ameryki. To pytanie zbiło mnie z tropu, zwłaszcza że właśnie widziałam na CNN Asia reportaż o przestępczości komputerowej w Korei Północnej. Odparłam, że tego rodzaju przestępstwa mogą być popełniane wszędzie, także przez osoby, które tylko odwiedzają dany kraj, więc trudno wskazać, skąd haker pochodzi.

Kiedy zebrałam ich tezy do esejów, okazało się, że jeden ze studentów napisał: „Mimo szkodliwych skutków broni jądrowej, niektóre kraje, takie jak Stany Zjednoczone, nadal rozwijają broń nuklearną”. Najwyraźniej nie miał pojęcia, że program nuklearny i próby jądrowe przeprowadzane przez Koreę Północną budzą poważny niepokój na całym świecie. Inny napisał z kolei, że głód jest problemem, którego nie da się rozwiązać, szczególnie w Afryce, zwłaszcza że nawet bogate kraje, takie jak Anglia i Ameryka, się z nim borykają. Jeszcze inny przedstawił tezę o tym, że pieniądze skłaniają społeczeństwa do nieetycznych zachowań.

Jedno było jasne. Do zbiorowej decyzji o zmianie tematów esejów na potępiające Amerykę najwyraźniej popchnęły ich artykuły o Zuckerbergu. To, co w moim zamyśle miało być inspirujące, oni musieli uznać za chwalipięstwo i zniewagę. Nacjonalizm, który wpajano im od tylu pokoleń, stworzył obywateli, których ego było tak kruche, że nie chcieli dostrzec reszty świata.

Moje starania, by poszerzyć ich świadomość, wciąż przynosiły skutek odwrotny do zamierzonego. Kiedy kazałam im napisać akapit o kimjangu, dostałam stertę moralizatorskich tyrad utrzymanych w zadufanym tonie. Prawie połowa studentów twierdziła, że kimchi to najsmakowniejsza potrawa na świecie, a wszystkie inne kraje jej im zazdroszczą. Jeden napisał, że amerykański rząd obwołał ją oficjalnym daniem olimpiady w Atlancie w 1996 roku. Kiedy go o to zapytałam, odparł, że ten fakt jest wszystkim znany, a on może to nawet udowodnić, bo tak napisano w jego koreańskim podręczniku. Po szybkich poszukiwaniach w internecie okazało się, że pewien japoński producent twierdził, iż kimchi jest potrawą japońską, i zaproponował je jako oficjalne danie olimpiady, ale propozycję tę odrzucono. Ta informacja jakoś do nich trafiła w zniekształconej formie i teraz traktowano ją jako część powszechnej wiedzy.

Prostowanie każdej błędnej informacji wymagało wysiłku, a czasem oznaczało także zapuszczenie się na grząski grunt.

– Wykluczone – mówiła Martha. – Tego nie ruszaj. Jeśli ich książka podaje, że tak jest, to nie możesz im powiedzieć, że to nieprawda.

Czasami pytali mnie, dlaczego nigdy nie jem zbyt wiele białego ryżu. Oni przy każdym posiłku nakładali go sobie całą furę, a ja zawsze miałam na swojej tacy tylko małą kupkę. Wyjaśniałam, że lubię biały ryż, ale niekoniecznie przez cały czas. Pytali, co jeszcze jem poza ryżem i naengmyunem, ich narodową potrawą. Nie mogłam się raczej rozwódzić nad koktajlami ze świeżych owoców i jajkami po benedyktyńsku, więc wymieniałam dwie zachodnie potrawy, o których już słyszeli: spaghetti i hot dogi. Wiedziałam, że Koreańczycy z Północy mają własną wersję kiełbasek, bo widziałam, jak ustawiają się po nie w kolejce na targach międzynarodowych. Później w wypracowaniu jednego studenta o kimjangu przeczytałam: „Ci Koreańczycy, którzy wolą hot dogi i spaghetti od kimchi, przynoszą wstyd swojej ojczyźnie, zapominając o wyższości kimchi”. Wydawało się, że nic nie może się przebić przez ich wojowniczy izolacjonizm. W dodatku taka postawa nie zostawiała miejsca na żadne argumenty, skoro wszystkie drogi prowadziły tylko do jednego słusznego wniosku. Oddałam mu pracę z komentarzem: „Dlaczego nie można lubić zarówno spaghetti, jak i kimchi?”.

Mimo nieudanego eksperymentu z nożami i widelcami, Ruth nadal chciała przybliżyć studentom zachodnią kulturę, chociaż nie było to mile widziane. Ściągnęła z internetu piosenkę *Around the World* duetu techno Daft Punk oraz kilka utworów hiphopowego zespołu Roots, żeby mogli poznać różne rodzaje muzyki. Odpowiednicy to zatwierdzili, bo wiązało się z podręcznikiem, ale studentom piosenki bardzo się nie spodobały. Jediną rzeczą, która nie wzbudziła ich awersji, chociaż chyba zbyt dużego entuzjazmu

też nie, był rock'n'roll inspirowany beatlesowskim *Yesterday*. Później kilku studentów powiedziało mi:

– Ten hip-hop to same słowa, a techno to sam rytm. Nuda!

– Obrzydlistwo! – zgodził się jeszcze jeden, kręcąc głową.

– To jak nasza piosenka *Yanji Bomb*, o bombie, której nasz Wieczny Prezydent Kim Ir Sen użył przeciwko japońskim imperialistom – wtrącili inni. – To też same słowa, ale powstała dawno temu. Bardzo stara piosenka. A więc wyprzedzamy Amerykanów!

Po kilku lekcjach na temat pisania eseju jeden ze studentów powiedział mi przy kolacji:

– Dziwna rzecz przydarzyła mi się dziś po południu na naszych zajęciach z nauk społecznych.

Nigdy nie opowiadali z własnej woli o lekcjach dżucze, więc nadstawiłam uszu.

– Musieliśmy napisać esej! – ciągnął student. Wyjaśnił, że na ogół pisali krótkie wypracowania po koreańsku i nigdy wcześniej nie myślał o nich jak o esejach, ale teraz tak właśnie na nie spojrział i zrobiło to na nim dziwne wrażenie.

– Co było w tym takiego dziwnego? – zapytałam.

– Nie wiem – odparł w zamyśleniu. – Spojrzałem na to wypracowanie jak na esej i uświadomiłem sobie, że teraz odbieram je inaczej. Pisanie po angielsku bardzo się różni od pisania po koreańsku, ale też ma z nim coś wspólnego. Pisząc, ciągle myślałem o strukturze eseju, i poczułem się dziwnie.

O nic więcej go już nie pytałam, ale wydawało mi się, że rozumiem, w czym problem. Podejście do pisania o dżucze jak do eseju musiało stanowić głęboki dysonans poznawczy. W jego kraju nie istniały dowody,



mechanizmy sprawdzania – no chyba że chcieli udowodnić, że ich Wielki Wódz osobiście napisał kilkaset oper i tysiące książek, ocalił naród i dokonał różnych niezliczonych cudów. Cały ich system był pomyślany tak, by go nie kwestionować i by zdusić krytyczne myślenie. Dlatego forma eseju, w którym trzeba udowodnić tezę, była zaprzeczeniem całego tego systemu. Autor eseju dostrzega argumenty przeczące jego tezie i je obala. Natomiast tutaj nie było możliwości sprzeciwu.

Patrzyłam na niego przez stół i poczułam znajomą falę mdłości. Może to dopiero początek. Pytań, które zrodzą się w ich głowach. Pytań, które powinni zadawać. Pytań, których, jak rozumiem, dotąd nie zadawali, bo nie wyobrażali sobie, że mogliby to robić, albo dlatego, że stawianie ich oznaczało, iż nie mogą dłużej istnieć w tym systemie.

---

\* Najsłynniejszą Koreanką Zainichi była Ko Yong-hui, zmarła w 2004 roku. Była jedną z kilku żonek Kim Dzong Ila i matką Kim Dzong Una. Zatuszowano jej niskie pochodzenie, czyli status *songbun*, i dziś nazywa się ją Matką Wielkiej Korei Songun.

## 23

Zbliżało się Święto Dziękczynienia, a główną wiadomością ze Stanów, według CNN Asia, była kandydatura Hermana Caina w wyborach prezydenckich, a następnie wysuwane wobec niego oskarżenia o molestowanie seksualne. „Bóg mi powiedział, żebym kandydował na prezydenta” – brzmiał jeden z nagłówków. Skądś to znałam. Kiedy pytałam innych nauczycieli, dlaczego przyjechali na PUST, każdy miał podobną odpowiedź: „Bóg mnie tu sprowadził”. Na moje pytanie, jak długo jeszcze tu zostaną, wielu odpowiadało: „Jak długo Bóg zechce. On wie wszystko. On zadecyduje”.

Przypomniało mi to o twierdzeniu Ruth, że Bóg ma swój zamysł i że cierpienia Koreańczyków z Północy są etapem przejściowym w drodze do nieba. Obozy pracy, w takim razie, służyły czemuś w imię Jezusa. Podobnie moich studentów uczono, żeby szli za swoim Wielkim Przywódcą mimo klęski głodu, czy raczej właśnie z powodu tej klęski, którą przedstawiano jako formę męczeństwa koniecznego do zbudowania potężnego i kwitnącego narodu. Trudny Marsz stał się więc rytuałem przejścia, który pomógł się im zjednoczyć przeciwko demonizującemu ich zewnętrznemu światu.

Poszłam znów na niedzielne nabożeństwo, chociaż Ruth powiedziała mi, żebym nie przyjmowała komunii, której zresztą z jakiegoś powodu udzielano tylko od czasu do czasu. Później, przy obiedzie, jeden ze studentów zapytał:

– Co robiła pani dzisiaj rano?

Zająknęłam się i odparłam po chwili:

– No, mieliśmy zebranie nauczycieli. – Czułam się, jakbym wstrzymywała oddech.

– Macie zebrania także w niedziele? – zdumieni się. – Gdzie? W akademiku?

Na kampusie wszystko było widoczne jak na dłoni, więc, tak jak my zastanawialiśmy się, co się dzieje, kiedy całe grupy studentów znikają nam z oczu na kilka godzin, tak samo ich musiało ciekawić, gdzie my się podziewamy. Odpowiedziałam, na tyle szczerze, na ile mogłam, że czasem się spotykamy, żeby omówić pewne szczegóły, jak wycieczki nauczycieli, ile trzeba zapłacić i kto się wybiera. Pokiwali głowami, chociaż nie wydawali się przekonani.

Co dzień robiło się zimniej. Czasem miałam zbyt zdrętwiałe palce, żeby utrzymać kredę. Wszyscy przez cały czas chodziliśmy w zimowych kurtkach, nawet w klasach. Nadal musiałam nosić spódnice, więc zakładałam pod nią dwie pary rajstop. Teraz, kiedy zbliżało się Święto Dziękczynienia, jeszcze bardziej tęskniłam za domem, chociaż dorastałam, świętując Chuseok, koreańskie dożynki, i nie jadłam indyka. Czasami przy jedzeniu studenci próbowali rozerwać mnie zabawnymi historyjkami, prawie jakby wyczuwali mój kiepski nastrój.

Pewnego wieczora Chang Min-su, niezdarny student z jednej z moich grup, opowiedział mi o zbliżającym się weselu swojej starszej siostry. Dziewczyna miała dwadzieścia siedem lat i pracowała na basenie w Changgangwon. Narzeczonego, którego poznała na studiach, też tam pracował. Uprawiał amatorsko boks i był bardzo miłym człowiekiem, ale „straszny z wyglądu”, który to wygląd Min-su opisał w najdrobniejszych szczegółach: był niski i gruby; nos miał tak wielki, że zajmował całą twarz;

usta za nisko, na samym dole podbródka; a oczy – jak szparki, do tego zbyt szeroko osadzone. A co najgorsze, brwi miał tak słabe, jakby w ogóle ich nie było. Kiedy Min-su zobaczył go po raz pierwszy, aż go odrzuciło, bo nigdy wcześniej nie widział człowieka bez brwi. Narzeczony codziennie rano czekał na siostrę Min-su przed ich domem. Siostra była bardzo ładna, bo przeszła operację plastyczną oczu i nosa.

Już wcześniej kilku studentów wspominało, że takie operacje nie są tu rzadkością, a jeden ze starszych profesorów, który od dawna pracował z Koreańczykami z Północy, mówił mi, że mieszkanki KRLD uważają chirurgię plastyczną za swoistą nagrodę przyznawaną przez rząd niektórym kobietom, by uwydatnić ich urodę. Przy poprzednich wizytach wielokrotnie zauważyłam w Pjongjangu kobiety, które wyglądały, jakby miały „zrobioną” podwójną powiekę, najpopularniejszy zabieg chirurgii kosmetycznej w Korei Południowej.

Inny student, Park Se-hoon, zaczął opowiadać o swojej dziewczynie. Latem wszyscy zapewniali, że żaden z nich z nikim się nie spotyka, ale teraz przełamaliśmy dzielące nas bariery. Se-hoon powiedział, że na poprzednim uniwersytecie miał dziewczynę, która była bardzo smutna, kiedy wyjechał na PUST, ale teraz ma nową dzięki pracy domowej, którą kiedyś zadałam: „Jak skutecznie zdobyć dziewczynę”. Zapamiętał sobie tę lekcję i podczas wakacji poznał pewną pannę w Wielkiej Czytelnii Ludowej, gdzie codziennie się spotykali. Inni studenci roześmiali się i twierdzili, że żartuje, ale on upierał się przy swoim. Dziewczyna była ładna i studiowała na Uniwersytecie Języków Obcych w Pjongjangu, a zakochała się w nim dlatego, że znał angielski lepiej od niej i był jej zdaniem bardzo przystojny. Stwierdziłam, że jestem pod wrażeniem, iż udało mu się znaleźć dziewczynę w tak krótkim czasie, który spędził w domu. Pozostali studenci zaczęli się strasznie śmiać.

– Ten facet ma wielki talent do podrywania dziewczyn! – podsumowali.

Tego dnia Hong Mun-sup miał urodziny, więc studenci planowali się zebrać o 19.30 w jednym z pokoi w akademiku, żeby je uczcić. Wszyscy po kolei – z wyjątkiem szóstki, która stała na warcie – mieli zaśpiewać solenizantowi piosenkę, a potem chcieli pójść razem do sali telewizyjnej i obejrzeć odcinek swojego ulubionego chińskiego serialu. Zapytałam Mun-sup'a, co matka zwykle daje mu na urodziny, a on odparł, że pluszowe misie. Miał ich około dziesięciu. Inny student, Kim Yong-suk, powiedział, że na każde urodziny dostaje od rodziców zegarek, ale jest strasznie roztargniony i udało mu się zgubić każdy z nich. W końcu ojciec przestał mu je kupować i oświadczył: „Prędzej dam zegarek psu niż tobie!”. Yong-suk opowiadał dalej, że matka kupiła na targu mięso z psa i przygotowała mu jego ulubioną potrawę, psią zupę. Inny stwierdził, że matka dała mu mięso z kota, żeby robił sobie z niego okłady na obolałe mięśnie. Uwielbiali takie obrzydliwe opisy. Wiedzieli, że nie przepadam za mięsem, więc obserwowali mnie ciekawie, żeby zobaczyć, czy od takich szczegółów zrobi mi się niedobrze, aż wreszcie ucięłam:

– No dobra, wystarczy, już rozumiem! – Wtedy wszyscy przy stole wybuchli śmiechem.

A potem, ni stąd, ni zowąd, Chang Min-su zapytał:

– Czy Amerykanie są rasistami?

Wyjaśnił, że przeczytał wzmiankę o tym w jednym z podręczników i martwił się, że może biali Amerykanie źle mnie traktują, bo nie wyglądam tak jak oni. Zawahałam się, nie tak jak zwykle ze strachu, że ktoś przez moją odpowiedź będzie mieć kłopoty, ale dlatego, że było to skomplikowane pytanie. Chłopak był szczerze zaciekawiony, a ja miałam dużo do powiedzenia na ten temat. Zanim jednak zdążyłam odpowiedzieć, dodał:

– A co z ciemnoskórymi?

Miał na myśli Afroamerykanów. Przed przyjazdem na PUST nie widział ludzi z żadnej innej grupy etnicznej poza swoją. Tutaj natomiast miał kontakt z białymi nauczycielami, ale nie z czarnoskórymi, więc była to dla niego bardzo abstrakcyjna idea. To, że zastanawiał się nad taką kwestią po spędzeniu stosunkowo krótkiego czasu z zagranicznymi nauczycielami, zrobiło na mnie spore wrażenie. Ale Mun-sup szybko go uciszył:

– Nuda! Proszę, zmieńmy temat. To nie ma nic wspólnego z naszym życiem.

Zawsze tak to wyglądało. Było po dyskusji. Jednak skrawki nowych informacji zostawały im w głowach, częściowo z powodu ich młodego wieku, ale także dlatego, że tak niewiele się wokół nich działo. Na przykład jeden ze studentów zapytał:

- Czy J. K. Rowling jest sławną pisarką?
- Czy Hogwart to miłe miejsce? – odezwał się drugi.
- Quidditch to chyba naprawdę fajna gra! – wtrącił trzeci.

Brzmiało to tak, jakby czytali książki o Harrym Potterze albo widzieli filmy, ale oczywiście ani jedno, ani drugie nie było możliwe. Okazało się, że w jednym z ich podręczników, z których uczyli się poprzedniej wiosny, padła króciutka wzmianka na ten temat, ale dokładnie ją zapamiętali. Zaczęłam sobie wyobrazać, jak by to było pokazać im jeden z filmów z serii. Nie mogłam więc uwierzyć w swoje szczęście, kiedy Martha wspomniała, że ma ze sobą nagranie trzeciej części filmowych przygód Harry’ego. Wpadłam w zachwyty. Mieliśmy w planie pokazy filmów dla całego pierwszego roku po egzaminach końcowych, więc zaproponowałam, żebyśmy załatwiły zgodę odpowiedników na film o Harrym Potterze.

Niestety, Ruth słyszała naszą rozmowę i poinformowała mnie, że wykładowcy już wybrali *Opowieści z Narnii*. Zasugerowałam, żeby w takim razie pokazać oba filmy albo, jeszcze lepiej, zamienić *Narnię* na *Harry’ego*.

Ruth się nie zgodziła. *Narnia* została wybrana ze względu na swoje chrześcijańskie przesłanie, wyjaśniła. Niektórzy nauczyciele nie zgadzają się z przesłaniem *Harry'ego Pottera*. Poza tym, jej zdaniem, film o młodym czarodzieju będzie pierwszym, z jakim studenci będą mieli kontakt, kiedy ich kraj się otworzy. Poruszyłam tę kwestię z Mary, która także oświadczyła, że mojego życzenia nie da się spełnić.

– Filmy są sugestywne, mogą mieć duży wpływ na widzów. Może odpowiednikiem *Harry Potter* nie przeszkadza, ale nam tak. *Narnię* wybraliśmy nie bez powodu. On tak mówi – zakończyła, wskazując sufit.

W tym, co dla mnie było popkulturą, misjonarze widzieli herezję. Odpowiednicy być może także, więc wszelkie informacje, które docierały do studentów, były podwójnie ocenzurowane. Wydawało się jednak dziwne, że Bóg nie lubi *Harry'ego Pottera*, ale pozwolił, by historia o nim rozprzestrzeniła się po świecie w prawdziwie rekordowym tempie.

Mimo tej lekkości niektórych moich rozmów ze studentami przy posiłkach, a może właśnie z powodu tej naszej wspólnej radości, najciężej robiło mi się na sercu, kiedy odkładałam metalową tacę i szłam zimnym, ciemnym pasażem do nauczycielskiego akademika. Czułam się tak, jakby promyk nadziei, świecący nad nami w tych chwilach, nikał z każdym krokiem, z którym się od nich oddalałam. Po powrocie do pokoju myślałam o dniu spędzonym ze studentami, analizowałam każdy szczegół, zapisywałam to i uderzała mnie dręcząca myśl, niepokojące, niemal fizyczne odczucie, że coś tu jest zdecydowanie nie w porządku.

Przebywanie w Korei Północnej było doświadczeniem głęboko depresyjnym. Nie dało się tego ująć inaczej. Zamknięta granica nie kończyła się na 38. równoleżniku, ale była wszędzie, w sercu każdego człowieka, blokowała przeszłość i dławiła przyszłość. Chociaż kochałam tych chłopców,

a może właśnie dlatego, nabierałam przekonania, że muru między nami nie da się przebić, co więcej – że jest tu już na stałe. To smuciło mnie tak bardzo, że czasem mroźnym świtem, kiedy budziły mnie dochodzące zza okna głosy chłopców na porannej gimnastyce, musiałam walczyć ze sobą, żeby nie zamknąć oczu i znów nie zasnąć.



## 24

– Czuję się tak, jakbym całymi dniami tylko czekał – wyznał jeden ze studentów przy kolacji.

Rzadko wyrażali swoje uczucia, a ja czułam się dokładnie tak samo, więc powiedziałam:

– Ja też.

– Profesor Kim Suki też się tak czuje?! – wykrzyknął. Wydawał się zaskoczony, że mu współczułam.

Skinęłam głową.

– Na co tak czekasz? – spytałam.

– Żeby zobaczyć się z rodzicami, oczywiście! – odparł, uśmiechając się szeroko.

Niepokoili się też z powodu swoich studiów. Mieli dalej chodzić tylko na zajęcia z angielskiego, dopóki nie przyjadą wykładowcy przedmiotów ścisłych i technicznych. Oznaczało to w sumie półtoraroczną przerwę w studiowaniu wybranego kierunku, licząc od rozpoczęcia nauki na PUST.

– Martwię się – wyznał jeden ze studentów. – Nie wiem, czy to nie szkodzi, że na tak długo przestałem się uczyć przedmiotów z mojej specjalizacji.

Zdecydowałam, że ich ostatnim zadaniem z pisania w tym semestrze

będzie list do dowolnie wybranej osoby. Chciałam dać im trochę odetchnąć po ostatnim pięcioakapitowym eseju, który okazał się dla nich bardzo trudny, a także dać odpocząć sobie, bo czytanie i ocenianie esejów na takie tematy jak wprowadzenie zakazu używania telefonów komórkowych i palenia papierosów było prawdziwą mordęgą. Bałam się, że kolejne zadanie domowe zniechęci ich do pisania na resztę życia, ale, o dziwo, najwyraźniej się z niego ucieszyli. Kiedy przeczytałam te listy, zrozumiałam dlaczego.

Wielu napisało do swoich matek. Były to szczere listy, płynące prosto z serca. Na przykład: „Kochana Matko, im szybciej płyną dni, tym bardziej za Tobą tęsknię. Ale odbija się to na nauce, więc staram się nie tęsknić za domem. Patrę co wieczór przed zaśnięciem na Twoje zdjęcie i chcę, żebyś była ze mnie dumna”.

Niektórzy pisali, że w niedzielę przez cały dzień noszą fotografie swoich matek przy sobie, aby dodać sobie sił przy wykonywaniu obowiązkowych prac. Wyznawali, że boją się, że nie uda im się opanować angielskiego i przyniosą wstyd swojej rodzinie. Treść tych listów była podobna, ale brzmiała w nich ta sama prawda. Chłopcy czuli się samotni i przestraszeni.

Ci, którzy wybrali listy do przyjaciół, wyjątkowo otwarcie wyrażali swoje frustracje. „Mam dość – napisał jeden. – Wiem, że pracujesz na budowie. Głupio mi, że narzekam na swoje życie, ale mam dość codziennej rutyny. Wstaję zawsze o tej samej godzinie, jem o tej samej godzinie, wychodzę z pokoju tylko po to, żeby się uczyć angielskiego. Stresuję się stopniami”. Inny wyznał: „Uczę się tylko angielskiego i zapominam podstawowe algorytmy”.

Kilku podzieliło się z przyjaciółmi informacjami o pisaniu esejów:

„Nie uczę się naszego przedmiotu, ale za to mamy dużo angielskiego. Wiesz, co to jest »esej«?”.

„Jednym z najtrudniejszych wyzwania jest zdanie egzaminu pisemnego

i napisanie dobrego eseju, który przekona naszą nauczycielkę pisania i czytania Kim Suki. Esej po angielsku to zupełnie co innego niż pisanie po koreańsku. Z początku myślałem, że nie uda mi się go skończyć, bo pisanie eseju było dla mnie bardzo skomplikowane. Ale im więcej się uczyłem, tym bardziej eseje robiły się atrakcyjne i poprzez eseje mogłem przekonywać ludzi, aby zmienili zdanie”.

„Jest tu wielu dobrych profesorów, ale jedna pani profesor w szczególności, Kim Suki, jest mi bardzo bliska. Nauczyła nas esejów. Uważam pisanie esejów za wspinanie się na szczyt góry, na którą wszyscy boją się wspinać”.

Niektórzy pisali do swoich przyjaciół na budowach, podając adresy tych miejsc: „Obawiam się, że praca na budowie w alei Mansudae jest dla Ciebie zbyt wyczerpująca. Myślę o Tobie, Drogi Przyjacielu, przez cały czas”.

„W sierpniu pokazywałeś mi nagranie wideo, na którym budynki zostały zrównane z ziemią przy głośnej eksplozji. Była to wspaniała scena. Teraz budujesz tam nowoczesny budynek szkolny. Przykro mi, że nie mogę pracować z Tobą”.

„Teraz, kiedy zima coraz gorsza, na budowie musi być trudno i możesz się przeziębic. Pamiętaj, że dla świata jesteś jedną osobą, ale dla mnie jesteś całym światem”.

W listach do przyjaciół i rodziny wspominali swoje ostatnie spotkanie, które często odbyło się ponad rok wcześniej. Przepraszali, że się nie kontaktowali, odnosząc się do różnych wydarzeń, które przegapili, jak urodziny. Nigdy jednak nie napomknęli o tym, że nie wolno im było pisać. Winę brali na siebie:

„Myślałem o Tobie, Droga Matko, w dniu Twoich urodzin. Przepraszam, że nie mogłem napisać, ale wiesz, jakim jestem leniwym chłopcem”.

„Przepraszam, że nie mogłem zadzwonić w Twoje urodziny, mój

Przyjacielu, miałem za dużo zadane z angielskiego”.

„Na pewno nigdy nie myślałem, że nie odezwę się przez trzy lata. Nie wiem, czy nie jesteś chory i jak Ci się żyje. Zdziwisz się, kiedy dostaniesz jutro ten list ode mnie, i przepraszam, że nie pisałem, ale byłem zajęty egzaminami”.

Niektórzy na adresatkę listu wybrali swoją dziewczynę albo wspominali o niej w tekście. Jeden pisał o jej urodzie, o swojej tęsknocie i o tym, że nie może się doczekać, żeby zobaczyć się z nią podczas ferii zimowych. Inny napisał w liście do przyjaciela: „Moja dziewczyna, która jest bardzo aktywna, lubi grać w kręgle. A co lubi Twoja dziewczyna, której przezwisko to Gadatliwy Wróbelek? Pozdrów, proszę, ode mnie mojego cudownego Anioła”.

Jeszcze inny zwrócił się do swojego najlepszego przyjaciela, który chodził z jego siostrą i niedawno z nią zerwał. List opowiadał o miłości między dwojgiem ludzi, którzy się długo znali, ale relacja się urwała, kiedy chłopak zerwał znajomość z powodu jakiegoś głupstwa, bardzo raniąc dziewczynę. Mój student pisał do przyjaciela, żeby jej wybaczył, bo kiedy on, autor listu, przyjedzie do domu na ferie, chciałby zobaczyć ich uśmiechnięte twarze. Wiedziałałam, że jest jedynakiem i nie ma siostry, więc był to chyba zawołany list do jego byłej dziewczyny o ich własnej sytuacji.

Najbardziej szczegółową pracę dostałam od studenta, który mówił po angielsku słabiej od pozostałych. Był cichym chłopcem i rzadko udzielał się na zajęciach, więc zdziwiłam się, kiedy wręczył mi bardzo długi list, mówiąc, że to tajemnica.

Miałem szesnaście lat, kiedy Cię poznałem. Ty miałaś czternaście. Uczyłem Cię matematyki u Ciebie w domu, co cieszyło Twoich rodziców. Potem się wyprowadziłaś i nie wiedziałem, gdzie

Cię znaleźć, aż pewnego dnia zadzwoniłaś do mnie, żeby mi powiedzieć, że zdajesz egzamin na uniwersytet. Dzwoniłem do Ciebie codziennie, żeby się dowiedzieć, czy zdałaś. Potem wywabiałem Cię z domu i często się spotykaliśmy, ja odprowadzałem Ciebie, później Ty odprowadzałaś mnie. Ostatni raz spotkaliśmy się na lodowisku i się pokłóciliśmy. Przepraszam. Kiedy następnym razem przyjadę do domu, będę robił to, co chcesz. Możesz uczyć mnie rosyjskiego. Ja będę uczył Cię angielskiego. Duży okręt odpływa powoli, więc czekaj na mnie.

Dodał postscriptum: „Pani profesor Kim Suki, ta dziewczyna naprawdę istnieje” – i tu podał jej imię.

Jeden napisał do swojego brata w wojsku, którego nie widział od trzech lat. Inny – do Katie, o Dniu Sportu i o tym, że wszyscy studenci świetnie się bawili, ale też myśleli o jej samopoczuciu: „Biegliśmy razem z Tobą w naszych sercach”.

Mimo ich rezerwy, z tych listów emanowała zdumiewająca czułość, delikatność i szczerść. „Tak się cieszę z tej okazji, aby napisać to, o czym myślę” – wyznało kilku w swoich pracach. To więzienne życie naprawdę dawało im się we znaki. Byli odcięci od wszystkich, przy których mogli być sobą. Te listy, które miały nigdy nie dotrzeć do adresatów, były jedynym ujściem ich myśli i emocji. Chociaż pisali je w obcym języku, tylko jako pracę na ocenę, podeszli do tego zadania tak, jakby te listy były prawdziwe. W ani jednym nie padła wzmianka o Wielkim Przywódcy ani o potężnym i kwitnącym narodzie.

W pewnej chwili natknęłam się na niepokojący list zaadresowany do mnie. Napisał go Kang Sun-pil, który bardzo szczegółowo wyjaśniał, że kilka tygodni temu przyszedł do mnie na dyżur, żeby pokazać mi swoją pracę o kimjangu, a ja zerknęłam na nią i powiedziałam mu, że jest „okej”. Kiedy jednak oddałam mu ocenione wypracowanie, okazało się, że dostał tylko 87 punktów. Uznał to za zdradę. Część listu brzmiała:

Czułem się rozczarowany, czułem, że jest Pani zmienna i że mnie Pani oszukała. Wyprowadziło mnie to z równowagi na kilka dni, z powodu żalu. Oczywiście krytykowanie profesora za oceny nie jest dopuszczalne. Ale ja pomyślałem, że nieodpowiednie jest ignorowanie szacunku i oczekiwań studenta. Myśli Pani, że jestem wobec niej niegrzeczny i krytykuję Panią, ale nie chcę Pani oszukiwać i udawać, że czuję się zadowolony. [...] Chociaż myśli Pani, że nie jestem dżentelmenem, chcę pisać szczerze.

Zamiast zakończyć formułką „z poważaniem”, napisał po koreańsku: „Od studenta, który kiedyś Panią szanował”.

Sun-pil, jeden z wysoko notowanych studentów, denerwował się, że straci swoją pozycję. Od dzieciństwa wybierano go do najlepszych szkół, oznaczonych numerem jeden. Prawie nigdy nie potrafiłam wyczytać z jego słów i zachowania, co czuje, więc ten bardzo emocjonalny list mnie zaskoczył. Poza tym podpisał się po koreańsku na pracy z angielskiego, co było zabronione. Od tamtej pory przestał mi patrzeć w oczy i udzielać się na zajęciach. W końcu poprosiłam, żeby przyszedł do mnie na dyżur.

Tak jak się spodziewałam, zjawił się ze swoim partnerem Shin Dong-hyunem. Usiadł, wyraźnie zdenerwowany. Atmosfera była napięta. Przyszli jednak inni studenci z pytaniami, zachowując się tak, jakby jego tam nie było. Nagle zupełnie mi go zasłonili.

– Może poczekamy, aż odpowie pani na wszystkie pytania? – zaproponował cicho.

Kiedy wszyscy już sobie poszli i zostaliśmy tylko we trójkę, zaczęliśmy rozmawiać, a raczej to ja mówiłam. Zapewniłam, że rozumiem, iż czuje się zdradzony, bo uważa mnie za zmienną, ale jego oskarżenia sprawiły mi przykrość, ponieważ nie oszukałam go celowo. Siedział cicho, bez słowa. Dong-hyun stał przy drzwiach, jakby nas nie słyszał. Widziałam, że Sun-pil jest bliski płaczu.

– Chciałbym prosić o pozwolenie, żeby mówić po koreańsku – powiedział wreszcie.

Chociaż normalnie nie wolno mi było udzielać takiej zgody, tym razem mu ją dałam. Po raz pierwszy któryś z moich studentów odezwał się do mnie w naszym wspólnym ojczystym języku.

– Kiedy poznałem panią w lecie, zrobiła pani na mnie wielkie wrażenie. Nauczyła nas pani pisać akapity i obiecała, że nauczy też esejów. Bardzo się cieszyłem. Potem, kiedy oznajmiła pani, że wróci w następnym semestrze, bałem się w ogóle w to uwierzyć, na wypadek gdyby pani jednak nie przyjechała, a kiedy naprawdę pani wróciła, byłem w siódmym niebie. Przychodziłem do pani codziennie na dyżur, chociaż właściwie nie potrzebowałem pomocy. Chciałem się od pani uczyć, a przede wszystkim panią szanowałem. Chyba poczułem się rozczarowany tym, jak potraktowała pani moją prośbę o pomoc. Powiedziała pani, że praca jest okej, ale nie mówiła pani tego poważnie, skoro dała mi pani słabą ocenę. Jeśli nie uważała pani, że moja praca jest w porządku, to dlaczego powiedziała pani, że jest?

Było to zasadne pytanie. Przeprosiłam, że go zdenerwowałam. Wyjaśniłam, że kiedy machnął mi swoim wypracowaniem przed oczami i poprosił o opinię, w gabinecie było jeszcze pięciu innych studentów, którzy też domagali się mojej uwagi. Mówiąc „okej”, miałam na myśli tylko tyle, że tekst jest dość dobry, ale nie znaczyło to, że nie może być lepszy. To do jego obowiązków należało dopracowanie go. Nie byłam jego niańką ani nie prowadziłam dyżurów tylko po to, żeby pomóc studentom poprawić stopnie. Nie chciałam, żeby traktował moje „okej” jako ostateczną odpowiedź. Powiedziałam mu, że powinien mieć własne zdanie. Był dwudziestojednoletnim mężczyzną, który przez całe życie był jednym z najlepszych uczniów w klasie i studentów w grupie. Szanowałam jego zdanie, jego ocenę własnej wartości, jego zdolność do wzięcia na siebie

odpowiedzialności. Mówiłam szczerze i w pewnej chwili zorientowałam się, że mnie też ponoszą emocje. Chciałam, żeby wiedział, że powinien myśleć samodzielnie – czyli robić coś, do czego w tym kraju nigdy nie zachęcano.

Pokiwał głową i po długim milczeniu powiedział dokładnie to, co przez cały czas chciałam usłyszeć – od niego i od nich wszystkich:

– Chyba już dawno przyzwyczailem się do tego, żeby po prostu wierzyć we wszystko, co słyszę. – Potem wyznał, że to jego pierwszy w życiu konflikt z nauczycielem i dodał: – Może pozwoliłem sobie wobec pani na szczerość, bo czułem, że mogę i że panią to obchodzi. Wierzę, że ten konflikt zbliży nas do siebie.

Przytaknęłam, mówiąc pojednawczo:

– Tak, to był tylko drobny konflikt, który wyniknął z różnic kulturowych.

Wtedy Dong-hyun, który przez cały czas się nie odzywał, powiedział:

– Ale my nigdy nie uważamy pani za inną od nas. Nasza sytuacja jest inna. Ale pani jest taka sama jak my. Chcemy, żeby pani wiedziała, że naprawdę tak myślimy.



## 25

Pewnego wieczora przy kolacji Jun Su-yong podszedł do mnie ze szczegółowym rysunkiem wyrostka robaczkowego. Słyszał, jak inny student pytał mnie o terminy anatomiczne po angielsku, a ja odpowiedziałam, że niezbyt się znam na anatomii człowieka. Dlatego Su-yong spędził kilka godzin w bibliotece, wyszukując potrzebną terminologię, i narysował ten schemat, żeby mi pokazać. Kiedy patrzyłam, jak opowiada o czymś, co naprawdę go interesuje, zrobiło mi się ciepło na sercu. Odłożyłam sztucce i przestałam udawać, że jem zupę z kiełków fasoli i kapusty, dumna jak matka, która patrzy, jak jej syn opowiada o czymś nowym i fascynującym, czego nauczył się w szkole.

Wtedy siedzący obok niego Ri Dae-sung rzucił:

– To jak zajęcia z medycyny, a nie kolacja. To, o czym on mówi, jest potwornie nudne. On studiuje medycynę, ale my nie. Jakbym słuchał jakiegoś obcego języka. Nawet nie angielskiego, tylko jakiegoś innego obcego języka. Można więc powiedzieć, że Su-yong mówi do siebie. – Wszyscy wybuchliśmy śmiechem.

Właśnie w tym momencie zobaczyłam na drugim końcu sali znajomą twarz. Był to amerykański dziennikarz, korespondent zagraniczny, którego poznałam w 2008 roku podczas wyjazdu z Filharmonią Nowojorską. Od tamtej pory ponownie usiłował się dostać do Pjongjangu i kokietował w tym

celu prezesa Kima z PUST. Nagle ogarnął mnie strach, bo wiedziałam, że nie mogę się z nim przywitać. On też mnie zobaczył, ale miał świadomość, że jestem tu „w przebraniu” misjonarskiej nauczycielki, więc jako dziennikarski wyga nie dał nic po sobie poznać i odwrócił wzrok – chociaż nasze spojrzenia na chwilę się spotkały. Bałam się, że ktoś mógł to zauważyć, więc natychmiast spuściłam wzrok. Ale tutaj nic nie uchodziło niczyjej uwadze. Studenci przy moim stoliku obejrżeli się, żeby zobaczyć, co takiego wpadło mi w oko.

– Zna go pani? – zapytał Dae-sung. – Kto to jest?

– Może nowy nauczyciel? – Wzruszyłam ramionami.

– No to się spóźnił! – odparł Dae-sung i oczy mu się zaśmiały. – Semestr już się kończy, a my jedziemy do domu!

Chłopcy wybuchli śmiechem. Trochę się uspokoiłam, chociaż serce biło mi gwałtownie, jakbym została zdemaskowana.

Zaczęli teraz mówić o powrocie do domu na ferie zimowe, ale Su-yong żałował, że nie może zostać na PUST. Twierdził, że nie tęskni za domem i woli uczelnię, na co Dae-sung przewrócił oczami.

– Nonsens – skwitował.

Nie wiem, dlaczego wtedy tak nas to rozśmieszyło, ale wszystkich ta uwaga ubawiła do łez. Może chodziło o ton jego głosu albo wyraz twarzy, a może o to, że nasze dni były tak szare i nieciekawe, że nawet drobiazgi wydawały nam się zabawne. Może ta sytuacja przypominała to, o czym powiedział mi kiedyś jeden ze studentów: że nieważne, jaki film oglądają w telewizji, bo zawsze i tak jest śmiesznie, kiedy sześćdziesięciu chłopaków ogląda go razem. A może w tej trudnej chwili szukałam w tym śmiechu z moimi studentami schronienia. Na moment świat zewnętrzny, ten, do którego tak naprawdę należałam, w którym byłam pisarką, wszedł do stołówki w Pjongjangu i poczułam dysonans, niepokój, jakbym nie chciała

dać się wyciągnąć z tego nowego świata, w którym śmieję się z hermetycznych żartów razem z młodymi Koreańczykami z Północy, bo łączy nas nasza izolacja.

Otrząsnęłam się, a Dae-sung powiedział, wskazując Su-yonga:

– Wszyscy Koreańczycy tęsknią za swoimi matkami. Wszyscy studenci tęsknią za domem. Ale ten dziwak twierdzi, że nie tęskni. Tak jakby znów mówił w obcym języku. Możemy więc powiedzieć, że znów mówi do siebie!

Wszyscy ponownie się roześmiali.

Su-yong spojrział na mnie i zapytał:

– Pani profesor, wraca pani na wiosnę, żeby nas uczyć?

Przez ostatni tydzień mówili o tym bez przerwy. Rozmawialiśmy na przykład o tym, co to jest zaćmienie, a oni wtrącali, że poprzedniej nocy, patrząc na księżyc, pomyśleli życzenie: żeby profesor Kim Suki wróciła do nich wiosną. Pytałam ich, co robili w weekend, a oni odpowiadali, że śniło im się, iż profesor Kim Suki powiedziała, że wraca na wiosnę, co ich uszczęśliwiło. Mogłam tylko powtarzać, że zrobię, co w mojej mocy, ale nie mogę niczego obiecać. Nie byłam pewna, czy zniósłabym powrót. Dlatego nie chcąc się nad tym rozwodzić, pytałam, co będą robić podczas ferii.

24 grudnia składali hołd Kim Dzong Suk, bo wtedy przypadały jej urodziny. Także tego dnia, w 1991 roku, Kim Dzong Il otrzymał tytuł Najwyższego Dowódcy Koreańskiej Armii Ludowej, więc obchodzili też tę rocznicę. Było to jedno z ich najważniejszych świąt, obok urodzin Kim Dzong Ila 16 lutego i urodzin Kim Ir Sena 15 kwietnia, zwanych Dniem Słońca. Z okazji każdego z tych dni dzieci dostawały prezenty od Partii, takie jak tornistry i zabawki. Pierwszego stycznia wszyscy wstawali wcześniej i szli pod pomniki obu Wielkich Przywódców, aby się im pokłonić.

Jeden ze studentów powiedział, że w jego domu dwa razy w roku odbywają się przyjęcia: jedno w Dniu Słońca, drugie w sylwestra. W zeszłym

roku przyszło dwudziestu jego kolegów, ulepili razem bałwana, a potem przez całą noc gadali i pili piwo. Pierwszy raz którykolwiek ze studentów przyznał się do spożywania alkoholu. Inny stwierdził, że zima to w jego domu pora spotkań rodzinnych. Jego krewni są rozsiani po całym kraju i raz w roku wszyscy się zjeżdżają u jednego z nich.

– Ale nigdy nie u tych, którzy mieszkają w Pjongjangu, bo wtedy potrzebowaliby specjalnego pozwolenia, żeby tu wjechać – dodał. Pierwszy raz słyszałam, żeby jakiś student napomknął o restrykcjach dotyczących podróżowania.

Kiedy wróciłam do pokoju, czułam się poruszona tym, że na PUST jest mój znajomy dziennikarz, najprawdopodobniej w nauczycielskim akademiku, gdzie zawsze nocowali goście. Nie miało to jednak znaczenia. Nie było żadnego sposobu, żeby się ze sobą porozumieć. Ani ja nie mogłam mu powiedzieć, co się ze mną dzieje, ani on nie mógł mi przekazać żadnych wiadomości. W tym systemie po prostu nie było nam wolno się znać. On najprawdopodobniej spędzi tu kilka dni i tyle. Zobaczy to, co dadzą mu obejrzeć, wyjedzie wtedy, kiedy mu każą, i napisze o tym skrawku rzeczywistości, który reżim mu pokazał. Jego artykuł nie zbliży się do prawdy o tym miejscu, a on będzie miał tego świadomość, ale nie da rady się dowiedzieć niczego więcej.

Nie miało to żadnego wpływu na moje codzienne życie i dziwnie szybko przestałam o tym myśleć. Obecność tego dziennikarza była nieistotna, bo w tej chwili należeliśmy do różnych światów. Ta myśl była zatrważająca. Dawała pewne wyobrażenie o tym, jak muszą patrzeć na mnie moi studenci albo co może się kryć za pustymi spojrzeniami obywateli Pjongjangu. Zagraniczny gość nie mógł przeniknąć do ich świata, nie mówiąc już o złagodzeniu ich cierpień. Każdy grał swoją rolę według obowiązującego

scenariusza.

Następnego dnia dziennikarz przechodził „przypadkowo” koło mojego gabinetu. Drzwi były otwarte, a on wystawił w moją stronę swój blok do notatek, otwarty na stronie z napisem: „Czy możemy gdzieś porozmawiać?”. Nie znał dobrze PUST, ale wiedział, że wszystko, co powiemy na głos, zostanie nagrane. Pokręciłam głową i napisałam szybko w jego bloku: „Nigdzie, wszyscy mnie obserwują”. Nie mogłam go zaprosić do mojego gabinetu, bo to by od razu wzbudziło podejrzenia.

Podeszłam więc bliżej niego i szepnęłam:

- Inni nauczyciele pilnują.
- Niewiarygodne – powiedział bezgłośnie, samymi wargami.
- Na jak długo pan przyjechał? – zapytałam.
- Do czwartku, mam tylko pięciodniową wizę – odparł. Był wtorek.
- To świetnie, znakomicie – powiedziałam, stojąc w drzwiach i wyglądając na korytarz.

Nikogo nie było widać, chociaż w każdej chwili ktoś mógł tędy przechodzić. Musiałam myśleć szybko. Dziennikarz schował już notes do torby, ale zauważyłam, że kaszle. Wyjęłam więc z kieszeni chusteczkę higieniczną i napisałam na niej: „Śniadanie jest o 6.30, ale jeśli przyjdiesz wcześniej, może dasz radę pogadać ze studentami bez opiekunów”.

Wręczyłam mu ją, mówiąc:

- Kaszle pan, chce pan chusteczkę?

Wziął ją i odparł:

- Jasne, dziękuję.

Na tym rozmowa musiała się zakończyć, więc tylko szepnęłam:

- Cieszę się, że cię widzę.

Skinął głową i odszedł, ale to ponowne spotkanie wytrąciło mnie

z równowagi. Nagle poczułam niepokój i tęsknotę za domem. Chciałam się stąd wydostać i wrócić do swojej cywilizacji. Przyjechał mój znajomy, spaliśmy w tym samym budynku, jedliśmy w tej samej stołówce, ale nasze kontakty ograniczały się do tych kilku ostrożnych słów. Może właśnie o czymś takim mówili starsi nauczyciele, którzy urodzili się w Korei Północnej, kiedy opowiadali o swojej bezsilności, gdy wracając tu, nie byli w stanie się porozumieć z rodzicami ani rodzeństwem, niewidzianymi od kilkudziesięciu lat. Wszystko było tak pomyślane, żeby człowiek był podporządkowany, pozbawiony własnej woli. Byliśmy kontrolowani przez reżim. Nawet wytrawny korespondent zagraniczny. Nawet ja.

Kiedy odszedł korytarzem i zniknął, pożałowałam, że zasugerowałam mu, aby porozmawiał ze studentami. A jeśli wpędzi ich w kłopoty? Czułam się jak zdrajczyni wobec moich studentów i to wewnętrzne rozdarcie mnie zdziwiło. Szkoda, że nie myślałam dość szybko, żeby zapytać go o numer pokoju. Chciałam go błagać, żeby nie zadawał im podchwytliwych pytań, ale nie miałam pojęcia, jak przekazać wiadomość.

Zauważyłam, że drzwi do gabinetu Ruth są otwarte. Była moją sąsiadką, zarówno w akademiku, jak i tutaj. Ściany były cieniuteńkie, musiała słyszeć każde słowo. Na następne kilka minut pogrążyłam się w paranoicznym przerażeniu.

Co takiego powiedziałam? Czy było widać, że się znamy?

„Świetnie, znakomicie” – mówiłam.

„Inni nauczyciele pilnują”.

„Cieszę się, że cię widzę”.

Byłam pewna, że to o nauczycielach wypowiedziałam szeptem. Ale Ruth uczyła mówienia i słuchania. Miała czulsze ucho od innych. Poza tym nie miałam pewności, czy „Cieszę się, że cię widzę” powiedziałam cicho, czy samo mi się wyrwało normalnym głosem. „Cieszę się, że cię widzę”. Nigdy

nie myślałam, że takie proste, niewinne zdanie będzie mnie tak dręczyć.

W końcu weszłam do jej gabinetu. Była zagrzebana po uszy w pracy. Zadałam jej pierwsze lepsze pytanie na temat zajęć, a ona podniosła wzrok znad papierów, ale z jej twarzy nie mogłam nic wyczytać.

Później, dużo później, kiedy oboje wróciliśmy już bezpiecznie z Korei Północnej, dziennikarz napisał do mnie takiego maila:

To miejsce zrobiło na mnie potworne wrażenie. Gitmo wygląda przy nim jak ośrodek wczasowy. [...] Gitmo to obóz jeniecki dla bojowników Al-Kaidy i radykalnych islamistów, ale mają tam boisko do piłki nożnej i jedzą znacznie lepiej niż te dzieciaki na PUST. W przeciwieństwie do tego pierwszego, PUST to uniwersytet, nie więzienie. Ale życzę powodzenia studentowi, który spróbuje się wydostać z kampusu w środku nocy. [...] Kiedy podczas mojego pobytu tam przeziębiałem się i prezes Kim prowadził mnie do kliniki na kampusie, mijaliśmy boisko do koszykówki. Zobaczyłem cię wtedy, miałaś w uszach słuchawki i przyglądałaś się, jak chłopcy grają, a ja nie mogłem z tobą porozmawiać. A bardzo chciałem, bo wiedziałem, jak cierpisz.

## 26

Kiedy egzaminy końcowe i Boże Narodzenie zbliżały się wielkimi krokami, wydarzyły się dwie rzeczy, które odebrałam jako prawdziwe błogosławieństwo. Najpierw *Narnia*, wybrana do projekcji w naszym Dniu Filmowym, została odrzucona przez odpowiedników. Moich kolegów wykładowców to zdziwiło, bo film wcześniej dostał zgodę i był wyświetlany wiosną, ale najwyraźniej uporczywość, z jaką nalegali na ten akurat tytuł, wzbudziła podejrzenia.

A potem wydarzyło się coś jeszcze. O dziwo, dostałam zgodę, żeby pokazać *Harry’ego Pottera i więźnia Azkabanu* na swoich zajęciach z angielskiego. Ponieważ właściwie nie mieliśmy czasu na szukanie innego filmu ani czekanie na akceptację odpowiedników, nauczyciele uznali, że nie ma innego wyjścia, jak pokazać *Harry’ego Pottera* całemu pierwszemu rokowi w ramach Dnia Filmowego, czyli zaraz po egzaminach końcowych. Wieść szybko rozeszła się po kampusie.

- Naprawdę obejrzymy *Harry’ego Pottera*?
- Zobaczymy ich wszystkich, Harry’ego, Hermionę i Rona?
- A quidditch też zobaczymy?

Podbiegali do mnie kolejni studenci i pytali o to samo. Wiadomość podziałała na nich elektryzująco. Opowieść o chłopcu czarodzieju dotąd była dla nich tylko abstrakcją, więc nie mogli uwierzyć, że naprawdę obejrzą film



na jej podstawie. Przyciągała ich nie tyle sama historia, o której właściwie nic nie wiedzieli, ile to, że reszta świata widziała i uwielbiała ten film, to, że był to prawdziwy kasowy hit. Niespodziewana szansa dołączenia do grona widzów i miłośników *Harry'ego Pottera* sprawiła, że poczuli się częścią świata, do którego nigdy nie mieli wstępu. Chcieli się dowiedzieć wszystkiego na ten temat, więc przy każdym posiłku musiałam tłumaczyć fenomen Harry'ego Pottera, ze sporym opóźnieniem, bo nakręcono już wszystkie siedem filmów, a dziecięcy aktorzy dorośli i poszli na studia, byli teraz w wieku moich studentów.

Wykładowcy planowali przygotować z tej okazji popcorn. Przywieźli z Chin taki, który można zrobić w mikrofalówce. Zapowiedziałam studentom – raczej pochopnie, jak się okazało – że upiekę tort czekoladowy. W lecie Beth upiekła swojej grupie *brownies*, czekoladowe ciastka z orzechami, i od tamtej pory studenci wspominali je z zachwytem. Jeden nawet nazwał je najlepszą rzeczą, jaką w życiu jadł. Problem w tym, że nie tylko nigdy wcześniej nie piekłam tortu czekoladowego – ani niczego innego – ale w dodatku miało go wystarczyć dla setki studentów.

Poszukałam przepisów w internecie i szybko się okazało, że w Pjongjangu nie da się zdobyć potrzebnych składników. Niektórzy nauczyciele przywieźli proszek do pieczenia i ekstrakt waniliowy, ale prawdziwym problemem było masło i gorzkie kakao. W sklepach sprzedawano tylko margarynę, a kakao było dostępne jedynie w formie rozpuszczalnego słodkiego napoju. Postanowiłam, że po prostu kupię dużo czekolady i ją roztopię. Nie wyjdzie mi z tego prawdziwy tort, ale lepsze proste ciasto o smaku czekoladowym niż nic. Piekarniki były tylko w szkolnej kuchni i dostałam pozwolenie, żeby użyć jednego z nich, ale w niczym nie przypominał on piekarników, z jakimi miałam dotąd do czynienia. Zadanie upieczenia ciasta czekoladowego dla setki studentów

z Korei Północnej okazało się znacznie bardziej skomplikowane, niż sobie wyobrażałam.

Radość ze zbliżającego się Dnia Filmowego uświetnionego ciastem czekoladowym trwała krótko. Do mojego gabinetu wpadła rozwścieczona Mary.

– Na pewno nigdy nie pokażę tego żadnemu z moich studentów! – krzyczała. – Co tobą kieruje, że chcesz pokazywać naszym studentom takie plugastwo! – Ta dobroduszna na ogół kobieta wyraźnie trzęsła się ze złości. – Co z ciebie za chrześcijanka? Co by powiedzieli chrześcijanie na całym świecie o naszej decyzji narażania studentów na oglądanie takiej herezji?

Nie wiedziałam, że wszyscy pozostali nauczyciele, chociaż niespecjalnie zachwyceni, zgodzili się na ten film, z wyjątkiem Mary, najbardziej fundamentalistycznej w swoich przekonaniach. W przeciwieństwie do reszty misjonarzy, którzy urodzili się w pobożnych chrześcijańskich rodzinach, Mary, Chinka koreańskiego pochodzenia, była absolwentką YUST i została zindoktrynowana, kiedy tam studiowała. Zadałam sobie pytanie, czy niektórzy z moich studentów staliby się tacy jak ona, gdyby Korea Północna się kiedyś otworzyła.

Zapytałam, czy czytała chociaż jedną z książek o Harrym Potterze albo oglądała któryś z filmów. Było to naiwne pytanie. Chociaż ja widziałam w tym cyklu typową historię o chłopcu, który walczy z czarnymi charakterami, doprawioną magią, by pobudzić dziecięcą fascynację zjawiskami nadprzyrodzonymi, dla Mary Harry Potter był diabłem wcielonym. Powtórzyła, że nigdy by czegoś takiego nie obejrzała ani nie pokazała naszym studentom, nawet gdyby miała sama jedna domagać się odwołania Dnia Filmowego w ogóle. Po czym wybiegła, żeby poszukać jakichś filmów zastępczych.

Kilka godzin później zwołała nadzwyczajne zebranie w swoim gabinecie.

Udało jej się zebrać różne przypadkowe płyty DVD od innych nauczycieli. Film *Indiana Jones i Królestwo Kryształowej Czaszki* uznano za zbyt brutalny. *Madagaskar* był kreskówką, a studenci wyraźnie mówili, że chcieliby tym razem obejrzeć coś nieanimowanego. Mary podobał się *Wielki Mike*, bo prezentował porządne wartości chrześcijańskie, ale inni nauczyciele stwierdzili, że niektóre sceny miłosne mogą być niestosowne. To samo dotyczyło *Titanica*. W końcu Mary zaproponowała *Władcę pierścieni*. Martha zauważyła, że tu też występują czarodzieje, a film trwa trzy godziny i czterdzieści minut.

Przez całe zebranie, kiedy wykładowcy przyglądali się każdej płycie DVD ze szczupłej kolekcji Mary, serce biło mi gwałtownie. Bałam się, że jedna z nich zostanie wybrana zamiast *Harry'ego Pottera*. Moi studenci czekali na ten film z taką niecierpliwością, że nie miałam serca im powiedzieć, że jednak go nie zobaczą. Poza tym, ponieważ do końca semestru został niespełna tydzień, czułam, że to moja ostatnia szansa, żeby pokazać im coś z zewnętrznego świata. Dlatego stanowczo oświadczyłam Mary, że jako nauczycielka absolutnie nie złamię obietnicy danej moim studentom. Mary równie stanowczo odparła, że absolutnie nie pozwoli wyświetlić filmu. Pozostali uczestnicy zebrania wydawali się zakłopotani, kiedy Mary i ja zaczęłyśmy podnosić głos. Nastąpiła taka eskalacja napięcia, że w końcu obie się popłakałyśmy. Wreszcie zainterweniowała Beth, dziekan Wydziału Języka Angielskiego, i poszłyśmy na kompromis. Miała natychmiast wysłać zbiorczego maila do wszystkich nauczycieli, żeby zebrać od nich filmy na DVD i wybrać inny tytuł na Dzień Filmowy, który trzeba szybko przedstawić odpowiednikom do zatwierdzenia. Jednak po egzaminie końcowym, w ramach moich ostatnich zajęć 19 grudnia, będę mogła pokazać *Harry'ego Pottera* tylko jednej z dwóch grup, które uczyłam.

Był to okropny kompromis, ale wiedziałam, że jeśli film zobaczy

dwudziestu pięciu studentów, to i tak lepiej, niż gdyby miał go nie obejrzeć żaden z nich. Kilka godzin biłam się z myślami, płakałam, aż wreszcie wybrałam grupę 1: dlatego, że to oni pierwsi zapytali o Harry'ego Pottera, a także dlatego, że dialogi były dość trudne i wiedziałam, że grupa 1 zrozumie z nich więcej niż grupa 4.

W ten sposób na Dzień Filmowy 17 grudnia wybrano *Avatara* zamiast *Harry'ego Pottera*. Z powodu awarii prądu egzamin zaczął się nie o wyznaczonej ósmej rano, tylko później. Zimowy poranek był tak ciemny, że nawet kiedy rozsunęliśmy wszystkie zasłony w sali, studenci ledwie widzieli w półmroku swoje testy. Zaczekaliśmy, aż na dworze zrobi się jaśniej, i wtedy, jakby za sprawą czarów, zaczął padać śnieg. Padał przez cały ten ostatni dzień, jakby mógł przykryć wszystko, co miało się zdarzyć w tym zrujnowanym kraju. Po skończonym egzaminie studenci wybiegli na dwór, żeby zapozować do zdjęć, śnieg dalej padał, a chłopcy wyglądali na szczęśliwych jak dzieci, kiedy przepychali się, chcąc usiąść koło nauczycieli przed obiektywem.

Nikt z nas nie wiedział wtedy, że to naprawdę ostatni dzień pewnej epoki. Był to bowiem ostatni dzień życia Kim Dzong Ila, chociaż wiadomość o jego śmierci podano dopiero dwa dni później, 19 grudnia.

Na pokaz *Avatara* tego popołudnia udało mi się upiec nieszczególnie udane ciasto z ciepłąwą czekoladową polewą, ale chłopcy wydawali się zadowoleni. Jeden wytknął mi co prawda, że zdecydowanie nie jest to *brownie*. Jednak o cieście szybko zapomniano, bo już wszyscy zajmowali miejsca, żeby po raz pierwszy w życiu obejrzeć hollywoodzki hit ze spektakularnymi efektami specjalnymi.

Podczas ostatniego tygodnia pobytu śniło mi się, że wymiotuję. Wymiotowałam obrazami cichych przydrożnych wiosek, wymizerowanych twarzy za oknami minibusu, sloganami o Wielkim Przywódcy, piosenkami o Wielkim Przywódcy i portretami Wielkiego Przywódcy, które znaczyły każdy budynek, każdą żywą istotę, każdy przyciszony oddech niczym wypalone gorącym żelazem piętno. W tym śnie wyrzygałam moje ostatnie dni co do okruszyny do czarnego plastikowego worka. Był tak ciężki, że musiałam go ciągnąć obiema rękami, żeby wrzucić go do dołu obok nauczycielskiego akademika. Stałam sama na syberyjskim wietrze, patrząc na leżący w dole worek, który wydawał się oddychać, jakby miał w sobie wyjątkową odporność i nie chciał umrzeć.

Obudziłam się. Była 5.40 rano. Na zewnątrz ciemno, choć oko wykol, ale wiedziałam, że studenci już nie śpią. O 5.50 wybiegli w szeregach na dwór, krzycząc *Joguk Tongil!*, co znaczy: „Zjednoczenie Ojczyzny”. Przy posiłkach jednogłośnie twierdzili, że wstawanie o tak wczesnej porze i bieganie w ciemnościach, z takim okrzykiem na ustach, świetnie wpływa na ich zdrowie. Moi mali żołnierze byli też małymi robotami. W grupie zawsze podawali właściwą odpowiedź, która potem miała zostać poddana ocenie na cotygodniowym zebraniu Wspólnoty Życia Codziennego, ale bez świadków mówili głosem, który budził zrozumienie i współczucie.

„Każdy dzień jest taki sam”.

„Codziennie tylko czekam”.

„Mam dość”.

Tego ranka, w poniedziałek 19 grudnia 2011 roku, pokazałam *Harry’ego Pottera* grupie 1. Nie obyło się bez emocji, bo wiedziałam, że robię przykrość grupie 4. Niedługo po rozpoczęciu filmu kilku chłopców z innych grup, którzy mieli teraz zaplanowaną samodzielną naukę w salach obok, zaczęło zaglądać przez okna. W końcu ktoś zapukał, więc powiedziałam mojej grupie, żeby oglądała dalej, i wyszłam na korytarz, gdzie stało kilku studentów.

– My też chcemy zobaczyć ten film, pani profesor – powiedzieli. Był z nimi przewodniczący grupy 4, który dopytywał się, dlaczego on i jego koledzy nie mogą go oglądać, skoro jestem także ich nauczycielką. Powiedziałam im, że decyzja o wybraniu tylko jednej grupy nie mieściła się w moich kompetencjach; że nic, co w życiu zrobiłam, nigdy nie przysporzyło mi tylu nerwów i nie sprawiło takiej przykrości; i że gdybym mogła, pokazałabym ten film każdemu z nich, ale jestem tylko nauczycielką i nie mam takiej władzy.

– Czy możecie mi wybaczyć? – zapytałam ze łzami w oczach.

– Rozumiemy, pani profesor – odezwał się w końcu jeden z nich. – Po prostu też chcieliśmy zobaczyć ten film. Jak pani wie, nie mamy wielu okazji.

– Niech się pani nie martwi, pani profesor – powiedział przewodniczący grupy 4. – Rozumiemy panią. Chcielibyśmy panią zaprosić do naszej sali, kiedy skończy się film. Mamy dla pani niespodziankę.

Tą niespodzianką okazały się piosenki: *Nasza niezapomniana nauczycielka* oraz *Piosenka Suki*, ludowa przyśpiewka, o której kiedyś coś słyszeli, wyszukali jej słowa podczas wakacji w sierpniu, a teraz spisali

ładnie na kartce jako prezent pożegnalny. Odśpiewali obie piosenki, a potem poprosili mnie o ostatnią przysługę.

– Powie nam pani coś po koreańsku?

Ta prośba mnie zaskoczyła, bo przecież wiedzieli, że jako nauczycielka angielskiego mam zakaz rozmawiania z nimi w ich ojczystym języku. Jednocześnie jednak rozumiałam, skąd się wzięła. Obawiali się, że mogę nie wrócić, i chcieli przeżyć ze mną chwilę bliskości, która połączyłaby nas silniej niż słowa.

Podziękowałam im: *Gamsahamnidah...*

A potem powiedziałam im po koreańsku tak:

– Dziękuję wam, że mogłam być waszą nauczycielką tak długo, jak czas nam pozwolił. Dziękuję, że nauczyliście mnie znacznie więcej, niż ja was. Dopóki żyję, nigdy nie zapomnę twarzy i imion żadnego z was, przechowam je w sercu i będę zawsze o was myśleć z bardzo daleka, i życzyć wam, żebyście wyrosli na prawdziwych dżentelmenów. Chcę, żebyście zawsze pamiętali, że z każdego z was jestem dumna.

Ukloniłam się tak, jak mają w zwyczaju Koreańczycy, kiedy się zegnają. Wiedziałam, że nie wrócę, i nie mogłam powstrzymać łez.

Chciałam im jeszcze tyle powiedzieć, a w dodatku wciąż czułam się okropnie, że ich zawiodłam, ale pomyślałam, że później będę mogła im to lepiej wytłumaczyć – ostatni obiad miałam zarezerwowany dla grupy 1, a kolację dla grupy 4.

Kiedy o 11.30 zesłam do stołówki, zobaczyłam, że większość z nich skończyła jeść wcześniej niż zwykle i już wychodzi. Jednak kilku studentów z grupy 1 przywołało mnie gestem.

– Pani profesor, prosimy, niech pani siada. Poczekamy, aż pani zje.

Jeden z nich wyjaśnił, że wszyscy studenci zostali wezwani na specjalne

zebranie w południe. Nie zapytałam, co to za zebranie, bo często po południu mieli jakieś tajemnicze spotkania.

Wciąż byli w euforii po obejrzeniu *Harry'ego Pottera*, który wzbudził ich zachwyty. Szczególnie podobała im się scena, w której Hermiona mówi Harry'emu, że musi dokończyć esej o wilkołakach na zajęcia profesora Snape'a. Rozśmieszyło ich, że Hermiona i Harry też nie lubią pisać esejów.

Nie mieliśmy jednak dużo czasu na rozmowę o Harrym Potterze, bo studenci musieli iść na zebranie, a do tego martwiło ich, że następnego dnia rano wyjeżdżam.

– Od wielu dni jesteśmy smutni, że nas pani opuszcza, pani profesor – powiedział jeden z nich.

Jeszcze raz spytali:

– Pani profesor, wraca pani w następnym semestrze?

Odparłam, że naprawdę nie jestem pewna, czy zostanę ponownie wpuszczona do ich kraju, ale nawet jeśli nie wrócę, może będą mieli kiedyś dostęp do internetu, a wtedy moglibyśmy porozmawiać na Skypie. Milczeli, aż w końcu jeden z nich, głęboko zamyślony, powiedział poważnie:

– Może mógłbym zostać delegatem w ONZ. Wtedy mógłbym przyjechać do Nowego Jorku i znów spotkać się z panią osobiście!

Wstali, żeby pójść na zebranie, i już odchodzili, kiedy jeden z nich odwrócił się i zapytał:

– Kiedy znów panią zobaczymy, pani profesor? Twarzą w twarz?

Roześmiałam się, rozbawiona ich dziecinną natarczywością.

– Dajcie spokój, panowie – powiedziałam. – Jeszcze nie wyjechałam i będę tu na kolacji! A zatem do zobaczenia!

Słyszając to, uśmiechnęli się i poszli. Nikt z nas nie miał pojęcia, że już nigdy więcej się nie spotkamy – przynajmniej nie tak.



Tuż przed południem ruszyłam z powrotem do akademika wykładowców. Po drodze wstąpiłam na chwilę do kliniki, żeby odwiedzić studenta, który złamał nogę w kostce podczas gry w koszykówkę. Zaglądałam do niego, bo ze względu na egzaminy jego partner nie był w stanie zostawać z nim tak długo jak zwykle. Unieruchomiony student nie mógł uczestniczyć w żadnych zebraniach i wiedziałam, że go to martwi. Rozpogodził się, kiedy mnie zobaczył. Porozmawialiśmy trochę o tym, co będzie robił podczas ferii, ale on ciągle wracał do tego samego pytania:

– To wróci pani do nas na wiosnę, pani profesor?

Żadne z nas nie było świadome, że na nadzwyczajnym zebraniu w budynku Wydziału Informatyki wszyscy studenci oglądają obwieszczenie o śmierci Kim Dzong Ila.

Około dwudziestu minut później do mojego pokoju zapukała Martha i powiedziała:

– Musisz natychmiast przyjść na zebranie. – Kiedy otworzyłam, ściszyła głos i szepnęła, wskazując sufit: – Umarł.

Pobiegłam do sali, w której przekazywano tę wiadomość wszystkim nauczycielom, i dowiedziałam się, że studenci, słysząc o śmierci Wielkiego Przywódcy, pośpieszyli w grupach do Hali Kimirszenizmu. Poinformowano nas, że jeśli chcemy, też możemy tam pójść i pożegnać zmarłego.

Wróciłam do swojego pokoju i włączyłam Centralną Telewizję Chosun, która pokazywała powtórkę obwieszczenia. Prezenterka w czarnym hanboku siedziała przy biurku, płacząc, i przekazywała wiadomość narodowi. Kim Dzong Il – Sekretarz Generalny Partii Pracy, Pierwszy Przewodniczący Narodowej Komisji Obrony KRLD i Najwyższy Dowódca Koreańskiej Armii Ludowej – doznał zawału serca w pociągu, podczas jednej z gospodarskich wizyt w terenie. Pracował dzień i noc, był więc przemęczony zarówno fizycznie, jak i psychicznie, a wszystko to z powodu wszechogarniającej

troski o budowanie potężnego i kwitnącego socjalistycznego kraju, o szczęście swego narodu, zjednoczenie Korei i niepodległość wszystkich narodów świata. Zmarł o godzinie 8.30 dnia 17 grudnia 100 roku dzucze.

Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam, że z Hali Kimirsenu wychodzi grupa studentów, więc wybiegłam na zewnątrz. Kiedy jeden z odpowiedników dostrzegł, że zbliżam się do budynku, zawahał się tylko przez krótką chwilę, po czym wprowadził mnie do środka. Nigdy wcześniej tu nie byłam, a później dowiedziałam się, że żaden inny nauczyciel, poza naszym łącznikiem z odpowiednikami, nie zdecydował się przyjść. W tej chwili myślałam jednak tylko o tym, że moi studenci opłakują zmarłego. Był dla nich ojcem, więc jako ich nauczycielka, która przez te wszystkie miesiące zdążyła ich pokochać, mogłam przynajmniej okazać szacunek, przyjmując do wiadomości ich smutek.

W środku poczułam zapach kadzidła. Po obu stronach ogromnego portretu Kim Dzong Ila stało w szeregu kilku studentów. Widok był dla mnie znajomy: w koreańskiej tradycji synowie stawiali w ten sposób podczas czuwania przy zwłokach, aby przywitać żałobników, którzy wchodzili, kłaniali się i zapalali świece. Wiedziałam, że powinnam stanąć przed portretem i uczcić zmarłego chwilą ciszy. Nikt mnie nie naciskał, żebym się ukloniła, więc tego nie zrobiłam. Nie widziałam, żeby któryś ze studentów płakał, ale nastrój był podniosły, pogrzebowy. Wychodząc, minęłam kilku studentów, ale żaden nie spojrzał mi w oczy. Spuścili głowy i przeszli tuż obok mnie. Tak było przez całe popołudnie. Wiedziałam, że są gdzieś na kampusie, ale cały teren robił wrażenie dziwnie pustego. Tych kilku studentów, którzy się pokazali, nie podnosiło wzroku. A nawet kiedy spojrzeli w moim kierunku, już mnie nie widzieli. Kolację odwołano. Ogłoszono, że studentom zostanie dostarczony chleb do akademika, a wykładowcy mogą jeść to, co mają w pokojach.

Nie miałam nic do roboty poza dokończeniem pakowania i oglądaniem telewizji, w której prezenterka ogłosiła dziesięciodniową żałobę i podała szczegóły dotyczące pogrzebu, który miał się odbyć 28 grudnia. W stolicy każdego okręgu miała zostać zorganizowana uroczystość żałobna, a wszystkim obywatelom kazano przestrzegać trzech minut ciszy dziennie. W tym czasie rozlegną się salwy honorowe i żałobne syreny z okrętów wojennych. Zostaną także opuszczone flagi na masztach. Zabronione zostały wszelkie zabawy. Zapowiedziano też, że nie będą przyjmowane kondolencje z zagranicy. Każdy raport kończył się przypomnieniem, by ludzie uhonorowali swego zmarłego Wielkiego Przywódcę, biorąc się za rękę, by pomóc Kapitanowi Kim Dzong Unowi kontynuować budowę potężnego i kwitnącego narodu.

Chodziłam tam i z powrotem po pokoju. Nawet te relacje o śmierci były w telewizji jakby zapętłone, te same informacje i zdjęcia powtarzały się w kółko. Mój samolot miał odlecieć następnego dnia rano i przez chwilę bałam się, że może lot zostanie wstrzymany, bo wydawało się, że cały kraj wyłącza się i zamyka na moich oczach. Nie mogłam się w żaden sposób skontaktować ze swoimi studentami, a noc była długa. Miałam jeszcze stos ocenionych esejów, które chciałam oddać im przy kolacji. Teraz jednak wyglądało na to, że już się z nimi nie zobaczę, więc wetknęłam ich prace pod pachę i poszłam zadaszonym pasażem do kliniki. Panowały tam zupełne ciemności. Nikogo nie minęłam po drodze. Klinika też wydawała się pusta, ale w ciemnym kącie dostrzegłam na dmuchanym materacu zwiniętą w kłębek, szlochającą postać. Był to mój student ze złamaną nogą. Prawie się nie poruszył, kiedy zawołałam go po imieniu. Położyłam plik esejów przy jego łóżku i powiedziałam, że jest mi przykro. Nie odwrócił się.

O 6.30 następnego ranka pobiegłam do stołówki. Autobus na lotnisko miał po nas przyjechać o siódmej, ale chciałam zobaczyć moich studentów –

jeśli tam będą – po raz ostatni. Byli, ale nie podnieśli na mnie wzroku. Mieli zapuchnięte, zaczerwienione oczy, twarze bez wyrazu. Jakby wyssano z nich życie. Wiedziałam, że teraz, w tym okresie żałoby, nie jestem już wśród nich mile widziana, więc wzięłam swoją tacę i usiadłam po drugiej stronie stołówki, przodem do nich. Patrzyłam długo na każdego z moich pięknych chłopców. Wiedziałam, że już nigdy więcej nie będę mogła ich zobaczyć. Przyglądałam się, jak podnoszą łyżki do ust. Patrzyłam, jak biorą swoje tace i kierują wzrok w moją stronę, jakby mnie nie poznawali, jakbym przestała dla nich istnieć w tym świecie, który teraz tęsknił za swoim Wielkim Przywódcą. A jednak dalej siedziałam na wprost nich, na wypadek gdyby jeden z nich podniósł wzrok i zauważył, że ich świat właśnie się zmienił, być może na lepsze.

# Podziękowania

Chciałabym podziękować następującym osobom i instytucjom za nieocenioną pomoc i wsparcie przy pisaniu tej książki: Molly Stern, Rachel Klayman, Domenice Alioto, Suzanne Gluck, Johnowi Glusmanowi, Fundacji Pamięci Johna Simona Guggenheima, Fundacji Fulbrighta (Fulbright Scholar Program), „Harper’s Magazine”, Open Society Foundation, MacDowell Collony oraz Corporation of Yaddo.

## Od autorki

Ta książka jest połączeniem pamiętnika i reportażu. Powstała na podstawie dzienników i zapisków, które zaczęłam prowadzić w 2002 roku, kiedy po raz pierwszy odwiedziłam KRLD; w latach 2008–2011, kiedy śledziłam sprawę PUST; oraz przez cały mój pobyt w Pjongjangu od lipca do grudnia 2011 roku. O ile tylko było to możliwe, zapisywałam wydarzenia i rozmowy tego samego dnia, kiedy się odbyły, aby móc odtworzyć dialogi dosłownie. Korzystałam z różnych źródeł zewnętrznych, aby zweryfikować uzyskane informacje: map, fotografii oraz artykułów prasowych w języku koreańskim i angielskim.

Z wyjątkiem Jamesa Kima, prezesa PUST, imiona i nazwiska, a w wielu przypadkach także inne szczegóły ułatwiające identyfikację misjonarzy, opiekunów oraz studentów zostały zmienione. Staralam się zwłaszcza ukryć tożsamość studentów, aby chronić ich przed odwetem. Wszystkim misjonarzom nadałam angielskie imiona, chociaż niektórzy mieli imiona koreańskie, aby można ich było łatwiej odróżnić od studentów.

W kilku przypadkach zmieniłam chronologię wydarzeń. Na przykład relacje z niektórych wycieczek są w książce przytoczone w innej kolejności, niż się odbyły, z uwagi na płynność narracji. Poza tym po raz pierwszy widziałam PUST w 2009 roku, podczas krótkiej ceremonii otwarcia, zanim szkoła rozpoczęła działalność, ale w książce o tym nie wspominałam, a swoje

wrażenia wykorzystuję w relacji o przyjeździe do PUST w 2011 roku. Opisy samych wydarzeń pozostały niezmienione i są przedstawione tak wiernie i dokładnie, jak to możliwe.

Zastosowałam tu zarówno transkrypcję McCune'a-Reischauera, jak i latynizację poprawioną (oficjalny system transkrypcji języka koreańskiego w Korei Południowej). Ponieważ system McCune'a-Reischauera jest częściej używany, pisownia wielu wyrazów jest już głęboko zakorzeniona. Za przykład może posłużyć moje nazwisko, Kim, które lepiej oddawałaby transliteracja „Gim”, a także słowo *kimchi*, które właściwie powinno brzmieć *gimchi*. Przyjęło się już jednak „Kim” i „kimchi”, dlatego zastosowałam tę pisownię. Natomiast do transkrypcji słów mniej znanych wybrałam system latynizacji poprawionej, który jest precyzyjniejszy. Stąd „Gwangsan” przez „G”, nie przez „K”.

Transkrypcja nazw miejsc także jest tu celowo niekonsekwentna, w zależności od tego, która pisownia bardziej się przyjęła. Słowa oznaczające „prowincję”, „górze” i „pałac” w rzeczownikach złożonych zapisywałam z łącznikiem: na przykład Chungcheong-do to prowincja Chungcheong, a Myohyang-san – góra Myohyang. Pomięłam jednak łącznik w nazwie Gyeongbokgung (pałac Gyeongbok), bo tak zazwyczaj się ją podaje.

W języku koreańskim przy zapisywaniu pełnego imienia i nazwiska zawsze na pierwszym miejscu stoi nazwisko, jak Kim Dzong Il, Lee Myung-bak czy Kim Suki. W tej książce o opiekunach, odpowiednikach i niektórych nauczycielach mówię po nazwisku. Jednak w przypadku studentów używam pełnych imion i nazwisk, z nazwiskiem na pierwszym miejscu, na przykład Park Jun-ho, lub jedynie samych imion, na przykład Jun-ho, bo właśnie tak się do nich zwracałam, a także oni mówili w ten sposób do siebie.

Nie twierdzę, że ta książka przedstawia pełny obraz Korei Północnej, uważam jednak, że stanowi rzadkie spojrzenie na ten kraj. Jako pisarka

i dziennikarka pokonałam najczęstsze trasy ucieczki uchodźców z KRLD do Chin, Korei Południowej, Mongolii, Tajlandii oraz na granicę laotańską i rozmawiałam z ponad sześćdziesięcioma północnokoreańskimi uchodźcami, a także organizującymi ucieczki pośrednikami oraz przywódcami grup, które pomagają uchodźcom. Ta książka ma natomiast pokazać wycinek z życia elit w KRLD, tej części społeczeństwa, o której mamy najmniej informacji. Powstała na podstawie moich obserwacji i rozmów z uprzywilejowanymi młodymi mężczyznami w wieku od dziewiętnastu do dwudziestu lat. Taki dłuższy, nieprzerwany kontakt, jaki miałam ze studentami na PUST, jest czymś zupełnie tu niespotykanym. Uchylił przede mną drzwi do świata na ogół zamkniętego przed dziennikarzami i innymi osobami z zewnątrz. Złożyło się na to kilka wyjątkowych okoliczności: to, że był to pierwszy rok działalności PUST, więc panował jeszcze chaos organizacyjny; zbliżająca się zmiana reżimu, przez co, jak się wydaje, moi studenci czuli się bardziej bezbronni i wrażliwi; młodość i niewinność tych chłopców; a także fakt, że mówiłam od dziecka po koreańsku, dzięki czemu mieliśmy wspólny język.

Napisałam tę książkę ze świadomością, że rozgniewa ona reżim KRLD, prezesa PUST oraz moich byłych kolegów wykładowców z tej uczelni. Chociaż jest mi przykro, że mogłam się stać dla prezesa i kadry PUST przyczyną kłopotów, czuję się w obowiązku, zarówno jako pisarka, jak i osoba głęboko zaniepokojona przyszłością Korei Północnej, opowiedzieć nagą prawdę o KRLD, w nadziei, że życie przeciętnych Koreańczyków z Północy, w tym moich ukochanych studentów, kiedyś się poprawi.



Tytuł oryginału

*Without You, There Is No Us. My time with the sons of North Korea's elite*

Copyright © 2014 by Suki Kim

This translation published by arrangement with Crown Publishers, an imprint of the Crown Publishing Group, a division of Random House LLC.

Copyright © for the translation by Agnieszka Sobolewska

Projekt okładki

Paweł Panczakiewicz / PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN

[www.panczakiewicz.pl](http://www.panczakiewicz.pl)

Fotografie na pierwszej stronie okładki

Copyright © Patrick AVENTURIER / Gamma-Rapho / Getty Images

Copyright © Attila JANDI / Shutterstock.com

Copyright © Susan Fox / Trevillion Images

Opieka redakcyjna

Przemysław Pełka

Ewa Polańska

Artur Wiśniewski

Redakcja

Zuzanna Szatanik / d2d.pl

Opracowanie tekstu i przygotowanie do druku

d2d.pl

ISBN 978-83-240-3513-7

**znak**

Książki z dobrej strony: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: [czytelnicy@znak.com.pl](mailto:czytelnicy@znak.com.pl)

Plik opracował i przygotował Woblink

**woblink**  
[woblink.com](http://woblink.com)

# Spis treści

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Prolog](#)

[Część I: Anty-Atlantyda](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[Część II: Słońce XXI wieku](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[Podziękowania](#)

[Od autorki](#)  
[Karta redakcyjna](#)

S U K I K I M

POZDROWIENIA

# K<sup>z</sup> Korei

UCZYŁAM DZIECI  
PÓŁNOCNOKOREAŃSKICH  
ELIT



KULISY NAJBARDZIEJ PRZERAŻAJĄCEGO REŻIMU ŚWIATA  
WIDZIANE OCZAMI KOBIETY Z ZACHODU